

Kate
White



MRO CZNA SERIA

**ZŁOWROGIE
SZÓSTKI**



w
ydawnic
ab
two

KATE

WHITE

**ZŁOWROGIE
SZÓSTKI**

przełożyła Joanna Hanusiak

Coś było nie tak. Zauważyła to, gdy tylko wyszła na dziedziniec. W łagodnym powietrzu unosił się jeszcze zapach ognisk – pogoda wyjątkowa jak na koniec października. Nie chodziło jednak o pogodę. Chodniki. Chodniki były puste. I choć Phoebe mieszkała tu od niedawna, wiedziała, że jeśli w piątek o ósmej wieczorem na kampusie nie ma żywej duszy, coś jest nie tak.

Zobaczyła ich, kiedy skręciła w lewo, w kierunku wschodniej bramy. Około czterdziestu osób – studentów i wykładowców – stało przed wejściem do akademika Curry. Dwa miesiące to wystarczający czas, by poznać zwyczaje uczniów. Młodzi lubili spędzać czas przed jednym z akademików, bawiąc się frisbee lub godzinami leżąc na łysiejących trawnikach. Dziś wieczorem jednak wszyscy stali z opuszczonymi ramionami, z napięciem czekając na wiadomości.

Podeszła bliżej. Już wiedziała, co zwróciło jej uwagę. Dwóch strażników wraz z policjantem rozmawiało z dziewczyną o kasztanowych włosach. Dziewczyna wyraźnie powstrzymywała łzy. Dziekan – Tom jakiś tam – uważnie śledził przebieg rozmowy.

W pierwszym odruchu Phoebe chciała minąć zbiegowisko. Miała co do swojego pobytu w Pensylwanii określone plany. Na cudze dramaty zdecydowanie nie było w nich miejsca.

Ruszyła przed siebie, po chwili jednak stanęła. Znała siebie dobrze i wiedziała, że dziesięć minut nie upłynie, a pożałuje tej decyzji.

Podeszła do dwóch chłopaków, którzy najwyraźniej też się zatrzymali, zaintrygowani zebrany tłumem.

– Co się stało? – spytała jednego z nich.

– Nie wiem – odpowiedział i spojrzał na kolegę. – Ty coś wiesz?

– Chyba chodzi o jakąś Lily Mack. Przesłuchują jej koleżankę z pokoju. – Chłopak o krótko ściętych blond włosach był wyraźnie przejęty.

Lily Mack... Nie, Phoebe nie kojarzyła nazwiska. W żadnej z dwóch klas, w których uczyła, nie było nikogo takiego.

– Dzięki – rzuciła i zaczęła przeciskać się przez gęstniejące skupisko ludzi z nadzieją, że dowie się czegoś więcej. Nagle tuż przed sobą dostrzegła długie włosy Val Porter. Przedwcześnie posiwiałe, lśniły srebrem, robiąc wrażenie nawet w ciemnościach. Val wykładała *gender studies*. Jej gabinet mieścił się tuż obok pokoju, który czasowo, w tym semestrze, zajmowała Phoebe. Wobec niej Val zachowywała się uprzejmie, jednak z trudnym do ukrycia, lekkim lekceważeniem. Jej zdaniem moje zachowanie hamuje rozwój feminizmu, pomyślała ironicznie Phoebe.

Postanowiła się wycofać. Zdecydowanie nie miała ochoty na spotkanie z Val. Ta jednak jakby wyczuła jej obecność. Obróciła się, a wiatr przyniósł zapach paczuli.

– Cześć, Phoebe – w głosie Val czuć było lekką pretensję. Jakby karciała uczennicę za spóźnienie.

– Cześć, Val. – Phoebe przybrała uprzejmy wyraz twarzy. Jej żelazna zasada, której trzymała się w Lyle, brzmiała: ma być miło. I grzecznie. Żadnych zawirowań. Wystarczy jak na jeden rok. – Co się stało?

– Zniknęła studentka. Młodszy rocznik. Już dobie jej nie ma. – Val chętnie podzieliła się swoją wiedzą. – Jej koleżanka z pokoju właśnie zgłosiła to strażnikom.

– Straszne – wzdrygnęła się Phoebe. Poczula lodowate ukłucie, z trudem złapała oddech. – Może po prostu uciekła z chłopakiem? Dziewczyny w tym wieku mają różne pomysły. I często

nie grzeszą odpowiedzialnością.

Miażdżące spojrzenie Val nie pozostawiało złudzeń. Według niej Phoebe była ostatnią osobą, która mogła się wypowiadać na temat „dziewczyn w tym wieku”.

– Jasne. Różnie bywa – powiedziała sucho. – W każdym razie Tom Stockton twierdzi, że to nie jest ten typ.

– Rozumiem, że Glenda już wie? – Phoebe chciała się upewnić, czy ktoś już dzwonił do dyrektorki college’u.

– Oczywiście. Sprawa robi się paskudna. Nawet się nie domyślasz, jak bardzo.

– Dlaczego?

– Tej wiosny zniknął chłopak tej dziewczyny. Był z najstarszego rocznika. Wszelki ślad po nim zaginął.

– Czy oni...?

– Przepraszam. – Val przerwała jej obcesowo. – Spytałem Toma, czy nie jestem potrzebna.

To było coś więcej niż zakończenie rozmowy. Phoebe zrozumiała, że jej oferta pomocy nie została przyjęta. I nigdy nie zostanie.

– Trzymaj się – odpowiedziała, z całych sił starając się zachować spokój. – Daj znać, jeśli będę mogła coś zrobić.

Val się odwróciła, na pożegnanie obrzucając Phoebe taksującym spojrzeniem. Niezła jest, pomyślała Phoebe. Styl, w jakim ubierała się Val, przywodził na myśl skrzyżowanie kapłanki z uwodzicielką – ciężkie, pogniecione aksamity, dźwięczące bransolety, no i te dekolty...

Naprawdę, Val była ostatnią osobą, która miała prawo krytycznie patrzeć na czyjkolwiek strój.

– Jakies fajne plany na wieczór? – spytała na odchodne Val z wyraźną nadzieją, że usłyszy „nie”.

Phoebe już miała wypalić, że zapowiada się randka z kapitanem męskiej drużyny hokeja, w ostatniej chwili jednak się powstrzymała. Właśnie takiego męczenia chciała uniknąć za wszelką cenę. Koniec z negatywnymi emocjami.

– Mała kolacja. Wieczorem – powiedziała i wróciła na chodnik, który przecinał dziedziniec college’u. Ze swoimi identycznymi, pozbawionymi wyrazu budynkami z czerwonej cegły, bez choćby śladu bluszczu – Lyle zdecydowanie nie było miejscem szczególnym. Aurę tajemniczości potęgowały jedynie tuziny klonów, które posadzone w 1950 roku – roku budowy szkoły – pięknie się rozrosły, a w świetle księżycy i ulicznych latarni wyglądały wprost magicznie.

Phoebe myślała o zaginionej dziewczynie. Sytuacja była trudna – nie tylko dla college’u, ale i dla Glendy Johns. Glenda pełniła funkcję dyrektorki szkoły, ale była też przyjaciółką Phoebe. Stanowisko objęła dwa i pół roku wcześniej, a do jej zadań należało podniesienie zarówno podupadającego prestiżu szkoły, jak i jej statusu finansowego. Sprawa nie była prosta, ale Glenda miała już na koncie pewne sukcesy. Zniknięcie drugiego ucznia w ciągu roku nie ułatwiało sytuacji.

Phoebe minęła bramę wschodnią i zatrzymała się na światłach. Poczekała na zielone i przeszła przez ulicę. Miejscem, do którego zmierzała, była mała włoska restauracyjka „U Tony’ego”. Odkryła ją pod koniec sierpnia, tuż po przybyciu do Lyle. W urządzonym w stylu „pamiątka z wakacji” lokalu na ścianach królowały podrabiane malowidła w weneckim stylu, w powietrzu wisiał kurz ze sztucznych paprotek i duszący zapach krewetek z czosnkiem. Phoebe lubiła jednak to miejsce. Świetnie się czuła w małych salkach, które oświetlało tylko światło świec.

Jadła tu już w tym tygodniu i nie planowała kolejnej kolacji, ale Duncan Shaw – nauczyciel psychologii – prawie to na niej wymusił. Znaleźli się razem w pewnym Komitecie. Od

początku wyczuła jego zainteresowanie. Kilka dni wcześniej zaprosił ją, ku przerażeniu Phoebe, na piątkową kolację z przyjaciółmi. Duncan mógł się podobać. Był przystojny, a ciemne wąsy i broda jeszcze dodawały mu uroku. I tajemniczości. Otwarty bez nachalności i zbędnego zwierzania się, z ironicznym poczuciem humoru. Ale Phoebe miała jasny plan – żadnych emocjonalnych komplikacji. Urlop od uczuć i romansów. Strategia: nie dać się głupio zwieść. Powiedziała, że bardzo żałuje, ale piątek ma już zajęty. Szczerze liczyła, że to zamknie temat.

Przez chwilę myślała o tym, żeby zjeść coś w nowej restauracji na przedmieściu, gdzie wystrój i menu były na zaskakująco wysokim poziomie. Nie chciała jednak wpaść na Duncana i jego znajomych, a były spore szanse, że właśnie tam ich spotka. Po lekcjach zrobiła zakupy i jeśli chodzi o zaprowiantowanie, w zasadzie była przygotowana na wieczór. Jednak w ostatniej chwili postanowiła zajrzeć do „Tony’ego”. Czuła, że samotny wieczór w ciasnym, wynajmowanym mieszkaniu nie jest tym, czemu mogłaby podołać. Knajpa była zaś ostatnim miejscem, w którym Duncan i jego kolesie witaliby weekend.

Już przed wejściem do lokalu powstała chwila, starając się zrzucić z siebie lekki smutek. Metalowe ćwieki w starym chodniku chwytały światło księżyca i migotały jak szalone. Znad pobliskiej rzeki Winamac docierał zapach błota i ryb, pobudzający w jakiś dziwny, niemal pierwotny sposób. Zazwyczaj słychać też było muzykę, którą tętniły nadrzeczne bary, tego dnia jednak było jeszcze za wcześnie. Brzeg rzeki zacznie żyć dopiero za kilka godzin. Cała nadzieja w tym, że Lily Mack poderwała w końcu chłopaka i cały dzień spędziła w łóżku, więc nic innego jej nie obchodziło, pomyślała Phoebe.

Weszła do restauracji. Mały, okrągły Tony przywitał ją niedźwiedzim uściskiem i zwyczajowo rzucił coś o ulubionej blondynce. Po tym, jak jadła tu po raz pierwszy, ktoś wyraźnie doniósł mu, że Phoebe była popularną pisarką rodem z Nowego Jorku. Najwidoczniej w opowieści zabrakło reszty szczegółów. Inaczej Tony nie byłby tak zachwycony jej obecnością.

Tony odprowadził Phoebe do jej ulubionego stolika, tuż obok głównej sali i przejścia do baru. Zdjęła płaszcz i przyjrzała się gościom. Sala była prawie pełna, a większość przybyłych już cieszyła się posiłkiem. Obywatele małego miasteczka w Pensylwanii jedli nieprzyzwoicie wcześnie. Przyjęła to już, co prawda, do wiadomości, jednak w takich chwilach czuła się jak Alicja w krainie czarów... Wszystko było nie tylko obce, ale przede wszystkim *bez sensu*. Siedem miesięcy wcześniej mieszkała z chłopakiem na Manhattanie. Miał na imię Alec, a ona wróciła właśnie z tournée promującego jej najnowszą powieść: *Największe latawice Hollywood*. I właśnie kupiła sobie diamentowe kolczyki – małą nagrodę dla uczczenia szóstego tygodnia obecności książki na liście bestsellerów „New York Timesa”. Nie mogło być piękniej. Tyle że nagle wszystko zaczęło się walić.

Najpierw Alec. Pewnego wieczoru, kiedy zaczęła sprzątać po kolacji, poprosił, by usiadła.

– Co jest? – zapytała, opadając znów na krzesło i właściwie przewidując, co usłyszy. Znowu odezwą się pretensje o to, że tak długo była nieobecna. Że nie mógł się skupić, że sobie nie radził.

– Musimy porozmawiać – powiedział. Jakoś tak wolno.

– Jasne. – Phoebe była już lekko zdenerwowana.

– Zależy mi na tobie. – Alec robił wrażenie bardzo opanowanego. – Spędziliśmy razem pięć cudownych lat.

Boże drogi, pomyślała Phoebe, zamierza mnie rzucić ot tak, po kolacji, po pożarciu kurczaka, wśród tych kości?

– O co chodzi? – spytała podniesionym głosem, kompletnie nie panując nad sobą.

– Przyjąłem do wiadomości, że nie chcesz małżeństwa. Zaakceptowałem to.

– O ile pamiętam, ty też nie chciałeś.
– No tak... To znaczy, tak. Tak było. Ostatnio jednak przyszło mi do głowy, że chyba nie miałem racji.

Phoebe była lekko zdziwiona, jednocześnie jednak poczuła ulgę.

– Chcesz przez to powiedzieć, że masz zamiar się ożenić? – spytała z uśmiechem.

W oczach Aleca zobaczyła panikę i zrozumiała, że nie w tym rzecz.

– Phoebe, nie chodzi tylko o małżeństwo – powiedział szybko. – Dzieci. Chciałbym mieć dzieci, a dla ciebie to byłoby złamanie umowy.

– W tym momencie być może tak. Mam czterdzieści dwa lata i szansa na to, że zajdę w ciążę, jest niewielka. Ale porozmawiajmy. Jeśli jest coś, z czym nie czujesz się dobrze, chętnie posłucham.

Alec jednak nie chciał rozmawiać. Decyzje zostały podjęte, szukał nowego życia. Nowych doświadczeń i rzeczy. Postanowił odejść. Nie, nie było innej kobiety. Tak przynajmniej twierdził. Phoebe siedziała jak martwa, usiłując otrząsnąć się z szoku. Zdawała sobie sprawę z tego, że ich związek nie był idealny. Zwłaszcza ostatnio. Ale taki obrót rzeczy kompletnie ją zaskoczył.

– Myślałem, że ci ulży – po kilku minutach Alec przerwał ciszę.

– Oszalałeś? – Phoebe była wściekła.

– No wiesz... – Alec wzruszył ramionami. – Kiedyś zawsze miałaś dla mnie czas. I siły.

Nawet w największym nawale pracy i wyjazdów. Ostatnio już nie.

Sześć tygodni później zadzwonił, żeby „po przyjacielsku” poinformować Phoebe o swoim związku z trzydziestojedynolatką, pracownicą swojego biura prawniczego. Nie, nic między nimi nie było, kiedy mieszkał z Phoebe, musi jednak „uczciwie przyznać”, że od początku coś zaiskrzyło.

Phoebe odłożyła słuchawkę dotknięta i upokorzona. Co za banalna historia. Jak w kinie. Czują się niczym bohaterka hollywoodzkiej produkcji.

Jej szansą pozostawała praca: wywiady, promocja, wykłady. Tylko to trzymało ją przy życiu. Jednak pod koniec maja nadeszła kolejna katastrofa. Telefon zadzwonił o dziewiątej rano. To był Dan, wydawca Phoebe. Już sama godzina powinna dać jej do myślenia, Dan nigdy, ale to nigdy nie dzwonił przed dziesiątą.

– Wiesz już? – zapytał zduszonym głosem.

– O czym? O nominacji do Pulitzera? – Phoebe miała dobry humor. Dopiero po chwili dotarło do niej, że sytuacja jest poważna. Dan raczej nie był w najlepszym humorze.

– W internecie pojawiła się informacja, że twoja najnowsza książka to plagiat. Że informacje na temat Angeliny Jolie podkradłaś.

– Niby komu? I kto tak twierdzi? – Phoebe była zdumiona i wściekła.

– Jakiś Angol. Pisze na stronie UK. Witryna Huffington Post już to podała. Gawker też.

– To kłamstwo. Nigdy niczego nie ściągnęłam.

Było jednak inaczej. Choć nie zrobiła tego specjalnie. Prawda dotarła do niej, kiedy zaczęła analizować sytuację. Koszmar trwał, a ona odkryła, gdzie pojawił się błąd. Jedna z jej researcherek zbierających dane z internetu przez pomyłkę umieściła je nie w tym zbiorze, co trzeba. Dane trafiły do jej notatek, nie zaś do danych pochodzących z innych źródeł. Kiedy kilka miesięcy później Phoebe je czytała, nie było już trudno o pomyłkę – traf chciał, że autor danych miał styl podobny do jej własnego, Phoebe nie miała zatem żadnych podejrzeń. Fragmenty trafiły do rękopisu powieści.

Za poradą fachowców z jednej z najlepszych agencji *public relations* Phoebe przygotowała specjalne wyjaśnienie dla mediów. Te jednak były bezlitosne. Za miażdżącymi

tytułami artykułów prasowych i newsów w Internecie oraz radiu i telewizji niewątpliwie stały osoby, na których Phoebe nie zostawiała w swoich powieściach suchej nitki. Pewien hollywoodzki agent w jednym z wywiadów posunął się do twierdzenia, że „cała twórczość pani Phoebe Hall jest sfabrykowana”.

Na szczęście wydawca uwierzył w wersję Phoebe – a przynajmniej sprawiał takie wrażenie – dzięki oświadczeniu, jakie na zgromadzeniu zarządu złożyła jej researcherka. Przyznała się do błędu, a zarząd uznał, że sprawa przycichnie i nie ma powodu, by przerywać współpracę z Phoebe. Takie przypadki już się zdarzały i wszystko wracało na swoje miejsce – w końcu nagrodzona Pulitzerem biografistka Doris Kearns Goodwin była w identycznej sytuacji i jakoś się wyplątała. Na razie jednak zdecydowano o wstrzymaniu kolejnych wydań książek Phoebe – do czasu gdy sytuacja się uspokoi. Tymczasem media nie odpuszczają. Spokoju nie dawał zwłaszcza „New York Post”, a w internecie – Gawker. Dziennikarze koczowali pod jej domem, atakując Phoebe pytaniami, jakby była bohaterką śledztwa o morderstwo. Zawieszono jej udział w telewizyjnych programach „Tonight Show” i „Entertainment Tonight”, zamknięto bloga.

Miranda, jej agentka, mimo całej swojej bezceremonialności okazywała zrozumienie. W końcu miała interes (również finansowy) w tym, żeby Phoebe wróciła na szczyt.

– Dasz radę, Phoebe. Na pewno wyjdiesz z tego – zapewniała. – Jesteś jedną z najtwardszych kobiet, jakie znam.

Ciekawe, czy można to uznać za komplement, pomyślała Phoebe.

– Musisz odpocząć. Wyjedź gdzieś. Może Cabo? Ja bym poleciała do Cabo – ciągnęła Miranda. – A po powrocie zaczniesz pracować nad nową książką.

Jasne, pomyślała Phoebe. Jeśli w ogóle stać mnie na Meksyk, to raczej nie tam. Czynniki musiały płacić sama, a nowe wydania jej książek zostały wstrzymane. Dalsze utrzymywanie tak drogiego mieszkania byłoby głupotą. Miło było, ale się skończyło. No i jeszcze jedno... Nie chciała mówić Mirandzie, ale prawda była okrutna. Phoebe nie miała pomysłu na następną książkę.

Telefon od Glendy Johns spadł jak z nieba. Przyjaciółka zaproponowała jej wykłady z literatury faktu w college’u – dotychczasowa wykładowczyni poprosiła o wydłużenie urlopu macierzyńskiego. Glenda nie mogła trafić lepiej. Phoebe wynajęła swoje mieszkanie w Nowym Jorku i uciekła do sennej Pensylwanii, chowając się przed wścibskimi dziennikarzami. Nareszcie miała spokój. Nareszcie mogła pomyśleć o nowej książce.

Teraz zamówiła kurczaka z grilla z rozmarynem, jedyne bezpieczne danie w tym lokalu. Jedząc, myślała o planie zajęć na przyszły tydzień. Raz lub dwa jej myśl wybiegła w stronę zaginionej dziewczyny. Wszystko będzie dobrze, przekonywała samą siebie. Do kawy Tony podesłał jej zabaglione z truskawkami. Pochłonęła cały deser, zastanawiając się, jak podziela na nią cukier – usunie czy też pogłębi smutek.

– Dobranoc, Tony. – Phoebe zapłaciła. Stała tuż przy kasie, po prawej stronie baru. – Zabaglione było niezmiernie dobre.

– Dla ciebie wszystko, prosto z Sycylii.

– Dziękuję, Tony.

Przy barze siedziały trzy osoby. Para w średnim wieku i mężczyzna o falującej, ciemnobrązowej czuprynie. Kiedy Phoebe rozmawiała z Tonym, mężczyzna odwrócił się w ich stronę. W pierwszej chwili go nie poznała. W drugiej już tak. To był Duncan Shaw, zgolił jednak brodę i wąsy.

Bezwiednie otworzyła usta. Zaskoczyła ją jego obecność i zmiana wyglądu. Zauważyła, jak rozgląda się w poszukiwaniu osoby, z którą przyszła. Jak dociera do niego, że przyszła sama.

Czyli skłamała. A niech to, pomyślała Phoebe. Jestem załatwiona.

Duncan lekko się uśmiechnął. To do niego podobne, przemknęło przez myśl Phoebe. Nie był typem faceta nadwrażliwego na swoim punkcie. W każdym razie nie takiego, który dałby to po sobie poznać.

– Cześć! – Phoebe poczuła się lekko zdenerwowana. Przed Duncanem stał do połowy wypełniony talerz spaghetti i pusty już kieliszek po winie. – A gdzie znajomi?

– Pojechali na kolację do Bethlehem. Dla mnie to za duża wyprawa.

– Słuchaj, potwornie mi głupio – powiedziała Phoebe, usiłując wyplątać się z towarzystwa Tony’ego, który uszy miał już długie jak królik. – Nie chcę, byś pomyślał, że cię okłamałam.

Znowu się uśmiechnął. Tym razem szerzej, pod oczami ukazały się delikatne zmarszczki. Mógł mieć jakieś czterdzieści pięć lat, ale wyglądał młodziej. Może dzięki temu, że wcześniej nosił brodę?

– Nic się nie przejmuj. Zobaczmy, jak zadziała jeszcze jeden kieliszek. – Duncan nie pozwolił, żeby jego słowa zabrzmiały sarkastycznie.

– Naprawdę nie kłamałam. Miałam popracować, ale w końcu głód mnie pokonał.

– Nie musisz się tłumaczyć – w głosie Duncana pojawił się chłód. Phoebe przyszło na myśl, że może to jeden z tych ciemnowłosych, humorzastych mężczyzn z tendencją do melancholii.

– Fajnie wyglądasz. – Phoebe desperacko szukała tematu do rozmowy. Ale była szczerą. Bez brody i wąsów rysy stały się ostrzejsze, ujawnił się orli kształt nosa Duncana. Bardziej pirat niż profesor, pomyślała Phoebe.

– Dziękuję – Duncan odwzajemnił uśmiech. – To był eksperyment. Na razie wystarczy. W każdym razie już nie podskakuję za każdym razem, kiedy widzę siebie w lustrze.

– Jeszcze wina? – Obok nich pojawił się barman.

– Poproszę – powiedział Duncan.

– A co dla pani?

W pierwszej chwili Phoebe spodziewała się, że Duncan będzie ją również namawiał na kieliszek wina i ku swemu zaskoczeniu czuła, że powie „tak”. Jednak nic podobnego nie nastąpiło. Duncan milczał i to milczenie wisiało w powietrzu. Jasne, pomyślała Phoebe. Zrobiłam z niego głupka i facet nie ma najmniejszej ochoty przebywać w moim towarzystwie.

– Ja dziękuję. – Phoebe popatrzyła na Duncana. – Miłego wieczoru.

– Wzajemnie – odpowiedział Duncan.

Ależ ja jestem głupia, Phoebe przeżuwała porażkę w drodze do domu. Powinnam zostać, zjeść jakąś głupią sałatę. No cóż, przynajmniej z Duncanem ma na razie spokój. Wydawał się miły, jednak w jej życiu to nie był czas ani miejsce na takie historie.

Przeszła przez kampus. Zastanawiała się, czy nadal pod akademikiem Curry stoją ludzie. Nie było już jednak żywej duszy. Tylko grupka studentów dyskutowała na dziedzińcu. Przypinali do drzewa coś, co wyglądało na ulotkę. Przecinając plac, zauważyła, że wszystkie klony były oblepione ulotkami. Na każdej z nich pod komunikatem „Poszukiwana” widniało zdjęcie Lily Mack. Zdjęcie ładnej dziewczyny z długimi, sięgającymi poniżej ramion blond włosami, z małą blizną na brodzie. Phoebe skojarzyła tę dziewczynę. Co prawda jej nie uczyła, ale się poznały. Pewnego dnia padał deszcz i Phoebe zaprosiła dziewczynę pod parasol.

A ta zdradziła jej pewną tajemnicę.

Phoebe przymknęła oczy, starając się przypomnieć sobie, jak to było. Spotkanie miało miejsce jakieś dwa tygodnie wcześniej, rano, tuż przed ósmą. Tego dnia Phoebe przełamała swoją niechęć do porannych wizyt w kafeterii. Rzadko tu zaglądała. Zapach naleśników i tostów nieprzyjemnie kojarzył jej się z internatem. Jednak tego dnia nie zdążyła wypić kawy i organizm desperacko domagał się porannej porcji kofeiny.

Wyszła z budynku. Padało, ale na szczęście Phoebe miała w torebce parasolkę. Przystanęła pod okapem, żeby spokojnie ją rozłożyć. Zamyśliła się, patrząc na strugi deszczu, i dopiero po chwili zauważyła dziewczynę. Stała kilka metrów dalej, ubrana w dżinsy, podkoszulek i sweter. Była uderzająco piękna, ale miała coś dziwnego w oczach. Coś więcej niż niepewność, raczej smutek. Wyglądało na to, że to po prostu studentka w drodze na zajęcia. Nie było czym się przejmować.

– Pomóc ci? – Phoebe usiłowała przekrzyczeć deszcz.

– Nie, nie, dziękuję – odpowiedziała dziewczyna. – Myślałam, że to przeczekam, ale spóźnię się na lekcję.

– Idę do Artura. Jeśli pasuje ci kierunek, zapraszam pod parasol.

– Super, dzięki. Też tam idę.

Dziewczyna wskoczyła pod parasol, Phoebe odliczyła „raz, dwa, trzy” i na „trzy” zaczęły slalom między kałużami. Miały za sobą kilkadziesiąt metrów drogi, kiedy dziewczyna, zerkając na Phoebe, starała się przekrzyczeć deszcz: „Lubię pani książki. Naprawdę”.

A więc tak, pomyślała Phoebe. – Czekala na mnie. Żaden dobry uczynek nie pozostanie bez kary. Stara dobra zasada nadal działa.

– Dzięki – rzuciła sucho, w nadziei że to odstraszy dziewczynę od kontynuacji tematu.

– W następnym semestrze też pani będzie? – brzmiało kolejne pytanie.

– Jeszcze nie wiem – odpowiedziała Phoebe. – To się dopiero okaże.

– Chciałam się dostać na pani zajęcia, jak tylko usłyszałam, że zastąpi pani panią Mason.

Ale nie było już miejsc.

– Bardzo mi przykro. Prowadzę małe grupy, to nie moja decyzja. – Phoebe wiedziała, że powinna być miłsza. A przynajmniej próbować. – Chciałabyś kiedyś zajmować się pisaniem zawodowo?

– Tak. I myślę o literaturze faktu. Lubię odkrywać różne sprawy.

– Może złapiemy się na mailu? Napisz do mnie, a ja dam ci znać, jak będę wiedziała coś o przyszłym semestrze.

– Fajnie. Dziękuję.

Phoebe ruszyła do przodu, przeskakując kolejną kałużę. Czuła, że plecy ma mokre, mimo że chroniła ją parasolka. Na szczęście aula Artura była już blisko. Na schodach kłębił się tłum studentów i wykładowców, którzy schronili się przed deszczem.

– Mogę panią jeszcze o coś spytać? – zapytała szybko dziewczyna.

Phoebe wiedziała, co teraz nastąpi. Padnie jedno z tych pytań w rodzaju: „Jaka *naprawdę* jest Angelina?”.

– Jasne – w głosie Phoebe próżno by szukać entuzjazmu. Jedyne, o czym marzyła, to znaleźć się już w sali, za biurkiem, zanim z łomotem wpadnie do niej dwudziestu ociekających wodą studentów.

– Myśli pani, że to możliwe? Zacząć od początku? Po tym, jak się wszystko zniszczyło?

Phoebe zeszytniała. Nie mogła wprost uwierzyć, że dziewczyna strzela w nią takim

osobistym pytaniem.

– Jeszcze nie wiem – w jej tonie zadźwięczała wrogość. – Zapytaj mnie za rok, wtedy powinnam już coś wiedzieć?

Weszły na schody. Phoebe złożyła i otrzepała parasolkę.

– Przepraszam – dziewczyna była wyraźnie zdenerwowana. – Nie miałam na myśli *pani*. Phoebe widziała, jak jej policzki różowieją. – Chodzi o *mnie*. To ja strasznie namieszałam.

– Ach, tak – Phoebe poczuła się nieswojo. Stanowczo za szybko oceniła dziewczynę. Stanowczo zareagowała zbyt nerwowo.

– W książce *Drugie rozdanie* pisze pani o ludziach, którzy potrafią zacząć wszystko od nowa – ciągnęła dziewczyna. – Zastanawiałam się, czy naprawdę tak się da.

– Pisałam o celebrytach – odparła Phoebe. – Tak, niektórym zdecydowanie się udaje.

– Chodzi mi o zwykłych ludzi. Takich jak ja. Myśli pani, że można zacząć wszystko od nowa? Uciec? Po tym, jak spieprzyło się sprawę?

Phoebe usiłowała szybko zebrać myśli. Nie chciała zlekceważyć dziewczyny, ale gonił ją czas.

– Myślę, że tak – powiedziała. – Ale nie ma nic za darmo. Wiesz, o co mi chodzi. Musisz być pewna tego, co robisz. Za wszystko w życiu się płaci. Musisz wiedzieć, czego chcesz teraz, ale też stawić czoło przeszłości, by nie popełnić tych samych błędów. Trzeba naprawić, co się da, i iść do przodu.

Dziewczyna na chwilę odwróciła głowę. Gdy Phoebe ponownie zobaczyła twarz Lily, jej usta były zaciśnięte.

– Dziękuję – powiedziała po chwili. – Bardzo mi pani pomogła.

– Nie ma sprawy. – Przez chwilę Phoebe przeszło przez myśl, że chyba powinna porozmawiać z dziewczyną dłużej. Jednak tłum uczniów kurczył się coraz bardziej, wszyscy rozbiegli się do klas. Na nią też była już najwyższa pora. – Powodzenia zatem.

Dziewczyna uśmiechnęła się blado i ruszyła w kierunku wejścia. Po kilku krokach odwróciła się i poprosiła, zniżając głos:

– Niech pani nikomu nie mówi o tej rozmowie, proszę. To tajemnica.

– Dobrze – odparła Phoebe. – Czekałam na maila.

Dziewczyna skinęła głową i wbiegła do budynku.

Mijając teraz oklejone ulotkami kolejne drzewa, Phoebe czuła skurcze w żołądku. Prawie minęła już akademiki, kiedy dostrzegła, że na jednej z ulotek ktoś coś nabazgrał. Podeszła bliżej. Tak, „nabazgrał” to było właściwe słowo. Wysmarowana za pomocą czarnego markera litera „G” – a w każdym razie coś, co do złudzenia przypominało „G” – bezlitośnie przecinało twarz Lily. Phoebe zdjęła ulotkę i schowała do torebki.

Już w domu zamyśliła się nad filiżanką herbaty, starając się sekunda po sekundzie odtworzyć w pamięci rozmowę z Lily. Co miała na myśli, mówiąc, że spieprzyła sprawę? Czy miało to związek z jej zniknięciem? Czy Phoebe mogła jeszcze coś zrobić tego dnia, po spotkaniu z dziewczyną?

Dlaczego ktoś chciał zamazać jej twarz na ulotce? Czyżby Lily miała tu wrogów?

Phoebe wykręciła numer Glendy. Odebrała opiekunka. Glenda z mężem wyszli na szkolne przedstawienie. Phoebe poprosiła o przekazanie, że po powrocie Glendy czeka na jej telefon.

Z kubkiem w rękę zaczęła krążyć po niewielkim domku, przemierzając kolejno prostokątny salon ciągnący się wzdłuż okna od frontu po kuchnię i pokój jadalny, który służył jednocześnie za pracownię. Wystarczyło rozłożyć stół, by doskonale pełnił funkcję biurka. Szukając czegoś do wynajęcia – tuż po przyjeździe do Pensylwanii – zdecydowanie myślała

o czymś bardziej przytulnym, może domu na wsi? Jednak rzeczywistość była taka a nie inna, domek zaś, choć daleki od spełnienia marzeń, miał bezsprzecznie dwie zalety. Jedną z nich był czynsz w przystępnej wysokości. Drugą Phoebe doceniła już po tym, gdy zaczęły się zajęcia. Od terenu szkoły domek dzieliły tylko trzy bloki.

Phoebe stanęła przy biurku. Jej wzrok padł na stos papierów: artykułów, notatek i prac studentów, które czekały na ocenę.

Po drugiej stronie biurka leżała teczka z wycinkami i artykułami z przeróżnych magazynów. Wszystkie dotyczyły celebrytów, i Phoebe gromadziła je, w nadziei że staną się inspiracją do nowej powieści. Jej wzrok padł na porcelanowe pióro. Leżało na teście. Tę cenną pamiątkę Phoebe dostała od matki jeszcze w szkole średniej, w nagrodę za pierwsze wiersze. Traktowała ją jako talizman, gwarancję natchnienia. Jednak ostatnimi czasy pióro zawiodło jej nadzieje.

Pół godziny przed północą uznała, że Glenda już nie zadzwoni. Przebrała się w pidżamę i zgasiła światło, zostawiając tylko zapaloną żarówkę przed wejściem. Leżąc w bawełnianej, miękkiej pościeli, którą przywiozła z Nowego Jorku, wsłuchiwała się w stłumione cykanie świerszczy (prawdopodobnie ostatnie w tym roku) i żalobny, przeciągły świst pociągu. Dokąd to wszystko zmierza, Phoebe pytała w myślach samą siebie. Ogarnął ją smutek. Wszystko, co było jej bliskie, zostawiła w Nowym Jorku. Wiedziała jednak, że nie może jeszcze wrócić na Manhattan. Musiała oszczędzać. Musiała też sama sobie odpowiedzieć na pytanie, jak to się stało, że sprawy przyjęły tak niekorzystny obrót. Dlaczego wszystko zwróciło się przeciwko niej?

Przez krótką, niebezpieczną chwilę poczuła jakby oddech czegoś z odległej przeszłości, czegoś ciemnego i przerażającego. Tylko spokojnie, nakazała sobie. Za dużo myślisz o tej dziewczynie. Zamknęła oczy i zmusiła się do myślenia wyłącznie o lekcjach.

Była ósma rano, kiedy zadzwonił telefon. Phoebe właśnie robiła kawę.

– Tu Glenda. Wstałaś już, Fee? – W tle słychać było głosy i brzęk naczyń.

– Owszem. Właśnie miałam znowu cię tropić.

– Przepraszam, że się wczoraj nie odezwałam. Pół nocy wisiałam na telefonie. Mamy potworne zamieszanie. Studentka nam zginęła. Słyszałaś?

– Właśnie w tej sprawie dzwoniłam. Wczoraj widziałam ulotki ze zdjęciem.

I uświadomiłam sobie, że ją znam. Rozmawialiśmy jakieś dwa tygodnie temu.

– Żartujesz. I co mówiła?

– Nic wielkiego, ale może to ważne. Wyglądało na to, że ma jakiś problem.

Po drugiej stronie słuchawki Phoebe znowu usłyszała hałas. Jakby ktoś przeszedł obok Glendy z tacą pełną szklanek.

– Mam gości, właśnie wychodzą. Dałabyś radę zajrzeć do mnie za godzinę? I tak miałam z tobą pogadać.

– Jasne. Do zobaczenia.

Następną godzinę Phoebe poświęciła na przekopanie się przez maile. Trochę się ich nabrało przez tydzień, kiedy nie zaglądała do skrzynki. O dziewiątej wyruszyła w kierunku rezydencji dyrektorki college'u. Jej dom dzieliło od niej kilkanaście budynków. Widać było, że willa czasy największej świetności ma już za sobą, nadal jednak zdawała się solidna i okazała. Robiła wrażenie. Jej pierwszym mieszkańcem była zapewne ważna postać miejscowego biznesu, a dom powstał długo przed tym, nim założono szkołę. Nie było tu wielu pokoi, jednak każdy z nich był słoneczny i przestronny, wypełniony antykami, które w większości stanowiły własność szkoły, rzadziej jej byłych dyrektorów. Ci przychodzili i odchodzili – a zdarzało się, że odejście niektórych przypominało ucieczkę...

Glenda czuła się w tym domu trochę jak w innym świecie. Pochodziła z Brooklynu

i chociaż – robiąc karierę w środowisku akademickim wraz z mężem, Markiem – nieraz mieszkali w dobrych warunkach, ten dom był dla niej ukoronowaniem marzeń o domu idealnym. Jak kiedyś wyznała Phoebe: to spełnienie marzeń dziewczynki o idealnym domu Barbie.

Drzwi otworzyła gospodyni. Patrząc ponad jej ramieniem, Phoebe zauważyła, że nie wszyscy goście już wyszli.

– Doktor Johns oczekuje pani. Prosiła, by poczekała pani chwilę w oranżerii.

Phoebe z przyjemnością podążyła za kobietą. Lubiła oranżerię. Przeszkłone ściany zapewniały światło, w którym pięknie prezentowały się puszyste paprocie i miniaturowe drzewka pomarańczowe. Usiadła w fotelu wiklinowym. Na stoliku obok pojawiła się kawa. Phoebe nalala sobie filiżankę. Obserwowała, jak z rosnących obok domu klonów i dębów spadają liście i bezszelestnie lądują na ziemi.

Glenda przysłała dziesięć minut później. Wełniane spodnie i takież zakiet koloru brzoskwini korzystnie podkreślały smagły odcień jej cery. Phoebe uśmiechnęła się. Poznały się w internacie. Obie były stypendystkami, obie wychowane przez samotne matki. Trafiły do tego samego pokoju i był to szczęśliwy przypadek. Między nimi od razu narodziła się przyjaźń. Ale chociaż Phoebe знаła Glendę od lat i była od początku świadkiem jej błyskotliwej kariery – nadal czuła ogromny respekt przed tym, co osiągnęła przyjaciółka.

– Wybacz, Fee – powiedziała Glenda, opadając na sąsiedni fotel. – Niektórzy są kompletnie pozbawieni wycucia czasu. Zjesz coś?

– Kawa wystarczy. Jest coś nowego w sprawie Lily?

– Niestety, nie. Ale przynajmniej wiemy już, gdzie była w czwartek wieczorem. Co wiesz o jej zniknięciu?

– W zasadzie nic.

Glenda ciężko westchnęła.

– Na terenie kampusu ostatni raz widziano ją w czwartek około ósmej wieczorem. Swojej współlokatorce powiedziała, że idzie do biblioteki i faktycznie, kilka osób ją tam widziało. W pewnym momencie opuściła jednak kampus. Śledztwo policji wykazało, że wylądowała w jednym z tych barów, których nie znoszę. „Pod Kocimi Ogonami”, na końcu Bridge Street. Barman zeznał, że wypila dwa piwa, rachunek zapłaciła około dziesiątej. Dwie osoby widziały, jak wychodziła i szła w kierunku akademików – ale tam nie dotarła.

– Dlaczego współlokatorka tak późno o wszystkim powiadomiła, do diabła?

– Lily ma przyjaciółkę, która mieszka poza kampusem. Blair Usher. Kiedy wychodziła do biblioteki, powiedziała, że być może zostanie u Blair na noc. Czasem tak robiła. Współlokatorka Lily była poza akademikami prawie cały piątek, dopiero kiedy wróciła, odkryła, że nie ma żadnego znaku wskazującego na powrót Lily. Zaczęła się lekko niepokoić. Do tego na kolacji spotkała Blair i okazało się, że Lily u niej nie było.

– Dziewczyna wychodzi sama z baru... – Logika, z jaką myślała Phoebe, była bezlitosna. – To się zazwyczaj źle kończy.

– Wiem. Od tej pory nie odbiera telefonu. Nie wygląda mi to dobrze. – Glenda była zdenerwowana. – Opowiedz o tej rozmowie.

Phoebe streściła, co usłyszała od Lily. O tym, że coś spieprzyła, i o pytaniach, czy w życiu można zacząć wszystko od początku, czy można uciec... Glenda uważnie słuchała, przymykając oczy i splatając ręce na piersiach. Gdy Phoebe skończyła, zapadła cisza.

– Pewnie myślisz, że jestem beznadziejna – powiedziała po chwili Phoebe.

– Czemu tak mówisz?

– Powinam bardziej się nią zająć.

– Nie mam do ciebie pretensji. Wiesz, że jestem szczerą. Lily zaczęła cię pięć minut

przed rozpoczęciem zajęć. Zrobiłaś co mogłaś. Nie było czasu.

– Wiem. Ale czuję się winna. I bardzo bym chciała mieć pewność, że nic jej się nie stało.

– To, co powiedziałaś, jest ważne. Przekażę wszystko policji.

Phoebe przyszło do głowy jeszcze coś:

– Val Porter mówiła, że tej wiosny zaginął chłopak Lily. Myślisz, że jej zniknięcie może mieć z tą sprawą coś wspólnego?

– Nazywał się Trevor Harris. Też o tym myślałam – powiedziała Glenda. – Jednak ciekawa rzecz, jego zniknięcie nie przeraziło wszystkich tak jak w przypadku Lily. To było w marcu. Wcześniej dużo gadał o rzuceniu szkoły. Generalnie nie radził sobie z nauką, z rodziną też mu się nie układało.

– Może odezwał się do Lily i pojechała się z nim spotkać?

– Możliwe. Chociaż akurat ona miała ze swoją rodziną świetny kontakt i nigdy by nie zniknęła bez słowa. – Glenda pokiwała głową. – Jednak biorąc pod uwagę to, co ci powiedziała, raczej trzeba rozważyć opcję, że chciała wymazać przeszłość i zacząć wszystko od początku.

– Albo skorzystać z innej możliwości ucieczki... Na przykład odebrać sobie życie.

– To też możliwe. – Glenda wyglądała na wstrząśniętą.

– Co teraz robi policja? – spytała Phoebe.

– Przesłuchują wszystkich, którzy znali Lily, oraz tych, którzy tego dnia byli w mieście.

A jeśli Lily nie wróci w ciągu kilku dni, psy zaczną szukać śladów wzdłuż rzeki.

– W sumie to cud, że studenci nie topią się w Winamacu. Obok tych wszystkich barów.

– Był taki wypadek półtora roku temu. Chłopak snuł się po pubach, było ciemno i wyraźnie pomylił kierunki. Wpadł do rzeki. Trochę ciężko się płynie, będąc pijanym jak świnia, w ciężkich butach i sztruksach. A tyle trąbimy o tym, jak niebezpieczne są picie i rzeka. Zwłaszcza w połączeniu. Każdy ze studentów słyszy to od razu, kiedy tylko jego noga postanie w college'u. – Glenda ściągnęła usta i zapatrzyła się w okno.

– Coś cię gryzie, Gee – powiedziała Phoebe. – Przecież widzę.

– Tak – przyznała Glenda. – Jest jeszcze coś. To główny powód, dla którego chciałam z tobą porozmawiać. Ostatniej wiosny odkryliśmy, że w szkole prawdopodobnie działa tajne bractwo. Tajne stowarzyszenie dziewcząt.

Phoebe straciła oddech.

– Jak liczne? Jaki mają program? – zapytała po chwili.

– Zero pojęcia. Żadnych danych. Jedyne, co mamy, to pewien dowód, że coś takiego istnieje. W maju jedna z uczennic doznała ataku paniki. Wylądowała w szpitalu. Nie mogła opanować hysterii. Gdy się trochę uspokoiła, zwierzyła się lekarzowi, że należała do tajnego bractwa, ale że dziewczyny postanowiły się jej pozbyć.

– Czy to bractwo ma jakąś nazwę?

– Dziewczyna mówiła o „Szóstkach”. Tom Stockton, dziekan do spraw studenckich, chciał z nią porozmawiać, ale odmówiła. Następnego dnia porzuciła szkołę.

– Może to było po prostu załamanie psychiczne? – Phoebe zaczęła nerwowo kręcić się na fotelu.

– Lekarz był innego zdania. I jeszcze coś. W ciągu ostatniego roku na murach akademików i budynków szkolnych pojawiły się szóstki. Nikt z dyrekcji ani nauczycieli nie miał pojęcia, co mogą oznaczać.

– Poczekaj. – Lily podskoczyła. – Czy, twoim zdaniem, zniknięcie Lily może mieć związek z Szóstkami?

– Nie wiem. Ale Tom Stockton ma powody, by przypuszczać, że Lily jest z nimi związana.

To są może te straszne rzeczy, o których mówiła Lily, pomyślała Phoebe. Czyżby przez chwilę była członkiem grupy, a potem zrezygnowała?

– Co teraz zrobisz? – zwróciła się do Glendy.

– Przyszedł mi do głowy pewien pomysł. Ale obawiam się, że nie przypadnie ci do gustu.

– Co masz na myśli?

– Chcę, żebyś została moim informatorem. Żebyś zebrała tyle danych, ile to tylko możliwe – oświadczyła Glenda. – Dowiesz się, czy bractwo naprawdę działa. A jeśli tak, to co planują.

– *Co takiego?!* – Phoebe nie mogła ukryć zaskoczenia.

– Posłuchaj mnie uważnie. Nawet jeśli między zniknięciem Lily a Szóstkami nie ma związku, muszę z nimi skończyć. Obie świetnie wiemy, jak niebezpieczne są takie grupy. Jak łatwo ich działalność może wymknąć się spod kontroli i do czego doprowadzić.

– Ale to nie jest chyba coś, czym administracja szkoły powinna się zajmować?

– Owszem, my za to odpowiadamy. Są stosowne procedury. Przesłuchuje się osobę nękaną i zdobywa dowody. Tom jednak nie uzyskał nic. Żadnego faktu, nawet śladu. I o ile znam się na studentach, jedno jest pewne: ostatnią rzeczą jest wydanie kogoś spośród siebie. Są zatem sytuacje, kiedy musimy działać w sposób wyjątkowy. Przy pomocy osób spoza administracji.

– A niby dlaczego te dziewczyny miałyby rozmawiać właśnie ze mną? To...

– Daj spokój, Fee. Jesteś w tym świetna. Zdobędziesz nie tylko każdą informację, na jakiej ci zależy, ale też wyciągniesz z ludzi wszystko, co chcesz usłyszeć. Opowiadali ci o tajemnicach z życia prywatnego, romansach i zdradach.

– Ale nie mogę przecież nagle zacząć ciągnąć wszystkich za język. – Phoebe nerwowo poprawiła włosy. Wiedziała, że nie może odmówić. Po pierwsze, nie mogła zawieść Glendy. Miała w niej przyjaciółkę, a teraz ponadto szefową. Po drugie – czuła się zobowiązana wobec dziewczyny, której pewnego dnia nie poświęciła dostatecznie dużo czasu.

– Zastanawiałam się, jak to ująć – powiedziała Glenda. – Przyjmijmy, że zaproponowałam ci współpracę w prowadzeniu wewnętrznego śledztwa w sprawie zaginięcia Lily. To upoważnia cię do zadawania pytań. Zobaczymy, może to coś da.

– Będę komuś wchodzić w drogę? Na przykład Tomowi Stocktonowi?

– Nie sądzę. Tom nie ma problemu z naszym własnym śledztwem w sprawie Szóstek. Młodzi raczej nie lubi rozmawiać z ważniakami – a administracja szkoły to dla nich ważniaki. Powinnaś spotkać się z Tomem, pomoże ci się przygotować. Czeka na twój telefon.

Przez chwilę Phoebe czuła się, jakby coś ją dusiło. Po chwili jednak wzięła się w garść.

– W porządku – powiedziała. – Wchodzę w to. Będę potrzebowała namiarów na współlokatorkę Lily, no i na Blair Usher.

Na plotki nie było już czasu. Glenda musiała porozmawiać z kierownictwem obu kampusów i miejscową policją – zanim spotka się z rodzicami Lily. Przyjechali późnym wieczorem i Glenda miała się z nimi zobaczyć za godzinę.

Przed domem mąż Glendy, Mark, zakładał kask rowerowy ich dziewięcioletniemu synowi, Brandonowi. Mark zwracał uwagę urodą. W połowie biały, w połowie Afro-amerykanin – miał oczy koloru zielonych oliwek i skórę tak jasną, że można go było wziąć za białego. Glenda poznała go podczas ostatniego roku swojego pobytu w internacie i od tej pory schodzili się i rozchodzili – aż do ślubu dziesięć lat później. Obecnie Mark pracował jako niezależny doradca w zakresie zarządzania. Nie wydawało się, by w okolicach Lyle było dużo pracy tego rodzaju.

– Cześć, chłopaki – powiedziała Phoebe. Brandon rzucił jej się na szyję, Mark kiwnął głową z uśmiechem. Phoebe i Marka nigdy nie łączyła zbyt przyjaźń, ale od czasu gdy Phoebe

przeniosła się do Lyle, czuła z jego strony narastającą niechęć. Nie potrafiłaby określić, o co chodzi. Miała jednak pewne podejrzenia. Być może Mark uważał, że pomoc, jakiej Glenda udziela przyjaciółce, może zagrozić jej opinii i pozycji jako dyrektorki szkoły.

– A gdzie twój kask? – Glenda zwróciła się do Marka.

– Dzisiaj pojedzie sam. Zna trasę, dobrze mu to zrobi. Powinien się usamodzielniać.

– Jest sobota rano. Któreś z nas jednak powinno...

– W teorii zapewne tak. W praktyce oboje jesteśmy zajęci, czyżbym się mylił? – Phoebe po raz pierwszy słyszała, żeby Mark zwracał się do Glendy takim tonem.

– Pójdę już. – Phoebe poczuła się niezręcznie. – Zacznę od zaraz i wieczorem dam ci znać, jak wygląda sytuacja.

Brandon szarpał pasek od kasku, jakby ten go dusił. Phoebe ponownie go uścisnęła i kiwnęła głową Markowi. Glenda odprowadziła ją do bramy.

– Nawet nie wiesz, ile to dla mnie znaczy, że tu jesteś i pomagasz mi w tej całej historii – powiedziała cicho. – Jeśli jednak z jakiegoś powodu nie możesz, mów szczerze. – Glenda popatrzyła na Phoebe przeciągle.

– Wszystko w porządku – szybko odpowiedziała Phoebe, zapinając kurtkę.

W drodze do domu szarpała nią burza sprzecznych uczuć. Sytuacja była poważna i Phoebe czuła, że należy jej pomóc. Oczywiście, była zobowiązana wobec Glendy, przede wszystkim jednak przejmował ją los Lily. Czy dziewczyna sama szukała ucieczki przed tym, co zrobiła? Czy też spotkało ją coś złego? Tuż po tym, jak opuściła bar?

Do serca i umysłu Phoebe wkradł się niepokój. Szukanie prawdy leżało w jej naturze, było wiecznie niezaspokojoną potrzebą, jednak w przypadku śledztwa dotyczącego Szóstek miała wkroczyć na teren, do którego, jak sobie obiecała, już nigdy nawet się nie zbliży. Zerwał się silny wiatr. Phoebe odruchowo włożyła ręce do kieszeni. W jednej z nich wyczuła kawałek papieru. Wyjęła pomazaną ulotkę ze zdjęciem Lily. Zamyśliła się, ponownie patrząc na twarz dziewczyny przekreśloną literą „G”. To jednak nie była litera. To była cyfra. Szóstka.

W styczniu po raz pierwszy poczuła, że coś jej grozi. Budynki szkolne tonęły pod dwumetrową warstwą śniegu, a wszystkich przygniatał zły nastrój wywołany napięciem związanym z końcem semestru, wiecznie mokrymi butami i przejmującym zimnem. Uwielbiała internat. To była miła odmiana po dusznym, ciężkim budynku szkoły. Nie znalazła większej przyjemności niż czytanie i pisanie w małej salce w czytelni niczym w przytulnym gniazdku, gdy z zewnątrz dobiegały głosy dziewcząt, które biegały po śniegu pokrywającym dziedzińiec szkoły.

Zadanie było trudne, ale to jej nie zrażało. Pierwszy semestr zakończyła z oceną bardzo dobrą, w magazynie literackim opublikowano cztery jej wiersze, starała się o stanowisko redaktora w gazetce codziennej. Chodziły słuchy, że wygraną ma w kieszeni. Tyle już napisała do szuflady. Pora, żeby w końcu coś ujrzało światło dzienne.

Jednak redaktorem został ktoś inny. Do tego dziewczyna, która do tej pory prawie niczego nie opublikowała. Wiadomość była zaskakująca i nieprzyjemna.

Starala się przekonać samą siebie, że nie należy się poddawać. Będzie następna szansa. A ona do tej pory napisze jeszcze więcej, wymyśli jeszcze więcej tematów.

Jednak zaczęło się dziać coś dziwnego. Jej kolejne materiały były automatycznie odrzucane. W ciągu miesiąca opublikowała jedno małe, zresztą niezbyt udane opowiadanie. Wyglądało to na zaplanowaną akcję. Czyżby miała wroga?

W kolejnym wydaniu magazynu też nie było jej publikacji. Co się mogło stać? Była przekonana, że jej wiersze mają pewną wartość.

I wtedy wydarzyła się ta historia z dziewczynami z grupy. Raz w tygodniu spotykała się trzema koleżankami, z którymi wspólnie chodziła na zajęcia z historii Stanów Zjednoczonych. Jej nauczycielka była wielbicielek częstych i trudnych testów – wspólnie się do nich przygotowywały. Pewnego dnia jedna z dziewczyn oświadczyła, że ona i dwie pozostałe chcą od tej pory pracować samodzielnie. Tydzień później przez przypadek trafiła na wszystkie trzy wspólnie przerabiające materiał do testów. Odniosła wrażenie, że chciały, by to odkryła. Minęła je szybko, czując, jak gwałtownie czerwienieją jej policzki.

Nikt mnie już nie lubi, uświadomiła sobie z przerażeniem. Jednak dlaczego? Nie miała pojęcia.

Phoebe włożyła ulotkę z powrotem do kieszeni. W głowie jej huczało. Czy cyfra sześć, którą ktoś oszpecił twarz Lily na zdjęciu, oznaczała, że dziewczyna była ofiarą Szóstek? Phoebe przypomniała sobie pełne smutku niebieskie oczy dziewczyny i do jej serca znowu wkradł się niepokój.

Tego ranka zamierzała, jak zwykle w soboty i niedziele od czasu przybycia do Lyle, wybrać się na przejażdżkę rowerową wzdłuż rzeki. Po powrocie do domu zmieniła jednak zdanie. Dlaczego nie zacząć dochodzenia od razu? Weekend to idealny moment na to, by przycisnąć studentów. Nikt nie spieszył się na zajęcia, każdy z nich powinien znaleźć czas na rozmowę. Najpierw jednak musiała skontaktować się z Tomem Stocktonem, dziekanem do spraw studenckich. Jeśli miała spowodować trzęsienie ziemi, musiała wiedzieć, jakie informacje już zebrano i czy którykolwiek z tropów prowadzi do Szóstek.

Numer telefonu komórkowego Stocktona odnalazła w bazie. Nie odbierał. Kiedy już była pewna, że musi się nagrać, po drugiej stronie ktoś się odezwał.

– Stockton – głos przedstawił się sucho.

– Cześć, Tom, tu Phoebe Hall – powiedziała grzecznie. – Wiem, że masz urwanie głowy z powodu tej historii z zaginioną dziewczyną. Ale chciałam zapytać, czy znalazłbyś chwilę, żeby się dzisiaj ze mną spotkać.

– Przepraszam, ale nie rozumiem...

– Mówi Phoebe Hall. Wykładam w tym semestrze. Mam się z tobą zobaczyć w sprawie tajnego bractwa, Szóstek. Glenda pewnie ci wspominała.

– A, tak. Jasne.

– Dałbyś radę dzisiaj? Musimy pogadać.

– Żałuję, ale dziś nie dam rady. Mam mnóstwo roboty w związku ze sprawą Lily Mack.

Właśnie śpieszę się na spotkanie.

– Może chociaż na herbatę potem?

Tom ciężko westchnął.

– Nie chciałbym się teraz umawiać. Nikt nie wie, jak to wszystko się potoczy.

Gość zaczął ją wkurzać. Glenda mówiła, że wie o wszystkim, nic jednak na to nie wskazywało.

– Może spróbujemy się umówić, a w najgorszym przypadku to przełożymy? Obiecałam Glendzie, że zajmę się tematem od razu. Istnieje prawdopodobieństwo, że te dwie sprawy się łączą.

– Dobrze. – W głosie Toma nie było jednak zachwytu. Nieważne. Imię Glendy wyraźnie zadziało. – Zobaczmy się w Café Lyle o dwunastej.

Café Lyle była kafeterią w studenckiej części kampusu. Jeśli Phoebe miała cokolwiek z kogokolwiek wyciągnąć, żaden ze studentów nie mógł jej wiedzieć w towarzystwie kierownictwa – czyli wroga.

– Może lepiej w „Bercie”? – Phoebe zaproponowała miejsce na Bridge Street, tuż obok restauracji „U Tony’ego”. – Lepiej, żebyśmy nie spotykali się na terenie szkoły.

Stockton znowu westchnął, ale się zgodził. Pora na kolejny ruch. Nie chciała, co prawda, zaczynać działań na szeroka skalę, dopóki nie porozmawia ze Stocktonem, jednak jedno mogła już zrobić niezależnie od tego, co dotąd wiedziała. Mogła porozmawiać ze współlokatorką Lily. Glenda przesłała jej mailem dane i kontakt do dziewczyny. Nazywała się Amanda Azodi.

Wyszła z domu, tym razem kierując się w stronę kampusu. Tuż po jedenastej była pod

akademikiem Curry. Studenci, co prawda, w sobotę lubili sobie pospać do południa, jednak Amanda powinna już być na nogach. Zdecydowanie za dużo się działo. Phoebe próbowała otworzyć drzwi wejściowe, jednak były zamknięte. Zapomniała poprosić Glendę o kartę magnetyczną. Jedyne, co jej pozostało, to czekać, aż ktoś otworzy drzwi.

Po dziesięciu minutach pojawiła się ponura dziewczyna w dżinsach i rozciągniętym podkoszulku. Włosy miała ściągnięte w kucyk czymś, co wyglądało jak sprane żółte majtki. Dziewczyna przepuściła Phoebe, nie zaszczycając jej jednym spojrzeniem.

Na trzecie piętro Phoebe wjechała windą. Wsiadła tuż obok kuchni. Z kosza na śmieci się przelewało, część mebli było poprzewracanych. Na piętrze panowała absolutna cisza, w której słyhać było tylko szmer lodówki. Pierwszy po lewej pokój miał numer czterysta, więc czterysta dwadzieścia cztery musiało być zatem po tej samej stronie korytarza, tylko dalej. Phoebe uświadomiła sobie, że ostatni raz była w akademiku dwadzieścia lat wcześniej.

Idąc korytarzem, Phoebe widziała oczyma wyobraźni ledwo żywych studentów, wykończonych kacem lub całotygodniową nauką. Ściany korytarza były oklejone różnego typu ogłoszeniami. Wśród nich znajdowały się także takie o treści: „Pomóż! Szukamy Lily!”. Phoebe odnalazła pokój czterysta dwadzieścia cztery. Na jego drzwiach wisiała papierowa skrzynka ręcznej roboty wypełniona takimi samymi ulotkami, jakie widniały na ścianach. Najwyraźniej były przeznaczone dla tych, którzy chcieliby pomóc w ich dystrybucji. Delikatnie zapukała do drzwi. Jeszcze raz. I jeszcze. Po drugiej stronie usłyszała lekki szmer. Już podniosła rękę, by zapukać ponownie, kiedy drzwi się uchyliły i Phoebe zobaczyła twarz młodej kobiety.

Widziała już tę dziewczynę, z daleka, ubiegłej nocy. Z bliska jej wygląd zaskoczył Phoebe. W Lyle ładne dziewczyny trzymały się razem, i Phoebe spodziewała się, że koleżanka z pokoju Lily będzie równie atrakcyjna. Ta jednak wyglądała prawie prostacko, ze swoją szeroką twarzą o małych brązowych oczach i z podkręconymi lokówką włosami. Sprawiała wrażenie osoby z innej epoki.

– Amanda? – spytała Phoebe. Dziewczyna była wyraźnie zaskoczona.

– Tak?

– Nazywam się Phoebe Hall. Należę do grupy, która prowadzi śledztwo w sprawie zaginięcia Lily. Mogę wejść?

– Coś się stało? – Amanda podskoczyła. – Znaleźli ją?

– Nie, jeszcze nie. Ale bardzo chciałabym z tobą porozmawiać.

– Już wszystko powiedziałam policji. Przecież pani wie.

– Tak, to na pewno bardzo pomoże. Szkoła jednak prowadzi własne śledztwo. Musimy poruszyć niebo i ziemię, żeby ją odnaleźć.

– No, dobrze... – odparła dziewczyna po chwili wahania. – Chce pani wejść? Uprzedzam, jest lekki bajzel.

Dobrze powiedziane. Pokój wyglądał jak po przejściu huraganu. Na obu łóżkach kotłowały się prześcieradła i kołdry, pod nimi ubrania, zaś każdy milimetr wolnej przestrzeni na podłodze wypełniały książki, gazety, plastikowe naczynia, puszki, pogniecione pudełka po ciastkach. Nie lepiej było z tym, co nad podłogą. Na biurkach i parapetach walało się jeszcze więcej książek, opakowania tamponów oraz wielkie butelki z szamponami i balsamami do rąk. Jedna część pokoju była jeszcze bardziej wywrócona do góry nogami. Phoebe domyśliła się, że to królestwo Lily, a bałagan to efekt przeszukania przez policję.

– Usiądzie pani? – Amanda wskazała na krzesło przy biurku.

– Dziękuję. – Phoebe rozpięła płaszcz. Amanda usiadła pośrodku pokoju na gąbczastym dywaniku i skrzyżowała ręce na spranym podkoszulku z logo college’u. Phoebe miała wrażenie, że w powietrzu unosił się zapaszek nieświeżych ręczników.

– Rozumiem, że policja przeszukała rzeczy Lily?
– Tak, zabrali też należące do niej laptopa i notebooki. Dziś rano byli jej rodzice. Postali kilka minut i poszli. Są totalnie przerażeni.

– Tak myślę – powiedziała Phoebe. – To musi być dla nich straszne. Dla ciebie zresztą też. Miałam kiedyś przyjaciółkę, która zaginęła. To było nie do zniesienia.

Nic takiego nie miało miejsca. Phoebe jednak stosowała różne chwytty. Była jedna podstawowa zasada: znaleźć coś, co je łączy: osobę, która chce się czegoś dowiedzieć, z tą, od której trzeba to wyciągnąć.

– Ostatniej nocy nie mogłam spać – powiedziała Amanda, kiwając się w przód i w tył. – Nie powiedziałam tego jej rodzicom, ale musiało się stać coś złego. Inaczej już by się znalazła.

– Zdarzało jej się zniknąć i nie mówić, że nie wróci?

– Nigdy. Chociaż znałyśmy się dopiero dwa miesiące.

Phoebe była zaskoczona. To niemożliwe, żeby Lily nie miała żadnych przyjaciół.

– Jak to się stało, że zamieszkałyście razem? – spytała.

– Dziewczyna, z którą miałam mieszkać, zrezygnowała. Wszyscy już się z kimś umówili, na jedynekę nie było szans. Lily była w podobnej sytuacji. Miała mieszkać z chłopakiem, ale ten nagle zniknął. Zakwaterowali nas razem, a co ciekawe, nie było źle. Zgrałyśmy się. Wiem, że nigdy nie będziemy przyjaciółkami na śmierć i życie, jak to mówią, ale mieszka nam się w porządku.

– Mocno przeżywała zniknięcie chłopaka?

– Raczej tak. Ale nie aż do myśli *samobójczych*, czy czegoś w tym rodzaju. Na początku była tylko smutna, potem jednak zaczęła wariować. Kiedyś powiedziała, że tak się dzieje, kiedy ma się faceta takiego jak ten.

Phoebe milczała. Postawiła na czekanie. To też był rodzaj strategii: niech nikt nic nie mówi, nieważne, do jakiego stopnia cisza jest niezręczna. Rozmówca będzie starał się ją przerwać, czasem czymś zaskakującym.

Amanda wzruszyła ramionami.

– To nie był dobry chłopak, jeśli wie pani, co mam na myśli.

– Znam ten typ. – Phoebe uśmiechnęła się porozumiewawczo. – Nie można im ufać ani na nich polegać.

– No właśnie. Lily skarżyła się. Była prawie pewna, że facet ją oszukuje. Ale na co tu liczyć? W Lyle są tylko tacy – beznadziejni albo ofermy.

– To przykre. Jak myślisz, dlaczego tak jest?

– Przy przyjęciu do college'u dziewczyny obowiązują o wiele ostrzejsze kryteria.

– Naprawdę? – Phoebe po raz kolejny nie kryła zaskoczenia. – Domyślasz się dlaczego? Jestem nowa, nie wiem, jak to tutaj działa.

– Podobno chodzi o to, że do college'ów zgłasza się teraz o wiele więcej dziewczyn, no i szkoły robią wszystko, żeby dostało się choć trochę chłopaków.

– Jasna sprawa – pokiwała głową Phoebe. – Faktycznie, nie wygląda to dobrze.

– Raczej nie – Amanda uśmiechnęła się smutno. – Tylko moja mama nie może zrozumieć, dlaczego nie mam chłopaka. Chyba lepiej dla mnie.

– Ale nawet najgorszemu czasem trudno się oprzeć – Phoebe postanowiła przejść do rzeczy. – Może Lily pojechała spotkać się z Trevorem?

Amanda stanowczo pokręciła głową, jakby spodziewała się tego pytania. Najwyraźniej słyszała już je nie po raz pierwszy.

– Nie sądzę. Gdyby się odezwał, na pewno by coś powiedziała.

– Spotykała się z kimś innym? – spytała Phoebe.

– Chyba tak. Może.
– Może?
– Kilka tygodni temu słyszałam, jak umawia się na drinka z jakimś chłopakiem. Kiedy zapytałam ją, czy szykuje się randka, powiedziała, że dopiero go poznała.
– To chłopak z kampusu?
– Nie sędzę. Zapytałam ją, czy koleś jest z naszego roku, ale Lily tylko się uśmiechnęła.
„Chyba nie sądzisz, że znowu będę się bawić w znajomość z jakimś szczeniakiem”, powiedziała.
– Myślisz, że to ktoś z miasta?
Amanda zmarszczyła nos.
– Lily to mądra dziewczyna, nie zadawałaby się z miejscowym. Mam wrażenie, że to nie student. Może Blair coś wie.
– To ta przyjaciółka, u której Lily czasem zostaje na noc?
– Tak. Mieszka na Ash Street 133.
– Jak często sypia poza akademikiem?
– Na początku semestru raz, może dwa w tygodniu. Potem chyba jest zbyt zajęta.
W ostatni czwartek pierwszy raz od wielu tygodni wspomniała, że może nie wrócić na noc.
– Z kim jeszcze przyjaźni się Lily?
– Jest lubiana, ale ostatnio raczej trzymała się na uboczu.
– Ma jakieś zajęcia dodatkowe?
– Pisze do szkolnej gazetki i magazynu literackiego. Na serio chce zostać pisarką. Poza tym gra w drużynie siatkówki.
– A jakieś stowarzyszenia? Mogła mieć z tym coś wspólnego? – Phoebe uważnie śledziła reakcję Amandy na to pytanie.
– Stowarzyszenia są zabronione – w tonie głosu Amandy dało się wyczuć czujność. – I dzięki Bogu. Mnie i tak nikt by nie zaprosił.
– A ty? Masz jakieś podejrzenia? Coś ci przychodzi do głowy? Może przypomniało ci się coś nowego? – zapytała Phoebe.
Amanda pokręciła przecząco głową. Była wyraźnie smutna.
– Bardzo ci dziękuję – powiedziała Phoebe. – Miejmy nadzieję, że Lily po prostu wyjechała. Na chwilę, przewietrzyć się, odpocząć.
– Tak – w głosie Amandy było słychać nadzieję.
Phoebe się pożegnała. Kiedy zamykała za sobą drzwi, Amanda nadal siedziała na dywaniku z ponurym wyrazem twarzy.
Prosto z akademika Phoebe miała iść na spotkanie ze Stocktonem. Jednak okazało się, że sprawa była nieaktualna. „Resztę dnia muszę poświęcić rodzicom Lily – brzmiała wiadomość nagrana na jej poczcie głosowej. – Proponuję spotkanie jutro, w tym samym miejscu i o tej samej porze”.
Niech to diabli, pomyślała. Zastanawiała się, czy powód przełożenia spotkania był prawdziwy, czy też Tom postanowił przesunąć rozmowę, bo wkurzył go jej upór. Tak czy owak, wszystko uległo zawieszeniu do następnego dnia. W pierwszej chwili chciała udać się do Blair na Ash Street, jednak zdała sobie sprawę, że lepiej poczekać na szczegóły dotyczące kierunku śledztwa. Jako doświadczona rozmówczyni wiedziała jedno – nie dostaje się drugiej szansy. Jeśli rozmówca podczas pierwszego spotkania jest z tobą szczerzy, lepiej wykorzystać to w odpowiedni sposób.
Wróciła do domu i zanurzyła się w internecie, przez ponad godzinę śledząc informacje na temat tajnych bractw. Najbardziej znanym wśród nich jak do tej pory było stowarzyszenie „Czaszki i Piszczele” na uniwersytecie w Yale, ale od tajnych organizacji roilo się w college’ach

i na uniwersytetach w całym kraju. Niektórym z nich chodziło wyłącznie o dobrą zabawę, ale były też takie, którym chodziło o coś zupełnie innego, jak przejęcie kontroli nad studenckimi samorządami czy organizacjami. Kilka zajmowało się działalnością charytatywną.

Jaki program miały Szóstki? Zdaniem Phoebe to było kluczowe pytanie. W Lyle nie działały żadne związki, może Szóstki miały być jednym z nich? Jeśli jednak miał być to rodzaj klubu towarzyskiego, skąd agresja i prześladowanie członkiń?

Phoebe wyłączyła komputer i zabrała się do prac domowych studentów. Przygotowała oceny i opinie na temat prac, które obiecała przedstawić na zajęciach w nadchodzącym tygodniu. Młodzi ludzie w jej klasie generalnie byli średnio uzdolnieni, jednak kilkoro z nich przejawiało wyraźny talent. Ich prace zrobiły na niej wrażenie.

Wrzuciła do torby plik papierów, myślami będąc już na poniedziałkowych zajęciach, kiedy nagle przed jej oczami pojawiła się postać Duncana Showa. Była tak zajęta sprawą Lily, że zupełnie zapomniała o dziwnym spotkaniu dzień wcześniej. Ciekawe, czy mu się podoba. Jeśli chodzi o nią, zdecydowanie wołała go bez brody i wąsów. Zresztą nieważne. Ostatnią rzeczą, jaką miała w planie, był nauczycielski romans.

Wróciła myślami do Lily. Może za tym wszystkim stoi miłosne zauroczenie, nie Szóstki? Czyżby dała się poderwać nowemu chłopakowi? Może to on zrobił jej krzywdę? Myśli kłębiły się po głowie Phoebe i do późna nie dały jej spać.

Obudziła się o siódmej rano. Zjadła szybkie śniadanie i wrzuciła rower na bagażnik samochodu. Ruszyła przez miasto w stronę niewielkiego parku tuż przy rzece. Ścieżka rowerowa zaczynała się na północnym krańcu parku i ciągnęła się kilometrami wzdłuż rzeki. Co prawda okolice miasta nie były zbyt malownicze, jednak im dalej na północ, tym pejzaż stawał się bardziej pociągający, a widoki mulistych rozlewisk Winamacu zachwycaly Phoebe. Weekendowe wyprawy były jedną z kilku przyjemności, jakimi umilała sobie życie od chwili przybycia do Lyle.

Zaparkowała samochód tuż przy parku i wyciągnęła rower. Zgodnie z prognozą pogody dzień miał być pochmurny, o tej porze jednak na niebie widać było zaledwie kilka chmur.

Phoebe ruszyła w kierunku ścieżki rowerowej, obrzucając wzrokiem pusty o tej porze park z odrapanymi ławkami i granitowym pomnikiem poświęconym ofiarom wojny. Wzdłuż ulicy ciągnął się rząd zaniedbanych budynków: stary zakład fryzjerski, sklep ze sprzętem komputerowym oraz dwie przybrzeżne knajpy w stylu, którego tak nienawidziła Glenda. Jedna z nich nosiła nazwę „Pod Kocimi Ogonami”. Tam właśnie widziano Lily ostatni raz tego wieczoru, kiedy zniknęła.

Phoebe wsiadła na rower. Zazwyczaj, mimo wczesnej pory w niedzielę, mijała kilka osób – innych rowerzystów lub spacerowiczów w podeszłym wieku. Dzisiaj miała ścieżkę rowerową dla siebie. Po kilku kilometrach poczuła się lepiej. Niepokój zaczął znikać. Powietrze było rześkie i ostre, wypełnione leśnym aromatem, prawie przemocą wdzierało się do płuc. Drzewa lśniły kolorami. I nie była to ostra czerwień, jaką pamiętała z rodzinnego Massachusetts, ale piękna złocista żółć, oranż i palona sjena. Phoebe nie pamiętała, kiedy ostatnio czuła się tak dobrze.

Po czterdziestu minutach poczuła pragnienie. Zatrzymała się na krótki postój w jednej z najbardziej nieuczęszczanych części parku. Dookoła nie było żywej duszy, tylko ona, gęstwina drzew i przecinające ją ścieżki. Nagle poczuła lekki niepokój. Przydałaby się chociaż jedna osoba. Jeszcze tylko kawałek i wracam, postanowiła.

Z powrotem wsiadła na rower. Na ścieżce pojawiła się para starszych ludzi z psem. Phoebe poczuła się pewniej. Chwilę potem usłyszała szmer kół, po czym minęło ją trzech mężczyzn. Tylko spokojnie, powiedziała do siebie Phoebe. Kilka minut później zobaczyła

mężczyznę jadącego z przeciwnego kierunku. Na pierwszy rzut oka miał około czterdziestki, ubrany był w krótkie spodenki i koszulkę. Kiedy ją mijał, zauważyła, jak ukradkiem taksował ją wzrokiem. Spadaj, pomyślała.

Nagle się ochłodziło. Phoebe spojrzała w niebo, które zaczęły pokrywać zapowiadane chmury. Drzewa straciły kolory. Wyglądało na to, że pora wracać. Zawróciła łukiem bez zatrzymywania roweru.

Przejechała kawałek. Z naprzeciwka zbliżał się rower. Ku swemu zaskoczeniu zobaczyła, że to ten sam mężczyzna, który mijał ją pięć minut wcześniej. Gdy się minęli, odwróciła głowę. On w tej samej chwili zrobił dokładnie to samo.

Może jeździł w tę i z powrotem, tak jak ona. Może chciał ją poderwać. W każdym razie nie podobało jej się to. Przyspieszyła, chcąc jak najszybciej wrócić do miasta. Odwróciła się raz jeszcze. Po mężczyźnie nie było śladu. Spokój powrócił, gdy zobaczyła prześwitujące ponad drzewami wieże kościoła w Lyle. Uf, pomyślała Phoebe, chyba jestem głupia. Lęki są dobre w mieście, tu nic mi się nie stanie.

Powoli zbliżała się do parku. Nagle usłyszała hałas – ludzkie głosy przebijały się przez szum motorów. Przyspieszyła, wiedziona ciekawością. Tuż u wylotu ścieżki rowerowej stał wóz strażacki, obok karetka pogotowia i dwa wozy policji. Część parku przylegająca do rzeki była oddzielona żółtą taśmą policyjną. Wzdłuż niej cisnęło się około trzydziestu osób. Zeskoczyła z roweru i rzuciła się w kierunku rzeki, aż rower zaklekotał. Wyraźnie widziała patrole na wodzie i nurków w ciemnych kombinezonach. To, co ważne, działo się jednak na brzegu rzeki. Wokół jednej z łodzi, która właśnie dobiła, zaczęli się tłoczyć policjanci. Boże, pomyślała Phoebe. Znaleźli Lily Mack.

Żeby to tylko nie była ona, błagała w myślach Phoebe. Pchając rower przed sobą, biegła wzdłuż żółtej taśmy, szukając miejsca, z którego mogła cokolwiek zobaczyć. Kilku policjantów wyjęło z łodzi jakiś podłużny kształt i położyło na leżącym na ziemi czarnym brezencie. To było ciało. Tłum zgęstniał, ze swojego miejsca Phoebe widziała tylko dolną połowę – nogi ubrane w mokre dżinsy.

Jeden z policjantów odsunął się i Phoebe mogła zobaczyć górną połowę ciała. Jej serce zaczęło bić jak szalone. Nabrzmiała twarz, częściowo pokryta strąkami długich blond włosów, powiedziała jej wszystko. To była Lily. Wokół jej ciała krążył już policyjny fotograf.

Phoebe powinna była zadzwonić do Glendy, jednak nie potrafiła oderwać oczu od tego, co widziała. Stała tak jeszcze z minutę, aż policja szczelnym kordonem otoczyła ciało, odcinając widok. Phoebe oparła rower o biodro i wyjęła z kieszeni telefon.

– Tak, już wiem – powiedziała Glenda, wysłuchawszy jednak uważnie wiadomości z ust Phoebe. – Już tam jadę. Ciało jest jeszcze nad rzeką?

– Zabrali je do parku przy moście.

– Twoim zdaniem, to na pewno ona?

– Na sto procent. Nie widziałam dokładnie twarzy, ale ma długie blond włosy.

– Będę za pięć minut.

Phoebe wróciła do obserwacji ponurej sceny w parku. Nad ciałem pochylała się kobieta z czarną torbą, prawdopodobnie koroner. Tłum rósł, ludzie wyciągali głowy, by lepiej widzieć. Phoebe czuła, jak zaczyna osaczać ją smutek. Mądra, ładna dziewczyna, której marzeniem było zostać pisarką i która czekała w deszczu na rozmowę z nią, nie żyła. Jej martwe, spuchnięte ciało wystawione było na widok gapiów. Nic już nie zaczyna od nowa.

Podjechał specjalny wózek. Phoebe zastanawiała się, gdzie są rodzice Lily. Nie byłoby dobrze, gdyby zjawili się właśnie teraz.

Odwróciła się i spojrzała na kłębiący się tłum. Większość ciekawskich mieszkała zapewne nad sklepami i barami, które wypełniały ulicę, część w małych domach jednorodzinnych nad brzegiem rzeki. Kilka osób, ubranych na sportowo, zapewne znalazło się w okolicy przez przypadek. W oddali zobaczyła czterech chłopców w dżinsach i podkoszulkach. Wyglądali na studentów college'u Lyle. Za kilka minut cały kampus będzie wiedział, pomyślała Phoebe.

Po terenie oddzielonym żółtą taśmą kręcili się policjanci, głównie zajęci rozmowami przez komórki lub krótkofalówki. Kobieta pełniąca funkcję koronera podniosła się z ziemi, podpierając prawą ręką. Lekko skinęła głową i ciało martwej dziewczyny trafiło do specjalnego worka. Po czym worek, już na wózku, przewieziono w stronę ciemnej furgonetki. Ciało zniknęło w jej wnętrzu. Prawniczka zajęła miejsce pasażera i furgonetka ruszyła. Za nią odjechała karetka. Była pusta.

Po chwili zjawiły się dwa samochody. Zaparkowały na River Street, przed sklepem ze sprzętem komputerowym. Na masce suwa widniał napis „Policja kampusu Lyle”. Na miejscu pasażera w drugim samochodzie, białym mini cooperze, siedziała skulona Glenda.

Pierwszy wyskoczył policjant z suwa. Phoebe go kojarzyła, chociaż nie pamiętała, jak się nazywa. Był jednym z dwóch policjantów, których widziała obok akademika Curry wieczorem dwa dni wcześniej, kiedy wszystko się zaczęło. Miał około czterdziestki, rzadkie siwe włosy i zadziwiająco, jak na tę porę roku, opaleniznę. Glendzie towarzyszyła starsza kobieta. Phoebe jej nie знаła, mogła tylko przypuszczać, że to ktoś z administracji. Trójka przybyłych razem ruszyła

przez park. Phoebe pomachała Glendzie. Glenda zauważyła ją i pokazała na migi, że za minutę do niej dołączy.

Nastąpiło to jednak później. Strażnik kampusu zamienił kilka słów z policjantem z miasta i delegacja szkoły została wpuszczona na teren ogrodzony taśmą. Natychmiast podszedł do nich mężczyzna w sportowej marynarce, prawdopodobnie detektyw. Z daleka było widać, jak kilka razy razy potrząsał przecząco głową, jakby w odpowiedzi na pytania, na które nie chciał lub nie mógł odpowiedzieć. Phoebe przestępowała z nogi na nogę. Sytuacja zdecydowanie jej się nie podobała. Powinna być po drugiej stronie taśmy, poinformowana o tym, co się dzieje.

Po mniej więcej piętnastu minutach Glenda wraz z towarzyszącą jej kobietą opuściły odgrodzony teren. Kiedy zbliżały się do Phoebe, liczba ciekawskich przekraczała już setkę. Phoebe użyła roweru jako bariery dzielącej ją od tłumu. Kiedy się już spotkały, w oczach przyjaciółki Phoebe zobaczyła strach.

– To na pewno ona? – zapytała, choć znała odpowiedź.

– Tak. Ciało jest w fatalnym stanie, ale ubranie i biżuteria nie pozostawiają złudzeń.

Znasz Madeline Bloom, wicedyrektorke szkoły?

– Przykro mi, że poznajemy się w takich okolicznościach. – Uścisk dłoni Madeline był krótki i silny. Ona sama zbliżała się do sześćdziesiątki, była niska i krępa. Wyglądała na kogoś, dla kogo nie ma zadań niewykonalnych.

– Policja posłużyła się psami? – spytała Phoebe.

– Nie. Jeden z wioślarzy zauważył ciało w wodzie. Nieco na północ stąd. Najłatwiej było przetransportować je tutaj.

Podczas gdy ja jeździłam sobie na rowerze, jej ciało unosiła rzeka, pomyślała smutno Phoebe. Może była tuż obok mnie. Za drzewami.

– Czy wiadomo już, co się stało? – zapytała ściszym głosem. Ludzie zaczęli im się przyglądać. Jeśli nawet nie znali Glendy, wiedzieli, że college'em kieruje wysoka, atrakcyjna kobieta o ciemnej skórze i że prawdopodobnie to ona przyjechała na miejsce wydobywania zwłok.

– Nie są zbyt rozmowni – powiedziała Glenda. – Jedyne, co z nich wydusiliśmy, to informacja, że nie chodzi tu raczej o przypadek czy głupią zabawę. Chociaż, oczywiście, nic nie jest pewne do chwili, gdy pojawią się wyniki sekcji.

Co się zatem wydarzyło, Phoebe pytała samą siebie. Czyżby Lily odebrała sobie życie? Ta myśl była równie mrożąca krew w żyłach jak hipoteza, że dziewczyna została zamordowana.

– Wpadło mi w ucho coś ciekawego, kiedy rozmawiałaś z tym detektywem. – Glenda i Phoebe usłyszały cichy szept Madeline i jednocześnie zwróciły się w jej stronę. – Policjanci rozmawiali między sobą o swetrze. Chodziło chyba o to, że kiedy ostatni raz ją widziano, Lily miała na sobie sweter, a teraz nikt nie może go znaleźć.

– To może być klucz do sprawy – powiedziała Phoebe i popatrzyła na Glendę. – A co z rodzicami Lily?

– Policja ich powiadomi. Później pojedzie do nich Tom. Muszę wracać do kampusu. – Glenda spojrzała na rower. – Przyjechałaś tu na rowerze?

– Nie, samochodem.

– Podwiesz mnie? Madeline mogłaby jeszcze zostać i rozejrzeć się. – Glenda popatrzyła na Madeline. – Dopilnujesz Craiga.

– To może być nawet zabawne. – Madeline nie wyglądała na zachwyconą.

– Nie daj się zbyć. Trochę go znamy – powiedziała Glenda.

– Jasne – w oczach Madeline pojawiło się zrozumienie. – Wracaj do kampusu, zadzwonię z raportem.

Glenda usiadła na miejscu pasażera. Phoebe wrzuciła rower na bagażnik. Wyjeżdżając

z parkingu, zauważyła spojrzenia, które śledziły Glendę. Ta, z nieobecny wyrazem twarzy, patrzyła prosto przed siebie. Kiedy były już poza zasięgiem wścibskich oczu, ukryła twarz w dłoniach.

– Co za koszmar – jęknęła Glenda stłumionym głosem.

– Tak, to straszne. Zastanawiam się tylko, jakim cudem wylądowała w rzece.

– To już nie ma znaczenia – Glenda opuściła ręce. – Opinia szkoły i tak jest zrujnowana.

Jeśli utopiła się po pijaku, jest źle. Jeśli ktoś ją zabił, też jest źle. Jeśli sama odebrała sobie życie, też fatalnie. A tak dobrze szło. W tym roku zapowiadała się rekordowa liczba zgłoszeń. Wiesz, co ta historia oznacza dla szkoły?

Glenda popatrzyła na Phoebe.

– Wiem, to brzmi egoistycznie. Naprawdę szkoda mi tej dziewczyny. Jak pomyślę o jej rodzicach, robi mi się słabo. Ale odpowiadam za całą szkołę.

– Oczywiście – powiedziała Phoebe. – Przy okazji: rozmawiałam wczoraj z koleżanką Lily z pokoju. Jestem prawie pewna, że nie ma pojęcia o istnieniu jakiegokolwiek tajnego bractwa. Za kilka godzin spotykam się z Tomem Stocktonem. Dowiem się więcej i będę drążyć temat.

Glenda wyprostowała się. Phoebe poczuła na sobie jej uważny wzrok.

– Poradzisz sobie? Mam na myśli śledztwo w sprawie Szóstek.

– Już mówiłam. Nie chcę deptać Stocktonowi po piętach, ale wezmę się do tego.

– Nie o to chodzi... Mam na myśli co innego. Poradzisz sobie z takim tematem? Po tym, co sama przeszłaś?

Phoebe uśmiechnęła się słabo.

– Przecież dlatego mnie poprosiłaś – powiedziała cichym głosem. – W każdym razie był to jeden z powodów.

– To prawda – przyznała Glenda. – Miałam pewność, że wiesz, jak to robić. Daj mi jednak znać, jeśli uznasz, iż psychicznie nie dajesz rady.

– Nic się nie dzieje. Już dawno przyrzekłam sobie, że przeszłość nie wpłynie na moje życie. Jeśli tylko, to powodując, że zrobię wszystko, co w mojej mocy, żeby pomóc. Dziewczyny potrafią być straszne. Doskonale zdaję sobie z tego sprawę.

– Twoim zdaniem, jeśli Szóstki istnieją, mogły mieć coś wspólnego ze śmiercią Lily?

– Nie można wykluczyć. Ktoś wyraźnie przesadził z zabawą. Może chciała się wycofać i Szóstki zaczęły się nad nią znęcać, tak jak wcześniej nad inną dziewczyną? Może to Lily miała na myśli, napomykając o strasznych rzeczach, które się stały? I postanowiła uciec? – Phoebe powiedziała też Glendzie o ulotce ze zdjęciem Lily, na której twarz dziewczyny przekreślona była szóstką.

Glenda głośno westchnęła.

– To byłby raczej pierwszy przypadek studenta, który zabija się z powodu mobbingu ze strony kolegów – w jej głosie brzmiało zdecydowanie. – Jeśli Szóstki znęcają się nad koleżankami, dopadniemy je i zakończymy zabawę. Użyjemy wszystkich dostępnych środków.

– O co chodzi ze strażnikiem kampusu? – zapytała Phoebe. – Chyba nie do końca mu ufasz.

– Nawet na pewno. Craig Ball ma co prawda ma koncie spore sukcesy, na przykład ukrocił na terenie szkoły narkotyki. Jest jednak zbyt pewny siebie. Lubi sławę, a przede wszystkim ma za długi język. Jednym słowem, więcej gadania niż roboty.

– Też bym mu nie ufała. Wygląda, jakby się przysmażył.

– To stały klient miejscowego solarium. Dzięki temu robi wrażenie, jakby każde wakacje spędzał na Miami Beach. – Glenda najwyraźniej nie przepadała za facetami tego typu.

– Został szefem za twojej kadencji?

– Tak, ale to nie była w pełni moja decyzja. Kiedy objęłam stanowisko, policją na kampusie kierował Hutch Hutchinson. Zamknięty w sobie i pozornie oschły, ale złoty człowiek. Craig był jego zastępcą, pracował zresztą u nas od lat. Obowiązują nas przepisy o wysyłaniu na obowiązkową emeryturę, jednak w przypadku Hutcha znaleźliśmy sposób, by go zatrzymać. Był naprawdę świetny. Jednak zaczęły się plotki, dotarły do mnie głosy, że faworyzuję jednych kosztem innych. W końcu Hutch sam zrezygnował i nie było żadnego powodu, dla którego Craig nie mógłby go zastąpić. Dużo później dowiedziałam się, że to Craig stał za plotkami i dymisją Hutcha.

– Nieźle, nie ma co. – Phoebe nie zdawała sobie sprawy z tego, jak wiele spraw Glenda miała na głowie. – Jakie plany na dzisiaj?

– Muszę przygotować komunikat dla mediów. I zastanowić się, jak poinformować studentów. Trochę dziwnie wysyłać komunikaty tego typu mailem, ale zdaje się, że w dzisiejszych czasach tak to właśnie działa.

Były już obok bramy wschodniej.

– Wyrzuć mnie tutaj – poprosiła Glenda. – Przejdę się po kampusie. Zobaczę, co się dzieje.

– Zadzwoń, jak się czegoś dowiesz – poprosiła Phoebe, kiedy Glenda była już na chodniku. – Też będę cię informować.

Już w domu Phoebe zadzwoniła do Stocktona. Ciekawe, czy tym razem też odwoła spotkanie.

– Intensywny poranek, co? – powiedział Tom, gdy Phoebe się przedstawiła. – Właśnie rozmawiałem z Glendą.

– Tak, trochę męczący – odpowiedziała.

– Może dowiem się od ciebie więcej, jak się spotkamy.

Czyli dzisiaj jej nie olał.

– W południe, tak jak się umawialiśmy?

– Tak. Do zobaczenia.

Phoebe zrzuciła ubranie i weszła pod prysznic. Po jej ciele spływała gorąca woda, a umysł wypełniało uporczywe wspomnienie tego, co zostało z Lily – jej przemoczonych dzinsów, mokrych blond włosów oblepiających spuchniętą twarz. Mimo woli wyobraziła sobie Lily pod wodą, przerażoną, walczącą o życie. Do oczu Phoebe napłynęły łzy. Stop, pomyślała. Ani kroku dalej. Nie pora na rozczulanie się, trzeba działać.

Pół godziny później szła w kierunku szkoły. Nie było to, co prawda, po drodze, chciała jednak, podobnie jak Glenda, nieco się rozejrzeć. Przechodząc przez zachodnią bramę, zauważyła, że na drzewach nadal wiszą ulotki z apelem o pomoc w odnalezieniu Lily. Część z nich zerwał wiatr i wirowały tuż nad ziemią.

Ile osób już wie, zastanawiała się Phoebe. Na terenie szkoły kręciło się dużo więcej osób, niż się spodziewała. Wszędzie stały grupki studentów, głośno dyskutując. Na ich twarzach widać było zdenerwowanie i niepokój. Wyraźnie rozmawiali o Lily.

Z ulgą przekroczyła progi kawiarni „U Berty”. Już sam wystrój tego miejsca, w wyraźnie starym stylu, odstraszał każdego poniżej dwudziestego piątego roku życia. Co oznaczało, że – podobnie jak „U Tony’ego” – noga żadnego z studentów tu nie postanie. Nareszcie odrobina spokoju. Przy kawiarnianych stolikach siedzieli głównie wykładowcy, pracownicy administracji oraz mieszkańcy miasta, godzinami pochłaniając kawę z mlekiem oraz drożdżówki wielkości talerza. Phoebe obrzuciła okiem wnętrze kawiarni, najpierw szukając wzrokiem Toma, a kiedy go nie dostrzegła – wolnego, w miarę osobnego stolika. Zauważyła jeden w pobliżu ściany i zaczęła

przeciskać się w jego stronę. Kawiarnia nie była zatłoczona, jednak w powietrzu czuło się emocje. Wszyscy już słyszeli, co się stało, i najwyraźniej byli wzburzeni.

Phoebe zamówiła kawę. Stockton się spóźniał. Dopiero po dwudziestu minutach spostrzegła w drzwiach jego wysoką postać. Był typowym przystojniakiem w amerykańskim stylu, tuż przed czterdziestką. Phoebe pomachała mu. Odnalazł ją wzrokiem i podszedł do stolika.

– Przepraszam za spóźnienie – powiedział, odsuwając krzesło. – To jakieś szaleństwo.

– Wyobrażam sobie – odparła Phoebe.

– Miło cię w końcu poznać. – Tom podał jej rękę nad stołem. Uścisk dłoni miał tak mocny, że zabolowały ją palce. Zdjął kurtkę i położył przed sobą. Miał na sobie nienagannie wyprasowane spodnie w kolorze khaki, niebieską bawełnianą koszulę i jasnobrązowy skórzany pasek. Jego ciemnoblond włosy były krótko przycięte i rozdzielone równym przedziałkiem, a skóra jasna i gładka. Tylko na jednym z ostro zarysowanych policzków widniał niewielki ślad po gołeniu. Zdecydowanie bardziej pasował do renomowanych college'ów w stylu Williams czy Middlebury niż do miejsca takiego jak to. Phoebe zastanawiała się, co sprawiło, że wylądował w Lyle.

– Mnie również – zmusiła się do uśmiechu. Facet był ewidentnie zarozumiały, a tego Phoebe nie trawiła.

– Jak ci się podoba uczenie młodzieży? – zapytał Tom. – To chyba coś nowego w twoim życiu?

– Zdecydowanie. Ale dobrze się bawię. – Nieco przesadziła, jednak Stocktonowi nie zamierzała się zwierzać.

– Słyszałem, że z Glendą długo się znacie. – W oczach Toma widać było ciekawość. – Podobno mieszkaliście razem w internacie.

– To prawda – krótko odpowiedziała Phoebe. Chciała już przejść do rzeczy. Bogu dzięki, do ich stolika podeszła kelnerka. Tom złożył zamówienie.

– Opowiedz mi, jak to było dziś rano – Stockton wrócił do rozmowy z Phoebe. – A więc przez przypadek byłeś w parku, kiedy znaleźli ciało?

Co on, do diabła, sugeruje. Że zajmuję się w weekendy śledzeniem karetek?

– Akurat wracałam z przejażdżki rowerem – powiedziała. – Zobaczyłam zbiegowisko nad rzeką i podeszłam.

– Na ciele były jakieś rany? Ślady walki?

– Nie znajdowałam się tak blisko.

– Przyszło ci do głowy, co się mogło stać?

– Nie, zauważyłam tylko, że musiała długo leżeć w wodzie. Nie wiesz, czy tę część miasta monitorują? Może jest jakieś nagranie z tego wieczoru, kiedy Lily zniknęła.

– To nie Londyn ani Nowy Jork. Nie sądzę, żeby władze Lyle działały na tym poziomie – złośliwie skomentował Stockton.

To przytyk do mnie? Przez głowę Phoebe przemknęła ta myśl. Nieważne. Nie dam się sprowokować.

– Może teraz zgłosi się więcej świadków – powiedziała. – Glenda mówiła, że ostatni raz widziano Lily po tym, jak opuściła pub „Pod Kocimi Ogonami”. Szła w górę Bridge Street. Z jakiegoś powodu zatoczyła koło i znalazła się przy rzece.

– Nie sądzisz, że sprawa jest jasna? Ktoś ją musiał zaczepić, kiedy wracała.

– I przekonać do powrotu nad rzekę?

– Przekonać to chyba nie jest dobre słowo – zauważył Tom.

– A samobójstwo? Bierzesz to pod uwagę? – spytała Phoebe.

- Gdyby planowała się utopić, nie szłaby w przeciwną stronę.
Kelnerka postawiła przed Stocktonem kubek czarnej kawy.
- Mam prośbę, żebyśmy na chwilę zmienili temat – powiedziała Phoebe. – Jak wiesz, Glenda poprosiła mnie o pomoc w śledztwie dotyczącym tajnego bractwa, Szóstek.
- Chętnie o tym porozmawiam, chociaż muszę przyznać, że ta sprawa mało mnie interesuje.
- Dlaczego?
- Ponieważ najbardziej interesuje mnie śmierć Lily Mack. – Stockton wyraźnie tracił cierpliwość. – Nie zrozum mnie źle. Tajne bractwa w college’u to rzecz niedopuszczalna i będziemy z nimi walczyć. Ale śmierć któregoś ze studentów to na razie sprawa numer jeden.
- Nie wydaje ci się, że te dwa wątki może coś łączyć?
- Stockton zacisnął usta. Lekko odchylił się na krześle.
- Jak już wspomniałem, sprawa Szóstek mało mnie obchodzi. Ale nawet jeśli istnieją – zwracam ci uwagę na słowo „jeśli” – nie sądzę, żeby miały cokolwiek wspólnego z tym, co przydarzyło się Lily.
- Co zatem sądzisz? – Dla Phoebe stało się jasne, że Tom ma już swoją teorię. Wypiła łyk kawy.
- Stockton zmarszczył brwi i po chwili uważnie popatrzył na Phoebe.
- Moim zdaniem, mamy do czynienia z seryjnym mordercą.

Phoebe, zaskoczona, w milczeniu przełknęła kawę.

– Co takiego? – zapytała.

Stockton gwałtownie rozejrzał się po sali, upewniając się, czy nikt ich nie podsłuchuje.

– Przyrzeknij, że wszystko zostanie między nami. – Tom poczekał, aż Phoebe skinie głową. – Moim zdaniem grasuje tu potwór, którego główną rozrywką jest faszzerowanie narkotykami i topienie w rzece studentów college’u.

– A gdzie inne ofiary? – Phoebe ciągle nie mogła uwierzyć w to, co usłyszała. Ciekawe, dlaczego Glenda nie puściła pary z ust.

– Rok temu, w kwietniu, w Winamacu utopił się student ostatniego roku. Nazywał się Scott Macus.

– Glenda mówiła, że wpadł do rzeki po pijaku.

– Bo wszyscy tak myśleli. Ale dzisiaj, kiedy dowiedziałem się, że ciało Lily wyłowiono z rzeki, jeszcze raz przejrzałem akta Scotta. Badania wykazały, że miał alkohol we krwi – nie wypił jednak więcej niż trzy piwa. To nie jest ilość, po której się do tego stopnia traci orientację. Ostatnie miejsce, w którym go widziano, to pub „Pod Kocimi Ogonami”. Mówi ci to coś? Poza tym przyjaciele Scotta twierdzą, że on po prostu zniknął. Zazwyczaj mówił, dokąd idzie.

– Miał jakieś obrażenia? – spytała Phoebe.

– Żadnych śladów walki. Ale nie trzeba wielkiej siły ani przemocy, by wrzucić do rzeki kogoś, kto jest pod wpływem narkotyków.

– Dwie śmierci to jeszcze nie dowód na działanie seryjnego mordercy – zauważyła sceptycznie Phoebe.

– Masz rację – zgodził się Stockton. – Ale to jeszcze nie wszystko. Słyszałaś o college’u Parker-Hyde? Leży półtorej godziny drogi stąd na północ, nad rzeką. Rok temu utopił się tam student. Kilka podobnych przypadków było też na zachodzie. Wszystkie dotyczyły studentów college’u, którzy utonęli w tajemniczych okolicznościach po spędzeniu wieczoru poza akademikiem. Żaden z nich nie był pijany.

– Straszne – westchnęła Phoebe. – Wśród ofiar były jeszcze jakieś dziewczyny?

– O ile wiem, nie. Ale dopiero zacząłem się tym interesować. Jeszcze nie rozmawiałem o tym z Glendą.

Phoebe rozejrzała się, zamyślona. Teoria Stocktona przyprawiała ją o gęsią skórę. Czyżby miał rację? To, co mówił, brzmiało przekonująco. Czytała kiedyś, że seryjni mordercy mieli w zwyczaju zmieniać teren, na którym działali. Jeśli Glenda bała się, że ewentualne istnienie tajnego bractwa zagrozi opinii szkoły, to co będzie, jeśli na jaw wyjdzie, że w okolicy grasuje morderca?

– Wrócę jeszcze na chwilę do Szóstek – powiedziała Phoebe. – Być może śmierć Lily nie ma z nimi nic wspólnego, ale Glenda tak czy owak chce, żebym się nimi zajęła. Jak sam wspominałeś, działanie tajnych bractw jest niedozwolone.

Stockton znowu zacisnął usta i poświęcił się obserwacji nieistniejącego czegoś, co dryfowało na powierzchni jego kawy.

– Nie obraż się – powiedział z wyniosłym uśmiechem, podnosząc głowę. – Pozwolisz jednak, że powiem wprost. To są sprawy, które leżą w kompetencji administracji szkolnej. Lub wykładowców. *Wylącznie* ich. Nikogo z zewnątrz.

– Oboje wiemy, że czasem osoba z zewnątrz widzi i słyszy więcej. – Phoebe wzięła głęboki oddech.

– Jak do tej pory nie powiedziałaś nic, o czym bym nie wiedział – fuknął Stockton. – W końcu jesteś tu dopiero niecałe dwa miesiące.

Phoebe zmusiła się do uśmiechu. Facet był nadęty i niemiły, ale potrzebowała go.

– Spróbuj. Zobaczymy, może to coś da – zaproponowała. – Jeśli nic nie działo, albo będą kłopoty, Glenda na pewno mnie odsunie.

Stockton niechętnie, ale się poddał.

– No dobrze. Co chcesz wiedzieć?

– Glenda wspomniała, że po raz pierwszy usłyszałaś o Szóstkach, kiedy jedna z uczennic wylądowała na ostrym dyżurze.

– Zgadza się. Był początek maja. Pewnej nocy zadzwonił do mnie kierownik oddziału reanimacji Centrum Medycznego Cranberry. To mniej więcej piętnaście kilometrów na północ stąd. Studentka Alexis Grey trafiła do nich z objawami hiperwentylacji. Była sama i pozostaje zagadką, jak dotarła do szpitala. Badania wykazały, że przeszła atak paniki. Objawy nasiliły się, kiedy poinformowano ją, że ktoś z kierownictwa szkoły chce z nią rozmawiać. Wyznała lekarzowi, że należała do tajnego bractwa o nazwie Szóstki, a kiedy odeszła, zaczęły się prześladowania. I to wszystko. Nikt nigdy nie wydobył z niej słowa na ten temat. Po telefonie pojechałem do szpitala, ale nie chciała ze mną rozmawiać. Następnego dnia rano rodzice zabrali ją do domu. Pochodziła z okolic Baltimore. Nie wróciła już do szkoły. Do końca semestru zostało tylko kilka tygodni, ale Alexis odmówiła powrotu. Próbowałem rozmawiać z jej rodzicami, jednak albo Alexis zabroniła im mówić, albo faktycznie nie mieli o niczym pojęcia.

– Były jeszcze szóstki na murach.

– Tak. Czasem namalowane, czasem wycięte. Czasem sześć w jednym miejscu. Już po fakcie zdałem sobie sprawę, że były pewne sygnały. Na początku semestru odbyłem kilka spotkań z samorządem studentów po pretekście analizy warunków mieszkaniowych, liczyłem jednak na to, że dowiem się więcej o sprawie Alexis. Że trafię na jakiś ślad. Podczas jednego ze spotkań powiedziałem, że moim zdaniem obowiązujące w college'u zarządzenie o nielegalności stowarzyszeń jest słuszne. Zauważyłem szybką wymianę spojrzeń między dwiema dziewczynami, która oznaczała: „Możesz sobie pogadać. U nas i tak działa”. Próbowałem coś z nich wyciągnąć, ale milczały jak zakłete.

– Twoim zdaniem Szóstki to po prostu stowarzyszenie czy też grupa nastawiona na przemoc?

– Przemoc to może za wielkie słowo – powiedział Stockton. – Na razie wiemy, że zajmują się malowaniem szóstek. W różnych miejscach. To jeszcze nic takiego. Prawda, Alexis była w fatalnym stanie, mogło to jednak wynikać z wielu innych czynników.

Phoebe dotknęła palcem warg.

– Glenda wspomniała, że masz powody, by sądzić, że Lily coś łączyło z Szóstkami.

– Krótco po tym, jak zaczął się semestr – czyli w pierwszym tygodniu września – służby porządkowe skarżyły się, że każdej nocy ktoś wynosi krzesła z wewnętrznych dziedzińców przed akademik. I zawsze było to sześć krzesel. Poprosiłem Craiga Balla, by wyznaczył strażnika, który zaczai się na sprawców. I wyobraź sobie, kogo widzi strażnik o trzeciej nad ranem? Otóż Lily Mack i Blair Usher ciągnące krzesła po trawniku.

– Rozmawiałeś z nimi?

– No chyba. Z każdą z osobna. Zdążyły się przygotować. Każda opowiadała tę samą bajkę, jak to były zmęczone nauką i chciały się rozerwać. I że przed akademikiem lepiej widać gwiazdy. Zaprzeczyły, jakoby robiły to już wcześniej. Niestety strażnik zareagował, zanim przyciągnęły więcej niż dwa krzesła, nie można im było zatem nic udowodnić.

– Co wiesz o Blair?

– Studentka ostatniego roku. Bardzo dobra. Filar drużyny hokeja. Śliczna. Twoi kumple z Hollywood nazywają takie kociakami.

– Podobno w czwartek wieczorem Lily powiedziała koleżance z pokoju, że być może zostanie u Blair na noc. Może to nie był zbieg okoliczności, że właśnie tego wieczoru planowała się z nią zobaczyć? Rozmawiałam z Lily dwa tygodnie temu. Glenda ci mówiła? Wyznała, że narobiła głupstw i że chciałyby zacząć wszystko od początku. Może mówiąc o głupstwach, miała na myśli swoją przynależność do Szóstek. Może chciała odejść, a one jej nie pozwoliły.

– Studenci college’u zawsze robią głupstwa. Nie ma żadnych podstaw, by sądzić, że Lily miała na myśli Szóstki albo że jej śmierć miała cokolwiek wspólnego z tym, o czym rozmawialiście.

Zanim Phoebe zdążyła odpowiedzieć, Stockton popatrzył na zegarek.

– Na mnie już pora – rzekł. – Muszę sprawdzić, co z rodzicami Lily. Już byli w kostnicy. Wyjął portfel. Kolejna lśniaca brązowa skóra.

– Chwileczkę, pozwól, że ja zapłacę – szybko zareagowała Phoebe. – Zanim pójdziesz, powiesz mi, jak nazywały się dziewczyny, które na spotkaniu samorządu studentów wymieniły spojrzenia?

Stockton otworzył szeroko oczy. W końcu dotarło do niego, że Phoebe na serio zamierza zabrać się do roboty.

– Jak wrócę do kampusu, wyślę ci wszystko w mailu. – Stockton kiwnął głową na pożegnanie i ruszył w kierunku wyjścia.

Zamiast rachunku Phoebe zamówiła kolejną kawę. Zastanawiała się nad tym, co właśnie usłyszała. Boże drogi, pomyślała. Tajne bractwa, seryjni mordercy – miejsce, w którym wylądowała, nie było rajem na ziemi. Wręcz przeciwnie.

Niezależnie od tego, co było przyczyną śmierci Lily, zadaniem Phoebe było rozwiązanie zagadki Szóstek. Postanowiła natychmiast odwiedzić Blair, a następnie, jeszcze tego samego dnia, porozmawiać z jedną z dziewczyn, których dane miał podesłać Stockton.

Phoebe postanowiła też dotrzeć do Alexis. Być może dziewczyna wróciła już do zdrowia na tyle, by móc rozmawiać. To mogło być źródło bezcennych informacji. Alexis przeniosła się do innego college’u, być może w okolicy.

Kilka minut później Phoebe, już na zewnątrz, skuliła się z zimna. Niebo pokrywały ciemne chmury, a temperatura gwałtownie spadła. Pora wyciągnąć ciepły płaszcz, gdziekolwiek on jest. Przynajmniej będę miała jakieś zajęcie, pomyślała. Zrobiło jej się smutno. Najbardziej samotnie czuła się właśnie w niedzielne wieczory. Melancholię pogłębiała świadomość nadciągającego kolejnego tygodnia zajęć. Postanowiła temu zaradzić, wprowadzając zwyczaj gotowania pysznego makaronu, któremu towarzyszył kieliszek dobrego wina. Ten wieczór miał być jeszcze gorszy. Niełatwo będzie uwolnić się od obrazu martwego ciała Lily.

Nagle, nieproszony, w jej myśli wtargnął Duncan. Zaraz potem przyszła kolejna szalona myśl. Może zaprosić go na kolację dziś wieczorem? Po pierwsze, towarzystwo pomoże jej zapomnieć o smutkach oraz zatrze wrażenie po niefortunnym spotkaniu w piątek. Miała jego numer telefonu, wszyscy członkowie komisji wymienili się kontaktami. Wyjęła telefon, odnalazła numer Duncana i zadzwoniła, nie dając sobie szansy na wycofanie się z pomysłu. Odebrał po chwili.

– Mówi Phoebe. Tylko nie odkładaj słuchawki.

– Gdzie ty jesteś? W przeciągu?

– Tak jakby. Na Bridge Street. Wieje jak cholera. Chciałam przeprosić za piątek.

– Nie ma problemu. Jakoś się wylizałem – jego głos brzmiał naturalnie.

– Słyszałeś o Lily Mack?

- Nie, tkwiłem w laboratorium. Wszystko w porządku?
- Dziś rano znaleziono w rzece jej ciało. Akurat byłam w okolicy.

Po drugiej stronie słuchawki zapadła cisza. Ciekawe, co o tym myśli, zastanawiała się Phoebe.

- To straszne – powiedział Duncan po chwili. – Wiadomo już, co się stało?
- Jeszcze nie – Phoebe zamilkła na chwilę. – Zastanawiałam się, czy masz dzisiaj wolny wieczór. Zapraszam na kolację. W planach mam dobry makaron.
- Chyba nie chcesz wykończyć Tony'ego?
- To byłoby trudne. Znam maksimum dziesięć przepisów.
- Kolacja – to brzmi dobrze – zaśmiał się Duncan. – Jedyne problem jest taki, że muszę tu tkwić do siódmej.
- To może siódma trzydzieści? – Phoebe podała Duncanowi adres.
- Białe czy czerwone?
- Czerwone byłoby super.

Być może jestem głupia, pomyślała Phoebe po odłożeniu słuchawki. A jeśli Duncan źle ją zrozumie? Nieważne. Jedno jest pewne – tego wieczoru nie mogła być sama.

Wiedziała, gdzie mniej więcej leży Ash Street i szybko trafiła na miejsce. Dwupiętrowy dom pod numerem sto trzydziestym trzecim od każdego z sąsiadujących z nim budynków oddzielały jakieś trzy metry. Sprawiał wrażenie zaniedbanego. Ze ścian zlaźła zielona farba, na werandzie stało rozkładane, zardzewiałe krzesło plażowe. Najwyraźniej ślady świetności dawno już miało za sobą. Phoebe weszła na schody. Drzwi wejściowe były lekko uchylone, wystarczyło je pchnąć, by znaleźć się w korytarzu wypełnionym pudłami, starymi butami, papierowymi zawiadomieniami i fragmentami gazet oraz różnego typu rupieciami. Na ścianie widniał rząd wieszaków, na których wisiały smętnie dżinsowa kurtka i różowy płaszcz nieprzemakalny. Po lewej stronie widać były drzwi, które najwyraźniej prowadziły do pokoi na parterze, wyżej, w głębi schodów, wylaniały się kolejne. Phoebe zauważyła dwie skrzynki pocztowe, z nadzieją że będą na nich widniały nazwiska mieszkańców. Na jednej z nich umieszczone były trzy męskie imiona, na drugiej odczytała: Blair Usher i Gwen Gallogly.

Już miała zapukać do drzwi na dole, kiedy te otworzyły się. Na korytarz wyszedł rozczochrany chłopak, prawdopodobnie student. Przez ramię miał przewieszony plecak.

- W czym mogę pomóc? – zapytał, marszcząc brwi.
- Przepraszam, że przeszkadzam – powiedziała Phoebe. – Szukam Blair Usher.
- Na górze – powiedział chłopak, wysuwając podbródek.
- Dzięki. – Phoebe skierowała się w kierunku schodów.
- Chyba ich nie ma – rzucił chłopak. – Rano słyszałem, jak ktoś wychodził.
- Jednak spróbuję – powiedziała Phoebe. To kolejna zasada, jaką wypracowała przez lata swojej pracy: wszystko, co usłyszysz od innych, podziel przez dwa.

Weszła po schodach i lekko zapukała do drzwi na górze. Były mocno odrapane, ale na podłodze leżała nowa słomiana wycieraczka. Drzwi ozdabiał sześciokątny znak stanu Pensylwania. Widniały na nim czerwono-czarne ptaki oraz słowo Wilcum. Zarówno wycieraczka, jak i znak na drzwiach były z rodzaju przedmiotów, które matki przesyłają dzieciom pocztą w wartościowych przesyłkach.

Nikt nie reagował. Phoebe zapukała ponownie, tym razem głośniejsze. Za drzwiami panowała cisza.

Już miała odejść, kiedy w mieszkaniu rozległy się kroki. Jej oczom ukazała się wysoka, blada, rudowłosa piękność. Włosy miała zebrane w kucyk, pod oczami widniały ciemne smugi, jakby spała w pełnym makijażu i do tej pory nie zdążyła się umyć. Ubrana była

w jaskrawozieloną kamizelkę i obcisłe dżinsy wpuszczone w zamszowe buty do kolan. Otworzyła drzwi, ale nie zaprosiła Phoebe do środka. Jej twarz przybrała wyraz niechęci.

– Tak? – spytała, potrząsając głową. Kucyk tańczył.

Phoebe przedstawiła się, dodając, że jest nauczycielką w Lyle.

– To ty jesteś Blair? – spytała.

– Nie – w słowach dziewczyny nie było żadnych emocji. – Nie ma jej.

– Kiedy wróci?

– Nie wiem. A o co chodzi?

Jeśli Phoebe myślała, że przedstawiając się jako nauczycielka, zapewni sobie chociaż trochę szacunku, grubo się myliła.

– Na pewno słyszałaś o Lily Mack – powiedziała.

– Jasne. Wiadomo już coś więcej?

– Nie. Zostałam jednak poproszona o pomoc w prowadzeniu wewnętrznego śledztwa w tej sprawie. Ty pewnie jesteś Gwen.

– Tak. Ale powiedziałyśmy już policji wszystko, co wiemy.

– Szkoła prowadzi własne dochodzenie. Mogę ci zabrać minutę?

– No cóż. – Gwen wyraźnie nie była zachwycona. – Jeśli to konieczne.

Wpuściła Phoebe do środka. Ku jej zaskoczeniu mieszkanie dziewcząt było przeciwieństwem tego, co działo się na korytarzu domu. Ściany, chociaż w nie najlepszym stanie, z popękaniem i dziurawym tynkiem, były równo pomalowane – na ładny żółty kolor w przedpokoju, w salonie zaś na czerwono. Obok wejścia rzucało się w oczy lustro w starych, stylowych ramach i stolik, obie rzeczy z rodzaju używanych, ale dobrze dobranych i gustownych. W całym pomieszczeniu było rozbijająco porządnie i czysto. Jedyny ślad studenckiego życia stanowiły porzucone w korytarzu dwa hokejowe kije i nakolanniki. W powietrzu unosił się słodki zapach, jakby gdzieś paliła się specjalna świeca.

– No więc? – spytała Gwen.

– Możemy usiąść na chwilę? – Phoebe wskazała głową salon.

– Za chwilę muszę wyjść.

– Dosłownie na sekundę. Obiecuję – powiedziała Phoebe.

Podążyła za niezadowoloną dziewczyną do salonu. Chociaż Gwen ostentacyjnie stała, Phoebe przysiadła na brzegu wypłowiałej, kwiecistej sofy. Nad gzymsem kominka dostrzegła kolejny znak w kształcie heksagonu. W tym wieku wieszka się na ścianach raczej plakaty z aktorami *Zmierzchu*, pomyślała.

– Fajnie urządziłyście mieszkanie – zagadnęła Phoebe z uśmiechem. – Trochę mi to przypomina mój pokój w college'u, ale my nie miałyśmy tak ładnie.

– Dzięki – Gwen ani drgnęła.

– Przykro mi z powodu śmierci Lily. Przyjaźniłyście się?

– Znałam ją. Ale to była przyjaciółka Blair.

– Tej nocy, kiedy zaginęła, podobno miała tu spać – Phoebe uznała, że czas na mały atak.

– Musi pani zapytać Blair – powiedziała po chwili Gwen. – To nie moja sprawa.

– Nic nie słyszałaś na ten temat?

Gwen przewróciła ciemnozielonymi oczami i głośno westchnęła.

– Słyszałam, ale już po wszystkim. Szczerze mówiąc, od jakiegoś czasu nie nocowałam tu zbyt często.

– Nie miałaś wrażenia, że jest smutna lub czymś przestraszona?

– Przecież mówiłam. – Gwen znowu westchnęła. – Ostatnio jej nie widziałam.

Phoebe nawet nie próbowała poruszyć tematu Szóstek. Gwen odesłałaby ją do Blair.

Phoebe straciłaby efekt zaskoczenia.

– Jasne – powiedziała krótko. Przez chwilę udawała, że się zamyśliła, ale bacznie obserwowała Gwen.

– Przekażesz Blair, że proszę o telefon? – powiedziała po chwili. Wyjęła z torebki pióro i kartkę, na której napisała wiadomość.

– Oczywiście. – Gwen wzięła kartkę takim ruchem, jakby zamierzała wrzucić ją od kosza natychmiast, jak tylko Phoebe zniknie jej z oczu.

W drodze do domu Phoebe zastanawiała się, co było powodem takiego zachowania Gwen. Czy jej oschłość spowodowana była zamknięciem w sobie towarzyszającym często dziewczynom w jej wieku, czy też miała ona coś do ukrycia?

Zaskoczył ją wystrój mieszkania obu dziewcząt. Gustownie i czysto. No i te heksagony. Trochę nietypowa ozdoba ścian jak na dziewczyny, które chodzą do college'u. Jeden oznaczałby prezent od mamy. Dwa – to już był znak czegoś więcej. Phoebe nigdy nie przepadała za heksagonami. Po raz pierwszy widziała je podczas podróży z Alecem po Pensylwanii. Amiszowie ich nie używali, za to wszyscy inni – bez ograniczeń. Były wszędzie – na stodółach, domach, kalendarzach i oczywiście, pamiątkach. Prawie już kupiła sobie oznaczony nimi notes – tak by przywieźć do domu cokolwiek – jednak w ostatniej chwili się powstrzymała. Wcześniej czy później i tak wylądowałby w koszu. Sama nie wiedziała, dlaczego ten znak tak ją odrzucał. Może chodziło o sam projekt – płaski i dwuwymiarowy. Może o to, że miał odstraszać diabła. Czyli miał coś wspólnego z czarami.

Czyżby o to chodziło Szóstkom? Phoebe z wrażenia stanęła, żeby zebrać myśli. Czy „heks” nie oznaczało klątwy? Może dziewczyny z Szóstek bawiły się w czarownice i straszyły rzuceniem klątwy na te, których nie lubiły, lub które chciały się wyrwać spod ich kontroli? To mogło tłumaczyć powody hysterii Alexis Grey. Dziewczyna mogła się załamać, gdy odkryła, że została obłożona klątwą.

W tym momencie Phoebe uświadomiła sobie jeszcze jedną rzecz. „Heks” to przecież „sześć”.

Po powrocie do domu Phoebe otworzyła laptop i wpisała w wyszukiwarkę słowo „heksagon”. Znak ten po raz pierwszy używany był w siedemnastym wieku przez niemieckich osadników, nie jest jednak jasne do końca, w jakim celu. Najbardziej rozpowszechniona z teorii głosi, że miał chronić przed złem. Słowo *heks* pochodzi z niemieckiego i oznacza czarownicę, wiedźmę. Chwileczkę, pomyślała Phoebe, czyżby miało to coś wspólnego z grecką cyfrą sześć (*eksi*)? Na pierwszy rzut oka nic na to nie wskazywało, jednak w trakcie lektury Phoebe trafiła na informację, że początkowo heksagony zawierały sześcioramienne gwiazdy, wyczytała też, ku swojemu zaskoczeniu, że słowo „heks” powstało w wyniku zniekształconej wymowy niemieckiego „sechs”, co po niemiecku znaczy „sześć”.

Może zatem heksagony w mieszkaniu Blair i Gwen nie miały nic wspólnego z czarownicami i czarami, a były sekretnymi znakami, które oznaczały – wyłącznie do wiadomości wtajemniczonych – przynależność do Szóstek. Zabawne, pomyślała Phoebe, jaką uwagę zwracają tajne bractwa na to, żeby wypracować jakiś znak, który pozwoli im się identyfikować. Uwielbiają cholerne symbole, kochają oznaki przynależności. Zawsze tak było. Tajne organizacje – w przeszłości i obecnie – łączyło jedno. Tak naprawdę wcale *nie chciały* być tajne. Zależało im na tym, by się o nich mówiło, żeby każdy marzył o staniu się ich członkiem oraz – w niektórych przypadkach – by ludzie się ich bali. Phoebe coś o tym wiedziała.

Wrzuciła w wyszukiwarkę hasło „topielec”. Kiedy człowiek utonie – czytała – ciało pogrąża się w wodzie, jednak w momencie rozkładu powstałe w wyniku tego procesu gazy wypychają je. Im woda zimniejsza, tym więcej czasu mija do chwili, gdy ciało wypływa na powierzchnię. O tej porze roku mogło to zabrać nawet więcej niż tydzień – mimo że woda była jeszcze stosunkowo ciepła. Zdarzają się też przypadki, kiedy ciało nie opada na dno w ogóle. Czasem zatrzymuje się na korzeniach drzew lub zaplątuje w liny okrętowe – co często zdarza się w portach. Może to właśnie był przypadek Lily, pomyślała Phoebe. Dlatego tak szybko ją znaleźli.

Phoebe postanowiła poszukać informacji na temat studentów, którzy zaginęli na Środkowym Zachodzie. Stockton nie przesadzał. W ciągu ostatnich pięciu, sześciu lat odnotowano w kilku zaledwie stanach dwanaście przypadków młodych mężczyzn, którzy utonęli po wieczornych wizytach w barze. Za każdym razem władze zakwalifikowały to jako wypadek, uznając, że śmierć nastąpiła w wyniku utonięcia pod wpływem alkoholu. Tylko część rodzin twierdziła, że w okolicy, gdzie ginęli młodzi ludzie, grasuje seryjny morderca. Phoebe znowu poczuła gęsią skórę. Odruchowo popatrzyła w kierunku okna. Już sama myśl o tym jest nie do zniesienia, pomyślała. Jednak seryjni mordercy istnieli. Taki Ted Bundy, morderca młodych kobiet. Zaczął od Oregonu, potem przeniósł się do Kolorado. Ostatnią ze swoich ofiar dopadł na Florydzie. Stockton mógł mieć rację.

Właśnie, Stockton. Miał jej wysłać maila. Jest. Dotrzymał słowa i przesłał dane dziewcząt, które na spotkaniu wymieniły znaczące spojrzenia: Molly Wang i Jen Imbibio.

Bingo, pomyślała Phoebe. Jen Imbibio była jedną z jej uczennic. Coś wymyśli i zatrzyma ją na chwilę po zajęciach, które przypadały następnego dnia.

Odnalazła Jen Imbibio w komputerze. Trzymała tam dane na temat wszystkich swoich studentów. Do tej pory Jen miała u niej cztery mniej, trójkę i trójkę plus. Na ocenę czekały jeszcze najnowsze prace. Jednym z zadań był napisanie reportażu na dowolnie wybrany temat, drugim – stworzenie bloga z wykorzystaniem tego samego tematu, prowadzonego jednak w pierwszej osobie i w luźnym, nieformalnym stylu, łącznie z informacjami opartymi na

plotkach. Jen jako temat obu prac wybrała *reality shows*.

Phoebe przeryła się przez stertę papierów na biurku, odnalazła prace Jen i uważnie je przeczytała. Dane do reportażu zostały zebrane na przyzwoitym poziomie, jednak styl był zbyt patetyczny. Z kolei w blogu Jen roniła łzy, rozczulając się nad uczestniczkami show, które obnosiły się ze swoimi sztucznymi biustami, nie mogąc się pochwalić niczym oprócz tego. Tu język był naturalny, żywy i pełen ciekawych zwrotów – zaskakująco miła niespodzianka.

Phoebe popatrzyła na zegarek. Zbliżała się czwarta, a ona nie kiwnęła jeszcze palcem w sprawie kolacji. Rzuciła się do kuchni. W planie miała spaghetti carbonara. W lodówce znalazła też rukolę i cytrynę. Tylko z deserem był kłopot. Mogła jeszcze skoczyć do sklepu. Jednak bez przesady. Nie chciała poświęcać temu wieczorowi aż tyle czasu i zaangażowania. To miała być spontaniczna, niezobowiązująca kolacja. Przypomniała sobie, że w lodówce ma owoce. Winogrona i mandarynki świetnie posłużą za deser.

Dzwonek u drzwi zadzwonił nieco po wpół do ósmej. Właśnie kończyła przygotowanie sosu do spaghetti. Dom wypełniał zapach smażonego boczku i czosnku. Kurczę, zajeżdża jak z greckiej knajpy, pomyślała ze złością, wycierając ręce w kuchenną ścierkę.

Otworzyła drzwi i aż podskoczyła. Wiedziała, że to Duncan, jednak jego widok na progu zrobił na niej wrażenie. Zdała sobie sprawę z tego, że nadal nie może się przyzwyczać do widoku Duncana bez brody i wąsów.

– Zapraszam – powiedziała z uśmiechem.

– Przepraszam za spóźnienie. Spędziłem popołudnie w towarzystwie trzydziestu energicznych szczurów, uznałem więc, że przyda się prysznic. Chwileczkę, tu chyba była kwatery Jacka Herba? Teraz prezentuje się nieco lepiej. Powiedziałbym, jakieś czterysta procent.

Phoebe się roześmiała.

– Dzięki. Na szczęście pamiątki po wojnie domowej usunął, jeszcze zanim udał się na urlop naukowy.

– Masz szczęście. Nie wyobrażam sobie, jak byś siedziała na kupie bagnetów i strzelb. – Duncanem podał jej lśniącą, srebrną torebkę. – Powiedziałaś, że będzie makaron, przyniosłem Brunello di Montepulciano.

– Świetnie! – Phoebe była pod wrażeniem.

Wzięła od Duncana płaszcz, w kuchni otworzyła wino. Do salonu przyniosła butelkę i dwa kieliszki. Duncan z kieliszkiem w ręku usiadł na sofie. Założył nogę na nogę, nogawki dżinsów odsłoniły parę sfatygowanych kowbojek.

– Musiało być ciężko dziś rano nad rzeką – zagadnął, kiedy Phoebe usiadła naprzeciwko, zajmując miejsce w fotelu na biegunach. – Jak się czujesz?

– *Było* ciężko – potwierdziła Phoebe. – Ciągle mi to wszystko stoi przed oczami.

Duncan pocierał palcem brzegi kieliszka.

– Dowiedziałas się czegoś? Jak zginęła Lily? – zapytał. – Pewnie część informacji jest tajna.

– Wiem niewiele więcej od ciebie. Jednak spotkałam Lily dwa tygodnie temu. To był czysty przypadek. Odbyłyśmy ciekawą rozmowę. – Phoebe streściła ich szybką wymianę zdań w deszczu. Postanowiła też podzielić się z Duncanem tym, czego dowiedziała się od Glendy i Stocktona na temat Szóstek.

Duncan odstawił kieliszek i oparł się na sofie. Miał na sobie beżową koszulę. I choć nie była obcisła, rozpięte dwa górne guziki dawały pojęcie o tym, jak dobrze był zbudowany.

– Co o tym myślisz? – spytała Phoebe.

– Nie wiem – odpowiedział. – Z jednej strony, nigdy nie słyszałem o żadnym tajnym bractwie. Jednak słuchając cię, zaczynam trochę kojarzyć. Mam dziwne wrażenie, że coś takiego

istnieje. Czuję to czasem, kiedy jestem sam z niektórymi studentami.

Oto ten budzący grozę moment, kiedy bohater horroru uświadamia sobie, że mieszka w domu, w którym straszny zamordowana sto lat wcześniej dziewczyna, pomyślała Phoebe.

– Co masz na myśli? – zapytała cicho.

– Nie wiem, jak to opisać. Po raz pierwszy o tym mówię, dlatego mam taki kłopot, by ubrać to w słowa. Uczucie jest dziwne. Czasem, kiedy rozmawiam z uczniami – zazwyczaj poza klasą – mam wrażenie, że nie mówią mi wszystkiego. Przeżyłaś kiedyś coś takiego? Nagle zdajesz sobie sprawę, że wszyscy o czymś wiedzą, tylko ty nie. Widzisz, jak ktoś rzuca komuś znaczące spojrzenie.

Tom Stockton też zwrócił uwagę na wymianę spojrzeń, przypomniała sobie Phoebe.

– Myślisz, że Lily należała do bractwa? – zapytała.

– Całkiem możliwe.

– W odpowiednim momencie podpytam studentów.

– Byłoby super. Każda informacja jest na wagę złota.

– A skoro już rozmawiamy o odpowiednim momencie, czy nie nadszedł czas na kolację?

– Zdecydowanie. – Duncan wyraźnie się ucieszył. – Jestem głodny jak diabli. Cały dzień nie jadłem.

Phoebe przygotowała w salonie rozkładany stół. Wrzuciła spaghetti na wrzącą wodę. W międzyczasie Duncan napełnił kieliszki. Phoebe podała sałatę.

– Dobrze znasz Jacka Herba? – zapytała, kiedy usiedli do stołu.

– Nie wiem, czy dobrze – odpowiedział Duncan. – Ale uczestniczyłem tu w kilku przyjęciach na Boże Narodzenie.

– Kadra przyjaźni się między sobą?

– Raczej średnio. – Duncan podniósł głowę znad talerza. – Ciekawe, dlaczego najlepiej zapamiętałem jadalnię. Do tej pory kojarzyła mi się z wielkim stołem pełnym parujących garnków ze szwedzkimi pulpecikami.

Phoebe roześmiała się, chociaż zastanowiła ją tak szybka zmiana tematu.

– Jadalnia jest za drzwiami. Zrobiłam z niej gabinet. Herb spał na poddaszu, ale ja się tam czuję klaustrofobicznie. Za niski dach – powiedziała.

– Wyobrażam sobie, że w Lyle można się czuć klaustrofobicznie. Tęsknisz za Manhattanem?

– Tak, trochę tu dziwnie. Ale musiałam wyjechać. Potrzebowałam tego. Chciałam się oderwać, znaleźć miejsce, gdzie mogłabym zacząć wszystko od początku. – Phoebe uśmiechnęła się z zakłopotaniem. – Telefon Glendy spadł jak z nieba.

– Podobno mieszkaliście razem w internacie.

– Mniej więcej.

Potrząsnął głową w geście, który oznaczał: wyjaśnij, proszę. Jest podobny do mnie, pomyślała Phoebe. Dociekliwy.

– Glenda skończyła tę szkołę, ja tylko drugą klasę, po czym wróciłam do domu. Do końca szkoły średniej mieszkałam z mamą. – Phoebe zamilkła na chwilę. – Nie dałam rady poza domem – dodała.

Duncan patrzył na nią uważnie, marszcząc brwi.

– Nie sprawiasz wrażenia osoby, która tak bardzo tęskni za domem.

– Miałam w życiu słabsze chwile. – Przez moment Phoebe się zamyśliła, jednak szybko wzięła się w garść.

– To niesłychane – powiedział Duncan. – Przyjaźń do końca życia tylko po roku znajomości? I to w wieku piętnastu lat?

– Tak, wiem. Glenda mi kilka razy bardzo pomogła, przywiązałyśmy się do siebie. Potem nasze kontakty się rozluźniły – wtedy nie było jeszcze maili ani telefonów komórkowych. Ale po college’u obie wylądowałyśmy w Nowym Jorku. Ja zaczęłam współpracować z wydawnictwami, Glenda kontynuowała studia na Uniwersytecie Columbia. Znowu więc byliśmy blisko. Fajnie było. Od tej pory bardzo się przyjaźnimy.

– Nie żałujesz, że przyjechałaś do Lyle?

– Nie. Chociaż, jak wspomniałam, brakuje mi Nowego Jorku – uśmiechnęła się Phoebe. – Tu raczej nie wyskoczysz na fajne zakupy. Ale za to sporo wynagradza spokój, cisza. A uczenie pozwoliło mi zacząć myśleć o czym innym niż tylko o kłopotach.

– Założę się, że dzieciakom nieźle imponujesz.

– Nie do końca tym, czym bym chciała. Mam tu trupa w szafie – i muszę stawić temu czoło. Zarówno wobec uczniów, jak i kadry.

– Czyli? – Duncan podniósł głowę.

– Mam na myśli *skandal*. Oskarżenie o plagiat. Jestem całkiem świadoma, że ludzie zaczynają gadać za moimi plecami, gdy tylko pojawię się w drzwiach. Czuję się jak Jordan Baker z *Wielkiego Gatsby’ego*. Wszyscy zastanawiają się, czy w tej partii golfa oszukiwałam czy nie.

– A jak było? – zapytał, patrząc jej prosto w oczy. Po raz pierwszy ktoś zadał jej to pytanie w sposób tak bezceremonialny. Uznała to za w pewnym sensie intrygujące.

– Było zwyczajnie – potrząsnęła głową ze smutnym uśmiechem. – Dziewczyna, która pomagała mi w zbieraniu danych, źle oznaczyła pliki. I wtedy...

Duncan milczał. Też zna ten myk z prowokującą ciszą, pomyślała Phoebe. Wzruszyła ramionami.

– Nie jestem bez winy. Zawsze bardzo pilnowałam każdego szczegółu. Tym razem zatrudniłam osobę bez doświadczenia i nie sprawdzałam, co robi. A powinnam.

– Może po prostu projekt przestał cię obchodzić?

– Może – odpowiedziała. Dobry Boże, co ja robię, pomyślała. Przepytuje mnie, a ja grzecznie odpowiadam. Na szczęście makaron domagał się odcedzenia.

Phoebe poszła do kuchni. Spróbowała, czy makaron jest już dobry, odlała wodę, po czym przełożyła go z sitka do garnka i zalała sosem. Może to kwestia wina, ale, jej zdaniem, pachniało bosko.

– Tony ma świadomość, jakim jesteś zagrożeniem dla lokalu? – zapytał Duncan, kiedy już łąpczywie pochłonął pierwsze kęsy makaronu. – Pychota.

– Dzięki. Nie mam za dużo w repertuarze jako kucharka, ale w makaronach chyba jestem dobra. Moja babcia, Włoszka, uwielbiała uczyć mnie tajemnic kuchni.

– To chyba jesteś adoptowana. Nie możesz być Włoszką z taką jasną cerą i niebieskimi oczami.

– Jestem Włoszką tylko w jednej czwartej. Reszta pozostaje angielska i irlandzka – chciała jakoś odciągnąć jego uwagę od swoich kłopotów. – A ty? Lubisz gotować?

– Czasami się zdarza. Jednak nic specjalnego. Jak długo siedzę w laboratorium, wieczorem jem cokolwiek.

– Jak to jest – pracować ze szczurami?

– Boisz się szczurów?

Phoebe wzdrygnęła się lekko.

– Jasne. Zwłaszcza w metrze w Nowym Jorku.

Duncan roześmiał się tym swoim głębokim, melodyjnym śmiechem, który sprawiał, że chciało się przebywać w jego towarzystwie.

– Mogą być naprawdę urocze, wierz albo nie. Na przykład obecnie zajmujemy się

badaniami nad ich relacją z potomstwem. Świetnie je uczą. Szczurzyce są wspaniałymi matkami, jeśli, oczywiście, nie zjedzą swoich dzieci, kiedy te są małe. Zresztą nadal nie wiemy, dlaczego to robią. – Duncan znowu się roześmiał. – Przepraszam. To nie jest dobry moment na takie rozmowy. Nie przy jedzeniu.

– To bardzo ciekawe. – Phoebe odpowiedziała uśmiechem. Jednak w duszy marzyła o zmianie tematu.

Duncan odłożył widelec i wyprostował się na krześle.

– Jak to się stało, że zawodowo zajęłaś się pisaniem o aktorach i aktorkach?

– Ciekawili mnie od zawsze. I nie chodziło o romanse czy dziwaczne zachowanie. Moja daleka kuzynka odniosła kilka znaczących sukcesów jako aktorka na deskach Teatru Telewizji i kilku mniejszych teatrów nowojorskich. Widziałam, jak desperacko chciała być kim innym, niż była. Zastanawiałam się, przed czym tak ucieka. Kiedy zaczęłam pisać o celebrytach, odkryłam, że każdy z nich miał ten sam problem. Uciekali sami przed sobą, przed czymś, co w nich było. Rozpaczliwie chcieli być kim innym. Lubię odkrywać, co kieruje ich zachowaniem. Czuję miłe podniecenie, kiedy odkrywam coś, co pozwala mi złożyć wszystko w spójną całość.

Przez następnych kilka minut rozmawiali o tym, skąd fascynacja Duncana psychologią, o problemach szkoły w Lyle, o tym, co różni ich pokolenie od współczesnych młodych ludzi. Phoebe była zadowolona.

Skończyli jeść i Phoebe zdała sobie sprawę z tego, że czas biegnie szybciej, niżby sobie tego życzyła.

– Masz ochotę na espresso? – zapytała, wstając od stołu. – Przywiozłam ekspres z Nowego Jorku.

– Ogromną. – Duncan też się podniósł. – Ale pomogę ci posprzątać.

– Nie, dziękuję, poradzę sobie sama.

Po kilku minutach Phoebe wróciła z kawą, owocami i talerzykiem czekoladowych ciasteczek, które jakimś cudem odkryła w kredensie.

Duncan w milczeniu obrał mandarynkę. Nic nie mówił i zdawało się, że cisza mu nie przeszkadza.

– A ty? Od dawna tu pracujesz? – zapytała Phoebe. – Jesteś zadowolony?

Tym razem on odwrócił wzrok, tak jakby zbierał myśli. Phoebe wiedziała, że ludzie często unikają kontaktu wzrokowego, gdy są zaskoczeni lub wytrąceni z równowagi.

– Od dwóch lat. – Duncan ponownie spojrzął na Phoebe. – Jest w porządku. Chociaż to chyba nie miejsce, o jakim marzyłem.

– Nie jest łatwo o pracę na uniwersytecie. Takie czasy.

– Nie chodzi o to – głos Duncana brzmiał poważnie. – To miejsce przyniosło mi pecha w życiu prywatnym.

Phoebe poczuła niepokój. Sama nie wiedziała dlaczego.

– Tak? – spytała ostrożnie.

– Rodzice mojej żony pochodzili z Lyle. Dwa lata temu zdiagnozowano u niej ostry nowotwór. Chciała umrzeć tutaj. Uczyłem wtedy w college'u Northwestern, mieszkaliśmy w Chicago. Przeprowadziliśmy się do Lyle, szczęśliwie chwilę potem zwolniła się dla mnie posada.

Phoebe wstrzymała oddech.

– I? – zapytała nieśmiało.

– Żona umarła piętnaście miesięcy później. Jednak, jak na ironię, nie na raka, choć koniec był już bliski. Czytając, zasnęła w wannie i utonąła.

Phoebe obudziła się tuż po trzeciej z uczuciem wstrząsu. Była przerażona, jej serce biło jak oszalałe. Miała wrażenie, że obudził ją jakiś dźwięk, teraz jednak nic nie słyszała. Przewracała się z boku na bok, próbując wypatrzeć coś w słabym świetle nocnych latarni.

I wtedy usłyszała to znowu. Coś chodziło po dachu. To tylko wiewiórka, wmawiała sobie Phoebe. Jedna z tych, które stadami okupują ogródek na tyłach domu. Żeby tylko nie dostała się na poddasze. Phoebe zapaliła lampkę nocną. Poczekala, aż wzrok się przyzwyczai. Z niejasnych powodów potwornie chciało jej się pić. Odrzuciła kołdrę i zeszła na dół.

Nacisnęła kontakt. Ostre światło zalało kuchnię. Phoebe wyjęła wodę z lodówki, naala do szklanki i usiadła przy małym drewnianym stole. Na zewnątrz królowała noc. Źle się czuła, siedząc tak w świetle, wystawiona na widok z zewnątrz. Wróciła więc na górę, zabierając ze sobą wodę. Położyła się z powrotem. Kiedy jej głowa dotknęła poduszki, myśli wróciły do poprzedniego wieczoru.

Zwierzzenia Duncana wytrąciły ją z równowagi. Podejrzewała, że był kiedyś żonaty, że się rozwiódł. Mógł mieć dorosłe dzieci. Ostatnia rzecz, jakiej się spodziewała, to martwa żona w wannie.

– Tak mi przykro – szepnęła. – To musiało być straszne.

– Tak. – Duncan zacisnął usta. – Jednak nie z przyczyn, o których myślisz. Allison i ja mieliśmy się rozwieść. Uzgodniliśmy to kilka dni przed tym, kiedy wykryto u niej raka. To nie było udane małżeństwo. Chciałem jednak zostać przy niej do końca. Poza tym jako jedyny byłem ubezpieczony.

– Zachowałeś się bardzo w porządku.

– Jakaś część mnie liczyła po cichu na to, że może coś między nami uda się naprawić. Okoliczności i tak dalej... Tak się jednak nie stało. – Duncan lekko się uśmiechnął. – Jak się domyślasz, nie jestem typowym wdowcem. Ludzie mi współczują, bo myślą, że straciłem ukochaną. Nie chcę przez to powiedzieć, że nie cierpiałem, jednak nie tak, jak się ludziom wydaje.

– A ile dłużej by żyła, gdyby umarła śmiercią naturalną? – Phoebe wiedziała, że posuwa się daleko, ale musiała zadać to pytanie. Duncan się otworzył.

– Kilka miesięcy, może trochę dłużej – powiedział. – Zazwyczaj ludzie, gdy przysną w wannie, budzą się, gdy zaczyna brakować im powietrza. Jednak jej system obronny nie zareagował. Była chora. Prosiłem, by uważała. Czasem przychodzi mi do głowy, że może specjalnie nie zareagowała. Tego wieczoru wyszedłem na jakieś spotkanie do szkoły – pamiętam, że gdy zamykałem drzwi, głęboko spała. Dwie godziny później nie żyła.

Odstawił filiżankę po kawie i wyciągnął się na kanapie.

– Czyli tak to działa? – powiedział. – Ludzie zawsze mówią ci rzeczy, których nie mówią nikomu innemu?

Już w drzwiach Duncan uważnie przyjrzał się Phoebe, wprawiając ją w lekkie zakłopotanie. Przez chwilę przeszło jej przez myśl, że ją pocałuje.

– Dziękuję za kolację – powiedział zamiast tego. – Obiecuję, że pozwolisz mi się zrewanżować.

Teraz, leżąc w łóżku, Phoebe zastanawiała się, jak by to było, gdyby Duncan ją pocałował. W wyobraźni poczuła jego miękkie, pełne usta na swoich, jego dłoń na swoich plecach. To niemądre, otrząsnęła się. Siedem ostatnich, koszmarnych miesięcy spowodowało, że nie miała ochoty na żaden romans. Czyżby chęć na miłość obudzić się miała właśnie tu, w Lyle,

w stanie Pensylwania? Trudno jej było w to uwierzyć. Nie mogła jednak nie przyznać sama przed sobą, że Duncan ją pociągał. Podobały jej się jego dociekliwość, sposób, w jaki się śmiał, lekka aura tajemniczości, jaka go otaczała, a także przystojna twarz i ciało.

Starala się nie myśleć o Duncanie przynajmniej na lekcji o ósmej rano następnego dnia. Nie poprawiał jej nastroju wygląd smutnych twarzy studentów. Z pewnością chodziło o śmierć Lily. Tydzień wcześniej rozesłała swoim dwadzieścioru uczniom kopie kilku artykułów z takich magazynów jak „Vanity Fair” i „New Yorker”, dzisiaj mieli je omawiać. Jednak większą część zajęć Phoebe mówiła sama.

Na następną lekcję, o jedenastej, musiała czekać godzinę. To w tych zajęciach uczestniczyła Jen Imbibio. Phoebe postanowiła wykorzystać przerwę na kolejną wizytę u Blair.

Dom na Ash Street sprawiał jeszcze bardziej przygnębiające wrażenie niż wtedy, gdy Phoebe widziała go po raz pierwszy. W ciemnym, zagraconym korytarzu panowała śmiertelna cisza. Tym razem nikt nie otworzył drzwi na piętrze. Phoebe pomyślała, że w ten sposób nigdy nie skontaktuje się z Blair. Przejrzała maile, w których Glenda przesłała dane dziewczyny. Jest. Numer telefonu komórkowego. Phoebe, co prawda, wolałaby rozmawiać z dziewczyną po raz pierwszy nie przez telefon, ale w cztery oczy, ale nie mogła pozwolić sobie na stratę czasu. Idąc Ash Street w kierunku szkoły, wybrała w telefonie numer Blair.

„Cześć, Blair. Mówi Phoebe Hall – powiedziała po odsłuchaniu komunikatu nagranego na automatyczną sekretarkę. – Byłam wczoraj u ciebie. Mam prośbę o telefon. Zależy mi na rozmowie”.

Lekcja o jedenastej wyglądała podobnie jak ta o ósmej. Nastolatki siedzieli z przygnębionymi minami i byli kompletnie nieobecni. Phoebe, wygłaszając własne opinie na temat przesłanych studentom artykułów, jednocześnie uważnie obserwowała Jen. Jen była drobną, niską brunetką z niebieskimi oczami, o lekko kręconych włosach, które otaczały twarz w kształcie serca. Phoebe kojarzyła się z postacią z bajki. Tak mogły wyglądać bohaterki opowieści dla dzieci przemierzające mroczne knieje na grzbiecie jelenia. Mimo to Jen sprawiała wrażenie osoby nowoczesnej. Ciekawe, że tym razem miała do powiedzenia wyjątkowo mało. O wiele mniej niż inni.

Pod koniec lekcji Phoebe poinformowała uczniów, iż ocenione prace przyniesie w środę. Na nich nie zrobiło to jednak żadnego wrażenia. Pomału i w ciszy opuścili klasę, nikt o nic nie pytał, jak to zwykle przy takich okazjach. Phoebe zawołała Jen, kiedy ta była już przy drzwiach.

– Mnie pani woła? – Dziewczyna była zaskoczona.

– Tak. Masz chwilę?

– Jasne – powiedziała zdziwiona Jen.

– Może przejdziemy do mojego gabinetu? Tam będziemy miały spokój.

Weszły na pierwsze piętro. Jedno z górnych światel nie działało i korytarz tonął w półmroku. W powietrzu, jak wszędzie tego dnia, wisiał smutek. Phoebe weszła do gabinetu pierwsza, za nią, wyraźnie bez entuzjazmu, wsunęła się Jen. Phoebe zapaliła lampy i szybkim ruchem zmiotła z krzesła stos papierów.

– Siadaj – zaprosiła dziewczynę. Zastanawiała się, czy nie zamknąć drzwi, jednak zrezygnowała z tego pomysłu. Jen i tak wyglądała, jakby miała za chwilę zemdleć.

– Okej – wyjąkała Jen, siadając na krześle i nie zdejmując plecaczka. – Wie pani, jestem umówiona. Za chwilę będę musiała iść.

– To zajmie sekundę – uśmiechnęła się Phoebe. – Chodzi o zadanie, które odniosę wam w środę.

Jen kręciła się na krześle. Na jej twarzy było widać napięcie.

– Nic złego się nie dzieje – szybko powiedziała Phoebe. – Chciałam ci tylko powiedzieć,

że bardzo mi się podobał twój blog. Naprawdę świetny.

– O kurczę – na twarzy dziewczyny pojawił się słaby uśmiech. – Kurczę blade.

– Pisziesz o wiele lepiej w formie blogu niż w artykułach. Musimy pomyśleć, jak doprowadzić do tego, żeby twój styl był równie wyraźny we wszystkich formach. Temat twojego następnego artykułu to otyłość dziecięca. Może by pomyśleć o czymś innym? O temacie, który pozwoli ci na ostry, wyraźny język – taki jak w blogu?

– Ale chyba to ma być reportaż? – zdziwiła się Jen.

– No tak. Ale możesz wybrać temat, który pozwoli na użycie określonego stylu.

– Jasne. Czyli musiałabym pisać o czymś, o czym mam własne zdanie.

– Właśnie. Oprócz zebrania faktów musisz wyrazić swoją opinię. Pomyśl o nowym temacie. Dasz radę do jutra? Wiem, że nie jest wam teraz łatwo się skupić.

Jen uniosła brwi, nie do końca pewna, co Phoebe ma na myśli. Po chwili zrozumiała.

– Dobrze – powiedziała cicho.

– Przyjaźniłyście się z Lily? – zapytała Phoebe.

Jen wzięła głęboki oddech.

– Tak jakby – odparła. – W zeszłym roku byliśmy blisko. Ale ostatnio prawie się nie widywałyśmy.

– Z tego, co się orientuję, nadal nie wiadomo, co było przyczyną śmierci – powiedziała Phoebe. – Myślisz, że mogła mieć depresję?

– Nie mam pojęcia – odpowiedziała Jen. – Nawet gdybym ostatnio na nią wpadła, i tak nic by mi nie powiedziała. Nie byliśmy aż tak blisko.

– Przez przypadek rozmawiałam z Lily. Jakiś tydzień temu.

– Naprawdę?

– Tak, krótko. Miałam wrażenie, że coś ją gryzie. Że ma kłopoty.

Tym razem Jen nie odpowiedziała. Zaciśnęła tylko usta i lekko poruszyła się na krześle.

Na miękko nic nie wskóram, pomyślała Phoebe. Tu trzeba prosto z mostu.

– Nie mogłam pomóc Lily. Czuję się z tym fatalnie – powiedziała. – Dużo myślałam o tym, co takiego mogło ją dręczyć. Przyszło mi do głowy, że może wdała się w coś, czego potem żałowała. Że może chodziło o Szóstki.

Jen zmartwiała. Siedziała na krześle sztywno, tylko oczy w jej twarzy tańczyły niespokojnie.

– Nie wiem, o czym pani mówi – powiedziała po chwili.

– O Szóstkach. – Phoebe niespokojnie, ukradkiem patrzyła w stronę drzwi, sprawdzając, czy nikt za nimi nie stoi. – O tajnym bractwie działającym na terenie college’u.

– Nic nie wiem o żadnych bractwach – powiedziała Jen niskim, chrypiącym głosem. – Mam swoje sprawy. Gimnastykę. Taniec.

– I nigdy nie słyszałaś o żadnej grupie, która prześladowuje i straszy pozostałych uczniów? Jen wolno pokręciła głową.

– Nie – powiedziała. – I nie mogę sobie wyobrazić, by dziewczyny tutaj robiły coś takiego.

– Może to tylko jedna z miejscowych legend. – Phoebe usiłowała rozluźnić atmosferę. – Kiedy ja byłam w college’u, ktoś rozpuścił plotkę, że po kraju jeździ psychopata, który w każdym z college’ów, których nazwa zaczyna się na „W”, morduje sześć uczennic. Wiesz, jak nazywał się mój college? Wisconsin. Możesz sobie wyobrazić, co się działo. Jedna wielka histeria.

Jen nie odpowiedziała. Wyraźnie ten sposób też nie zadziałał, a jeśli Phoebe nie zmieni tematu, dziewczyna umrze na atak serca. Pora zdobyć nieco zaufania, które może zaprocentować

w przyszłości.

– Biegnij na spotkanie – powiedziała. – Mam jednak coś dla ciebie. Chciałam ci pożyczyć pewną książkę.

Na twarzy Jen zobaczyła lekką ulgę. Nagle uwagę Phoebe zwrócił dźwięk dobiegający z korytarza. Brzmiał jak odgłos kroków. Phoebe spodziewała się, że ktoś stanie w drzwiach, jednak nic takiego nie nastąpiło. Miała nieodparte wrażenie, że ktoś podsłuchiwał ich rozmowę. Jen, przestraszona, wyraźnie tego nie słyszała.

Phoebe szybko, ale bezszelestnie podniosła się zza biurka. Ruszyła w stronę drzwi i wyjrzała na korytarz. Nie było żywej duszy. Kiedy odwróciła głowę, Jen stała, gotowa do natychmiastowego wyjścia.

– Proszę – powiedziała Phoebe, zdejmując książkę z półki. – To wybór publikacji Rona Rosenbauma. Są świetne. Rosenbaum był znanym publicystą w latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych. Jego prace są mocno osobiste. Myślę, że powinnaś to przeczytać.

– Dzięki. – Jen uśmiechnęła się słabo.

Po wyjściu dziewczyny Phoebe wyjrzała na korytarz. Panowała na nim cisza, nie licząc pośpiesznych kroków Jen szybko zbiegającej po schodach. Phoebe przeszła w kierunku sekretariatu, do części, którą zajmowały biura wykładowców seniorów z katedry anglistyki. Bev, sekretarka, siedziała za biurkiem, wpatrzona w swój komputer. Obok szef wydziału, doktor Carr, stał, przeglądając stopy maili.

– Cześć, Phoebe – powiedział, podnosząc głowę. Miał około sześćdziesiątki. Zbudowany jak niedźwiedź, był dla Phoebe zaskakująco miły, zważając na fakt, że jej osoba została mu narzucona przez Glendę. Phoebe podejrzewała, że lekko go fascynuje, tak jak ciekawia nas zawsze osoby, których przeszłość kryje mroczną tajemnicę. – W czym możemy ci pomóc?

– Chciałam tylko sprawdzić, czy nikt mnie nie szukał. Miałam wrażenie, że ktoś przechodził koło drzwi mojego gabinetu.

– Nic o tym nie wiem – powiedział Carr. – Bev, a ty?

– Większość osób jest teraz na lunchu – stwierdziła po chwili Bev.

– Dziękuję. – Phoebe odwróciła się z zamiarem odejścia.

– Nie, chwileczkę. – Bev w końcu oderwała wzrok od ekranu komputera. – Chyba była to doktor Porter.

– Słucham?

– Doktor Val Porter. Nie wiem, czy szukała akurat ciebie, ale była na górze kilka minut temu. Widziałam ją przy faksie.

Phoebe ruszyła w kierunku swojego gabinetu, zaglądając po drodze do biura Val, które leżało po przeciwnej stronie korytarza. Było puste. Możliwe, że to Val stała pod drzwiami jej gabinetu. To akurat nie byłoby dziwne. Czowała, że Val ją obserwuje, ciekawa każdego jej kroku.

Już w gabinecie Phoebe rozpakowała kanapkę, którą przezornie przyniosła z domu. Jedząc, myślała o swojej rozmowie z Jen. Nic specjalnego w zachowaniu dziewczyny ani w tym, co mówiła, nie zwróciło szczególnej uwagi. Poza jedną wypowiedzią. Powiedziała: „Nie mogę sobie wyobrazić, by dziewczyny tutaj robiły coś takiego”. Phoebe ani słowem nie wspomniała, że Szóstki to tajne bractwo *dziewczyn*. To był kolejny dowód na to, że tajna grupa istniała, a Jen mogła do niej należeć.

Przez kilka kolejnych godzin Phoebe przygotowywała plan zajęć i przeglądała materiały. Nie mogła się jednak skupić. Jej myśli biegły w kierunku Lily i Szóstek. Praca jej nie szła.

Była prawie szósta, na dworze zapadł mrok, kiedy Phoebe postanowiła zakończyć pracę. Niedługo zmiana czasu, o tej porze będzie już kompletnie ciemno, pomyślała ze smutkiem. Kolejne wydarzenie. W jej życiu nie zanosilo się na nic ciekawszego.

Na dworze silnie wiało. Kiedy Phoebe przechodziła przez dziedziniec, zauważyła Jen Imbibio. Szła z Rachel, wysoką, dobrze zbudowaną blondynką, która również była w grupie z godziny jedenastej. Jen opowiadała o czymś z przejęciem, gestykulując. Phoebe zastanawiała się, czy tematem rozmowy może być spotkanie w jej gabinecie. Jeśli tak, mogło to oznaczać, że Rachel też była wtajemniczona. To jak w *Inwazji porywaczy ciał*, pomyślała. Wiesz, że wróg jest blisko, ale nie masz pojęcia, kto nim jest.

Po kilku krokach Phoebe dostrzegła Craiga Balla, szefa straży bezpieczeństwa kampusu. Szedł z przeciwnej strony. Ze swoimi srebrnymi włosami i mocną opalenizną wyglądał jak kosmita. Gdy się mijali, popatrzył na Phoebe i zatrzymał przez chwilę wzrok na jej twarzy. Jednak nie odezwał się. Była pewna, że ją rozpoznał. Z tego, co wiedziała, znajdowała się na liście potencjalnych zagrożeń. W końcu ciągnął się za nią zarzut oszustwa.

– Pan Ball? – zaczęła Phoebe. – Chyba się nie znamy.

Przedstawiła się, dorzucając informację, że jest przyjaciółką Glendy.

– Tak, pamiętam. Twarz już znałem, dobrze poznać imię – powiedział. – W czym mogę pomóc? – ton głosu Balla wyraźnie sugerował, że pytanie było wyłącznie kurtuazyjne.

– Chciałam się tylko przedstawić. Glenda prosiła, żebym podpytała kilka z uczennic o Szóstki. Z panem też chciałabym porozmawiać. Na pewno coś pan wie. Bardzo by mi to pomogło.

– Myślę, że najwięcej na ten temat wie Tom Stockton. Oczywiście, jak pojawia się wandalizm, ingerujemy, ale do tej pory nic wielkiego się nie działo.

– Rozumiem. Jeśli jednak przyjdzie panu coś do głowy, da mi pan znać?

– Oczywiście.

Phoebe ruszyła przed siebie. Ball zatrzymał ją, dotykając rękawa płaszcza.

– Skoro już rozmawiamy – powiedział. – Ten facet panią znalazł?

– Jaki facet?

– Miał około trzydziestu pięciu lat. Ciemne włosy. Szukał pani dziś rano, był u nas w biurze. Dałem mu numer telefonu do pani gabinetu, nie czuję się upoważniony do niczego więcej.

– Nikt nie dzwonił – powiedziała Phoebe. – Mówił, jak się nazywa?

– Nie. Mówił tylko, że znacie się z Manhattanu.

Kto to mógł, do licha, być? Miała kilku znajomych w Nowym Jorku, jednak ostatnio straciła z nimi kontakt i nie wyobrażała sobie, by nagle jeden z nich objawił się w college'u.

Dziesięć minut później Phoebe była w domu. Przywitał ją zapach świeżego prania i środków czystości, ślad pobytu Margaret, pomocy domowej. Po raz pierwszy od czasu, kiedy tu zamieszkała, Phoebe poczuła radość z powrotu do domu. Przebrała się w dzinsy i poszła do kuchni. Ku swemu zdziwieniu zauważyła, że Margaret, zazwyczaj zrzędliva, zostawiła jej koszyk jabłek. Obok koszyka leżał list.

Chyba podbiłam jej serce, pomyślała Phoebe.

Przeczytała wiadomość. „Proszę o telefon. Musimy porozmawiać”.

No tak. Pewnie coś zbiła, a jabłka mają zmiękczyć moje serce. Phoebe wyjęła z kieszeni telefon.

– Chodzi o Święto Dziękczynienia. – Margaret powiedziała szybko, kiedy tylko Phoebe zdążyła się przedstawić. – Wyjeżdżam na tydzień do córki. Jeśli pani też wyjeżdża, nie ma problemu. Ale jeśli pani zostaje, mogę kogoś polecić na zastępstwo.

Święto Dziękczynienia. Phoebe nawet nie zauważyła, że się zbliża. Po tym, jak kilka lat wcześniej zmarła jej matka, Phoebe przestała jeździć na święta do Massachusetts. Ona i Alec zazwyczaj chodzili na uroczysty obiad do jego brata. Nie miała pojęcia, co będzie robić w tym

roku.

– Szczerze mówiąc, jeszcze o tym nie myślałam – powiedziała. – Ale dam znać.

– Im szybciej, tym lepiej – ostrzegła Margaret. – Jeśli chce pani zastępstwo, muszę wiedzieć szybko.

– Oczywiście.

– To dobranoc.

– Dobranoc. I bardzo dziękuję za jabłka.

– Jabłka?

Phoebe zawahała się przez chwilę.

– Na stole są jabłka. To nie od pani?

– Nie.

Od kogo zatem? Nie miała w Lyle przyjaciół, którzy mogli, ot tak sobie, wpaść. Poza tym drzwi były zamknięte.

Jeszcze raz popatrzyła na jabłka. Podświadomie zaczęła je liczyć. Jabłek było sześć.

To one, pomyślała. Serce biło jej jak oszalałe. Szóstki. Były tu. To one zostawiły jabłka. Obróciła się gwałtownie, niemal przewracając jedno z krzesel.

Jak się tu dostały? Wzrok Phoebe padł na kuchenne drzwi, których górną połowę wypełniało okno. Raz w tygodniu zostawiała Margaret klucze do domu na tylnej werandzie, pod doniczką z kwiatami. Wystarczyło obserwować dom i wziąć klucze w odpowiedniej chwili.

Phoebe trudno było uwierzyć, że dziewczyny posunęły się do tego, by zakraść się do jej domu.

Zapaliła światło na tylnej werandzie, otworzyła drzwi i wyszła na zewnątrz. Patrząc przed siebie, zastanawiała się, czy ktoś ją obserwuje. Szybkim ruchem podniosła doniczkę i wzięła do ręki klucz. Ktokolwiek go wcześniej brał, grzecznie odłożył na miejsce. Phoebe wróciła do domu i przekręciła klucz w drzwiach. Założyła też mały łańcuch. Podeszła do drzwi wejściowych. Były zamknięte. Obeszła pokoje na parterze, sprawdzając, czy nic nie zniknęło lub nie zostało zniszczone. Weszła na schody. Nagle poczuła strach. Choć wątpiła, by ktokolwiek mógł czaić się na górze, z bijącym sercem otwierała kolejne drzwi. Obie sypialnie były w stanie, w jakim zostawiła je rano.

Już na dole uważnie przyjrzała się biurku w gabinecie. Nic nie wskazywało na to, że ktokolwiek czegokolwiek dotykał. Jednak czuła, że one tu były. *Czuła to.*

Po raz kolejny poszła do kuchni. Przez chwilę znowu patrzyła na jabłka. Nie wpadaj w paranoję, skarciła się w myślach. Nie wiedziała nawet, czy Szóstki rzeczywiście istnieją, poza tym mogło być inne wyjaśnienie. Może jabłka zostawił Duncan. Wpadł na chwilę, a ponieważ jej nie zastał, znalazł klucz. Nie, coś takiego nie było w jego stylu. Phoebe nie uwierzyłaby, że Duncan wszedł gdziekolwiek nieproszony.

Z hukiem wyrzuciła jabłka do śmieci. Wybrała numer Glendy. Ku jej zaskoczeniu Glenda odebrała natychmiast.

– Cześć. Właśnie miałam do ciebie dzwonić – powiedziała. – Pozbierałaś się po wczorajszym?

– Trochę. Ale stało się coś dziwnego. Mam wrażenie, że Szóstki złożyły wizytę w moim domu.

– Jak to? – w głosie Glendy brzmiała nieukrywana ciekawość.

Phoebe opowiedziała o znalezionych w kuchni jabłkach. Sześciu.

– Cholera, nie mogę w to uwierzyć – powiedziała gwałtownie Glenda. – Zaraz u ciebie będę.

– Nie przesadzaj. Musisz być wykończona.

– To może ty wpadniesz do nas na kolację? Zaplanowaliśmy na jutro uroczystości na cześć Lily i muszę przejrzeć scenariusz, ale za dwie godziny będę w domu. Mark ma spotkanie, Brandon zje wcześniej, co oznacza, że będziemy mogli spokojnie pogadać.

Phoebe przyjęła zaproszenie. Cieszyła się na spotkanie nie tylko ze względu na to, że nie będzie jadła sama, miały również sporo do omówienia. Przed wyjściem Phoebe postanowiła przejrzeć maile. Jednak słabo jej szło, nie mogła się skupić. Kim był nieproszony gość? Był sam czy było ich kilku? Czy to *były* Szóstki? Nie pozwól się zastraszyć, powiedziała do siebie Phoebe. Nie masz piętnastu lat. Wychodząc z domu, zostawiła jednak w jednym z pokoi na dole zapalone światło.

Glenda otworzyła drzwi kilka sekund po tym, jak Phoebe nacisnęła ciężki, stylowy dzwonek. W korytarzu, ku zaskoczeniu Phoebe, obok Glendy stał mężczyzna. Phoebe wydawało

się, że skądś go zna. Było w nim coś, co kojarzyło się z wojskiem – wyprostowana sylwetka, krótko ostrzyżone włosy. Glina, pomyślała. Z różowej twarzy mężczyzny patrzyły błyszczące niebieskie oczy.

– Detektyw Michelson, Phoebe Hall. – Glenda dokonała prezentacji. – Detektyw prowadzi śledztwo w sprawie śmierci Lily.

– Miło mi. – Phoebe podała Michelsonowi dłoń. Ten uścisnął ją, jednak ledwie spojrzął na Phoebe, jakby nie wydawała mu się warta poświęcenia większej uwagi.

– Dziękuję, że pan przyszedł – pożegnała go Glenda. – To bardzo ważne, żeby szkoła i miejscowe władze współpracowały w tej sprawie.

Gość wyszedł. Glenda natychmiast ściągnęła buty na wysokim obcasie. Miała na sobie wełnianą sukienkę i żakiet – wszystko w kolorze butów. Phoebe domyśliła się, że to pierwsza wolna chwila Glendy tego dnia.

– Idziemy – rzekła. – Pieczony kurczak czeka.

Przeszły na tył domu. Wzdłuż ścian stylizowanej na piwnicę kuchni biegły ozdobne blaty, było też miejsce wydzielone do jedzenia. Phoebe zdjęła płaszcz i opadła na ławkę przy nakrytym już stole.

– Opowiadaj. – Glenda wyciągnęła z wielkiej, ciężkiej lodówki butelkę białego wina.

– Powiedz najpierw o Lily – odparła Phoebe. – Co mówił detektyw?

– Nic nowego – rzekła Glenda. Otworzyła butelkę, rozlała wino do kieliszków. Jeden z nich podała Phoebe. – Zdaniem Michelsona powodem śmierci na sto procent było utonięcie. W jej krwi wykryto alkohol. Tego wieczoru mogła wypić dwa drinki. Zapewne była oszołomiona, jednak raczej ciężko uwierzyć, że do tego stopnia, by po wyjściu z pubu najpierw ruszyła w kierunku domu, potem zaś zawróciła i wpadła do rzeki. Jedyna nowość to informacja, że jej ciało nie nosiło śladów przemocy seksualnej. – Glenda westchnęła. – Za każdym razem, kiedy proszę o jakieś szczegóły, Michelson zasłania się tajemnicą śledztwa.

– Muszą mieć *jakaś* teorię na temat przyczyn jej śmierci. Nie masz żadnych podejrzeń?

– Ja nie. Ale Tom rozmawiał ze studentami, których wcześniej przesłuchiwała policja i wygląda na to, że podejrzewają, iż w całą sprawę zamieszany jest chłopak. Interesowało ich, czy Lily ostatnio się z kimś spotykała, czy zdarzało jej się podrywać chłopców w mieście. Możliwe, że spotkała kogoś – w pubie lub już w drodze do domu. Być może usiedli nad rzeką. Być może chłopak chciał od Lily więcej, niż sobie tego życzyła, i w złości wepchnął ją do wody. Rodzice dziewczyny twierdzą, że dobrze pływała. Było jednak ciemno, dziewczyna trochę wypięła i mogła wpaść w panikę.

– Jeśli jednak nie ma śladów przemocy seksualnej, ciekawe, dlaczego policja uważa, że w sprawę zamieszany był chłopak.

– Madeline zna kogoś, kto zna kogoś w biurze sędziego śledczego. Podobno na ramieniu Lily widniał siniak wielkości kciuka. To może być dowód na to, że ktoś ją popchnął.

Phoebe poczuła skurcz żołądka.

– Czy Stockton mówił ci o swojej teorii seryjnego mordercy? – zapytała.

– Tak – odparła Glenda. Postawiła na stole kurczaka i sałatę, odłamała kawałek bagietki. – Wyobrażasz sobie, co by *to* oznaczało dla rekrutacji? Oczywiście, nie mogę schować głowy w piasek. Nie wtedy, kiedy chodzi o życie dzieciaków.

– Muszę przyznać, że tyle wiem o seryjnych mordercach, co o kosmosie – powiedziała Phoebe. – Ale wiem chociaż to, że lubią zmieniać obszar działania. To mógł być ktoś, kto był aktywny na innym terenie i postanowił przenieść się w te strony.

– Tom skontaktuje się ze szkołą Parker-Hyde i zobaczymy. Może coś mają. Ale na razie dość o tym. O co chodzi z cholernymi jabłkami?

Phoebe opowiedziała o zaskakującym prezencie, a także o rozmowach z koleżanką Blair i Jen Imbibio.

– Oczywiście, nadal nie wiemy, czy Szóstki naprawdę istnieją i czy to one zakradły się do mnie do domu – dodała. – Wygląda mi to jednak na podejrzany zbieg okoliczności, że dostaję taki prezent akurat wtedy, gdy zaczynam zadawać pytania.

– No, w każdym razie zaczynają się ujawniać. To bardzo dobrze – powiedziała Glenda. – Ale to, co robią, nie podoba mi się. Craig Ball musi o tym wiedzieć. A ty powinnaś zmienić zamki w drzwiach.

– Nie sądzę, żeby dorobiły klucze.

– Ale *mogły*.

Przesada czy nie, jednak Phoebe uznała, że faktycznie poczuje się lepiej, gdy posłucha rady Glendy.

– W porządku. Wymienię zamki. Wspominałaś detektywowi o Szóstkach?

– Do tej pory nie było powodu. Jak mówiłam, policja koncentruje się na szukaniu chłopaka.

– Zobaczymy, jak pójdzie moje śledztwo. Jeśli się okaże, że Szóstki prześladowały Lily, będziesz musiała poinformować policję.

Glenda odłożyła widelec i popatrzyła Phoebe w oczy.

– Kochana, jeśli z jakichś przyczyn nie chcesz tego ciągnąć, zrozumieć. Kiedy prosiłam cię o pomoc, do głowy mi nie przyszło, że ktoś ci wlezie do domu.

– Szczerze mówiąc – odpowiedziała Phoebe – historia z jabłkami nieco mnie przestraszyła. Ale to w końcu tylko jabłko. Nie dam się odciągnąć od śledztwa. Następną w planie jest wizyta u Alexis Grey. Może będzie bardziej otwarta na rozmowę niż koleżanki. Dasz mi kontakt?

– Jasne – odparła Glenda. Phoebe podniosła do ust kieliszek wina, czując na sobie uważne spojrzenie przyjaciółki.

– O co chodzi? – zapytała.

– Dawno temu chciałam cię o coś spytać, ale nie miałam odwagi. Jak zniósłaś powrót do szkoły? Z listów wynikało, że wtedy dałaś radę, ale nigdy nie wiedziałam, jak było naprawdę.

Phoebe przełknęła ślinę.

– Sama nie wiem – powiedziała, odstawiając wino. – Chyba wyparłam ze świadomości Wisconsin. Ale często myślałam, jak by to było, gdybym skończyła szkołę razem z tobą, dostała stypendium do college'u. Jak inne byłoby moje życie? Ale z Wisconsin wynikło jednak coś dobrego. Nasza przyjaźń. Może nie byłaby tak silna, gdyby nie moje kłopoty i twoja pomoc. Na którą zawsze mogłam liczyć.

Glenda uśmiechnęła się smutno i uniosła kieliszek.

– Jak lubi mówić moja mama, Bogu dzięki za drobne łaski.

Skończyły jeść i Phoebe zaczęła się ubierać. Z uwagi na to, co się wydarzyło, chciała być w domu wcześniej.

– Mam pomysł – powiedziała Glenda. – Zostaniesz na noc. Mamy tu wypasiony apartament na wypadek wizyty tak zwanych czynników.

– Żartujesz – roześmiała się Phoebe.

– Ani trochę. Wrobiłam cię w to śledztwo i zostaniesz tu, dopóki nie wymienisz zamka. W łazience masz wszystko, co potrzeba – nawet szczoteczkę do zębów.

Phoebe próbowała się bronić, ale widać było, że to na nic. Glenda nie brała pod uwagę odmowy.

Zaprowadziła ją do obitego złotym perkalem pokoju gościnnego. Pożegnała się, a Phoebe

uświadomiła sobie, że ani słowem nie wspomniała w rozmowie o kolacji z Duncanem. To zresztą i tak nie był dobry moment. Wzięła kąpiel w przylegającej do pokoju łazience. W pokoju zostawiła zapalone światło i lekko uchylone drzwi. Przed drzwiami usłyszała szum silnika. To pewnie Mark, pomyślała. W samym w T-shircie i majtkach wskoczyła do staroświeckiego łóżka.

Już zasypiała, gdy dotarł do jej uszu krzyk. Wyraźnie męski głos dochodził z pokoju piętro wyżej. Phoebe zeszywniała. Głos umilkł, a ona zastanawiała się, czy nie uległa złudzeniu. Jednak wiedziała, że nie. Wstrzymała oddech. Nic więcej jednak się nie wydarzyło. Drugi raz w tym tygodniu przeszło jej przez myśl, że w małżeństwie Glendy nie wszystko jest w porządku.

Rano postanowiła od razu udać się do biura Balla i złożyć raport w sprawie nieproszonej wizyty w swoim domu. Po drodze zajrzała do studenckiej kafejki.

– Nie powinniśmy się widywać w takich miejscach – usłyszała za plecami męski głos.

Obróciła się. W kolejce stał Duncan. Przyjemność, jaką poczuła, zaskoczyła ją samą.

– Cześć – powiedziała z uśmiechem. Rany, nie wzięłam prysznic, pomyślała. – Jak leci?

– W porządku. Dziękuję.

Poczekala, aż kupi sobie kawę. Razem wyszli z kafejki. Było znacznie zimniej niż dzień wcześniej, wiatr znęcał się nad liśćmi, ganiając je po trawie. Studenci przemykali, opatuleni.

– Założę się, że raczej nie widziałas prognozy pogody. – Duncan z uśmiechem popatrzył na jej lekki płaszcz. Sam ubrany był w ciepłą zamszą kurtkę.

– Spałam u Glendy. – Phoebe opowiedziała o jabłkach.

– Niesamowite, co za historia. Naprawdę można się zdenerwować. – Duncan zmarszczył brwi. – Może powinnaś zrezygnować? Niech zarząd przejmie całe śledztwo.

– Na razie nic mi nie jest. – Jego troska wprawiła Phoebe w lekki niepokój. – Czyli dzisiaj wieczór pamięci. Myślisz, że będzie dużo ludzi?

– Tak. Wybierasz się? – Miała wrażenie, że Duncan bacznie się jej przygląda. Włosy tańczyły wokół twarzy Phoebe, czuła, jak z zimna czerwienieje jej nos.

– Oczywiście.

– Jeszcze raz dzięki za niedzielną kolację – powiedział. Patrzył jej w oczy i Phoebe pomyślała – zaraz to powie, zaproponuje kolejne spotkanie, ale nie – Duncan nagle popatrzył na grupkę mijającej ich młodzieży.

– Rany, mam spotkanie. Dbaj o siebie. I uważaj!

Duncan równym, rytmicznym krokiem przemierzał dziedziniec. Phoebe poczuła lekkie rozczarowanie. Zdała sobie sprawę z tego, że liczyła na zaproszenie.

Popijając kawę, ruszyła w kierunku małego budynku po wschodniej stronie kampusu. Mieściła się tam siedziba straży. Spodziewała się zastać kręcących się w kółko strażników, dzwoniące telefony – w końcu zginęła studentka. Nic z tych rzeczy. Weszła do cichego pokoju, w którym za biurkiem siedziały dwie osoby. Z jednej strony młoda, ładna dziewczyna, z drugiej starszy mężczyzna, około siedemdziesiątki. Miał na sobie anorak ozdobiony futrem. Było jasne, że Phoebe przerwała im rozmowę, jednak mężczyzna wstał i skierował się w jej stronę. Wysoki, o potężnej sylwetce, jednak było coś pokornego w jego postawie.

– Zastałam Craiga Balla? – zapytała Phoebe.

– Niestety, nie – dziewczyna miała południowy akcent. – Może pani zostawić wiadomość.

Phoebe podała swoje nazwisko oraz numer telefonu. Dziewczyna wklepała dane do komputera, słychać było stuk długich paznokci o klawiaturę. Phoebe już miała wyjść, zapytała jednak:

– Jeszcze jedno. Potrzebuję ślusarza. Możecie kogoś polecić?

– Chwileczkę – dziewczyna otworzyła górną szufladę biurka. – Mam tu jakieś wizytówki.

– Zatrzasnęła się pani? – zainteresował się mężczyzna. Miał szorstki głos, ale niebieskie

oczy patrzyły życzliwie.

– Nie, muszę wymienić zamek – wyjaśniła Phoebe.

– Proszę iść do kantoru „Solidne Zamki” i powołać się na Hutcha.

– Bardzo dziękuję – odrzekła. Uświadomiła sobie, że mężczyzna to Hutch Hutchinson, ten sam, którego Ball wygryzł z posady.

Gdy Phoebe zamykała za sobą drzwi, usłyszała, jak mężczyzna z powrotem siada za biurkiem.

– No nic, powtórz Craigowi, że znowu byłem – usłyszała jego głos. Następnym dźwiękiem był odgłos zasuwanego zamka kurtki.

– Na pewno powtórzę – ciepło powiedziała dziewczyna. – Przykro mi, że nie oddzwonił. Wiesz, jak teraz jest.

Po wyjściu z budynku straży Phoebe namierzyła w telefonie dokładny adres ślusarza. Może pójdę tam od razu, pomyślała. Wkładała telefon do kieszenie, kiedy o mały włos nie zderzyła się z Hutchinsonem. W ostrym świetle dnia zauważyła zmarszczki na jego twarzy, jednak przenikliwe niebieskie oczy i gęste siwe włosy odejmowały mu lat. Nadal był przystojnym mężczyzną.

– To pan był wcześniej szefem straży, prawda? – zapytała. – Jestem Phoebe Hall, stara przyjaciółka Glendy. Prowadzę zajęcia w tym semestrze.

– Bardzo mi miło. – Hutch mocno uściśnął jej dłoń.

– Glenda mówiła, że był pan świetny.

– Ceniłem sobie współpracę z doktor Johns. To jedna z najlepszych rzeczy, jaka przydarzyła mi się w tym college’u.

– Czy nadal utrzymuje pan kontakty z kimś w kampusie? – spytała Phoebe, mając w pamięci jego słowa „znowu tu byłem”.

– Nie za bardzo. Jednak po tym, co się stało, pomyślałem, że przyda się każda pomoc. – Nie dodał, że Craig nawet nie odpowiedział na jego propozycję. A Phoebe czuła, że ostatnią rzeczą, jaką zrobiłby Craig Ball, byłoby dopuszczenie byłego szefa do udziału w śledztwie.

– Co pan myśli o tym wszystkim?

Hutchinson wypiął pierś, wyraźnie dumny z tego, że zapytano go o zdanie.

– Trudno powiedzieć. Nie znam szczegółów. To mogło być samobójstwo. Zazwyczaj jednak, jeśli ginie młoda dziewczyna, stoi za tym facet. To mógł być ktoś poznany w pubie, albo chłopak, którego rzuciła. Jedną z najbardziej niebezpiecznych rzeczy, jakie może zrobić dziewczyna w tym wieku, to zerwać z chłopakiem, który nie chce być rzucony.

Ciekawe, pomyślała Phoebe.

– W administracji szkoły pojawiła się teoria, że w okolicy grasuje seryjny morderca – uznała, że może zdradzić Hutchinsonowi tę teorię.

– Seryjny morderca oznacza raczej kilka morderstw – mruknął Hutchinson.

– Było przecież inne utonięcie? Chyba rok temu, na wiosnę?

Hutchinson rozejrzał się, ale odezwał się dopiero po długiej chwili.

– Scott Macus. To śledztwo było porażką. Policja uznała jego śmierć za wypadek.

W każdym razie między tymi dwoma wypadkami mija półtora roku. Seryjni mordercy lubią, co prawda, wprowadzić chwilę napięcia, ale nie aż *tak* długą.

Pochylił głowę i podrapał się po karku.

– Chyba że – powiedział – weźmie się jeszcze pod uwagę chłopaka, który wpadł do rzeki, ale przeżył.

Phoebe marzyła coraz bardziej.

– Kiedy to było? – zapytała.

– W listopadzie, chwilę przed tym, jak odszedłem na emeryturę. Pewnej nocy chłopak przybiegł do budynku ochrony, przerażony i mokry. Student starszego rocznika, z tego, co pamiętam. Powiedział, że wpadł do rzeki, ale że nie wie, jak to się stało. Ostatnie, co pamięta, to ten cholerny pub „Pod Kocimi Ogonami”. Udało mu się zrzucić buty i jakoś wypłynął. Nie pełniłem dyżuru tego dnia, ale rozmawiałem z nim dzień później. Nie miał ani jednego zadraśnięcia, nic zatem nie świadczyło o bójkę. Moim zdaniem za dużo wypił i wpadł do rzeki przez przypadek.

Boże drogi, pomyślała Phoebe. Lily i Scotta Macusa po raz ostatni też widziano „Pod Kocimi Ogonami”. Czy to *tam* morderca polował na ofiary?

– Craig o tym wie?

– Wszystko jest w bazie, ale nie wie, że trzeba tam zajrzeć. Nie odbiera moich telefonów i nie oddzwania, więc nie mam szansy, by mu donieść.

– Powinien o tym wiedzieć.

Hutchinson uśmiechnął się.

– Craig nie widzi powodu, by słuchać moich rad. Poza tym według mnie, jak college leży nad rzeką, trzeba się liczyć z tym, że młodzi ludzie będą do niej wpadać. Teoria o seryjnym mordercy wydaje mi się mocno naciągana.

– Mam jeszcze jedno pytanie. – Phoebe wiedziała, że Hutchinson chętnie porozmawia jeszcze chwilę. – Glenda poprosiła mnie, żebym zajęła się śledztwem w sprawie tajnego bractwa, Szóstek. Chcemy sprawdzić, czy coś takiego istnieje. Pan coś wie?

Hutch pokręcił głową, szczerze zaskoczony.

Phoebe mówiła dalej.

– Zostawiają wyraźne znaki: szóstki namalowane na murach lub różne przedmioty zestawione po sześć.

Hutch nadal potrząsał głową.

– Nie, nic takiego nie zauważyłem. Ale będę miał oczy szeroko otwarte.

Phoebe wyjęła wizytówkę. Hutch z uśmiechem zasalutował. Phoebe poczuła, że spodobała mu się ta wymiana.

Patrzyła, jak odchodził, kiedy poczuła, że za jej plecami ktoś stoi. Obróciła się. Stała twarzą twarz z mężczyzną, którego uważała za żywe wcielenie diabła na ziemi.

Witaj, Phoebe – z obłudą w głosie powiedział Pete Tobias. Phoebe nie zdziwiłaby się, gdyby nagle zaczął wic się po ziemi. – Co za niespodzianka.

Bezczelne kłamstwo. Dla Phoebe było jasne, że to Pete pytał o nią w budynku straży. Tobias pracował dla „New York Post” i był jednym z tych, którzy w trakcie afery o plagiat potraktowali ją bez cienia litości. Z każdego słowa Pete’a ziało nienawiścią do Phoebe i czasem zastanawiała się, czy przypadkiem nieświadomie w przeszłości go nie uraziła. Odkrył, że schowała się na odludziu i przygalał, żeby przygotować coś na żer dla swoich czytelników. Nowy rozdział opowieści o złej Phoebe. Zapewne nie mogli się doczekać.

– Czyżby? – Phoebe starała się, żeby nie było po niej widać, do jakiego stopnia widok Pete’a wyprowadził ją z równowagi. – Przecież to ty pytałeś o mnie wczoraj w college’u.

Chociaż na jego twarzy nadal gościło zadowolenie z siebie, oczy nieco przygasły. Złapała go na kłamstwie, a to wyraźnie popsulo mu szyki.

– Miałem na myśli, że to niespodzianka widzieć cię akurat tutaj. Obok budynku straży – powiedział. – Mam nadzieję, że wszystko *w porządku*?

– O co ci konkretnie chodzi? – zapytała ostro. Nie powinna dać poznać po sobie, jak bardzo jest zła.

Tobias uśmiechnął się szeroko. Przez chwilę Phoebe pomyślała, że może chodzi o nową aferę. Że ktoś oskarżył ją o kolejny plagiat i postanowił wykończyć.

– Muszę cię rozczarować, Phoebe, ale nie chodzi o ciebie. Piszę o sprawie Lily Mack.

– Co „New York Post” obchodzi śmierć dziewczyny gdzieś w Pensylwanii?

– Obchodzi, i to bardzo. Lily pochodziła z Nowego Jorku. Dokładnie z Cobble Hill na Brooklynie. Ktoś powiedział mi, że tu pracujesz. Co za przypadek! Z przyjemnością pogadałbym przy kawie, jestem ciekaw, co u ciebie.

Jasne, już lecę, pomyślała Phoebe. Chyba musiałbyś mnie skuć.

– Przykro mi, ale nie dam rady. Kupa roboty – powiedziała. – Pozwolisz, że się pożegnaj.

Szybko ruszyła w kierunku domu Glendy. Zostawiła tam samochód. Maszerowała pewnym krokiem, przekonana, że Tobias odprowadza ją wzrokiem, a może nawet śledzi. Już w samochodzie, zrezygnowana, zwiesiła ramiona. Nie mogła uwierzyć, że ten gnojek znowu władował się z butami w jej życie.

Phoebe pojechała prosto do domu, darując sobie wizytę u ślusarza. Spotkanie z Tobiasem poszarpało jej nerwy i marzyła o odpoczynku w domowym zaciszu. W domu nie znalazła żadnych śladów cudzej obecności. Wszystko wskazywało na to, że tym razem nikt jej nie odwiedził.

Miała ogromną ochotę na prysznic, jednak najpierw postanowiła sprawdzić, o co może chodzić Tobiasowi. Weszła na stronę „New York Post” i wrzuciła w wyszukiwarkę jego nazwisko. Boże, zachowaj kretyna, pomyślała. Mówił prawdę. Nazwisko Tobiasa widniało pod kilkoma artykułami poświęconymi zniknięciu Lily i odnalezieniu jej ciała. Tobias zamieściła kilka informacji pochodzących z anonimowych źródeł oraz wypowiedzi studentów college’u.

Nagle, ku swemu rozgoryczeniu, w jednym z najnowszych artykułów Tobiasa poświęconych sprawie Lily zobaczyła swoje nazwisko. „Lyle to college, w którym uczy obecnie niesławna autorka biografii celebrytów, Phoebe Hall” – przeczytała. W następnym artykule na sto procent wciągnie ją w śmierć dziewczyny. Już widziała oczyma wyobraźni tytuł: „Plagiatorka świadkiem w sprawie śmierci pięknej uczennicy”.

Wystarczy na dzisiaj, pomyślała. Miała inne zajęcia. Sprawa Szóstek czekała i wymagała konkretnego planu działania. Gdyby tylko wiedziała nieco więcej. O co im chodziło? O to, by czuć się ważniejsze i lepsze? Lepsze od dziewczyn, które nie należały do sekty? Czy Szóstki miały bardziej złowieszczy program?

Musiała znaleźć sposób, żeby spotkać się w cztery oczy z Blair Usher. Dziewczyna nie reagowała na prośby o telefon, a bieganie na Ash Street prowadziło donikąd. Dziewczyny wcale nie musiały jej otwierać. Postanowiła, że poprosi Glendę o zdjęcie Blair oraz rozkład jej zajęć. Tym sposobem wcześniej czy później ją dopadnie.

Powinna także porozmawiać z Alexis Grey. Phoebe w czwartek nie miała lekcji, mogła zatem wybrać się w okolice Baltimore.

Tylko wiedząc więcej o Szóstkach, zrozumie, co Lily miała na myśli. Czyżby po wstąpieniu do Szóstek odkryła jakąś straszną tajemnicę, która dotyczyła grupy?

Phoebe zdawała sobie sprawę, że słowa Lily o rozpoczęciu wszystkiego od początku mogły nie mieć z Szóstkami nic wspólnego. Może chodziło o chłopaka – po zniknięciu Trevora związała się z kimś, kto zawiódł jej nadzieje. Może rozmawiając z Amandą, miała na myśli chłopaka. A jej śmierć ma związek z romanssem.

Nagle zrobiło jej się duszno, poczuła się osaczona. Te głupie jabłka wpędzają mnie w paranoję, pomyślała. Prysznic dobrze mi robi. Phoebe poszła na górę.

Później, odprężona, z przyjemnością skoncentrowała się na poprawianiu studenckich prac, które obiecała przynieść następnego dnia. W pewnej chwili jej wzrok padł na skoroszyt leżący z drugiej strony stołu, ten, które wypełniały materiały do jej ewentualnej następnej książki. Widok ten wywołał w Phoebe lekki niepokój. *Muszę* w końcu zacząć nad czymś pracować, pomyślała. Ale nie dzisiaj. Za dużo się dzieje.

Mijały godziny, a Phoebe nie opuszczała dziwny nastrój. Postanowiła, że przed spotkaniem poświęconym pamięci Lily zje lekką kolację w „U Berty”. Zanim wyszła, zadzwoniła jeszcze do ślusarza, którego polecił jej Hutch. Zamek w drzwiach miał zostać wymieniony następnego dnia tuż po drugiej lekcji.

Przeszła przez dziedziniec kampusu. Słońce chyliło się ku zachodowi, ledwie widoczne za ciężkimi, czarnymi chmurami. Dziewczęta i chłopcy biegali po chodnikach i trawnikach. Krzyczeli do siebie, usiłując przekrzyczeć wiatr. W połowie drogi Phoebe postanowiła zawrócić. Poszła w kierunku miejsca, gdzie miał się odbyć wieczór poświęcony pamięci Lily. Zaciekawilo ją, jak idą przygotowania.

Scena i podium były już gotowe. Na gości czekało ponad sto krzeseł. Kilku chłopców usiłowało grać w piłkę, chociaż przeszkadzał im w tym wiatr. Silne podmuchy nie oszczędzały też podium, przesuając je w różne strony. Wzrok Phoebe spoczął przez chwilę na chodniku prowadzącym w kierunku budynku Arthura, tym samym, po którym pamiętnego dnia, przeskakując kałuże, biegły z Lily.

– Pani profesor Hall?

Phoebe nie używała tego tytułu. Nie była profesorką, jednak studenci czasem się tak do niej zwracali. Odwróciła głowę.

Nigdy wcześniej nie widziała tej dziewczyny. Na pewno by ją zapamiętała. Miała długie brązowe włosy, lśniące i gładkie, nawet przy tym wietrze. Oczy, nietypowego koloru khaki, lekko rozstawione, błyszczały, jakby dziewczyna z trudem powstrzymywała łzy. Policzki miała ładnie zaróżowione, a jej pełne usta błyszczały naturalną czerwienią. Może nie jest to klasyczna piękność, pomyślała Phoebe, ale na pewno nie można oderwać od niej oczu.

– Słucham? – powiedziała.

– Jestem Blair Usher – dziewczyna się przedstawiła.

Phoebe starała się nie pokazać po sobie zdziwienia. Czyli nie będę musiała jej śledzić, pomyślała.

– Ach. Miło cię poznać. – Phoebe zastanawiała się, czy właśnie nie stoi twarzą w twarz z kimś, kto się zakradł do jej domu.

– Nagrywa mi się pani regularnie na sekretarkę – głos dziewczyny brzmiał niemal obcesowo. – Czy mogę w czymś pomóc?

– Zdecydowanie – powiedziała Phoebe. – Z ramienia szkoły zajmuję się, wraz z kilkoma innymi osobami, dochodzeniem w sprawie śmierci Lily Mack. Chciałabym ci zadać kilka pytań. Właśnie miałam coś zjeść. Dasz się zaprosić na hamburgera albo sałatkę?

– Teraz nie mogę. Przykro mi – w jej głosie nie było cienia żalu.

– A w którą stronę idziesz? – zapytała Phoebe.

– Bo co? – Blair wydawała się zarazem ostrożna i pewna siebie. Niektóre zwierzęta w dżungli tak mają, pomyślała Phoebe. Na przykład dzikie koty.

– Tak pytam – odparła.

– Idę poza college. Tam. – Blair wskazała głową kierunek.

– Ja też. Odprowadzę cię kawałek.

Blair zawahała się przez moment, jakby chciała powiedzieć, że się pomyliła lub zmieniła zdanie. Towarzystwo Phoebe wyraźnie nie było jej na rękę. Ale tylko wzruszyła ramionami.

– Niech będzie.

Zaczęły iść i Phoebe przyjrzała się dziewczynie z boku. Była jedną z bardziej atrakcyjnych dziewcząt w college'u i jej sposób ubierania się świadczył o tym, że zdawała sobie z tego sprawę. Miała na sobie obcisłe dżinsy, sięgające kolan zamszowe kozaki i czarny płaszcz, dopasowany w talii i rozkloszowany dołem. Różowy kaszmirowy szalik owijał jej szyję. Niezła laska, jak by powiedział Stockton. Kątem oka spostrzegła, że grający w piłkę chłopcy przerwali grę i patrzyli w ich stronę.

– Na pewno już rozmawiałaś z policją – powiedziała Phoebe. – Jak myślisz, co mogło się stać z Lily?

– Nie mam pojęcia. Nie widywałyśmy się ostatnio.

– Ale tego wieczoru, kiedy zaginęła, podobno miałyście się spotkać. Lily poinformowała swoją współlokatorkę, że może zostanie u ciebie na noc.

– Nic podobnego – głos Blair brzmiał stanowczo. – Lily nie miała wtedy *zostać* u mnie. To się zdarzyło kilka razy na początku semestru. Była załamana, kiedy zniknął jej chłopak, i kilka nocy spała u nas na kanapie. Ale to było wieki temu.

Czyli albo Lily kłamała w rozmowie ze współlokatorką, albo kłamała Blair, pomyślała Phoebe.

– Dlaczego, twoim zdaniem, Lily tak powiedziała? – zapytała.

Blair stanęła i popatrzyła na Phoebe.

– Może po prostu – Blair starała się nadać swojemu głosowi konspiracyjny ton – nie chciała, żeby Amanda знаła jej prawdziwe plany.

– Kiedy jeszcze się spotykałyście, Lily bywała smutna lub miała objawy depresji?

– Nawet jeśli, to mi się nie zwierzała. Na pewno nie było jej lekko, kiedy zaginał jej chłopak. Wyparował bez słowa pożegnania – w głosie Blair brzmiała lekka satysfakcja, jakby chciała powiedzieć, że Lily dostała to, na co zasłużyła. Phoebe postanowiła nie reagować.

– Myślisz, że chodziła z kimś ostatnio?

– *Chodziła?*

Jasne, pomyślała Phoebe. W college'u nie ma czegoś takiego jak randki.

– Chciałam powiedzieć „spotykała”. Może miała na kogoś oko? Jej współlokatorka

wspomniała, że jej zdaniem Lily zaczęła się z kimś spotykać. Wiesz może, kto to mógł być?

Po twarzy Blair przebiegł nieznaczny grymas. Prawie niezauważalny, jednak Phoebe dostrzegła wyraz niezadowolenia, może nawet złości. Czyżbym trafiła w czuły punkt, pomyślała.

– Nie mam bladego pojęcia – powiedziała Blair.

Były już przy wschodniej bramie i Phoebe zdała sobie sprawę, że jej czas się kończy.

– Czyli drogi twoje i Lily się rozeszły – rzekła. – Coś was poróżniło?

– Dlaczego pani tak myśli? – spytała Blair.

– Kiedy przyjaźń się kończy, zawsze jest powód.

Blair przystanęła i popatrzyła Phoebe w oczy.

– Myślę, że jako sławna biografistka umie pani podejść ludzi, by wydobyć z nich, co pani chce. – Dziewczyna była wyraźnie zadowolona z siebie.

– Czasem wystarczy zdrowy rozsądek – uśmiechnęła się Phoebe.

– Jeśli mam być szczerą, straciłam do Lily zaufanie. Więc postanowiłam trzymać się od niej z daleka.

– Co takiego zrobiła?

– Raczej nie powinnam mówić. Nie mówi się źle o zmarłych i tak dalej.

Minęły wschodnią bramę. Blair przystanęła. Czekwała, aż Phoebe zrobi pierwszy krok, zdecydowana udać się w przeciwną stronę.

Phoebe postanowiła iść na całość.

– Lily nie wstąpiła do Szóstek, prawda? – zapytała. – Czy o to chodziło?

Dziewczyna wyraźnie nie spodziewała się, że Phoebe posunie się tak daleko. Wytrącona z równowagi, rozejrzała się w panice. Widać było, że gorączkowo myśli, jak wybrnąć z sytuacji. Popatrzyła na Phoebe.

– Do Szóstek? – powiedziała z uśmiechem. – Chyba nie rozumiem.

Ton głosu Blair sugerował, że gotowa jest pociągnąć grę.

– Tajny związek dziewcząt. Tu, na terenie college'u – wyjaśniła Phoebe. – Chociaż ostatnio już nie taki tajny. Myślałam, że o nich słyszałaś.

– No tak. – Blair oblizwała usta. – Chodziły jakieś plotki.

– Jakie dokładnie?

– Nic specjalnego – powiedziała Blair wolno, patrząc na Phoebe. – Tylko to, że mają moc. *Ogromną* moc.

Phoebe zabiło serce. Ostatnie zdanie nie było częścią gry. Było wyraźnie groźbą. To ostrzeżenie, pomyślała Phoebe z lękiem. Jak kiedyś, kilkanaście lat wcześniej.

– Jeszcze coś? – zapytała sucho Blair. – Naprawdę muszę już iść.

– To wszystko – powiedziała Phoebe. – Dziękuję.

Ruszyła w stronę Bridge Street. Za plecami słyszała oddalające się kroki Blair, która pobiegła w przeciwnym kierunku.

„U Berty” Phoebe zamówiła kieliszek wina. Zamierzała odprężyć się i spokojnie pomyśleć, tymczasem była kompletnie wytrącona z równowagi. Nie miała już wątpliwości. Szóstki istniały, i Blair należała do nich. Było w tej dziewczynie coś niepokojącego.

Kiedy Phoebe wróciła do kampusu, było już ciemno. Na plac, gdzie miał się odbyć wieczór poświęcony pamięci Lily, dotarła później, niż planowała. Tłum studentów i wykładowców już się zebrał. Wielu młodych ludzi trzymało zapalone świece, chroniąc dłońmi tańczące na wietrze płomienie. Phoebe przebiegła oczami tłum. Daleko po lewej rozmawiał z młodzieżą Pete Tobias. Z pewnością wyciągnie z nich wszystko, co tylko zechce. Jest w tym mistrzem.

Na stojącym lekko z boku stoliku Phoebe kupiła kawę. Tuż przed sobą zobaczyła, jak

przez grupy studentów przepycha się Craig Ball. Uświadomiła sobie, że do tej pory się do niej nie odezwał.

Kilka minut później Tom Stockton rozpoczął uroczystość. Przekazał głos Glendzie. Nie mówiła długo, ale szczerze i wzruszająco.

– Najlepszym sposobem, w jaki możemy uczcić Lily – powiedziała – jest uczynić pamięć o niej częścią naszego życia.

Mark, mąż Glendy, stał prawie przy samym podium. Jednak zamiast uważnie słuchać, patrzył na coś, co trzymał w dłoni. Pewnie na swój telefon blackberry, pomyślała Phoebe. Znowu poczuła lekkie zdenerwowanie, jak wtedy, gdy w nocy, w domu Glendy, usłyszała krzyk. Koniecznie powinna porozmawiać z Glendą na temat jej małżeństwa.

Po Glendzie Lily wspominały dwie dziewczyny. Z trudem powstrzymywały łzy. Żadna z nich nie była jej bliską przyjaciółką, jedna grała razem z Lily w drużynie siatkówki, z drugą pracowały razem w redakcji szkolnego magazynu. Czy to znaczyło, że Lily nie miała przyjaciółek? Czy dlatego że dołączyła do Szóstek? Czy dlatego że miała nowego chłopaka? Phoebe przyjrzała się twarzom otaczających ją młodych ludzi. Byli smutni, zdecydowanie przejęci. Kilka dziewczyn płakało. Uwagę Phoebe zwróciło, że nigdzie nie dostrzegła Blair ani Gwen.

Uroczystość zakończyła krótka modlitwa poprowadzona przez szkolnego kapelana i występ szkolnego chóru. Tłum zaczynał rzednąć. Część studentów zniknęła w mroku, część przepychała się i rozmawiała z obojętnym wyrazem twarzy. Phoebe chciała podejść do Glendy, jednak zmieniła zdanie, widząc, jak przyjaciółkę otaczają członkowie zarządu szkoły. Pora do domu, pomyślała z lekkim smutkiem.

– Przepraszam, Phoebe – usłyszała nagle, odwróciła się i zobaczyła Jan Wait z wydziału anglistyki. Szła jej wielkich, czerwonych okularów były zaparowane z powodu zimna. – Miles i ja zaprosiliśmy kilka osób na kieliszek wina. Ulica Morton dwadzieścia sześć. Dołączysz do nas?

Phoebe już miała odmówić, ale się powstrzymała. Jan zawsze była dla niej miła, i właściwie sprawiło jej radość, że została zaproszona. Poza tym nie będzie sama.

– Chętnie. Bardzo dziękuję – powiedziała.

Potem przez kilka minut obserwowała topniejący tłum. Nadal ani śladu Blair. Nie widziała też Duncana. Może przyjdzie do Waitów. Pracowali z Milesem Waitem na jednym wydziale.

Dom, do którego została zaproszona, okazał się jednym z odnowionych osiemnastowiecznych budynków, najstarszych w mieście i położonych najbliżej rzeki. W niewielkim korytarzu Phoebe zdjęła płaszcz, po czym przeszła do salonu. Obrzuciła okiem pokój. W środku było około dwunastu osób, rozmawiających i popijających wino. I był Duncan. Stał w głębi, obok biblioteczki z popiersiem Freuda na górnej półce. Rozmawiał z jakąś kobietą. Z tej odległości Phoebe widziała tylko jej plecy.

Wysoki, sympatyczny Miles przywitał ją ciepło. Phoebe ponownie spojrzała w kierunku Duncana i postanowiła podejść. Tłok wokół niego nieco się rozluźnił. Teraz mogła zobaczyć, że kobietą, z którą rozmawiał Duncan, była Val Porter. Nagle, ku zaskoczeniu Phoebe, Val położyła rękę na ramieniu Duncana.

Gest był jednoznaczny. Tak dotykają się wyłącznie kochankowie.

Chłopak zajęty, pomyślała z irytacją Phoebe. Kiedy Duncan zaprosił ją na kolację, miała prawo zakładać, że jest wolny. Zresztą w oczywisty sposób starał się być czarujący. No cóż, przynajmniej jeden problem z głowy, uznała. Nie chciała się z nikim się wiązać, i oto okazało się, że nie ma z kim. I dobrze. Jeszcze tego brakowało, żeby dołączyła do szkolnego haremu.

Phoebe skierowała się w kierunku baru, gdzie na rozkładanym stoliku stały butelki rozmaitych win oraz samotna butelka wódki skyy. Po lewej stronie stolika zauważyła kominek rozmiarów małego pieca. Zapewne niegdyś służył jako kuchnia. Płomienie tańczyły jak oszalałe, z palącego się drewna z trzaskiem strzelały iskry. Phoebe nalała sobie kieliszek wina shiraz. Po jej lewej stronie rozmawiały dwie kobiety w towarzystwie mężczyzny. Zauważyła, że na jej widok umilkły na chwilę i cała trójka wymieniła spojrzenia. Wielu nauczycieli wiedziało, kim jest. Znana plagiatorka, czarna owca.

– Phoebe, znasz Bruce’a Trudeau? – Obok obładowanej butelkami Jan stał mężczyzna z brzuchem tak wielkim, iż zdawało się, że chowa pod koszulką piłkę siatkową. – Pracuje z Milesem na jednym wydziale.

– Jeszcze nie. Miło mi – Phoebe uściśniła dłoń Trudeau i z powrotem zwróciła się do Jan.
– Lampka wina to bardzo udany pomysł. A wasz dom jest uroczy.

– Wszystkim nam się to przyda – powiedziała Jan. – Jesteśmy wykończeni. Lily była w klasie Milesa w ubiegłym semestrze, Bruce uczył ją tej jesieni.

– Myślałam, że jej głównym kierunkiem była anglistyka. – Phoebe była zaskoczona.

– Jako drugi robiła psychologię – wtrącił Bruce. – Zdolna dziewczyna.

– Myślisz, że mogła popełnić samobójstwo? – zapytała Phoebe.

– Nie sędzę – powiedział Trudeau. – W ciągu ostatnich trzech tygodni była nieco roztargniona, jednak nie wydawała się smutna. Ale z dziewczętami w tym wieku nigdy nic nie wiadomo. Potrafią niezłe grać.

– Wiedziałaś, że spotykała się z kimś?

– Nic o tym nie wiem – powiedział Bruce. – Dlaczego pytasz? Chcesz o tym napisać?

– Nie, nie – zaprzeczyła Phoebe. – Specjalizuję się w celebrytach. Jeśli chodzi o Lily, po prostu jestem ciekawa.

– O seryjnym mordercy pewnie słyszeliście – do rozmowy włączyła się Jan. – Bruce, wierzysz w to?

Czyli *ta* teoria jest teraz na topie, pomyślała Phoebe. Mogła się założyć, że chwyciła i rozprzestrzeniła się z szybkością światła. Ciekawe, jaką rolę odgrywa w tym wszystkim Stockton.

– Dobrze brzmi, ale ja tego nie kupuję – powiedział Bruce. – Natomiast wiem na pewno, że po college’u kręci się reporter „New York Post”. Węszy gdzie może. Taka informacja to dla niego żyła złota. Jeśli o tym napisze, media zlecą się jak sępy.

– Wiedzieliście, na kogo zazwyczaj polują seryjni mordercy? – zapytała Jan. – Statystyczna ofiara jest zazwyczaj płci żeńskiej w wieku pomiędzy szesnaście a trzydzieści osiem lat. Przynajmniej jakiś plus przekroczenia czterdziestki.

– Są jeszcze jakieś inne? – usłyszeli głos. Za ich plecami stał Duncan.

– Na razie ten jeden. Na dobry początek, może zbiera się więcej – zażartowała Jan. – Phoebe, znasz Duncana Shaw?

– Tak. Cześć – powiedziała Phoebe.

– Mogę ci dołączyć? – Duncan wskazał głową jej kieliszek. Faktycznie, był prawie pusty.

– Tak, poproszę.

Duncan zaczął się przepychać w stronę baru. Jan i Bruce rozmawiali o postępach w jego badaniach, jednak Phoebe prawie nie słuchała. Szukała wzrokiem Val. Zdecydowanie nie był to typ kobiety, która łatwo wypuści mężczyznę ze swoich szponów.

– Proszę. – Duncan podał jej napełniony kieliszek. Phoebe odwróciła się od zatopionych w rozmowie Bruce’a i Jan i wzięła kieliszek w dłoń. Przez moment jej palce musnęły koniuszki palców Duncana i Phoebe poczuła lekki dreszcz. Duncan popatrzył jej w oczy.

– Byłeś na placu? – zapytała Phoebe. – Nie widziałam cię nigdzie.

– Trochę się spóźniłem. Nie wiem, czemu wydawało mi się, że wszystko zaczyna się o siódmej trzydzieści. Jakie wrażenie?

– Porządnie przygotowane. Chociaż smutne. Słyszałam, że Lily chodziła na zajęcia z psychologii.

– Najwyraźniej. – Duncan zmuszony był przysunąć się bliżej Phoebe. Tłum w pokoju rósł. – Miles mówił, że chodziła do niego. Ale nie była w żadnej z moich grup. Jakies postępy w policyjnym śledztwie?

– Nie wiem zbyt wiele. Jedyna pewna informacja, to że przyczyną śmierci było utonięcie.

Natychmiast ugryzła się w język. Słowo „utonięcie” mogło sprawić Duncanowi przykrość.

– A co u ciebie? – Nawet jeśli sprawiło, z głosu Duncana nic nie dało się odczytać. – Żadnych nowych przygód?

– Rozmawiałam dzisiaj z dziewczyną, która moim zdaniem należy do Szóstek. – Phoebe streściła krótko Duncanowi przebieg rozmowy. – Dziewczyna wygląda na sprytną. Nie zdziwiłabym się, gdyby to ona mnie odwiedziła.

– Co za ironia losu – pokręcił głową Duncan. – Uciekasz z Nowego Jorku, a ktoś włamuje się do ciebie do domu właśnie tutaj.

– Fakt. Najgorsze, co mi się zdarzyło na Manhattanie, to zatrzaśnięty samochód i zgubione kluczyki.

Nagle poczuła, jak ktoś ją popycha. Prawie upadła na Duncana, jej piersi dotknęły jego ramienia. Natychmiast się wyprostowała, starając się nie dać nic po sobie poznać, czuła jednak, jak oblewa się pąsem.

– Ale chyba nie wrócisz do Nowego Jorku?

– Czyżbyś bał się o losy wydziału anglistyki?

Coś w oczach Duncana zamigotało.

– Chyba nie chodzi mi o wydział anglistyki.

Błagam, nie, pomyślała Phoebe. Jeśli spotykał się z Val, po co ją zaczepia? Zanim przysła jej do głowy odpowiedź, Phoebe poczuła na ramieniu czyjąś rękę. Wiedziała, kto to, jeszcze zanim usłyszała głos.

– Cześć, Phoebe – powiedziała Val. Miała na sobie szerokie czarne spodnie, czarny top, zaś na szyi z pół tuzina srebrnych łańcuszków, każdy z innym wisiorkiem. Phoebe odnotowała krzyżyk, błyszczącą srebrną buteleczkę, ząb rekina – wszystkie pięknie układające się między piersiami Val. Ciekawe, czy przepowiada przyszłość, pomyślała.

Kiwnęła głową na powitanie.

– Co za niespodzianka. Pierwszy raz cię widzę na spotkaniu z innymi nauczycielami – mówiąc to, Val położyła swoje długie, wąskie palce na ramieniu Duncana. – To jak, gotowy?

– Myślę, że tak – powiedział Duncan. – Phoebe, podwieźć cię do domu?

– Nie, dziękuję – odparła Phoebe. – Dam sobie radę.

Pożegnała się i odstawiwszy prawie pełny kieliszek oraz podziękowawszy Jan za

zaproszenie, zaczęła przemykać się w kierunku drzwi, z nadzieją że wyprzedzi Duncana i Val.

Z przyjemnością się przespaceruje. Rześkie październikowe powietrze dodawało energii. Zbliżając się do domu, zobaczyła, jak w środku pali się zostawione przez nią światło. Dom wyglądał ciepło i przytulnie.

Phoebe zamknęła za sobą drzwi i szybkim spojrzeniem obrzuciła mieszkanie, sprawdzając, czy wszystko w porządku. Rzuciła płaszcz na krzesło w salonie. Zrzuciła buty, a bosa stopy oparła o drewniany pień, na co dzień używany jako stolik do kawy.

Niech Val go sobie bierze, pomyślała, pozwalając ciału wygodnie zapaść się w miękkie obicie kanapy. To prawda, Duncan jej się podobał, jednak brak romansu miał zdecydowanie dobre strony. Nie będzie czego żałować. Poza tym miała co innego na głowie – dowiedzieć się, o co chodzi z Szóstkami oraz unikać Tobiasa.

Usłyszała szum silnika samochodowego. Wyraźnie zbliżał się w kierunku jej domu. Phoebe zdrętwiała ze strachu, ale samochód pojechał dalej. Wpadasz w paranoję, mała, powiedziała do siebie.

I wtedy usłyszała inny dźwięk. Tym razem dużo bliżej. Phoebe zeszywniała i zaczęła uważnie słuchać. Brzmiało to tak, jakby targane wiatrem gałęzie ocierały się o szybę. Pierwsza jej myśl brzmiała: to gdzieś w kuchni, jednak po chwili Phoebe zdała sobie sprawę, że dźwięk dochodzi zza tylnych drzwi. Ktoś próbował wejść?

Z miejsca, gdzie siedziała, widać było część kuchni i tylne drzwi. Sztywna ze strachu, Phoebe wpatrywała się w klamkę. Nie ruszała się, nikogo nie było też widać przez szybę tuż nad nią. Drapanie ustało, jednak po kilku sekundach, kiedy Phoebe zaczęła się rozluźniać, usłyszała je znowu. Może to mysz, przeszło jej przez głowę. W kuchni widziała kiedyś cały zestaw pułapek na myszy, najwyraźniej Herb toczył z nimi ostrą walkę. Zmusiła się, żeby wstać.

Zanim doszła do drzwi kuchni, drapanie znowu ustało. Rozejrzała się uważnie, jednak nie miała pojęcia, co mogło spowodować te odgłosy. Jeśli to była mysz, musiała kryć się za którąś ze ścian.

I wtedy hałas znowu wrócił. Tym razem brzmiał jak pukanie. Phoebe obróciła się kierunku, z którego dochodził. To była lodówka, dokładnie jej górna część, zamrażarka. Może coś z silnikiem, pomyślała Phoebe, kompletnie zbita z tropu.

Podeszła do lodówki. Żeby ją otworzyć, musiała porządnie szarpnąć.

Coś tam było. Coś ciemnego i bezkształtnego, jak ogromna, mokra peruka. I to coś gwałtownie na nią skoczyło, odbijając się od jej piersi i lądując na podłodze. Phoebe zrobiła krok do tyłu i spojrzała w dół. To był szczur. Brązowy szczur z długim, obrzydliwym ogonem. Phoebe wstrzymała oddech, patrząc, jak skręca się u jej stóp. Po chwili zeszywniał, chyba zdychał albo był już martwy. Jeszcze raz rzuciła okiem w kierunku ciemnej masy wypełniającej zamrażarkę. Ku swemu przerażeniu zobaczyła, że masę tworzyły ciała kolejnych szczurów, stłoczonych i nieruchomych. Zaczęła krzyczeć z całych sił, jednak z jej ust wydobył się jedynie zduszony jęk.

Wypadła z kuchni jak oparzona, w uszach jej szumiało. Zaczęła miotać się po salonie w poszukiwaniu torebki. W końcu znalazła ją na stoliku obok drzwi wejściowych i wyszarpała telefon. Trzeba wezwać policję. Natychmiast. Po chwili jednak zmieniła zdanie. Kompletnie nie mogła się skupić, ale uświadomiła sobie, że najpierw powinna zadzwonić do Glendy. Ponieważ wiedziała, kto podrzucił jej szczury. Ten, kto podrzucił jabłka.

Glenda odebrała telefon po drugim sygnale. Mówiła zniżonym głosem, jakby była na spotkaniu. W tle Phoebe słyszała rozmowy.

– Możesz rozmawiać? – jej głos zabrzmiał błagalnie.

– Zadzwoń za piętnaście minut, dobrze? Muszę tu coś skończyć.

– Dobrze... Chociaż nie. Stało się coś strasznego. Nie wiem, co robić.

– Co takiego? – Glenda podniosła głos. Słysząc było, jak oddała się od grupy ludzi, z którymi rozmawiała. – Nic ci się nie stało?

– Szóstki znowu tu były. Ktoś włożył mi szczury do zamrażarki!

– Boże drogi! Gdzie jesteś?

– W domu.

– Szczury tam biegają?

– Nie. Nie żyją. To straszne. I mogę się założyć, że jest ich sześć... – Phoebe z całych sił powstrzymywała się, by nie zacząć szlochać. – Mam wezwać policję? Nie chciałam nic robić, zanim nie ustalę tego z tobą.

– Daj mi chwilę. Może niech Craig najpierw na to popatrzy. Zadzwoń do niego i zaraz przyjedziemy. Dasz sobie radę?

– Tak. Ale przyjdźcie szybko, błagam.

Serce Phoebe nadal biło jak oszalałe – ze zdenerwowania i wściekłości. To na pewno zemsta po rozmowie z Blair, pomyślała. Sprowokowała dziewczynę, wspominając Szóstki, a ta postanowiła odplacić jej pięknym za nadobne. Ale skąd ta banda szczeniarek wzięła szczury? Chyba nie polowały na nie w kanałach.

I wtedy zrozumiała. To musiały być szczury z jednego ze szkolnych laboratoriów. Dziewczyny zapewne dokonały włamania. Tyle zachodu tylko po to, by przekazać jej znak. Phoebe ukryła twarz w dłoniach. Było coraz gorzej. Napięcie rosło jak przed laty. One nie odpuszczą.

Od jej rozmowy z Glendą minęło już piętnaście minut. Gdzie oni są, do cholery, pomyślała. Kilka minut później samochód z oznakami policji kampusu zaparkował przed jej domem. Prowadził Ball. Phoebe otworzyła drzwi i prawie wykrzyczała relację z tego, co się stało.

Ball, ubrany w skórzaną kurtkę, z zaciśniętymi ustami wszedł do kuchni, z Phoebe i Glendą za plecami.

– Jasna cholera – skomentował widok.

Glenda wstrzymała oddech. Phoebe zrobiło się niedobrze, gdy zobaczyła na kuchennej podłodze krew, która pociekła z pyszczka martwego szczura.

– To horror – powiedziała wstrząśnięta Glenda.

– Ma pani pojęcie, jak się tu dostały? – zapytał Ball.

– Szczury? – Phoebe była nieprzytomna z emocji.

– Nie. – Ball z trudem ukrywał irytację. – Dziewczyny. Doktor Johns mówiła, że podejrzewa pani Szóstki.

Phoebe spojrzała na Glendę, potem znowu na Balla.

– Jestem pewna, że to one – powiedziała. – Musiały wczoraj dorobić klucze do tylnych drzwi.

Opowiedziała o jabłkach i umówionym na następny dzień ślusarzu.

– Jestem pierwszą osobą, która powinna wiedzieć o takich rzeczach – ostro powiedział Ball.

– Wiem. Dlatego też byłam u pana dziś rano i zostawiłam wiadomość.

Widać było, że Ball nie był zachwycony komentarzem. Zwłaszcza że ten padł w obecności jego szefowej.

– Rozejrzę się trochę. – Craig Ball nadal odstawiał samca alfa.

– Może powinniśmy wezwać policję – powiedziała Phoebe.

Ball i Glenda wymienili szybkie spojrzenie.

– Za chwilę, dobrze? – powiedział Ball. – Najpierw podziałam sam.

- Jeszcze jedno. Myślę, że szczury pochodzą ze szkolnych laboratoriów.
- To by oznaczało, że do jednego z nich ktoś się włamał – dodała Glenda.

Ball wyjął telefon komórkowy. Zażądał, by strażnik o imieniu Jake natychmiast zbadał sytuację na wydziale psychologii, zaś niejaki Buddy stawiał się w domu Phoebe. Miał zabrać ze sobą duże worki na śmieci. Ball rozłączył się i zaproponował, by Phoebe i Glenda usiadły. Sam poszedł do kuchni.

– Posłuchaj, Fee, tak mi przykro, że cię w to wciągnęłam – powiedziała Glenda.

– Przynajmniej mamy pewność, że Szóstki *istnieją* – odrzekła Phoebe. Krótko opowiedziała o swojej rozmowie z Blair. – Oraz są dobrze zorganizowane. Ta akcja wymagała udziału co najmniej dwóch osób.

– Są bardziej bezwzględne, niż przypuszczałyśmy – Glenda była załamana.

Phoebe słyszała odgłosy obecności Craiga w jej gabinecie. Nie podobało jej się to. Craig grzebiący w jej rzeczach! Kiedy go znowu zobaczyła, rzuciła się w kierunku drzwi, dotykając klamki przez chusteczkę.

– Przez które drzwi weszła dziś pani do domu? – zapytał Craig.

– Frontowe.

– Żeby wejść, trzeba przekręcić klucz, prawda?

– Tak. Jestem pewna, że to zrobiłam, wychodząc. Kiedy wróciłam, też było zamknięte.

Przed wyjściem sprawdziłam też zamek w tylnych drzwiach.

Ball nie odpowiedział. Przeszedł wzdłuż ścian pokoju, sprawdzając okna. Przystanął, poświstując, pogrążony w myślach. Bez pytania o pozwolenie ruszył na górę. Słyszały nad sobą odgłos jego kroków. Pięć minut później już był z powrotem.

– Wszystkie okna są zamknięte. Tylne drzwi też. Co oznacza, że musiały dorobić klucze – powiedział. – Gdyby bowiem weszły tu przez otwarte drzwi lub okno, musiałyby je zostawić w tym samym stanie.

– Czy *teraz* możemy już wezwać policję? – zapytała niecierpliwie Phoebe.

I znowu Ball popatrzył znacząco na Glendę. Phoebe też na nią spojrzała. Glenda wyglądała na spiętą, ale trudno było wyczytać z jej twarzy, co naprawdę myśli.

– Pani Hall, spodziewam się, że to może nie być dla pani łatwe – powiedział Ball – ale jako członka naszej społeczności musimy panią prosić o zrozumienie. Przez pewien czas wszystko musi pozostać między nami.

– Między nami? Dlaczego? – spytała zaskoczona Phoebe.

– Moim zdaniem najlepiej będzie, jak sami zajmiemy się sprawą. Przeprowadzę dyskretne śledztwo i spróbuję ustalić, kto się do pani włamał. Wtedy damy znać policji. W ten sposób unikniemy smrodu, który inaczej na sto procent zacznie się unosić wokół tego wszystkiego. Po co cały świat ma trąbić o tym, co się stało. Wiem, co mówię. Kręci się tu pismak z „New York City”.

Phoebe miała nadzieję, że Glenda wybije to Ballowi z głowy, jednak ta wyglądała na przekonaną argumentami szefa straży.

– Proszę – powiedziała Glenda – to bardzo ważne.

– Ale... – Phoebe chciała zaprotestować, jednak poddała się. Ball miał rację – to byłby koniec kariery Glendy w Lyle.

– W porządku – powiedziała. Nie była co prawda fanką utrzymania tajemnicy, rozumiała jednak punkt widzenia Glendy. Poza tym wciągnięcie policji oznaczałoby koniec śledztwa prowadzonego przez nią samą.

A nie miała zamiaru go porzucać. Gdyż na to właśnie liczyły Szóstki.

Po raz pierwszy wyraźny znak dotarł do niej ze strony dziewczyny, która mieszkała na tym samym korytarzu, po przeciwnej stronie. Pewnego wieczoru spotkały się w pralni i czas zabijały składaniem ubrań i plotkami. Dziewczyna narzekała na koleżankę, która dostała rolę w musicalu.

– To wszystko przez Fortunę – mówiła. – Chciały, żeby to była ona. Zalatwiły, żeby dostała tę rolę.

– Fortunę? – Informacja dziewczyny wzbudziła w niej niepokój, choć sama nie wiedziała dlaczego.

– To ty nic nie wiesz? – Koleżanka szeroko otworzyła oczy. – Przecież one tu rządzą.

Fortuna, jak wyjaśniła, to związek bogatych, pięknych dziewczyn. Zawsze dbają o to, by ich członkinie – lub te, które zostały przez nie zaakceptowane – wygrywały wybory, grały w przedstawieniach, były zawsze na świeczniku. Zarząd szkoły przymyka oczy, bowiem rodzice dziewczyn należących do Fortuny znacząco łożą na college.

Ich patronką była bogini szczęścia, ich symbolem koło fortuny. Wtedy w pamięci pojawił się obraz koleżanki, która zawsze nosiła uroczą bransoletkę z jednym srebrnym kółkiem.

– No i co z tego? – powiedziała do dziewczyny. – Sama zadbam o swoje szczęście.

– Oby nigdy żadna z nich tego nie usłyszała – odpowiedziała koleżanka. – Bo za to zapłacisz.

Phoebe została w domu, zapalone światło, sama zaś poszła na górę.

Uprzątnięcie śladów strasznych wydarzeń zajęło Ballowi i młodszemu strażnikowi imieniem Buddy, który, zdaniem Phoebe, wyglądał na dzieciaka, ponad godzinę. W tym czasie Glenda usiłowała przekonać przyjaciółkę, by przenocowała w jej domu. Phoebe, choć miała ogromną ochotę, odmówiła. Nie mogła każdej nocy uciekać do Glendy.

Powiedziała sobie, że nie będzie źle. Craig obiecał, że oficer policji Hyde będzie co pół godziny przejeżdżał obok jej domu. Zamki, oczywiście, miały być zabezpieczone łańcuchami. Jednak gdy tylko została sama, poczuła, jak znowu ogarnia ją lęk.

Phoebe, już w spodniach od pidżamy i T-shircie, usiadła na zimnym jak lód łóżku. Zmęczenie spowodowało, że na moment zasnęła. Po chwili się obudziła. Ktoś pukał do drzwi na dole. Phoebe usiadła. Kolejne szczury, pomyślała zdesperowana. Jednak pukanie nie ustawało i Phoebe uświadomiła sobie, że przy drzwiach ktoś stoi.

Złapała telefon i zbiegła na dół. Może to Buddy postanowił sprawdzić, czy wszystko z nią w porządku.

Już ze schodów mogła zobaczyć, kto stoi pod drzwiami. Ku jej zaskoczeniu był to Duncan Shaw.

Przebiegła przez pokój i otworzyła drzwi.

– Miles dzwonił. Wszystko wiem – powiedział Duncan już w środku. – Dobrze się czujesz?

– Szczerze mówiąc, jestem w kompletnym szoku – Phoebe westchnęła. – Kiepski dowcip, co? – Zaprosiła Duncana do salonu. – To twoje szczury?

– Na szczęście, nie – odparł Duncan. – Z laboratoriów w szkole nie zginął ani jeden szczur. Albo zostały kupione, albo należały do studentów. – Duncan usiadł na kanapie. – Powiedz, co się stało, znam tylko część.

Phoebe opowiedziała. Duncan kręcił głową z niesmakiem.

– Ale strażnicy wszystko zabrali? – zapytał.

– Tak twierdzi Craig, ale nie miałam siły sprawdzić. W każdym razie chyba nie dotknę już nigdy tej lodówki.

– Jak się tu dostały?

– Musiały dorobić klucze. Tego dnia, kiedy zostawiły jabłka. Napijesz się brandy? Nagle poczułam, że ja chyba muszę.

– Z przyjemnością. Czyli jesteś pewna, że to znowu one? Szóstki?

Duncan rzucił kurtkę na kanapę. Miał na sobie to samo, co wcześniej – dżinsy, koszulę – ale ubranie wyglądało nieświeżo, jakby je rzucił na podłogę, a potem podniósł i znowu włożył. Ciekawe, czy Val nadal jest u niego, grzejąc łóżko, pomyślała masochistycznie Phoebe.

– Raczej tak – odrzekła. Podeszła do małego barku, w którym trzymała kilka butelek różnych alkoholi. – Szczurów było sześć. Jabłek też. Pamiętasz, mówiłam ci o niezbyt miłej rozmowie z Blair? A to wygląda na odwet.

Otwierając butelkę brandy, Phoebe uświadomiła sobie, że przechadza się w pidżamie. Spodnie były akceptowalne, ale T-shirt – przeciwnie. Cienki i prześwitujący.

– Miles wspomniął, że na razie policji w mieście ani słowa – powiedział Duncan.

– Craig Ball chce zebrać więcej dowodów i sprawdzić, które z dziewcząt były na sto procent włączone w sprawę. Domyślam się, że boi się zamieszania w szkole. Jutro zmienię zamki, tak by nie mogły tu więcej wejść. A kiedy Ball wpadnie na trop tych, które to zrobiły,

przekaze je policji.

– Dobre dla college’u z punktu widzenia troski o *public relations*. Ale dla ciebie niekoniecznie.

– Powtarzam sobie, że to tylko dwudziestolatki, nie zawodowe kryminalistki. – Phoebe sama chciałaby wierzyć w to, co mówi. Nalała brandy do dwóch szklanek i wróciła do Duncana. Kiedy podawała mu alkohol, ich palce znów się zetknęły i Phoebe znowu poczuła dreszcz. Pragnę go, pomyślała. Skąd się to bierze?

– W każdym razie sprawa jest poważna – powiedział Duncan. Po raz pierwszy tego wieczoru uśmiechnął się. – To musiało być dla ciebie straszne, biorąc pod uwagę, do jakiego stopnia nie przepadasz za małymi zwierzątkami.

– Miło mi, że wpadłeś – rzekła z wdzięcznością Phoebe. Posłała mu nieśmiałe spojrzenie, jednak nie mogła się powstrzymać od drobnego komentarza. – Mam nadzieję, że to nie zmieniło twoich planów na wieczór.

Duncan potrzebował chwili, by zrozumieć aluzję. Odrzucił do tyłu głowę i roześmiał się.

– Ach, Val – powiedział. – Nagle oszalała na moim punkcie. Może, jako feministka, odczekała, aż od śmierci mojej żony minie rok, i ruszyła do ataku. Choćbym stanął na głowie, nie potrafię jej zniechęcić.

– Czyli nie spotykacie się? – To miało być niewinne pytanie. Jednak ton głosu Phoebe zdradził, że zależy jej na tym, co usłyszy w odpowiedzi.

– Dobry Boże, nie. – Duncan spojrzał na Phoebe. – Czuję, że chyba mi nie wierzysz. Phoebe potrząsnęła głową.

– Jako pisarka bardziej wierzę w to, co ludzie robią, niż w to, co mówią.

– No tak. Faktycznie, wyszedłem dzisiaj z Val. Możesz w to wierzyć albo nie, ale powiedziała mi, że generator w jej samochodzie ma awarię.

– Jasne. Generator w samochodzie czy w niej?

Duncan znowu się zaśmiał.

– Skoro bardziej interesuje cię akcja, uważaj teraz – powiedział.

Przyciągnął Phoebe do siebie i pocałował. Jego usta były ciepłe i miękkie. Phoebe czuła rosnące podniecenie.

Nagle ją puścił. Phoebe wstrzymała oddech. Jeszcze, omal nie poprosiła. Duncan patrzył jej w oczy tak uporczywie, że miała ochotę odwrócić wzrok.

– Przekonałem cię? – zapytał.

– Prawie – odpowiedziała szeptem.

Wyjął z jej dłoni kieliszek i postawił na stole. Trzymając w dłoniach jej twarz, znowu ją pocałował. Tym razem pocałunek był bardziej niecierpliwy, a język Duncana błędził w ustach Phoebe. Ona zaś objęła go i oddała pocałunek. Jej ciało płonęło.

Nie odrywając ust od warg Phoebe, Duncan zaczął pieścić jej piersi, bawiąc się sutkami. Phoebe jęknęła i całym ciałem przywarła do niego.

– To jak będzie? – spytał, odrywając się od niej, Duncan. – Teraz mi wierzysz, że Val obchodzi mnie tyle, co – przepraszam za słowo – zdechły szczur?

– Wierzę – ciepło odpowiedziała Phoebe. Uświadomiła sobie, że drży – po części z pożądania, po części z powodu przeżyć, jakie miała za sobą tego wieczoru. Duncan milczał, patrząc jej w oczy. Wiedziała, że następny krok należy do niej. Pocałował ją, bo go sprowokowała, ale dalej sam się nie posunie. Pamiętała sytuację z restauracji, kiedy spotkali się po tym, jak nie przyjęła jego zaproszenia.

– Zostaniesz na noc? – zapytała. Boże, naprawdę to robię. – Chyba nie jestem w najlepszej formie. Trochę się wydarzyło. Ale będę się starać.

– Coś mi mówi, że twoja nie najlepsza forma to już jest coś – odpowiedział Duncan.

Zaprowadziła go na górę. Cieszyła się, że w sypialni zostawiła zapaloną tylko jedną lampę. Nagle poczuła przypływ wiary w siebie. Ostatnim razem, gdy kochała się z *nowym* mężczyzną, miała trzydzieści siedem lat, jędrniejsze piersi i bardziej płaski brzuch. Kiedy jednak Duncan zdejmował jej koszulę, przestała myśleć. Całował ją, jednocześnie pieszcząc jej piersi. Puścił ją tylko na chwilę, wystarczającą, by zrzucić spodnie i koszulę. Miał świetne ciało. Phoebe objęła go, czując pod palcami gładkość skóry.

Przyciągając ją do siebie, Duncan wsunął rękę w spodnie jej pidżamy. Jego palce zaczęły pieścić Phoebe coraz bardziej zdecydowanie. Nagle Phoebe poczuła je w sobie. Prawie przestała oddychać. Jej ręka powędrowała w kierunku jego bokserek.

– Może przejdziemy do łóżka – szepnął.

Phoebe wyjęła z szafki prezerwatywę. W tym czasie Duncan zrzucił podkoszulek i bokserki. Kiedy tylko się położyła, jednym ruchem odrzucił kołdrę. Zerwał z niej spodnie od pidżamy i zaczął pieścić ustami i językiem. Phoebe wbiła ręce w jego włosy. Duncan wszedł w nią. Był perwersyjnie powolny, co tylko zwiększało rozkosz Phoebe. Nagle przyspieszył i tylko sekundy dzieliły ją od orgazmu. Potem zwolnił i po pewnym czasie poczuła, że skończył.

Potem objął ją, ciężko oddychając.

– Czy zaproszenie dotyczy całej nocy? – zamruczał, bawiąc się jej włosami.

– Oczywiście – odpowiedziała.

Chwilę później już spał. Była pewna, że seks ją rozluźni i pozwoli zasnąć, ale nagle poczuła się spięta. Przed oczami miała znowu martwe szcuchy. Leżała przez chwilę, jednak nie udało jej się zasnąć. Wstała więc i zeszła na dół do łazienki. W lustrze zobaczyła, że nadal ma wypieki na policzkach. Zmoczyła gąbkę zimną wodą i siedząc na brzegu wanny, przyłożyła ją do twarzy. Czy to było mądre? Chyba oszalała, wdając się w romans z Duncanem, w końcu kolegą ze szkoły? Może tego wieczoru po prostu nie myślała, cierpiąc na szcuchy syndrom? Nie, to nie to. Pragnęła go już wcześniej. Od chwili gdy usiadł naprzeciwko niej, pochłaniając spaghetti carbonara.

Wiedziała jedno. Ten wieczór nie ugasił pożądania. Chciała być z nim jeszcze i jeszcze.

Wreszcie wstała, odłożyła gąbkę, wtarła w twarz krem. Minęła północ, musiała zmusić się do snu. Następnego dnia czekały ją lekcje. Zgasiła światło w łazience i skierowała się w kierunku schodów na górę. Ciemność wywołała w niej lekki strach. Tuż przed drzwiami sypialni zatrzymała się. Usłyszała głos Duncana. Rozmawiał z kimś przez telefon.

Phoebe weszła do sypialni. Nad łóżkiem zobaczyła plamkę światła. To świecił telefon Duncana, który, podparty na łokciu, mówił ściszym głosem. Wymruczał „dobranoc” i światelko przeniosło się w kierunku krzesła, na którym leżały jego ubrania. Phoebe wskoczyła do łóżka i przytuliła się do pleców Duncana.

– Wszystko w porządku? – zapytała, lekko zaniepokojona.

– Sprawdzalem sekretarkę. Myślałem, że może Miles dzwonił. Miał jeszcze raz skontrolować laboratoria.

– Wydawało mi się, że z kimś rozmawiałeś.

– Nagrałem mu się. Jeśli coś znajdzie, ma do mnie oddzwonić. Jak się czujesz? Ciągle przestraszona?

– Już dużo mniej. – Phoebe wyciągnęła się na łóżku, a kiedy Duncan odwrócił się w jej stronę, szepnęła: – Wiesz, jak uspokoić dziewczynę.

– Naprawdę? – Phoebe czuła, że Duncan uśmiecha się w ciemności. Przesunął ręką po jej ciele. Znowu się kochali, tym razem jeszcze bardziej namiętnie. Od razu potem Phoebe zapadła w głęboki sen.

Budzik zadzwonił o szóstej. Phoebe drgnęła, po chwili podniosła się i wyłączyła dzwonek. Dopiero po chwili dotarło do niej, z kim spędziła noc. Otworzyła oczy. Miejsce obok było puste. Tylko nie to, pomyślała. Czyżby po prostu sobie poszedł?

Wtedy usłyszała kroki na schodach. Duncan wszedł do sypialni tylko w spodniach, niosąc dwa espresso.

– Mam nadzieję, że się nie gniewasz, iż pozwoliłem sobie skorzystać z twojej słynnej maszynki do kawy.

– Oczywiście, że nie – powiedziała, przeciągając się, Phoebe. – Nie mogę wprost uwierzyć, że ktoś mi podaje kawę do łóżka.

Usiadł obok niej, a kiedy Phoebe usiadła, podał jej filiżankę. Zapach kawy mieszał się z piżmowym zapachem ciała mężczyzny. Phoebe zastanawiała się, czy przypadkiem ostre światło dnia nie przyniesie rozczarowania, ale nie. Nadal podobał jej się tak samo. Podobało jej wszystko: to, jak wyglądał, jak pachniał i jak mówił.

– Pozwoliłem też sobie zajrzeć do lodówki – powiedział Duncan z uśmiechem.

– To przebija kawę. Nie sądzę, żebym kiedykolwiek dobrowolnie do niej zajrzała.

– Jestem trochę bardziej oswojony ze szczerzym futrem niż ty. Usunąłem resztki. Poza tym musiałem jakoś podziękować za tę noc.

Znam inny sposób, pomyślała Phoebe. Wystarczy, że jak najszybciej wrócisz do mojego łóżka.

Ubrali się i wyszli z sypialni. Duncan wskazał głową nocne światło przy drzwiach.

– Wiesz, dlaczego to lubię? – zapytał.

– Nie wierzę, że zwracasz uwagę na takie rzeczy.

– Ale to fajne. Kolejne potwierdzenie tego, jak wrażliwą i ciepłą osobą jest Phoebe Hall.

– Nie wiedziałeś, że tu straszysz? – trąciła go łokciem. – Jak się tu tłukę po nocy, muszę wiedzieć, gdzie jestem.

Już przy drzwiach wyjściowych Duncan pocałował Phoebe w usta.

– Pozwolisz mi kiedyś coś ci ugotować? – zapytał.

– Bardzo chętnie.

– Może w piątek wieczorem? – zaproponował. – Chyba że zaplanowałaś samotną kolację

„U Tony’ego”.

– Rany, co mam zrobić, żebyś przestał mnie dręczyć?

Duncan roześmiał się.

– Do piątku coś wymyślę. Możesz być pewna.

Kroki Duncana powoli się oddalały. Nagle Phoebe poczuła, że wraca niepokój związany z wydarzeniami ostatniego wieczoru. Niechętnie poszła do kuchni. Od chwili gdy wyszła z niej poprzedniego dnia, nic się nie zmieniło. W zlewie stały dwie szklanki po brandy, na suszarce leżała ścierka, na okiennym parapecie nad kranem nadal stał rząd buteleczek.

Zapomnij o tym, powiedziała do siebie. Otworzyła zamrażalnik i aż jęknęła. Duncan nie kłamał – nie było śladu po małych ofiarach. Zamrażalnik był też pusty. Żywność powędrowała do kosza, a pojemniki na lód – do zmywarki.

Godzinę później, tuż przed wyjściem, Phoebe dokładnie sprawdziła wszystkie zamki. Tym razem postanowiła wziąć samochód, a po drodze wpaść na kanapkę i kawę do Café Lyle. Przygotowanie czegokolwiek do jedzenia w jej własnej kuchni nie wchodziło w grę. Usiadła przy stoliku, gdy zadzwonił telefon. Glenda.

– Wszystko w porządku, Fee?

– Tak. Na razie brak objawów którejkolwiek z chorób zakaźnych.

– Miałaś spokojną noc?

– Udało mi się trochę pospać – powiedziała Phoebe.

Przecież nie opowie Glendzie o swojej nocy z Duncanem, nie w kawiarni. Ale nie czuła się z tym przemilczeniem dobrze. Powinna powiedzieć Glendzie już o kolacji z Duncanem. Im dłużej trzymała wszystko w tajemnicy, tym gorzej zaczynało to wyglądać. Glenda i Phoebe zawsze opowiadały sobie wszystko. O prywatnych sprawach też. Jednak był powód, dla którego Phoebe odwlekała moment zwierzeń. Podświadomie czuła, że Glenda może nie zaakceptować jej związku z innym nauczycielem.

– Powiem ci jeszcze, że przy życiu trzymała mnie informacja o patrolowaniu przez całą noc okolicy przez Buddy’ego. Tyle że to jeszcze dzieciak i chyba nie budzi respektu. Masz jakieś wieści?

– Craigowi nie udało się jeszcze dowiedzieć nic, ale robi co może. Znalazłam coś dla ciebie – dokumenty Alexis. O ósmej masz lekcję, może potem do mnie wpadniesz?

Umówiły się. Phoebe prawie za jednym zamachem pochłonęła kanapkę i biegiem ruszyła do auli Arthura. Na dziś studenci mieli przygotować recenzje artykułów, które rozdała im w poniedziałek. Phoebe planowała też, już pod koniec zajęć, prezentację kilku zasad, jakich nauczyła się przez lata pracy z różnymi wydawcami. Już zaraz na początku zorientowała się, że prawie nie słucha uczniów. Jej myśli krążyły na przemian wokół szczurów, Blair, Lily, Duncana... W pewnym momencie przyłapała się na tym, że nie słucha. A jeden ze studentów najwyraźniej o coś pytał. Poprosiła, by powtórzył pytanie.

– Myśli pani, że to ma sens? Przerabiamy artykuły z magazynów, a prasa przecież ma coraz marniejsze widoki. Niewielkie szanse, że ktokolwiek z nas będzie pisał do magazynów.

– Nie zgadzam się – powiedziała Phoebe. – Oczywiście, jeśli zawodowo zajmujesz się pisaniem, twoje teksty będą też w sieci. Dlatego trenujemy blogi. Nie ma jednak żadnych dowodów na to, że magazyny szybko znikną. Nadal jest dla nich miejsce na rynku. Najwyżej rodzaj artykułów, które proponują, być może kiedyś znajdzie swoich odbiorców również w Internecie.

Ta krótka wymiana zdań wywołała wśród studentów ożywioną dyskusję. Czas płynął i szanse na realizację materiału były coraz mniejsze. Było to jednak na rękę Phoebe. Nie czuła się na siłach. Pod koniec zajęć wyznaczyła kolejną pracę domową i wyszła, zanim któryś z uczniów

zdążył dopaść ją z kolejnym pytaniem lub refleksją na temat przyszłości dziennikarstwa.

Biuro dyrektorki college'u znajdowało się po przeciwnej stronie, w budynku administracji o szerokich korytarzach i podłogach z marmuru. Phoebe biegła po schodach na drugie piętro, gdy omal nie zderzyła się z Markiem, mężem Glendy. W brązowych spodniach, beżowym płaszczu i z brązowym szalikiem wyglądał jeszcze bardziej elegancko niż zwykle.

– Cześć, Mark. – Phoebe uśmiechnęła się.

– Widzę, że komuś bardzo śpieszno – odpowiedział. Zmusił się do uśmiechu, jednak w jego głosie można było wyczuć drwinę. I Phoebe wiedziała, że to nie złudzenie. Mark ją lekceważył i dawał to do zrozumienia na każdym kroku.

– Miałam spotkać się z Glendą. Jest u siebie? – spytała.

– Zamiast się zamieszanie w całym kampusie? Tak, siedzi u siebie.

Chyba przegina, pomyślała Phoebe. I kto niby się zamieszanie? Ona albo Glenda?

– Dzięki. Do zobaczenia. – Phoebe chciała zakończyć rozmowę, zanim dojdzie do spięcia. – Miłego dnia.

– Jak wyżej – odpowiedział już ze schodów. *Jak wyżej*, co mu jest, pomyślała Phoebe. Co się, do diabła, dzieje?

Phoebe zatrzymała się w drzwiach gabinetu Glendy, by poczekać, aż asystentka zapowie jej wizytę. Znalazła się tu po raz pierwszy i była pod wrażeniem wystroju. Miękkie poduszki i zapach kadzidełka z jednej strony, z drugiej – ogromne, solidne biurko, które wyraźnie sugerowało obecność władzy.

Zanim Phoebe zdążyła się odezwać, usłyszała, jak Glenda wybucha śmiechem.

– Wyglądasz świetnie. Żaden szczur cię nie pokona.

Phoebe miała na sobie obcisłą, wąską spódnicę, dopasowaną białą koszulę i pasek w panterkę. Wiedziała jednak, że Glendzie nie chodzi tylko o to. Po nocy z Duncanem wyraźnie odmłodziła i nabrała pewności siebie.

– Miło z twojej strony, zwłaszcza że nie pamiętam już, kiedy miałam ostatni botoks – powiedziała.

Glenda wstała i zaczęła chodzić dookoła biurka. W pewnym momencie przystanęła.

– Może życie w uroczym Lyle ci służy. Jeśli odjąć ostatnie wydarzenia – powiedziała Glenda.

– Na razie nie przesądzajmy. – Phoebe pomyślała, że pora już na zwierzenia w sprawie Duncana. – Skoro już się zgadało o życiu, na schodach wpadłam na Marka.

– Podrzucił mi telefon – wyjaśniła Glenda. – Rano miałam masakrę i z tego wszystkiego zostawiłam go w domu. – Zaczęła przeglądać jakieś papiery na biurku. Jakby chciała uniknąć wzroku Phoebe.

– Pogadajmy, Gee – powiedziała Phoebe. – Nie bardzo wam się układa. Przecież widzę. Glenda spojrzała w stronę drzwi. Były zamknięte.

– Może ty mi to wyjaśnisz – powiedziała. – Bo nie mam pojęcia, o co chodzi. Ostatnio coś jest między nami nie tak, a ja nie wiem, co.

– Nie tak, czyli jak?

– Zrobił się nieprzystępny, oschły. Widziałas sama.

– Może chodzi o pracę? Nigdy nie był zazdrosny o twoją karierę, ale nigdy wcześniej nie byłeś tak wysoko.

– Też mi to przyszło do głowy. Jeszcze zanim pomyślałam, że może mnie zdradza.

Przecież pracuję tu już trzeci rok, więc skąd problem dopiero teraz? Oczywiście, możliwe że ma dość Lyle. Jest w innej sytuacji niż ja.

– Jak mu idzie w interesach?

– Chyba nieźle. Pewnie powinnam poświęcać temu więcej uwagi, ale znasz mnie. Nie jestem typem żonusi.

– Myślisz, że *mógłby* cię zdradzić?

– Nic na to nie wskazuje – powiedziała Glenda, splatając ręce na piersiach. – A ja nie zamierzam reagować na jego teksty. Przynajmniej nie teraz. Poza tym seks ze mną nadal go interesuje, chociaż jest nieco roztargniony.

– Może chodzi o mnie – rzuciła Phoebe.

– O ciebie? – Glenda była zaskoczona.

– Szczerze mówiąc, nie wydaje mi się, żeby był zachwycony, widząc mnie w Lyle.

– Co masz na myśli?

– Odnoszę wrażenie, że jego zdaniem zaproszenie mnie tutaj nie było najlepszym pomysłem. Że moja obecność może ci zaszkodzić w karierze. Od kiedy Mark się tak zachowuje?

– Mniej więcej od dwóch miesięcy. Od początku semestru.

– Czyli od kiedy *ja* tu jestem.

– Nie sądzę, żeby... – Słowa Glendy przerwało pukanie. Jej asystentka otworzyła drzwi.

– Za chwilę ma pani kolejne spotkanie, pani doktor. Część gości już jest – powiedziała.

– Zaraz przyjdę – odparła Glenda. Kiedy drzwi się zamknęły, zwróciła się do Phoebe. –

Ciąg dalszy nastąpi.

Podawała Phoebe teczkę.

– To kopie dokumentów Alexis. Nie powinnam ci tego dawać, więc nic nikomu nie mów.

– Jasne.

– Jeszcze jedno. Dziękuję. Za to, że zrozumiałaś konieczność trzymania na razie sprawy w tajemnicy.

– Ball cię nie niepokoi? Wspominałaś, że nie do końca mu ufasz.

– Muszę mieć na niego oko, ale wczoraj zdałam sobie sprawę, że jedziemy na jednym wózku.

Już na dworze Phoebe uświadomiła sobie, że znowu ani słowem nie wspomniała o Duncanie. Nadrobi to następnym razem.

Po zajęciach o jedenastej Phoebe wróciła do domu. Była umówiona ze ślusarzem. Zjawił się chłopak w wieku około dwudziestu lat, chuderlawy, z czarnymi włosami i tatuażem na ramieniu. Podczas gdy zajmował się drzwiami, Phoebe sprawdziła, czy w domu nie ma śladów wizyty nieproszonych gości. Wszystko jednak wskazywało na to, że podczas jej nieobecności nikogo w jej domu nie było.

Ślusarz wyszedł. Phoebe przygotowała sobie lekki lunch i zapaliła świecę zapachową. Moment, gdy zamykała tylne drzwi, przywołał złe wspomnienia wydarzeń z ostatniej nocy. Phoebe znowu poczuła niepokój. Potrzebowała czegoś, co pomoże jej się zrelaksować. Dopiero kilka dni wcześniej poczuła się dobrze w domu Herba, tymczasem dzisiaj zaczęła się dusić w jego ścianach.

Z kanapką w ręku przeszła do salonu i zaczęła przeglądać otrzymane od Glendy materiały na temat Alexis. Było tego około dziesięciu stron – podanie o przyjęcie do Lyle, odpis świadectwa i raport Toma Stocktona z jego wizyty u niej w szpitalu. Phoebe rozłożyła dokumenty na stole. Szukała punktu zaczepienia, czegoś, co pozwoliłoby uzyskać od jej rodziny informacje na temat tego, co zdarzyło się przed laty.

Phoebe zaczęła studiować dokumenty. Poczuła znajome mrowienie i ekscytację, które towarzyszyły jej zawsze, gdy zanurzała się w proces badania. Świetnie radziła sobie w rozmowach z ludźmi. Z każdego potrafiła wyciągnąć prawdę, nie dawała się zwieść kłamstwom. Równie dobrze, a nawet lepiej, studiowała jej się dokumenty. Mawiała, że czuje się

wtedy jak Sherlock Holmes. Potrafiła przeryć się przez górę starych gazet i listów, przez kilometry tekstów w Internecie po to, by trafić na ślad, nawet mały, ale ślad, który dla niej był początkiem określonej historii.

Alexis nie zawsze była dobrą uczennicą, jednak już w szkole średniej miała same piątki i szóstki. Poza tym wykazywała się aktywnością pozalekcyjną – grała w koszykówkę i tenisa, udzielała się w organizacjach uczniowskich. Pochodziła z zamożnej rodziny – w wakacje nie musiała pracować, natomiast korzystała z oferty firmy Hartney, która organizowała kulturalne wyjazdy zagraniczne dla nastolatków. Alexis była w Australii, Francji i Hiszpanii. W głowie Phoebe narodziła się pewna myśl.

W rubryce zawód przy imieniu matki Alexis widniała informacja: gospodyni domowa. Przy odrobinie szczęścia powinnam ją zastać, pomyślała Phoebe i wykręciła numer.

– Pani Grey? – zapytała po tym, jak usłyszała w słuchawce kobiecy głos.

– Przy telefonie.

– Witam. Nazywam się Phoebe Smart i dzwonię z Hartney Student Travel. Prowadzimy ankietę wśród rodziców, których dzieci korzystały z naszej oferty. Ma to na celu podniesienie jakości usług. Czy mogę zabrać pani chwilę?

– Właśnie miałam wyjść. Czy to długa ankieta?

– Tylko kilka pytań. Pani pomoc będzie bezcenna.

– Dobrze. Ale tylko kilka.

– Rozumiemy, że Alexis była zadowolona z wyjazdów. Skorzystała z trzech.

– Tak, była zadowolona. Nie muszę mówić, że są horrendalnie drogie, ale uznaliśmy, że warte swojej ceny.

– Co podobało jej się najbardziej?

– Towarzystwo. Była też zadowolona z programu. Czowała, że dużo się uczy.

– Czy któryś z programów szczególnie przypadł jej do gustu? Najdłużej była w Australii.

– Australia była dobra, ale każdy z programów miał coś ciekawego.

– Co Alexis robi teraz? Jest w college’u?

Matka dziewczyny odpowiedziała dopiero po chwili.

– W styczniu zacznie studia na Uniwersytecie Maryland.

– To świetna uczelnia – skomentowała Phoebe. – Ale teraz nie chodzi do żadnej szkoły?

– Teraz pracuje. Tutaj, w GAP-ie w Galerii Crossgates. Wie pani, żeby nie marnować czasu.

– Wiele dzieciaków, które jeździły z nami, tak robi. Muszą odpocząć i...

– Przepraszam, ale mam lekcję tenisa. Kierowca już jest. Naprawdę muszę kończyć.

– Rozumiem. – Phoebe chciała poprosić o numer telefonu komórkowego Alexis, ale mogło to wzbudzić podejrzenia. Wiedziała, gdzie pracuje. Zawsze to coś.

Phoebe odłożyła słuchawkę i wrzuciła w wyszukiwarkę imię i nazwisko Alexis. Ani jednej informacji. Ciekawe. Znalazła GAP-a, o którym mówiła matka Alexis, i sprawdziła dojazd. Podróż mogła jej zająć około trzech godzin. Postanowiła wyjechać następnego dnia po śniadaniu.

Miała nadzieję, że czas uleczył rany Alexis i złe wspomnienia odeszły w niepamięć, jednak zdawała sobie sprawę, że mogą to być tylko jej pobożne życzenia i dziewczyna nadal nie będzie chciała rozmawiać o tym, co się stało.

Gdybym wiedziała więcej o Szóstkach, pomyślała. To na pewno by mi pomogło wyciągnąć coś z Alexis.

Nagle przyszła jej do głowy pewna myśl i Phoebe sięgnęła po telefon. Przed laty miała okazję przeprowadzić wywiad z psychologką Candace Aikens. Specjalizowała się w psychologii

nastolatek i młodych kobiet po dwudziestce. Phoebe interesował wtedy temat byłych dzieci – gwiazd. Była pod wrażeniem doświadczenia i wiedzy psycholożki. Zaciekawilo ją, czy i na ten temat miałyby coś do powiedzenia. Phoebe odszukała numer w telefonie. Nikt nie odbierał, więc zostawiła wiadomość.

Potem zabrała się do zaległych maili. Pół godziny później zadzwonił telefon. Dzwoniła doktor Aikens.

– Przez jeden semestr prowadzę zajęcia w pewnym małym college’u. Jestem ciekawa pani opinii w związku z wydarzeniami, które miały tu miejsce – wyjaśniła Phoebe przyczynę, dla której kontaktowała się z psycholożką.

– Służę pomocą. Trudny wiek, prawda?

– Bywa ciężko. Są tak różni od nas, kiedy byliśmy w ich wieku. Sprawa jest następująca: wiele wskazuje na to, że na terenie college’u działa tajne bractwo. Bractwo dziewczyn. Nie wiemy o nich zbyt wiele, ale wiemy, że potrafią być okrutne i że jedna z dziewcząt wyładowała w szpitalu po ataku paniki. Powiedziała lekarzowi, że znęcały się nad nią.

– Och, to teraz powszechne zjawisko.

– Już w college’u?

– Oczywiście. Zbijają się w stada jak wilki. Nazywam to dzikimi grupami.

– Dzikimi? Co dokładnie robią?

– Znęcają się. Zastraszają. Prześladują. Potrafią być agresywne seksualnie. Wręcz drapieżne. Śledzą chłopców, z którymi spały, i przekazują sobie informacje. Kiedyś w ten sposób zachowywali się tylko chłopcy.

– Wiem, jakie potrafią być młode kobiety. Ale już w *tych* wieku?

– Czasy się zmieniają. Weźmy takie *reality shows*. Pewne zachowania, które niegdyś były potępiane, teraz są w porządku. Zniszczyć kogoś, donieść, upokorzyć publicznie... Za to dostaje się dziś nagrody!

– Brzmi przerażająco.

– Nie mówię, że wszystkie są takie. Jest też mnóstwo świetnych, wrażliwych dziewczyn. Zdarzają się jednak patologie. I dotyczą dziewcząt, o których rozmawiamy – tych, które zbijają się w tak zwane stada. Często w dzieciństwie były wykorzystywane lub mają za sobą inne traumy. Kiedyś istniały normy społeczne, zgodnie z którymi należało ukrywać agresję, teraz mogą odrealizować. Wszystko jest dozwolone.

– Każda z dziewczyn należących do grupy ma za sobą ciężkie przeżycia?

– Głównie dotyczy to przywódczyń. Pozostałe dziewczyny przyciąga chęć przynależności do grupy i profitów, jakie to za sobą niesie. Zdarza się, że po prostu działa charyzma królowej.

– Królowej? – Phoebe poczuła, jak przebiegają ją dreszcze.

– Tej najważniejszej, która pociąga za sznurki. Teoretycznie wszystkie członkinie grupy są tak samo ważne, ale ona – jak by to ująć – jest najważniejsza. Królowa wśród księżniczek.

Phoebe pomyślała o Blair. Piękna. Pewna siebie. Niczego się nie boi.

– I to wystarczy, by normalna, miła dziewczyna zaczęła robić to, czego nie powinna?

– Niektóre z nich, zanim się zorientują, siedzą w tym po uszy. A wtedy jest im ciężko.

Chętnie bym porozmawiała dłużej, ale za chwilę mam pacjenta.

– Jasne. Dziękuję, bardzo mi pani pomogła.

Phoebe odłożyła telefon. Na dworze było już ciemno. Rzuciła się w kierunku kontaktów i błyskawicznie pozapalała światła w całym domu. Kiedy skończyła, z trudem łapała oddech.

Wróciła za biurko i zaczęła spisywać swoją rozmowę z doktor Aikens, zastanawiając się, ile z tego, co mówiła, mogło dotyczyć Szóstek. Czy miały w programie zaliczanie chłopców i kolekcjonowanie ich skalpów? Nic takiego nie wynikało z jej rozmowy z Lily, ale Phoebe

wiedziała, że dziewczyny w tym wieku potrafią się dobrze maskować. Zastanawiała się też, czy faktycznie Blair mogła być przywódczynią Szóstek, czy za ich działaniami stała inna „królowa”.

Zrobiło się późno. Phoebe poszła na górę. Próbowwała czytać, jednak nie mogła się skoncentrować. Nawet najmniejszy dźwięk, skrzypnięcie czy szum wiatru powodował, że w panice patrzyła w kierunku drzwi do sypialni. W pewnym momencie jej wzrok padł na pomięte prześcieradło i wróciły wspomnienia nocy spędzonej z Duncanem. Choć Alec był dobry w łóżku (a były czasy, że nawet bardzo dobry), ostatni rok ich związku wywołał w niej tęsknotę za czymś wyjątkowym. Aleca wyraźnie nie interesowały już jej potrzeby. Duncan wydawał się spełnieniem jej marzeń. Seks z nim był dla Phoebe jak powiew świeżości. Czowała się spełniona, a jednocześnie bezpieczna, gdy był obok. Zachowujesz się jak dziecko, skarciła samą siebie. Zamki zostały zmienione. *Jesteś bezpieczna.*

Z zamyślenia wyrwał ją dźwięk telefonu komórkowego. Aż podskoczyła. Myślała, że dzwoni Duncan.

Po drugiej stronie usłyszała szorstki, skrzypiący głos.

– Mam nadzieję, że pani nie obudziłem.

– Przepraszam, kto mówi? – zapytała Phoebe.

– Hutch Hutchinson. Poznaliśmy się wczoraj.

– Witam – ucieszyła się Phoebe. – Nie, nie śpię.

– Myślę o naszej rozmowie – powiedział Hutch. – O tajnej grupie, o której pani mówiła.

I myślę, że mam coś dla pani.

Hutch Hutchinson mieszkał na obrzeżach Lyle, w odległości, jak się okazało, około pół kilometra od domu Phoebe. Kiedy dotarła na miejsce, zobaczyła domek z bali, położony wśród sosen, tuż obok gęstego lasu. Przed domem stała czerwona honda i czarna furgonetka. Dachy i przednie szyby obu samochodów pokrywała warstwa sosnowych igieł.

Phoebe usiłowała wydobyć coś z Hutchinsona przez telefon, ale ten był nieugięty. Miała nawet przez chwilę wrażenie, że po prostu zależy mu na tym, by się zwyczajnie spotkać z drugim człowiekiem. Zaproponowała spotkanie o ósmej trzydzieści następnego ranka. Później wybierała się do Maryland.

– Zapraszam do mnie – powiedział Hutchinson. – Stawiam dobrą kawę.

Wizyta oznaczała późniejszy wyjazd, ale Phoebe była bardzo ciekawa, co też Hutch ma do powiedzenia.

Gdy tylko wysiadła z samochodu, owionął ją zapach sosen. Z jednej strony tak wyobrażała sobie miejsce, w którym chciałyby mieszkać podczas pobytu w Lyle, z drugiej – bałaby się jednak pozostawać w tak odludnej okolicy. Zapukała do drewnianych drzwi domku. Po drugiej stronie panowała cisza. Czyżby Hutch jeszcze spał? Phoebe usłyszała z tyłu coś, co kazało jej się odwrócić. Od strony drewnianego hangaru biegł w jej kierunku pies myśliwski. Posiwiata sierść retrievera świadczyła o podeszłym wieku. Nagle po jego prawej stronie pojawił się mały chihuahua, skacząc jak sprężyna prawie na wysokość ramion Phoebe.

– Ginger, dajże kobiecie docenić krajobraz – usłyszała głos. Z hangaru wyszedł Hutch. Miał na sobie luźne spodnie, solidne buty i koszulę w szkoeką kratę. – Poza tym wypada się spytać, czy pani lubi psy.

– Bardzo – powiedziała Phoebe. Duży pies lizał ją po rękach, podczas gdy Ginger podskakiwała u jej stóp jak mały jelonek. – Chociaż przyznam, że taki zestaw to lekkie zaskoczenie.

Hutch roześmiał się. Jego śmiech był głośny, ale Phoebe wyczuła w nim nutę smutku.

– Ginger należała do mojej żony, Becky – wyjaśnił Hutchinson. Jedną ręką wystarczyła mu, by podnieść psiaka. – Becky zmarła dwa lata temu. A Ginger od tej pory wariuje na widok każdej milej kobiety.

– Przykro mi – powiedziała Phoebe.

– Dziękuję. Takie pieski nie są w moim stylu. Mój typ to psy w rodzaju Sunny. – Hutch wskazał na retrievera. Ale za Ginger przepadam. Wejdźmy do środka.

W domu Hutchinsona nie było może zbyt porządnie, za to przytulnie. W powietrzu unosiła się mieszanka zapachów. Pachniało psią sierścią, dymem z fajki, świeżą kawą, palonym drewnem, które tliło się w kominku. Nad kominkiem wisiało oprawione zdjęcie Hutch'a i jego żony. Becky była ładną, pulchną kobietą, której twarz wyrażała spokój i przywiązanie do męża.

– Proszę się czuć jak u siebie w domu. – Hutch szerokim gestem zasugerował, by usiadła, gdzie będzie jej najwygodniej. – Kawa czeka.

Phoebe usiadła na kanapie. Hutch z pewnością lepiej będzie się czuł w dużym skórzanym fotelu. Fakt, wyciągnął się na nim z przyjemnością. Naprzeciwko kanapy stał stolik, a na nim dzbanek z kawą, kubki, cukier i mleko. Phoebe nalała sobie kubek parującego naparu. Wypiła łyk.

– Świetna – pochwaliła.

– To moja jedyna zaleta jako kawalera – odpowiedział Hutch. – No i nie jestem łysy. Ale na tym koniec.

– Nie jest źle. Wielu kobietom to całkowicie wystarczy.
– Dobrze wiedzieć. – Hutch uśmiechnął się ciepło. Wokół jego oczu pojawiły się drobne zmarszczki. – Ale przejdźmy do rzeczy. Wiem, że pani się spieszy, więc będę się streszczał.

– Dzięki. Szóstki ostatnio nieźle zalazły mi za skórę, więc jestem bardzo ciekawa, co pan wie. – I Phoebe opowiedziała Hutchowi o historii ze szczurami.

– Jasna cholera! – Był wyraźnie zgorzony. – Proszę wybaczyć brzydkie słowo, ale takie rzeczy doprowadzają mnie do szału. Nigdy wcześniej nic podobnego nie miało miejsca, jednak po tym, jak powiedziała mi pani o tej grupie, dużo o tym myślałem. I coś mi się przypomniało. *Było* coś, co mogło oznaczać, że stowarzyszenie, o którym pani mówi, działało.

Phoebe zamieniła się w słuch.

– Niech pan opowie, proszę.

– Mówiła pani, że Szóstki to grupa dziewczyn. Szukałem więc czegoś, co zazwyczaj łączy dziewczyny. Na co dzień nie rozrabiają za bardzo, no, może czasem się napiją i nabałagania tu i tam. W końcu doszedłem do wniosku, że jest coś, co mogło być powodem kłótni.

– Chłopak? – domyśliła się Phoebe.

– Tak jest. – Hutch się uśmiechnął. – I to pewnie taki, który nie jest tego wart. Nie mogłem jednak przypomnieć sobie żadnego wydarzenia z udziałem grupy dziewcząt. Zazwyczaj rozrabiają chłopcy.

Hutch pociągnął łyk kawy. Odstawił kubek na drewniany stolik.

– Wczoraj wieczorem, kiedy po kolacji wyszedłem z psami na spacer, coś mi przyszło do głowy. Była wczesna jesień zeszłego roku, tuż przed tym, zanim musiałem odejść ze stanowiska. Kilku chłopców zgłosiło, że na drzwiach ich pokoi w akademiku od kilku dni pojawiają się namalowane czarną farbą znaki „V”. Przyszli do nas natychmiast. Za takie rzeczy jak niszczenie pokoi i ich wyposażenia studenci muszą płacić z własnej kieszeni. To naturalne, że chcieli tego uniknąć. Wysłałem jednego z kolegów, żeby zbadał sprawę. Chłopcy nie mieli pojęcia, kto mógł pomalować ich drzwi.

Hutch przerwał. Po chwili mówił dalej.

– Pewnie pomyślała pani, że wiedzieli, kto to zrobił, tylko nie chcieli mówić. Studenci zazwyczaj kryją jedni drugich. Później rozmawiałem z nimi osobiście i odniosłem wrażenie, że oni *naprawdę* nie wiedzieli, kto mógł zniszczyć drzwi. Wczoraj wieczorem odnalazłem notatki z tej sprawy. Zawsze miałem własne dokumenty oprócz tych, które trzymałem w biurze. I niech pani zgadnie.

– Nie zgadnę. – Phoebe czuła, że Hutch specjalnie buduje napięcie, że jej towarzystwo i uwaga sprawiają mu przyjemność.

– Znak „V” pojawił się dokładnie na sześciu drzwiach.

Kolejna informacja, że grupa istnieje, pomyślała Phoebe. Tylko co z tego?

– Czy coś łączyło tych chłopców? – zapytała. – Na przykład grali w jednej drużynie?

– Nie, nic z tych rzeczy. Co ciekawe, chłopcy mieszkali w różnych akademikach. Jasne więc było, że to nie był przypadek – zostali wybrani.

– To straszne! – zawołała Phoebe. – Wybrani? Do czego, pana zdaniem?

– Tego nie wiem – odparł Hutch, jednak Phoebe czuła, że ma jakąś hipotezę. Hutch po raz kolejny pociągnął łyk kawy.

– Czy używa się jeszcze słowa „oferma”?

– Chyba tak. Dlaczego pan pyta?

– Jak już wspominałem, rozmawiałem z każdym z tych chłopców. Każdy z nich zrobił na mnie wrażenie lekkiej ofermi. Kogoś takiego, co to nigdy nie pójdzie na bal i jest dobry

z matematyki.

– Myśli pan, że ktoś się nad nimi znęcał?

– Też mi to przeszło przez głowę, więc podpytałem tu i tam. Ale niczego nie znalazłem.

– Ciekawe – powiedziała Phoebe. – Ale co z tego wynika?

Popatrzyła na zegarek. Minęła dziewiąta. Najwyższy czas, by ruszać. Wizyty u Hutcha nie uważała za czas stracony – to był na pewno wartościowy kontakt i dobrze, że miała go po swojej stronie. Z pewnością jeszcze na coś wpadnie, jednak w tym momencie informacje, które jej przekazał, nie wniosły zbyt wiele. Phoebe liczyła na rozmowę z Alexis. Hutch odprowadził ją w asyście skaczących psów. Uzgodnili, że będą w kontakcie. Na koniec Hutch wspomniał, że ma dla niej coś jeszcze.

– Pamięta pani, opowiadałem o chłopaku, który ocknął się w rzece? Podałem pani jego nazwisko. Wesley Hines. Tak właśnie się nazywał, skończył szkołę na wiosnę.

Phoebe jeszcze raz podziękowała. Zanim włączyła silnik, nastawiła GPS na Crossgates Mall. Piętnaście minut zajęło jej dostanie się na drogę szybkiego ruchu w kierunku Lancaster w Pensylwanii.

Krajobrazy za oknem zmieniały się wraz z upływem kilometrów. Skupiska wielkich bloków, przypominających ogromne grzyby, ustąpiły wzgórzom i położonym na nich wielkim, nowoczesnym farmom z silosami i czerwonymi budynkami gospodarczymi. Wiele farm otoczonych było przez pola, na których widniały resztki suchych łodyg kukurydzy. Czasem za oknem migały zabudowania amiszów. Nagle na jednej ze stodół Phoebe dostrzegła heksagon, wielki i groźny.

Okolo dziesiątej Phoebe wykonała dwa telefony. Pierwszy do sklepu GAP w galerii. Zapytała o Alexis. Chciała mieć pewność, że zostanie dziewczynę w pracy.

– Zeszła na chwilę do magazynu – powiedział młody człowiek, który odebrał telefon. – Poczekaj pani?

– Nie, dziękuję. Zadzwoń później – odparła Phoebe i wybrała numer asystentki Glendy. Wyjaśniła, że do celów śledztwa, które zleciła jej Glenda, potrzebuje kontaktu do jednego z byłych uczniów szkoły, Wesleya Hinesa. Asystentka obiecała, że wydobędzie dane i prześle jej mailem.

W Lancaster Phoebe skierowała się na południe drogą I-83. Ruch się wzmaczał, chwilami samochody jechały jeden za drugim. Pojawiły się drogowskazy na Baltimore. Wszyscy wydawali się zagonieni, każdy gdzieś się spieszył. Wystarczyły dwa miesiące w Lyle, by tłok i hałas zaczęły jej przeszkadzać. Czowała się jak ktoś, kogo porwano, i kto, uwolniony po pewnym czasie, ze zdziwieniem odkrywa, że życie nadal się toczy i toczyło przez cały ten czas, kiedy on siedział odcięty od świata.

Chociaż z lekka surrealistycznie, Phoebe czuła się jednocześnie naładowana energią. Miała zadanie. Po raz pierwszy od czasu, gdy oskarżenie o plagiat zmusiło ją do wycofania się z aktywnego życia. Co prawda nie było żadnych powodów ku temu, by sądzić, że podróż zakończy się sukcesem, jednak Phoebe wiedziała, że *musi* coś znaleźć. Było to dla niej bardzo ważne.

Od czasu do czasu jej myśli biegły do Duncana. Dzień wcześniej, już w łóżku, myślała o tym, jak się kochali, ale nie to ją niepokoiło. W tym wszystkim nie chodziło o pożądanie. Chodziło o niego. Pociągał ją jako *człowiek*. I właśnie to było niebezpieczne. Dlatego odmówiła, gdy po raz pierwszy zaprosił ją na kolację. Podświadomie walczyła z uczuciem, które mogłoby się narodzić.

Do czego to prowadzi, pytała samą siebie. W styczniu – najpóźniej w maju – planowała wrócić do Nowego Jorku. Ostatnia rzecz, o jakiej marzyła, to emocjonalne zaangażowanie

w związek z kimś, kto mieszkał w Lyle. Poza tym, o ile wiedziała, Duncan też by tego nie chciał. Zwłaszcza po tym, przez co przeszedł w ciągu ostatnich dwóch lat.

Pomimo ruchu na szosie Phoebe dosyć sprawnie pokonała kilometry dzielące ją od celu i chwilę po dwunastej w południe zaparkowała przy Crossgates Mall. Od lat nie była w podmiejskim centrum handlowym i kiedy weszła do środka, poczuła się nieco przytłoczona. Było ciasno i głośno. Z jednej strony muzyka, głosy rozmów, szum wody w fontannach, z drugiej – reklamy, plakaty, standy. Dzięki mapie Phoebe zorientowała się, że GAP znajduje się na parterze. Zdjęła okulary przeciwsłoneczne i weszła do sklepu.

W środku kilku klientów przeglądało półki z džinsami i T-shirtami. Phoebe podeszła do stołu, na którym piętrzyły się golfy. Podniosła głowę i rozejrzała się. W sklepie były dwie osoby z obsługi – jedna Afroamerykanka około czterdziestki i biały chłopak w wieku dwudziestu lat. Ani śladu dziewczyny w tym wieku. Może Alexis znowu zeszła do magazynu.

Phoebe pokręciła wokół stoiska ze swetrami. Minęło kilka minut, ale Alexis się nie pojawiła. Phoebe już się zaczęła niepokoić, że z rozmowy nic nie będzie, gdy zauważyła drzwi do sekcji z ubraniami dziecięcymi. Przeszła przez drzwi i od razu spostrzegła ładną brunetkę. Na głowie miała słuchawki. Układała na półkach małe słodkie sweterki. To ona, pomyślała Phoebe.

Zatrzymała się w drzwiach, nie chcąc wchodzić i zwracać na siebie uwagi. Po chwili do sekcji dziecięcej weszła kobieta z działu młodzieżowego. Zaczęła rozmawiać z brunetką, a Phoebe nastawiła uszu, z nadzieją, że kobieta zwróci się do brunetki po imieniu. Nic takiego jednak nie nastąpiło. W każdym razie nikogo innego z obsługi w sklepie nie było i Phoebe nabrała pewności, że brunetka to Alexis.

Wyszła ze sklepu, usiadła na ławce naprzeciwko wejścia i wybrała numer sklepu.

– Chciałabym dzisiaj zajrzeć do działu dziecięcego, ale muszę wiedzieć, czy zastanę Alexis – powiedziała, usłyszawszy w słuchawce głos. – Ostatnim razem bardzo mi pomogła.

– Alexis jest – odpowiedział żeński głos.

– To świetnie. W porze lunchu też będzie?

– Tak. Ma przerwę dopiero o drugiej.

Phoebe skoczyła do łazienki, po czym z kubkiem kawy i gazetą rozpoczęła czekanie.

Zobaczyła Alexis około pierwszej czterdzieści pięć. Nieco przed czasem, szybkim krokiem zmierzała w kierunku wyjścia. Phoebe poderwała się i ruszyła za dziewczyną. Ta usiadła w jednym z barów szybkiej obsługi, gdzie kupiła pepsi i kawałek pizzy. Phoebe wzięła głęboki oddech i podeszła do dziewczyny.

– Alexis? – zapytała. Zauważyła, że ta zrzuciła z pizzy cały ser, którego smętne kawałki leżały na tłustym papierze. Alexis podniosła oczy, spodziewając się koleżanki z pracy lub kogoś znajomego. Na widok Phoebe uniosła brwi.

– Tak?

– Nazywam się Phoebe Hall. Mogę usiąść? – Phoebe nie czekała na odpowiedź. Usiadła na pustym krześle po drugiej stronie stołu. Alexis była ładna, ale z bliska Phoebe zauważyła na jej policzkach i czole zaczerwienienia, rodzaj trądziku różowatego, który często pojawia się pod wpływem stresu.

– O co cho... Kim pani jest? – Alexis była zaniepokojona. Phoebe czuła też, że dziewczyna zaczyna się denerwować.

– Jestem nową nauczycielką w college'u w Lyle. Chciałabym porozmawiać.

Twarz Alexis poczerwieniała jeszcze bardziej. Oparła obie ręce o stół i zaczęła mocno kołysać się na krześle. Stukanie nóg krzesła o podłogę zwróciło uwagę obsługi.

– Już im mówiłam – syknęła Alexis. – I nie mam *nic* więcej do powiedzenia.

Wcisnęła kapsel z powrotem na butelkę pepsi i szykowała się do wstania.

– Wiem, że masz za sobą okropne przeżycia – powiedziała szybko Phoebe. – Na pewno ciężko ci mówić. Ale jeśli ktoś prześladowuje i znęca się nad dziewczętami w Lyle, to się powinno skończyć. Natychmiast.

Alexis wbiła wzrok w butelkę, kiwając głową do przodu i tyłu. Nie odpowiedziała.

– Słyszałaś o śmierci Lily Mack? – zapytała Phoebe.

Brązowe oczy Alexis błysnęły.

– Coś już wiadomo? – odpowiedziała pytaniem. Najwyraźniej wiedziała, co się stało. Nie wydawała się zaskoczona.

– Mamy powody, by sądzić, że Lily należała do Szóstek. Musimy dowiedzieć się, czy Szóstki mają cokolwiek wspólnego z jej śmiercią.

Na dźwięk słowa „Szóstki” Alexis się wzdrygnęła. Teraz w milczeniu zbierała resztki pizzy do papierowej torby leżącej na stole.

– Powiesz mi, co ci zrobiły? – spytała Phoebe.

– Ostrzegam, niech pani *nigdy* więcej nie szuka ze mną kontaktu – powiedziała Alexis, wstając. – Mój wujek jest prawnikiem. Dostanie pani zakaz. Czy to jasne?

Phoebe nie była z tych, które dadzą się zastraszyć prawnikami. Miała z nimi do czynienia przy okazji pisania każdej z książek i nigdy nie pozwoliła sobie wejść na głowę. Tu jednak chodziło o college i Glendę. Nie chciała, żeby ktoś miał przez nią kłopoty.

Również wstała. Zanim się odwróciła, uważnie popatrzyła w oczy Alexis. Wydawała się wściekła, prawie traciła panowanie nad sobą. Ciekawe, czy zacznie wrzeszczeć. To by było *coś*.

– Przepraszam, że zawracałam ci głowę – powiedziała Phoebe spokojnie. – Jestem pewna, że ostatni rok był dla ciebie trudny.

– Nie ma pani o tym bladego pojęcia – odpowiedziała dziewczyna.

– Może jednak mam – ciągnęła Phoebe. – Ostatnio Szóstki uwzięły się na mnie. Włamały się do mojego domu i zrobiły coś strasznego.

Położyła na stole swoją wizytówkę.

– Jeśli zmienisz zdanie, zadzwoń. Chciałabym, żeby już nikt nigdy przez nie nie cierpiał.

Alexis przybrała obojętny wyraz twarzy, jednak różowe plamy jeszcze pociemniały. Phoebe wolno ruszyła w kierunku wyjścia, ciągle z nadzieją, że dziewczyna zdecyduje się na rozmowę z nią. Jednak nie. Już przy drzwiach Phoebe odwróciła się dyskretnie. Alexis biegła w kierunku GAP-a. Torba z resztkami pizzy i butelka pepsi zostały na stole. Zapewne podobnie jak wizytówka Phoebe.

W drodze do samochodu Phoebe przeklinała samą siebie. Nawaliła. Na całej linii. Choć nadal nie miała pojęcia, jak mogłaby cokolwiek wyciągnąć od tak nerwowej dziewczyny.

Zadzwoił telefon. Phoebe spojrzała na wyświetlacz, z nadzieją, że dzwoni Glenda lub Duncan. Na wyświetlaczu pojawił się jednak komunikat „numer prywatny”.

– Słucham? – powiedziała Phoebe.

Po drugiej stronie słyszała tylko czyjś oddech. Ale nikt się nie odezwał.

– Kto mówi? – Phoebe poczuła, że jej serce zaczyna bić szybciej.

– Żeby pani nie przyszło do głowy powiedzieć komukolwiek, że ze mną rozmawiała – usłyszała stłumiony głos. Alexis. Więc jednak wzięła wizytówkę.

– Nikt się nie dowie. Obiecuję.

– Trzymam za słowo. Jak się dowiedzą, znowu spróbują mnie zniszczyć. W nowej szkole.

– Dlaczego ci to robią? – zapytała Phoebe. – Bo chciałaś odejść?

– Tak – głos Alexis zabrzmiał płaczliwie. – I zagroziłam im, że o wszystkim powiem.

– O grupie? O co im chodzi?

– Powiedziałam, że powiem dyrekcji. O nich. O tym, co zrobiły. O pieprzonych *kręgach*.

Musiała namówić Alexis na spotkanie. Tylko w ten sposób uda jej się z niej cokolwiek wyciągnąć. Może wtedy dziewczyna przestanie się tak denerwować.

– Dałabyś radę zobaczyć się ze mną na chwilę? – Phoebe starała się, by jej głos brzmiał tak spokojnie, jak tylko się da. Sytuacja przypominała skradanie się w kierunku płochliwego ptaka, który lada chwila może poderwać się do lotu. – Myślę, że łatwiej nam będzie, gdy porozmawiamy twarzą w twarz.

Dziewczyna westchnęła, wyraźnie nie wiedząc, co robić. Phoebe milczała, w obawie że naciski mogą dziewczynę przestraszyć.

– Jest tu pani jeszcze? – usłyszała po chwili głos Alexis.

– Tak, na parkingu – powiedziała.

Alexis znowu westchnęła. Tym razem brzmiało to prawie jak jęk.

– Spotkamy się, ale nie *tutaj* – w głosie Alexis czuć było desperację. – Za Friendly jest kontener na śmieci. Tam się widzimy, ale tylko na dziesięć minut. Ani sekundy dłużej.

Phoebe nie miała pojęcia, gdzie leży Friendly, nie chciała też tracić czasu na powrót do centrum handlowego i szukania na mapie. Pobiegła w kierunku zaplecza centrum. W jesiennym słońcu lśniły szeregi kontenerów – stały praktycznie na tyłach każdego ze sklepów. Nie będzie na mnie czekała, pomyślała Phoebe w panice. Skierowała się ponownie w stronę wejścia do sklepów. Po drodze poprosiła o pomoc kobietę taszczącą dwoje dzieci i kilka siatek. Ta wskazała jej głową miejsce, gdzie znajdował się sklep „Friendly”. Trzeba było iść w prawo. Phoebe zaczęła biec, mijając niekończący się szereg samochodów. Żeby dotrzeć do celu, musiała okrążyć prawie całe centrum. Alexis już była na miejscu. Stała ze skrzyżowanymi na piersiach rękoma, przestępując z nogi na nogę.

– Dziękuję za spotkanie, Alexis – powiedziała Phoebe, zdyszana. Chciała objąć dziewczynę na powitanie, ale szybko porzuciła tę myśl. Alexis wyglądała na osobę, od której lepiej trzymać się na dystans.

– Jest pani pewna, że się nie dowiedzą? – zapytała, rzucając przestraszone spojrzenia na prawo i lewo. Jakby spodziewała się, że któraś z Szóstek wyskoczy nagle zza maski jednego z samochodów.

– Jestem. Jediną osobą, która wie o mojej wizycie tutaj, jest dyrektorka szkoły. I będzie bardzo zobowiązana, jeśli nam pomożesz.

– Robię to, bo jest tak, jak pani mówiła. Trzeba z tym skończyć. Nie chcę, żeby działały dalej.

– Wiem. Pomóż mi. O co chodzi Szóstkom?

Alexis prychnęła pogardliwie.

– Chodzi o władzę. Władzę kobiet. W każdym razie *wydaje* im się, że ją mają. Zadanie to być zawziętym, bojowym i rządzić światem. Zdobywać wszystko, czego się chce. Dziewczyny, które wykorzystują do tego celu, łączy zawsze to samo: są ładne i inteligentne. Oraz twarde.

– Ile osób liczy sobie grupa? I co *dokładnie* robią?

– Około czterdziestu – powiedziała Alexis. – Mają się wspierać, pomagać sobie wzajemnie. Załatwiać różne rzeczy. W szkole, z chłopakami. I po skończeniu szkoły też.

– Jak to?

– Tego dokładnie nie wiem. Chyba chodzi o kontakty. Mogą dużo załatwić.

– Czy na ich czele stoi Blair Usher?

Alexis wzdrygnęła się.

– Tak myślę. W każdym razie to ona prowadziła spotkania. Jednak czasem miałam wrażenie... Zdawało mi się, że nie decydowała sama.

– Mówiłaś coś o kręgach. Miałas na myśli coś takiego jak ustawianie – na przykład – sześciu krzeseł lub innych przedmiotów, tak by tworzyły krąg?

– Co takiego? – Alexis była jednocześnie zdziwiona i zirytowana. Widać było, że rozmawianie o Szóstkach ją wykańcza i cierpliwość dziewczyny jest na wyczerpaniu. – Nie chodzi o kręgi w dosłownym tego słowa znaczeniu. Chodzi o kręgi *członkowskie*. Żeby dostać się do kręgu wewnętrznego, trzeba było przejść przez sześć tych pieprzonych kręgów.

– Stąd nazwa grupy – Szóstki?

– Tak. Poza tym grupę założyło sześć dziewczyn.

– Zaliczanie tych kręgów to coś w rodzaju testu? – zapytała Phoebe.

– Tak. – Alexis zaczęła się nerwowo kręcić. – Pierwszy krąg nazywał się „Deklaracja”. Trzeba było zostawiać znaki – szóstki – w różnych miejscach, na przykład na budynkach, jako dowód na to, że się chce należeć do grupy. To było łatwe, coś jak zabawa.

– A potem? – drążyła Phoebe.

– Drugi etap to „Wyznanie”. Musisz zdradzić jakąś swoją najgłębszą tajemnicę. Powiedzieć coś, o czym nigdy wcześniej nikomu nie mówiłaś. – Alexis przez chwilę patrzyła Phoebe w oczy. – I musi to być coś bardzo złego.

– Czyli trzeba udowodnić lojalność. Każdy z kolejnych etapów jest coraz trudniejszy?

– Tak. – Alexis powiedziała szybko, jakby wypluwając z siebie to słowo. – Kiedy dowiedziałam się, jakie jest trzecie zadanie, nie chciałam tego zrobić. Ale wtedy nie ma już wyboru. Dają ci do zrozumienia, że nie można się wycofać.

– Co to było za zadanie?

– „Dominacja”. Znęcanie się nad inną studentką – taką pacanką, której nikt nie lubi. Wie pani, są takie. Nigdy nie dają ci dojść do słowa, na lekcjach wiecznie z ręką w górze, czasem to zwykle dziwki. Trzeba je nękać chamskimi mailami, można wykasować im pracę semestralną z laptopa albo ukraść komórkę. Blair zawsze powtarzała, że one na to *zasługują*.

– A szkoła? Nikt się nie zorientował, co się dzieje?

– Nie wiem. Pracę możesz skasować przez przypadek. Nie chciałam tego robić, przysięgam. Jednak kiedy zaczynasz się bronić, to oznacza początek zastraszania. Najpierw niby żartem, ale sytuacja jest poważna. *Znają twoją największą tajemnicę*.

– Jednym słowem, zmusiły cię też do przejścia przez czwarty etap?

– Pra... prawie – usta Alexis zaczęły się trząść. – Ale postanowiłam, że tego nie zrobię. Nie dałam rady. Trzeba było przespać się z chłopakiem. To się nazywało „Rzucanie czaru”. Jak już się z nim prześpisz, rzucasz go i rozpowiadasz, jakim jest kretynem. Zostawiasz określone znaki. Oczywiście, anonimowo. Był też warunek – facet miał być kompletnym frajerem, oferma. To zadanie miało cię nauczyć panowania nad facetami i pokazania im, gdzie ich miejsce. Dla mnie wybrały chłopaka, o którym słyszałam, że w szkole średniej próbował popełnić samobójstwo. Nie mogłam mu tego zrobić. Co by było, gdyby przeze mnie znowu się załamał?

Alexis zaczęła cicho płakać. Po jej rozgorączkowanych policzkach płynęły łzy.

Czyżby stąd znaki na drzwiach, pomyślała Phoebe. Przypomniała sobie słowa, w jakich Hutch opisywał chłopców.

– Wiesz coś o tym, by Szóstki malowały znaki na drzwiach pokoi tych chłopców?

Alexis otworzyła szeroko oczy, zaskoczona.

– Tak – powiedziała. – Chociaż nie sądzę, żeby oni mieli pojęcie, skąd się te znaki wzięły. Byli zawstydzeni i ośmieszeni, nie wiedzieli, że to po prostu część *planu*.

– I wtedy postanowiłaś, że odchodzisz.

– Blair powiedziała, że nie mogę. Że jeśli to zrobię, pożałuję. Byłam twarda. Powiedziałam, że nie dbam o to, a jak coś mi zrobią, powiem o wszystkim w szkole. Usłyszałam, że zemsta nadejdzie, a ja będę żałować do końca swoich dni.

Alexis zaczęła szlochać, z trudem łapiąc powietrze. Phoebe zobaczyła nagle samą siebie, przed laty, kiedy mieszkając w szkole z internatem, szlochała w nocy w poduszkę, z nadzieją że Glenda nie słyszy. Przygryzła dolną wargę, zmuszając się do powrotu do rzeczywistości.

– I zemsta nadeszła? – spytała łagodnym głosem.

– Tak – powiedziała Alexis. – Wie pani, co zrobiły te dziwki? Pewnego lata, przed rozpoczęciem szkoły średniej nagrałam głupi filmik z sobą i moim ówczesnym chłopakiem w seksualnej sytuacji. To był mój najbardziej wstydlivy sekret. I powiedziałam o tym Szóstkom. Kazały mi pokazać film. Kiedy odeszłam, Blair wysłała go Chrisowi, mojemu chłopakowi w Lyle. Kochałam go. Gdy zobaczył film, zerwał ze mną. Zagroziły mi, że jeśli pisnę słowo w szkole, wyślą film dyrektorze i moim rodzicom. A jeśli dowiedzą się, że idę na uniwersytet w Maryland, wyślą go też tam.

– Wszystko po to, żeby nic się nie wydało?

– Nie tylko. To była też *zemsta* – Alexis prawie krzyczała. – Tak naprawdę Blair *chce*, żeby dziewczyny dawały jej powody do tego, by mogła się mścić. To jedna z rzeczy, które sprawiają jej ogromną przyjemność – odgrywanie się.

– Czy ona...

– Muszę już wracać – przerwała Alexis. – Nie wiem, czy dam radę pracować. Jestem kompletnie wytracona z równowagi.

Zaczęła palcami pocierać twarz, starając się usunąć tusz do rzęs, który podczas płaczu zostawił ślady na policzkach.

– Jeszcze chwila – Phoebe nieomal błagała. Miała całe mnóstwo pytań. Wyjęła z torebki chusteczkę i podała Alexis. – Co z pozostałymi dwoma kręgami wtajemniczenia? Wiesz coś?

– Nie. I nie chcę wiedzieć. – Alexis poprawiła ramiączko plecaka. Wyraźnie zbierała się, by odejść.

– Ostatnie pytanie. – Phoebe nie dawała za wygraną. – Czy Lily była w Szóstkach?

– Tak. Dołączyła na wiosnę. Próbowалам ją ostrzec, bo wiedziałam już, jakie to potwory. Ale wtedy zniknął jej chłopak i była potwornie zagubiona i samotna. Potrzebowała wsparcia. Potrzebowała grupy, chciała być jej częścią.

– Myślisz, że potem próbowała odejść?

– Nie mam pojęcia – odparła Alexis głosem bez wyrazu.

– A mogłabyś mi podać nazwiska kilku dziewczyn, które należą do Szóstek? To by mi bardzo pomogło.

Alexis pokręciła głową przecząco.

– Nie mogę. Dowiedzą się, że to ja. I znowu zaczną się znęcać.

– Błagam.

– Powiedziałam, *nie*. Po prostu nie mogę.

Zanim Phoebe zdążyła się ponownie odezwać, Alexis biegiem ruszyła wzdłuż budynku centrum handlowego, kierując się do wejścia.

Patrząc na oddalającą się postać dziewczyny, Phoebe nabrała pełne płuca powietrza, a potem wolno je wypuściła. Była wykończona rozmową. Półprzytomna, z trudem odnalazła samochód. Otworzyła drzwi i bezwładnie opadła na siedzenie za kierownicą. Poczowała, że pomimo chłodu panującego na zewnątrz jej plecy są kompletnie mokre.

Pora lunchu już minęła, jednak Phoebe nie czuła głodu. Kiedy tylko wydostała się na autostradę I-83, zadzwoniła do Glendy. Odebrała asystentka i poinformowała ją, że Glenda jest

na ważnym spotkaniu i nie może rozmawiać. Phoebe poprosiła o przekazanie, że ma istotne informacje i jest dostępna pod telefonem komórkowym.

Phoebe prowadziła automatycznie, w myślach wracając do tego, co usłyszała podczas rozmowy z Alexis. Już historia ze szczurami w zamrażarce uświadomiła jej, że Szóstki istnieją i że potrafią być okrutne. Rozmowa z Alexis to potwierdziła. Zanim jednak uzna, że Szóstki mogą stać za śmiercią Lily, musi się dowiedzieć, jakie zadania musiały wykonać dziewczyny, by przejść przez ostatnie dwa kręgi wtajemniczenia. To by wyjaśniło, do czego były zdolne – lub do czego była zdolna Blair, której, jak się zdawało, zemsta sprawiała przyjemność.

Pół godziny później, na stacji benzynowej, na którą Phoebe zjechała, by zatankować, sprawdziła maile. Glenda pisała, że nie może się doczekać wiadomości, ale jest kompletnie wyłączona na resztę dnia oraz wieczór. Umówiła ją jednak na osiemnastą trzydzieści ze Stocktonem w jego biurze, by mogła przekazać mu, czego się dowiedziała.

Jasna cholera, pomyślała Phoebe. Z punktu widzenia Glendy na pewno miało sens, by Stockton wiedział o wszystkim. Śledztwo ruszyłoby do przodu. Jednak Phoebe obiecała Alexis, że o ich spotkaniu nie dowie się nikt oprócz Glendy. Poza tym Phoebe *nie przepadała* za Stocktonem i nie miała najmniejszej ochoty dzielić się z nim swoją wiedzą.

Rzuciła okiem na resztę maili. Jej uwagę zwrócił oznaczony znakiem „ważne” mail od jej agentki, Mirandy. Od jakiegoś czasu nie bała się wiadomości od Mirandy. Jak się okazało, Miranda widziała wzmiankę o Phoebe w artykule Tobiasa w „The Post” i chciała się upewnić, że Phoebe o tym wie. „Musisz zejść mu z oczu – pisała Miranda. – To potworny gnojek”.

Phoebe westchnęła ciężko. Przez chwilę zastanawiała się, czy nie powinna zadzwonić do Mirandy, ale wiedziała, że agentka zapyta o postępy w pracy nad nową książką. Tego tematu wolała unikać.

W powodzi maili były też obiecane dane na temat Wesleya Hinesa. Asystentka Glendy wywiązała się z zadania. Co prawda w dokumentach szkoły nie było numeru telefonu ani adresu mailowego, jednak był adres zamieszkania. Ku zaskoczeniu Phoebe okazało się, że Wesley mieszka w Doring, miasteczku położonym kilka kilometrów od Lyle. Ciekawe, dlaczego wybrał szkołę w Lyle, pomyślała Phoebe. Pewnie chciał się wyrwać z domu i uwolnić od rodziców. Teraz to modne wśród nastolatków.

Muszę z nim porozmawiać. *Tak szybko, jak tylko się da.* Hutch uważał, że Hines wpadł do Winamacu po pijanemu, ale mogło też być inaczej. Jeśli w okolicy kręcił się seryjny morderca – a taka była teoria Stocktona – Hines mógł być jedną z ofiar, cudem ocalałą. Nagle przyszło jej do głowy pytanie, czy Szóstki mogły być w to zamieszane. Czy Hines był typem kujona, jednego z tych, na których polowały?

Phoebe spojrzała na zegarek. Jechało jej się dobrze, wszystko wskazywało na to, że zdąży dotrzeć do Lyle przed szóstą – w sam raz, by jeszcze przed spotkaniem ze Stocktonem zajrzeć do Hinesa. Jeśli chłopak pracował od dziewiętej do siedemnastej, złapie go po powrocie do domu. Wbiła jego adres do GPS-a i uruchomiła silnik.

Reszta drogi przebiegła bez zakłóceń i Phoebe dotarła do Doring chwilę wcześniej. Była przekonana, że Wesley Hines nadal mieszka z rodzicami, jednak GPS prowadził ją w kierunku osiedla domków jednorodzinnych, szeregowców z rodzaju tych, w których osiada się po przejściu na emeryturę lub na które cię stać, gdy po ukończeniu college’u masz przyzwoitą pracę. Wyglądało na to, że Hines mieszka sam.

Osiedle było ogromne, prawie jak mała wioska. Dom Hinesa – pod numerem 2118 – leżał prawie na samym jego końcu. Phoebe odnalazła numer i zaparkowała samochód.

Dom graniczył z niewielkim dębowym lasem, który jakimś cudem nie padł ofiarą buldożerów. Phoebe zbliżyła się do furtki. Najwyraźniej szczęście jej nie sprzyjało – w oknach

domu pod numerem 2118 było ciemno. Nic nie wskazywało na to, żeby w domu ktoś był. Nagle w pobliżu pojawił się młody chłopak, najwyraźniej nadchodząc od strony znajdującego się z tyłu domu parkingu. Przeszedł przez podwórko i wszedł na ganek. Otworzył skrzynkę pocztową i wyjął jej zawartość.

To on, pomyślała Phoebe w pierwszej chwili. Jednak później coś ją tknęło. Nie, to nie może być on. Młody człowiek wyglądał o wiele za poważnie jak na kogoś, kto dopiero ukończył szkołę. Miał na sobie ciemnozielony płaszcz długości trzy czwarte, spodnie w kolorze khaki o starannie zaprasowanych kantach. Całość dopełniały skórzane buty. Jednak kiedy podeszła bliżej, zorientowała się, że chłopak nie może mieć więcej niż dwadzieścia trzy lata. Może ubrany był zbyt poważnie, jednak wyglądał sympatycznie, a lekko sterczące blond włosy dodawały mu uroku.

Zanim Phoebe zdążyła się odezwać, chłopak ją zauważył. Popatrzył pytająco.

– Czym mogę służyć? – zagadnął, uważnie przyglądając się Phoebe. Ona zaś nagle uświadomiła sobie, że go kiedyś widziała. Ale gdzie? Przecież nie uczył się już w Lyle.

– Nazywasz się Wesley Hines? – zapytała.

– Może – odparł chłodno. – Zależy, kto pyta.

Najwyraźniej dzielnica domków jednorodzinnych nie była z rodzaju tych, gdzie wszyscy witają wszystkich z radosnym uśmiechem.

– Przepraszam, że przeszkadzam – rzekła Phoebe. – Uczę w Lyle. Jestem w komitecie, który zajmuje się rozwiązaniem kilku spraw związanych ze szkołą. Chciałam chwilę porozmawiać.

– Nie sądzę, żebym miał coś do powiedzenia – odpowiedział chłopak już innym, łagodniejszym tonem. – Byłem tam tylko dwa lata. I nie bardzo się angażowałem w życie szkoły.

– Wesley, wiem, co masz na myśli – rzekła ugodowo Phoebe. – Ja w tym wieku też raczej trzymałam się na osobności. Jednak chodzi mi o coś innego. O coś, co *dotyczy bezpośrednio* ciebie. Mianowicie o tę noc, gdy wylądowałeś w rzece.

Przez kilka sekund Wesley przyglądał się jej uważnie. Widać było, że gorączkowo myśli.

– Dlaczego dopiero teraz? To było dawno – odezwał się w końcu.

– Musiałeś słyszeć o dziewczynie, którą wyłowiono martwą w zeszły weekend. Nazywała się Lily Mack. I zastanawiam się, czy coś łączy te dwie sprawy. Czy ktoś nie poluje na studentów.

Znowu to spojrzenie. Wesley głośno westchnął.

– Nareszcie – rzekł z powagą. – Od roku czekam, aż ktoś potraktuje mnie poważnie. Lepiej późno niż wcale.

Mam go, wykrzyknęła w duchu Phoebe.

– Możemy porozmawiać teraz? – zapytała. – Jestem bardzo ciekawa twojej wersji wydarzeń.

– Jasne – powiedział Wesley. – Proszę wejść. Tylko przepraszam za bałagan. Przed wyjściem nie zdążyłem posprzątać.

Zaczął grzebać w kieszeni w poszukiwaniu kluczy, a Phoebe pokonała resztę schodów. Weszli do środka. Przez chwilę w korytarzu było ciemno i Phoebe przeszło przez myśl, że może niezbyt to mądre wchodzić z obcym mężczyzną do jego domu. Uspokoila się, gdy Wesley zapalił światło.

Wzmianka o bałaganie okazała się grubą przesadą. Salon był sterylnie czysty, jedynym śladem nieporządku był stojący na stoliku kubek po kawie. Nie dość, że było czysto, to jeszcze przytulnie.

– Jak tu miło – pochwaliła Phoebe. – Pewnie masz dobrą pracę. W przeciwieństwie do

większości absolwentów.

– Mam sporo szczęścia – rzekł Wesley, zdejmując płaszcz i umieszczając go na wieszaku w przedpokoju. Był szczuplejszy, niż wcześniej się Phoebe wydawało. To wrażenie potęgowała dodatkowo nieproporcjonalnie duża głowa, trochę niepasująca do tak niepozornego ciała. Miał na sobie szary sweter – w kolorze swoich oczu, a pod nim białą koszulę. Może nie oferma, ale też i nie facet, którego można by określić jako „ciacho”.

– Mój tato jest właścicielem wytwórni paszy. Jestem tam dyrektorem. Ale żeby była jasność, ciężko pracuję.

– Wytwórni paszy? – zdziwiła się.

– Produkuje paszę dla zwierząt: bydła, trzody chlewnej, kurczaków. Ponieważ mamy kryzys, część gospodarstw ledwo przędzie, nie jest to żyła złota. Rozszerzyłem więc zakres naszej działalności o usługi z zakresu pielęgnacji zieleni. I wydaje mi się, że to był dobry strzał. Będziemy pracować też dla college’u. Podpisałem umowę.

Już wiedziała, skąd go zna. Był jednym z dwóch chłopaków, którzy stali tamtej nocy przed wejściem do akademika, w którym mieszkała Lily.

– Super, gratuluję. Ale wygląda na to, że przez rok nikt cię nie chciał słuchać. To musiało być dla ciebie trudne. – Phoebe próbowała wrócić do tematu, który ją interesował.

– Raczej tak. – Wesley przesunął stolik i usiadł na kanapie. Obie ręce trzymał na kolanach. – Chociaż chyba nie mogę nikogo winić. Uznali, że byłem pijany, jak to student, jednak – jeśli mogę użyć tego słowa – byłem wkurzony jak diabli.

– Mogę notować? – zapytała Phoebe, wyjmując z torebki notes i długopis.

Wesley machnięciem ręki wyraził zgodę.

– Jestem zachwycony, że w końcu ktoś chce ze mną o tym rozmawiać.

– Powiedz mi, co się wydarzyło tamtej nocy. – Phoebe trzymała długopis w gotowości uniesiony nad czystą kartką. – Oprzytomniałeś i nagle zdałeś sobie sprawę, że jakimś cudem wylądowałeś w rzece?

– Nie *jakimś cudem*. – Wesley zmarszczył brwi. – Ktoś mnie tam wrzucił.

Chwileczkę, pomyślała Phoebe, Hutch ani słowem o tym nie wspomniał. Czyżby były szczegóły sprawy, w które nie został wtajemniczony?

– *Widziałeś kogoś?* – spytała.

Wesley pokręcił przecząco głową. Wyczuł w głosie Phoebe nutę niedowierzania.

– Nie, nikogo nie widziałem i prawie nic nie pamiętam. Ale *nigdy, przenigdy* nie wylądowałbym w rzece sam z siebie. Tego wieczoru wypłem jedno piwo. Nie przepadam za alkoholem.

Nie przepadał za alkoholem. Tak też mówili przyjaciele o Scotcie Macusie, chłopcu, który utopił się ponad rok temu.

– Zacznijmy od początku – zaproponowała Phoebe. – Byłeś „Pod Kocimi Ogonami”.

Wesley zacisnął usta, a potem głęboko westchnął.

– Tak. To było mniej więcej rok temu – szesnastego listopada. Wróciłem z biblioteki. Kilku kolegów wybierało się do miasta, postanowiłem więc do nich dołączyć. W pubie byliśmy około dziesiątej wieczorem.

– Przychodzą tam głównie studenci z Lyle?

– W weekendy tak, rzadziej w tygodniu. Tego wieczoru był tam prawdziwy tłok, jednak większość z gości to miejscowi.

– A jak już dotarliście na miejsce...?

– Kupiliśmy piwo i chwilę staliśmy przy barze, strząsając pianę – powiedział Wesley. – Zaczęły nas zagadywać jakieś dwie miejscowe kobiety, na oko dziesięć lat starsze od nas. Nie miałem ochoty na pogawędki, ale moi koledzy wyraźnie byli zainteresowani. Postąpiłem trochę z boku – jak głupi – po czym dołączyłem do chłopaków, którzy grali w lotki. Nie znałem ich dobrze, ale kojarzyłem ze szkoły. Rozegraliśmy kilka kolejek. Chłopaki, z którymi przyszedłem, nadal świetnie się bawili w towarzystwie dwóch czupiradeł. Mogłem wrócić do kampusu, ale samemu mi się nie chciało, do tego na piechotę. Woląłem wracać z chłopakami, samochodem. Zamówiłem jeszcze jedno piwo, ale wypłem dosłownie kilka łyków.

– Jesteś pewien?

– Przysięgam na Boga. Wiedziałem, że następnego dnia od rana mam zadania do odrobienia, więc nie mogłem pić. Już jak miałem to drugie piwo, wrzuciłem kilka monet do szafy grającej. Wybrałem parę piosenek Stonesów. Wtedy jeden z tych chłopaków, których nie znałem, zapytał mnie, czy szafa wydaje resztę. Odpowiedziałem, że nie sędzę. Pamiętam, że postąpił chwilę, a potem powiedział: „Ktoś przynajmniej zagrał w końcu coś fajnego”. I to ostatnia rzecz, którą pamiętam. Ocknąłem się w wodzie.

– Musiałeś być przerażony.

Wesley przez długą chwilę patrzył w milczeniu przed siebie, pocierając dłonią czoło.

– To było jak sen, potworny koszmar – powiedział, z powrotem kierując wzrok na Phoebe. – Nieźle pływam, ale w ubraniu było mi ciężko. Z trudem trzymałem głowę na powierzchni. Na szczęście na nogach miałem pantofle. Zrzuciłem je i udało mi się podplłynąć do brzegu. Znalazłem się prawie kilometr na południe od pubu. Brzeg jest tam zarośnięty, idealne miejsce, by wrzucić kogoś do wody bez zwracania niczyjej uwagi.

– Która mogła być godzina?

– Komórka mi padła, ale miałem wodoodporny zegarek. Kiedy wydostałem się na brzeg, było wpół do drugiej. Nie pamiętałem ostatnich dwóch godzin. Pub „Pod Kocimi Ogonami” zamknięto. Wkoło nie było żywego ducha. Próbowałem złapać stopa, ale nikt się nie zatrzymał.

Nic dziwnego, wyglądałem jak potwór z Loch Ness. Wróciłem do kampusu i poszedłem prosto do biura ochrony. Dyżur pełnił jakiś młody facet i wyraźnie był przekonany, że całą noc pochłaniałem piwo za piwem. Następnego dnia odwiedził mnie szef straży – taki starszy, który był tam od wieków. Próbowałem go przekonać, jednak też nie wierzył, że nie byłem pijany.

– Twoim zdaniem, co się wtedy naprawdę stało?

Wesley ze świstem wypuścił powietrze.

– Ktoś musiał dosypać mi narkotyków do piwa – powiedział. – Nie twardech, bo by mnie wywróciło, ale czegoś w rodzaju tabletki gwałtu, po czym wydaje ci się, że nic się nie dzieje, ale potem nic nie pamiętasz. Ten, kto to zrobił, wyciągnął mnie z baru i wepchnął do wody.

– A piwo? Trzymałeś szklankę cały czas w ręku? Nie odstawiłeś jej i nie spuściłeś z oka?

– Nawet kilka razy – jak grałem w lotki. Może to brzmi naiwnie, ale nie przyszło mi do głowy, że ktoś mi może czegoś dosypać. Szklanka stała co prawda przede mną, ale kilka razy odwróciłem się, żeby rzucić lotkę. Zostawiłem ją też na chwilę, kiedy wybierałem piosenki w szafie grającej.

– A twoi koledzy? Ci, z którymi przyjechałeś?

– Też bym chciał wiedzieć – odpowiedział Hines. – Następnego dnia mówili, że szukali mnie tuż przed zamknięciem pubu, ale nie było po mnie śladu. W końcu uznali, że pewnie wyrwałem jakąś dziewczynę.

Ciekawe, pomyślała Phoebe. Koledzy Scotta Macusa mówili dokładnie tak samo.

– Jednym słowem, byłeś poza barem mniej więcej od północy do po pierwszej, ale nie masz pojęcia, gdzie. Wróćmy do chłopaka, który zaczął cię koło szafy grającej. Wspomniałeś o nim, bo, twoim zdaniem, ta rozmowa miała jakieś znaczenie?

Czubkiem wskazującego palca Wesley dotknął górnej wargi. Zastanowił się przez chwilę.

– Tak, czasem o nim myślę – powiedział. – Wydaje mi się, że to było nieco dziwne. Nie mam pojęcia, dlaczego do mnie podszedł. Był starszy – w okolicy trzydziestki, może czterdziestki – i dobrze ubrany. Nie wyglądał na miejscowego.

– Myślisz, że mogłeś być molestowany?

– Ma pani na myśli „zgwałcony”? – powiedział z wyraźnym niesmakiem. – Niemożliwe. Chyba bym coś czuł. Ten, kto mnie wepchnął do wody, miał wystarczającą radość z tego, że utonął. Chłopak z Lyle utonął w Winamacu rok temu, mniej więcej o tej porze. Nikt nie wie, dlaczego i jak do tego doszło, ale ja myślę, że jemu też ktoś dosypał narkotyków. Może to samo spotkało Lily Mack.

– Widziałam cię koło jej akademika tej nocy, gdy zniknęła.

Hines uważnie popatrzył na Phoebe.

– A tak, już kojarzę. Byłem tego dnia w szkole w interesach. W sprawie utrzymania zieleni, mówiłem pani. Słyszałem, jak wszyscy mówili o tej dziewczynie, Lily. Zacząłem coś kojarzyć. Przypomniała mi się moja historia.

Phoebe szybko przejrzała swoje notatki. Jej mózg pracował gorączkowo. To, co mówił, Wesley, potwierdzało teorię Stocktona na temat seryjnego mordercy, który najpierw dosypuje studentom narkotyków, a następnie wrzuca ich do rzeki, by się potopili.

– Posłuchaj, Wesley – powiedziała – To, co mówisz, jest bardzo ważne. Musisz natychmiast zgłosić to na policję.

Wesley wyraźnie nie był zachwycony tą perspektywą.

– Wolałbym po raz kolejny nie robić z siebie kretyna – powiedział.

– Tym razem nikt nie zlekceważy twojego zeznania – stwierdziła Phoebe z pewnością w głosie. – Mam jeszcze jedno pytanie. Jeśli można. – Jak najszybciej chciała wrócić do tego, co interesowało ją najbardziej.

– Jasne – odpowiedział Wesley. – Słucham. Ale potem muszę coś załatwić. Dostawca czeka na mój telefon.

– Pamiętasz, czy tego dnia były w barze jakieś dziewczyny z college'u?

Wyglądało na to, że to ostatnie z pytań, jakiego spodziewał się Wesley. Szeroko otworzył szare oczy.

– Chyba kilka było. Dlaczego pani pyta?

– Słyszałaś coś o tajnym bractwie, które założyły dziewczyny w Lyle? O Szóstkach?

Hines po raz kolejny uważnie przyjrzał się Phoebe, O czymś pomyślał, jednak nic nie powiedział. W końcu pokręcił głową.

– Nie. Zero skojarzeń. Dlaczego pani pyta?

– Są bardzo okrutne. Stać je na wiele. Potrafią zrobić krzywdę.

Wesley był wyraźnie skonsternowany.

– To coś jak czarna magia? Rytuały?

– Ich hobby to znęcanie się nad koleżankami i kolegami. A nawet więcej niż znęcanie – powiedziała Phoebe. – Trzymają się ich okrutne żarty. Zastanawiam się, czy mogą mieć coś wspólnego z tymi utonięciami. Jedna z nich nazywa się Blair Usher. Inna, jak się zdaje, to Gwen Gallogly.

– Po raz pierwszy słyszę słyszę te nazwiska. – Wesley wzruszył ramionami.

– Czy kiedykolwiek ktoś namalował na drzwiach twojego pokoju w akademiku znak „V”?

– Tak się oznaczają tajne związki, te dla chłopaków, ale takich związków w Lyle nie ma.

– W porządku, dam ci już spokój. Musisz zadzwonić – powiedziała Phoebe. – Jeśli jeszcze coś ci się przypomni, dasz mi znać? – Podała Wesleyowi swoją wizytówkę. Ten kilka razy obrócił ją w palcach. Phoebe wyczuła, że zaczyna być niespokojny. Wrzuciła notes do torebki i wstała z kanapy.

– Jasne – powiedział Wesley. – I dzięki za rozmowę. Jest pani pierwszą osobą, która słuchała, co mówię.

W drodze do wyjścia Phoebe jeszcze raz obrzuciła wzrokiem mieszkanie.

– Ktoś ci pomagał w wykończeniu domu, prawda?

– Myśli pani, że kogoś wynająłem?

– Niekoniecznie. Może mama. Albo dziewczyna.

Chłopak uśmiechnął się smutno.

– Moja mama zmarła kilka lat temu. Dziewczyny w tym momencie też nie mam – mówiąc te słowa, nieco poweselał. – Ale jak jakąś znajdę, może doceni, że nie jestem flejtuchem.

– Z pewnością – przytaknęła Phoebe. Uścisnęła rękę Wesleya i ponownie mu podziękowała.

W drodze na kampus Phoebe rozmyślała o swojej rozmowie z Wesleyem. Widziała oczyma wyobraźni scenę, jak Wesley, mokry i ledwo żywy, zgłasza się do biura straży o drugiej w nocy. Wtedy jego historia mogła brzmieć niewiarygodnie, teraz jednak – opowiedziana już po upływie pewnego czasu – wydawała się Phoebe prawdziwa. Poza tym, dlaczego miałby kłamać?

Czy wierzyła, że mógł stać się ofiarą seryjnego mordercy? Stockton – a musi mu powiedzieć o swoim spotkaniu z chłopakiem – na pewno uzna, że tak. Jednak dla Phoebe teoria o działającym z rozmysłem seryjnym mordercy nadal wydawała się mocno podejrzana. Cały czas nie było dowodu na to, że Scott Macus został zamordowany, kwestia sprawy śmierci Lily była otwarta.

Niezależnie od tego, jak bardzo wstrząsnęło Wesleyem to, co go spotkało, nie można wykluczyć wypadku. Phoebe czytała kiedyś, że najbardziej popularną tabletką gwałtu była ta

płynna – alkohol. Ile razy zdarzało się, że kobieta budziła się u boku obcego mężczyzny i szukała usprawiedliwienia w tym, jakoby podano jej tabletkę gwałtu. Tymczasem przyczyną było – po prostu – poważne nadużycie alkoholu. Wesley, co prawda, twierdził, że nie wypił dużo tamtego wieczoru, jednak mógł nie pamiętać, ile wypił naprawdę – istniała też możliwość, że jego organizm źle tolerował alkohol.

No, ale co z Szóstkami? Nic nie wskazywało na to, by Wesley kiedykolwiek miał z nimi do czynienia. Mogły być okrutne jak diabli, mogły zajmować się pokazywaniem frajerom, gdzie ich miejsce w szeregu, mogły nawet maczać palce w śmierci Lily. Ale nie było żadnego wyraźnego dowodu na to, że zajmowały się wrzucaniem po nocy do rzeki pijanych studentów. Coś jednak mówiło Phoebe, by nie rezygnować tak łatwo z teorii, że z wydarzeniami nad rzeką może coś te dziewczyny łączyć.

Przed spotkaniem ze Stocktonem Phoebe planowała zajechać do domu – pozapalać światła i sprawdzić, czy wszystko w porządku – jednakże sporo czasu zabrała jej rozmowa z Wesleyem. Skierowała się więc prosto do kampusu. Zaparkowała przed budynkiem administracji i wbiegła na drugie piętro. Biuro Stocktona leżało na tym samym piętrze, co biuro Glendy. Asystentka Stocktona najwyraźniej poszła już do domu, przy jej biurku na recepcji nie było nikogo. Drzwi do gabinetu były lekko uchylone. W środku paliło się światło. Phoebe zapukała i po drugiej stronie usłyszała niezbyt przyjemny głos, który zaprosił ją do środka.

Gabinet Stocktona wyróżniał się spośród innych klubowym charakterem. Urządzone w klasycznym, staromodnym stylu pokój wypełniały przylegające do ścian regały z książkami, orientalne dywany i lampy rzucające na sufit plamy światła. Phoebe podejrzewała, że wystrój musiał sporo kosztować – Stockton zapewne zainwestował w niego z własnej kieszeni. W kasie college’u nie było pieniędzy na takie cele.

Stockton nie od razu podniósł głowę. Uzbrojone w rogowe okulary oczy miał skierowane ku dołowi, na plik papierów. Daje mi do zrozumienia, kto tu rozdaje karty, pomyślała Phoebe. Po kilku sekundach Stockton odłożył dokumenty i spojrzał na nią.

– Dzięki, że wpadłaś – powiedział, jakby to on ją zaprosił. – Może usiądziemy tam? – Wskazał ręką kącik, w którym stały sofa i fotel. Podniósł się z za biurka, a Phoebe zajęła miejsce na kanapie. Przed sobą miała stolik do kawy, na którym stały rzeźbione drewniane pudełko oraz skórzane podstawki. Brakuje tylko rocznika magazynu „Koń i pies”, pomyślała.

– Jednym słowem, masz za sobą ciężką podróż – powiedział Stockton, wciskając w fotel swoje potężne ciało. W jego głosie Phoebe wyczuła lekką ironię. Nie miała pojęcia, czym nastąpiła mu na odcisk, ale czuła, że wkrótce się dowie.

– Tak. Ale było warto – powiedziała.

– Siła perswazji sławnej autorki w akcji?

– Nie sądzę, by chodziło o moją siłę perswazji – odpowiedziała Phoebe. – Myślę, że po śmierci Lily Alexis zdała sobie sprawę, że powinna zacząć mówić.

– Bądź tak miła i opowiedz mi o tej rozmowie – fuknął Stockton. – Jestem tutaj dziekanem do spraw studenckich i jak sama nazwa wskazuje, to są *moje* sprawy.

Więc tu leży pies pogrzebany, przeszło przez myśl Phoebe. Naruszyłam jego terytorium. Miała ochotę odpowiedzieć na zaczepkę, ale się powstrzymała. Jeśli zamierzała dalej prowadzić śledztwo, musiała współpracować.

– Przepraszam, Tom – powiedziała. – Glenda mnie poprosiła, bym tam pojechała, a ja byłam przekonana, że o tym wiesz. Z kolei Glenda pewnie myślała, że ja ci powiem.

– Powiedz mi zatem, co ci powiedziała Alexis. – Stockton, udzieliwszy jej reprimendy, łaskawie przeszedł do dalszej części rozmowy.

Phoebe streściła przebieg spotkania z Alexis, wspominając również o kolejnych kręgach

wtajemniczenia.

– O rany – jęknął Stockton, gdy skończyła. – Skautki to raczej nie są.
– Chyba nie. Coś ci się teraz kojarzy? Na przykład wykasowane prace semestralne?
– Tak. – Stockton podparł głowę ręką. – Studenci często używają głupich wymówek typu „pies zjadł moją pracę”, ale było ostatnio kilka przypadków, które zwróciły moją uwagę. W ciągu jednego tygodnia dwie różne studentki zgłosiły, że ich prace zostały wykasowane z laptopów, podczas gdy dziewczyny były w bibliotece. Siedziały w tej samej części i wyszły tylko na chwilę. Jedna do łazienki, druga, by przynieść książkę. Z tego, co wiem, nie znały się.

– A co z anonimowymi wpisami w internecie na temat przygód seksualnych?

– O tym nie wiem zbyt wiele. Wiemy, że coś takiego jest, ale nikt się tym nie chwali.

Alexis podała ci jakieś nazwiska?

– Nie. Odmówiła.

– Tylko tak moglibyśmy coś tym dziewczynom udowodnić. Dziś rano rozmawiałem z Blair Usher, ale milczy jak grób. Udaje głupią. Przyznaje, że słyszała o grupie, ale nie zna nikogo, kto by do niej należał. Dlaczego Alexis je kryje?

– Boi się, że coś jej zrobią.

– Akcja w stylu „i dopadnę cię nawet po śmierci”? Chyba lekka przesada, nie sądzisz?

– Nie. Te dziewczyny stać na wiele. Glenda mówiła ci o szczurach?

Stockton zmarszczył nos, jakby w powietrzu zaczęło śmierdzieć.

– Brz... ohyda! Chciałbym bardziej przyjrzeć się tej sprawie, ale nie mam czasu. Priorytet to Lily Mack.

Phoebe wiedziała, że przyszedł czas na to, by zdać Stocktonowi relację z rozmowy z Wesleyem. Zaczęła mówić, gdy rozległo się pukanie do drzwi. Stockton krzyknął: „Proszę!”. Ku zdziwieniu Phoebe w drzwiach stanęła Val Porter.

– Dobrze, Val, że jesteś – powiedział Stockton.

A to *co*, pomyślała Phoebe. Val uśmiechnęła się do Stocktona. Osobę Phoebe omiotła spojrzeniem, w którym było tyle zainteresowania, ile wobec przypadkowego towarzysza podróży na peronie kolejowym.

– Poprosiłem Val, by wzięła udział w naszym spotkaniu – rzekł Stockton. – Nie ma potrzeby wyjaśniać, jak dobrze zna się na psychice dziewcząt. Na pewno wniesie wiele cennych uwag.

Phoebe z trudem ukryła irytację. Zajęcia z teorii feminizmu nijak nie świadczyły o tym, by ta kobieta miała jakiegokolwiek pojęcie na temat tajnych stowarzyszeń. A tym bardziej mogła występować w roli eksperta.

Val usiadła po drugiej stronie sofy, jednak wystarczająco blisko, by Phoebe poczuła zapach paczuli. Tego wieczoru Val miała włosy spięte na czubku głowy, dookoła jej twarzy wily się opadające kosmyki. Ciekawe, jak by zareagowała na informację, że spałam z Duncanem, pomyślała Phoebe.

– A więc? W czym mogę pomóc? – Pytanie Val było zadane wyraźnie w kierunku Stocktona. Sięgnęła po jeden z kosmyków i zaczęła owijać dokoła palca.

– Phoebe zaraz wszystko ci opowie – powiedział Stockton. – Odbyła dzisiaj ciekawą podróż do Baltimore.

– *Baltimore?* – Val była zdziwiona. – Co ma z tym wspólnego Baltimore?

Phoebe obrzuciła Stocktona wściekłym spojrzeniem.

– Przykro mi – rzekła stanowczo. – Nie mogę nikomu więcej powiedzieć, gdzie i po co byłam. Przrzekłam, że sprawa zostanie między mną a moim rozmówcą. I dotrzymam słowa. To, co mogę ujawnić – Phoebe zwróciła się w kierunku Val – to potwierdzenie, że Szóstki są zdolne

do wszystkiego. Są okrutne i bezwzględne. Rozmawiałam z psychologiem, który twierdzi, że to się zdarza w tym wieku. Dochodzi do tego instynkt stadny. Czy ów typ zachowania pasuje do tego, co widzisz na swoich zajęciach z feminizmu?

– Nigdy nie słyszałam o tej grupie. Dopiero Tom mi o niej wspomniał. Nie mam więc za wiele do powiedzenia. – Samozadowolenie brzmiące w głosie Val zapowiadało jednak, że i tak będzie się mądrzyć. – Mam wrażenie, że zdarza się, iż dziewczyny w naszym college’u łączą się w grupy. To daje im większe poczucie wartości.

– Chcesz powiedzieć, że są zakompleksione? – spytała Phoebe.

– Broń Boże, nie – odparła Val. – Młode kobiety w Lyle – podobnie jak w większości college’ów w dzisiejszych czasach – są bystre, aktywne i ambitne. Przekonane, że spotkają w college’u młodych mężczyzn równych sobie, nie takich, jacy otaczali je w szkole średniej – leni i nieudaczników. Szybko odkrywają, że im, jako dziewczynom, dostać się do szkoły było o wiele trudniej. To prawda, że do college’u zdaje o wiele mniej chłopców niż dziewcząt, zatem wobec chłopców kryteria przyjęć są łagodniejsze. Ani intelektualnie, ani społecznie chłopcy nie dorastają dziewczynom do pięt. Te zatem szukają sensu i poczucia bycia razem w związkach między sobą.

– Ale nie uważasz chyba, że to dobry kierunek?

– Nie. I nie sądzę, żebym powiedziała cokolwiek w tym stylu.

– Czy przychodzi ci do głowy, która z dziewcząt mogłaby...

Drzwi do gabinetu Stocktona otworzyły się gwałtownie. Stała w nich Glenda. Na jej twarzy malowało się przerażenie.

– Co się stało? – spytał Stockton.

– Trevor Harris – to z nim chodziła Lily? – rzuciła zdławionym głosem Glenda. – Dziś po południu znaleźli jego ciało. W rzece. Policja jest pewna, że to on.

Co takiego? – powiedział Tom, wstając. – Skąd wiesz?

– Mnie i Craiga wezwali przed chwilą na posterunek. Michelson nam przekazał.

– Czy to znaczy, że Trevor przez cały ten czas mieszkał w okolicy? – zapytał Stockton.

Glenda pokręciła głową z powątpiewaniem.

– Raczej od dawna nie żyje. Ciało jest w fatalnym stanie. Czekaają jeszcze na wyniki badań DNA, ale znaleziono przy nim dokumenty osobiste. Jednym słowem, to wszystko nie przebiegło w sposób, o jaki podejrzewaliśmy tego chłopaka.

Phoebe zdrętwiała z przerażenia. Oto kolejny dowód na potwierdzenie teorii Toma o seryjnym mordercy. Uświadomiła sobie, że wyłania się nawet pewien wzór. Wiosną minął rok od dnia, w którym zginął Scott. Jesienią tego samego roku w rzece omal nie utonął Wesley Hines. Trevor, jak się wydaje, zginął tej wiosny, jesienią utopiła się Lily. Phoebe zdawało się, że przed jej oczami przesuwają się taśmy z jednym z tych strasznych filmów, których zwiastuny miała okazję czasami oglądać. Na ekranie w regularnych odstępach czasowych na powierzchnię wody wypływają trupy nastolatków.

Phoebe zaczęła wyrzucać z siebie informacje na temat swojej rozmowy z Wesleyem, jednak po chwili zamilkła. Nie chciała przecież dzielić się nimi w obecności Val.

– Czegoś tu nie rozumiem. – Stockton chodził po pokoju, skrzyżowawszy ręce na piersiach. – Przecież ciała wypływają na powierzchnię. Czemu to już dawno nie wypłynęło?

– Michelson twierdzi, że ciało Trevora zaczęło o korzenie drzew, tuż przy brzegu.

Z Lily było podobnie.

– Kto je zauważył? – zapytał Stockton.

– Michelson nie bardzo chciał mówić, ale mam wrażenie, że ciało znalazła policja.

Kojarzysz część starego miasta, Big Red Barn na Route 1? Jeśli przejdiesz w kierunku ścieżki rowerowej, trafisz na miejsce, gdzie urząda się pikniki. Tuż nad rzeką. Tam, w gęstej zieleni, znaleziono ciało. Najwyraźniej policja przeszukiwała w jakimś celu ten teren.

– Może cały czas szukają miejsca, w którym wpadła do wody Lily – snuła przypuszczenia Phoebe.

– Ale dlaczego... – zaczęła Val, gdy Stockton jej przerwał.

– Chyba wiecie, co to znaczy? Jakiś maniak morduje naszych studentów. Prawdziwy koszmar.

Jasne, pomyślała Phoebe.

– Od tego, co teraz zrobimy, zależy, jak wielki to będzie koszmar – powiedziała Glenda. – Najważniejsze to zachować spokój i działać ostrożnie. Wszyscy zapłacimy za błędy.

– No więc, co teraz? – zapytał Stockton. – Rozmawiałaś z rodzicami?

– Nagrałam się, ale mam do ciebie prośbę, żebyś ty się tym zajął – powiedziała Glenda. – Za chwilę mam spotkanie z ludźmi od *public relations*. Zobaczymy, co wymyślą.

– Powinienem przy tym być – powiedział Stockton.

– Nie, Tom, jesteś potrzebny gdzie indziej – odrzekła Glenda. – Teraz najważniejsi są studenci. Proszę, byś przygotował specjalny mailing. Trzeba ich poinformować, iż wzmocniliśmy ochronę, ale że muszą też sami na siebie uważać. Przerzuć też maila do rodziców. Pełna komunikacja, żadnych tajemnic. Naradz się z Craigiem, jakie środki bezpieczeństwa powinniśmy jeszcze przedsięwziąć. Nie wolno nam siać paniki, ale może dobrze byłoby zasugerować, by studenci poruszali się parami. – Glenda umilkła na chwilę. – Poza tym muszę wiedzieć, czy mamy prawo kontrolować zachowanie naszych uczniów *poza* kampusem.

– Co masz na myśli? – Stockton uniósł brwi.

– Chodzi mi o ten bar. „Pod Kocimi Ogonami” pojawia się w każdej historii związanej z wypadkami utonięć – powiedziała Glenda. – Czy możemy zabronić studentom spędzania wolnego czasu w nadrzecznych pubach? Wiem, że to ostre posunięcie, ale jeśli mamy zapobiec kolejnym nieszczęściom, musimy działać zdecydowanie.

Glenda spojrzała na zegarek. Zwróciła się w kierunku Phoebe.

– Masz tu samochód? Przyszłam na piechotę, byłabym wdzięczna za podwózkę do domu.

– Jasne. – Phoebe ucieszyła się w duchu. Nie mogła się doczekać, kiedy porozmawia z Glendą sam na sam.

– A co *ja* mogę zrobić, pani dyrektor? – spytała Val. – Też chciałabym pomóc.

– Dziękuję, Val – powiedziała Glenda. – Na razie nic nie przychodzi mi do głowy. Jakby coś, dam ci znać. Na razie wielka prośba do wszystkich o dyskrecję.

Glenda wyszła z pokoju. Phoebe tuż za nią. W całym budynku panowała martwa cisza. Tylko na korytarzach paliły się światła, w gabinetach było już ciemno. Dopiero na zewnątrz, na drodze w kierunku parkingu minęły kilka grup studentów, śmiejących się i plotkujących.

Jutro nie będzie im już do śmiechu, pomyślała Phoebe.

Kilka minut później siedziały w samochodzie. Phoebe prowadziła, Glenda opadła na siedzenie obok.

– Trzy śmierci młodych ludzi w ciągu dwóch lat – jęknęła. – Nie mogę w to uwierzyć.

– Trzy śmierci, ale *cztery* wypadki – rzekła z naciskiem Phoebe. Opowiedziała o swojej rozmowie z Wesleyem.

Glenda potrząsnęła głową i ciężko westchnęła.

– Wygląda na to, że tym razem policja się przejęła. Dziś wieczorem uwijali się jak w ukropie.

– Zastanawiam się tylko, czy są wystarczająco przygotowani. Sprawa jest poważna – zauważyła Phoebe.

– O to samo można by zapytać mnie – powiedziała Glenda. – Pracowałam w czterech college’ach i jestem przygotowana na różne okoliczności. Mogę stawić czoło cięciom budżetowym, studenckim strajkom, przypadkom seksu wykładowców ze studentkami. Na żadnym szkoleniu nie przerabialiśmy tematu „Seryjny morderca w twoim college’u”.

– A jeśli to naprawdę seryjny morderca – zaczęła miękko Phoebe – ale nie anonimowy, człowiek znikąd, tylko ktoś, kogo znamy?

– Co chcesz przez to powiedzieć? – spytała nieswoim głosem Glenda. Phoebe nie widziała jej twarzy, ale czuła, że przyjaciółka była zszokowana.

– A jeśli Szóstki to zrobiły? – Phoebe na jednym oddechu wyrzuciła z siebie przebieg rozmowy z Alexis. Opowiedziała Glendzie o kręgach wtajemniczenia i upodobaniu, jakie Blair znajdowała w odgrywaniu się i zemście.

– Boże drogi, a więc jest gorzej, niż myślałam. Musimy dopaść te dziewczyny. Ale nie sądzisz chyba, że byłyby w stanie posunąć się do morderstwa z zimną krwią? Mogę przyjąć do wiadomości, że przez przypadek doprowadziły do śmierci Lily. Że tego w oczywisty sposób nie chciały, głupi żart wymknął się spod kontroli. Ale *trzy* morderstwa? To brzmi nieprawdopodobnie.

– Musimy koniecznie przemyśleć jedną rzecz. – Phoebe wiedziała, że najważniejsze będzie ustalenie, na czym polegały piąty i szósty krąg wtajemniczenia. – Powinniśmy już chyba powiedzieć policji o Szóstkach.

– PozwólmY jeszcze przez chwilę działać Craigowi. Nie chcę bez potrzeby otwierać puszkY Pandory.

Phoebe nadal miała wątpliwości, jednak nie odezwała się ani słowem. Rządziła Glenda.
– Dlaczego nie chciałaś, by Tom pojechał z nami? – zapytała. Kątem oka zauważyła, jak Glenda podnosi głowę.

– Teraz jego miejsce jest w kampusie. A z drugiej strony, ostatnio odnoszę wrażenie, że coś knuje. Co innego mówi, a co innego myśli. Być może jednak wpadam w paranoję.

– Też myślę, że coś jest nie tak – powiedziała ostrożnie Phoebe. – Wygląda na to, że bardzo przywiązał się do teorii o seryjnym mordercy. I dużo dałby, żeby to była prawda.

– Twoim zdaniem dlaczego?

– Czy to nie on byłby kandydatem na twoje miejsce, gdyby ta cała sprawa ci zaszkodziła?

Glenda wolno pokiwała głową.

– Jednym słowem, uważasz, że będzie starał się wywołać jeszcze większą panikę i zamieszanie? Dać powód zarządowi, by mnie zwolnił?

– Tego nie można wykluczyć – odrzekła Phoebe. – Nie ufam mu. Warto mieć na niego oko.

Glenda milczała.

– Myślisz, że jutro wybuchnie panika? – zapytała Phoebe.

– Może nie wśród młodzieży – powiedziała Glenda. – Ale rodzice oszaleją. Zobaczysz, część od razu zabierze swoje dzieciaki ze szkoły.

Podjechały pod dom Glendy. Phoebe mocno objęła przyjaciółkę.

– Dasz sobie radę – powiedziała. – Jak zawsze. Kto, jak nie ty?

Włączyła silnik i ruszyła w kierunku domu. Przemierzając ciemne, puste o tej porze ulice Lyle, nie mogła pozbyć się uczucia rosnącego napięcia. Cała ta sytuacja, informacja o wyłowieniu ciała Trevora – wyprowadziły ją z równowagi. No i nie miała czasu zapalić tego dnia świateł u siebie w mieszkaniu. Myśl o tym, że ma wejść do ciemnego domu, przerażała ją.

Już pod domem omiotła wejście szybkim spojrzeniem. Migające obok drzwi wejściowych światelko systemu alarmowego jakby podkreślało kompletnie ciemności, jakie panowały w środku. Phoebe wysiadła z samochodu i rozejrzała się. Dokoła nie było żywej duszy.

Uchyliła lekko drzwi i przez chwilę nasłuchiwała. Słysząc tylko, jak pracuje piec centralnego ogrzewania. Phoebe wymacała włącznik górnego światła. Rzadko go używała. Ostre światło zalało salon. Na pierwszy rzut oka wszystko było w porządku.

Zamknęła za sobą drzwi wejściowe i szybko weszła do kuchni, tu też natychmiast zapalając lampę. Szybko rzuciła okiem na tylne drzwi, okna i lodówkę. Tu też nie było śladów nieproszonej wizyty.

Zdejmując płaszcz, Phoebe poczuła gwałtowny głód. W końcu od rana nic nie jadła. Otworzyła puszkę i wrzuciła do garnka mrożoną zupę z małży. Gdy zupa się podgrzewała, Phoebe sprawdziła w telefonie maile. Jeden z nich, chwilę wcześniej, dostała od Duncana.

„Nie mogę się wprost doczekać jutrzejszego wieczoru” – napisał.

„Ja też” – odpisała, uśmiechając się. „O której? I gdzie?”.

Prawie podskoczyła, gdy odpowiedź od Duncana nadeszła prawie od razu. Czyli był w sieci.

„Wpadnij do mnie do laboratorium około szóstej. Oprowadzę cię, a potem pójdziemy do mnie”.

„Super” – odpowiedziała, choć na samą myśl o wizycie w laboratorium cierpła jej skóra. „Słyszałeś o Trevorze Harrisie?”.

Patrzyła na ekran, ale odpowiedź nie nadeszła. Przez chwilę zapomniała o kłopotach, teraz humor znowu jej się pogorszył.

Z zupą w ręku przeszła do gabinetu. Zapisała przebieg obu rozmów – zarówno z Alexis,

jak i z Wesleyem. Wydrukowała dwa egzemplarze – jeden dla Glendy i jeden dla Hutch’a. Następnego dnia mu podrzuci. Dobrze będzie poznać jego zdanie, chociaż ciekawe, czy przyzna, że niesłusznie zlekceważył zeznania Wesleya.

Wpisała w wyszukiwarkę pojęcie „pigulka gwałtu”. Było ich kilka rodzajów, jednak łączyło je to, że ofiara po zażyciu zachowywała się całkiem normalnie. Otoczenie też niczego nie podejrzewało. Ponadto, co by się zgadzało z tym, o czym mówił Wesley, ofiara przeważnie nie pamiętała nic z tego, co działo się w czasie, gdy była pod wpływem narkotyku.

Phoebe zamknęła oczy i zaczęła masować odcinek między brwiami. Bolała ją głowa i – po dniu spędzonym za kółkiem – całe ciało. Zamknęła laptop i poszła do sypialni. Światła na dole zostawiła zapalone.

Przytulając głowę do poduszki, poczuła zapach piżmowy wody kolońskiej. To przypomniało jej Duncana. Do chwili otrzymania od niego maila starała się o nim nie myśleć, ale tuż przed snem nie mogła się oprzeć marzeniom. Nic na to nie poradzę, pomyślała. Nie mogę doczekać się jutrzejszego wieczoru. Oczywiście, to chwilowy romans, a jednak mimo wszystko nie mogę sobie odmówić. Może dlatego ich seks był tak intensywny – oboje zdawali sobie sprawę z tego, że ta historia nie potrwa długo.

Było po trzeciej, gdy obudziła się z zimna. Kołdra zsunęła się na ziemię, dlatego zmarzła. Zaczęła wciągać ją z powrotem na łóżko. Stanęła bosymi stopami na podłodze, próbując poprawić pościel. Nagle zeszywniała. Usłyszała jakiś dźwięk, jakby włączonego silnika. Myślała, że serce wyskoczy jej z piersi.

Phoebe zapaliła lampę przy łóżku. Nasłuchiwała. Wyraźnie słyszała niski, stłumiony dźwięk, jaki wydaje na przykład motor. Wzięła do ręki telefon i zmusiła się do wyjścia na korytarz. Poruszała się na palcach. Hałas dochodził z dołu. Cicho, cały czas z bijącym jak oszalałe sercem, podeszła do schodów. Tak pracuje zmywarka. Słyszała szum wody i silnika.

Ale poprzedniego wieczoru Phoebe nie włączała zmywarki. Nawet gdyby ją włączyła, ta dawno by skończyła pracę. W Nowym Jorku miała zmywarkę, którą można było nastawić na określoną godzinę. Ta tutaj nie miała takiej funkcji i niemożliwe było, żeby Phoebe przez pomyłkę coś ponaciskała.

Cholerny świat, pomyślała, muszę zejść na dół. Zapaliła światło na schodach. Gdy była na trzecim stopniu od dołu, spojrzała na zamek w drzwiach wejściowych. Wyglądał na nienaruszony.

W kuchni światło też było zapalone. Zamek w tylnych drzwiach nie sprawiał wrażenia, by ktoś się włamał.

Phoebe nieco się rozluźniła. Zmywarka była stara, może sama się włączyła. Weszła do kuchni. Żadnych śladów obecności obcych osób. Jedyne dźwiękami, jakie wypełniały pomieszczenie, były szum wody i silnika.

Podeszła do zmywarki. Telefon odłożyła na stół, ręce zbliżyła do drzwiczek maszyny. Otwórz ją, powiedziała do siebie. Musisz ją otworzyć.

Gdyby była mądra, dałaby sobie spokój. Miała co robić, nauka czekała. Nie mogła się jednak pogodzić z tym, że została odsunięta od pisania i redakcji. Jakiś czas zastanawiała się, co może z tym zrobić. Swoim pomysłem podzieliła się z nauczycielką angielskiego. Wydawało się, że nauczycielka ją lubi. A pomysł polegał na tym, by światło dzienne ujrzeć nowy kwartalnik poetycki – dla każdego. Żadnej selekcji, wyboru, odrzucenia. Każdy, kto tylko miałby na to ochotę, ujrzalby swój wiersz w druku. „Świetny pomysł”, powiedziała nauczycielka.

Pozornie nie było to nic wielkiego. Część nadesłanych wierszy prezentowało poziom kartek z życzeniami. Jednak pismo okazało się sukcesem – zarówno jeśli chodzi o nakład, jak i liczbę zainteresowanych. Pierwsze wydanie miało trzydzieści jeden stron.

Cztery dni po jego ukazaniu się dostała maila. „Myślisz, że taka z ciebie cholerna mądrala? Grubo się mylisz. Wkrótce się przekonasz”.

Zamiast podpisu na dole widniało kółko.

Phoebe wzięła głęboki oddech i przekreśliła lekko przerdzewiały włącznik zmywarki. Szum wody stopniowo cichł. W domu zapanowała cisza. Phoebe zamarła. Po chwili pomału otworzyła drzwi maszyny. Woda wylała się szerokim strumieniem, mocząc jej ubranie i zalewając podłogę. Phoebe spojrzała w dół. To nie była tylko woda. Plamy, jakie zostawiła na jej pidżamie, miały lekko różowy kolor.

Phoebe oddychała spazmatycznie. Woda wyraźnie była zmieszana z czymś, co wyglądało jak krew.

Puściła drzwiczki, które z trzaskiem wróciły na swoje miejsce. Cofnęła się kilka kroków i w milczeniu przyglądała się zmywarce. Dotarło do niej, że znowu tu były. Szóstki. Nie wiedziała, jakim cudem dostały się do jej domu, ale były tu. *Podczas gdy ona spała.*

Złapała nerwowo telefon. Na szczęście numer Craiga Balla miała wpisany. Zauważyła, że trzęsą jej się ręce. Z telefonem przy uchu krążyła po domu, sprawdzając, czy nie ma innych śladów pobytu wstrętnych dziewczuch. Skoro żaden z zamków nie został naruszony, musiały wejść przez okno. Jak dostały się do *środk*? Phoebe czuła się jak w jednym z tych snów, gdy ściany domu nagle znikają, a ty czujesz się kompletnie bezbronna.

– Słucham, Ball – powiedział głos w słuchawce. Głos niski i lekko zaspany.

– Tu Phoebe Hall! – prawie krzyknęła. – Znowu się do mnie włamały. Błagam, niech mi pan pomoże.

– Ma pani na myśli te dziewczyny? Szóstki?

– Tak. I chyba widzę krew. W kuchni. Nie wiem, czyją.

Rozmawiając, Phoebe przesunęła się w kierunku drzwi wejściowych, gotowa do natychmiastowej ucieczki.

– Będę za dziesięć minut.

– Mam dzwonić na policję?

– Proszę poczekać, aż będę na miejscu.

Phoebe znowu zeszytniała ze strachu. Zaczęła bacznie nasłuchiwać. Co, jeśli one nadal tu były? Jednak nic, żadnych podejrzanych dźwięków. Tylko cicho pracował piec centralnego ogrzewania. Phoebe przeszła do gabinetu, po prawej stronie drzwi wejściowych. Podnoszą poprzeczkę, pomyślała. Już szczury ją przestraszyły, ale włamanie się do domu podczas jej obecności to był krok dalej. I dowód na coraz większą bezwzględność.

Ball dotrzymał słowa i stanął się punktualnie po dziesięciu minutach. Jej jednak wydawało się, że minęła wieczność. Tym razem, zamiast munduru, Ball miał na sobie dżinsy i czarny skórzany płaszcz.

– Wszystko z panią okej? – spytał, gdy otworzyła drzwi. Musiała mieć panikę w oczach.

– Bywało lepiej – odpowiedziała. – Zbudził mnie odgłos pracującej zmywarki. Wydaje mi się, że jest tam krew. Może włożyły tam szczura.

– O kurczę. – Ball skrzywił się z obrzydzeniem. – Zaraz rzucę okiem.

Poszedł do kuchni, Phoebe za nim. Ball rozejrzał się, po czym przez wyjętą z kieszeni chusteczkę otworzył drzwiczki od zmywarki.

Przez kilka sekund przyglądał się jej wnętrzu, mrużąc oczy. Phoebe zajrzała mu przez ramię. W środku nie było nic oprócz zabarwionej na czerwono wody na dnie zmywarki. Zebrało jej się na wymioty.

– Czy to krew? – zapytała.

– Tak myślę – odparł Ball. – Tak przynajmniej pachnie. Ale nie widzę żadnych zwłok.

Pomału wysunął górną część. Była pusta. Ball przykucnął i wysunął dolną część. Phoebe zauważyła jakiś przedmiot w pojemniku na sztućce. Ball przez chusteczkę wyjął kilka łyżek owiniętych w mokry, różowy papier i przewiązanych wstążką.

– W każdym razie odcisków palców z tego nie zdejmujemy – powiedział. Rozwinął łyżki, położył je na papierze uprzednio rozłożonym na stole.

Phoebe wystarczył rzut oka, by stwierdzić, że łyżek było sześć.

– Nie mogę w to uwierzyć – uniosła ku górze ręce. – Co one jeszcze wymyślą?

Starła się nie okazywać emocji w obecności Balla, ale w środku się gotowała.

– Z każdym razem coraz lepiej. – Ball był zde gustowany. – Ciekawe, jak się tu dostały.

– Też chciałabym wiedzieć. Nie mam bladego pojęcia. Wieczorem sprawdziłam drzwi i wszystkie okna. Kiedy zesłam tu w nocy, zamki były nienaruszone.

– Zaraz się dowiemy. Jakoś musiały tu wejść. Proszę sobie usiąść, a ja się rozejrzę. Niech się pani uspokoi.

Jasne, pomyślała Phoebe, ale potulnie przeszła do salonu. Opadła na sofę. Leżąc na poduszkach, czuła, jak pot spływa jej po plecach. Uspokój się, powiedziała do siebie. Musisz się pozbierać.

Ball rozpoczął przeszukiwanie domu, a myśli Phoebe pobiegły ku scenie, jaka rozegrała się w jej kuchni tej nocy. Dziewczyny – bo na pewno było ich więcej niż jedna – wyraźnie liczyły na to, że szum zmywarki ją obudzi. A ona ją otworzy i zobaczy krew.

Ale skąd *ta* wizyta? Jabłka pojawiły się tuż po jej pójściu do mieszkania Blair i Gwen. Szczury były odpowiedzią na rozmowę z Blair. Może jakimś cudem dowiedziały się o jej wyprawie na spotkanie z Alexis. Może Blair podejrzewa, że to przez Phoebe Stockton wezwał ją na rozmowę.

Ball poszedł na górę. Phoebe słyszała, jak wraca – schody stękały pod jego ciężarem. Już na dole przystanął na chwilę. Był wyraźnie zamyślony, nie znał jeszcze rozwiązania zagadki.

Po kilku sekundach przeszedł przez pokój i podszedł do Phoebe. Nadal bez słowa potrząsał głową, po czym nagle odwrócił się i pobiegł do kuchni.

– Wiem! – dobiegł ją stłumiony okrzyk.

Phoebe rzuciła się w kierunku kuchni. Jednak Balla tam nie było.

– Tutaj! – zawołał. Był w małej spiżarni przylegającej do pomieszczenia. Phoebe trzymała tam rzadziej używane kuchenne narzędzia, jednak w większości spiżarnię zajmowały pudła z rzeczami Herba. Część z nich było teraz odsuniętych i odsłaniało okno. Małe, ale wystarczające, by człowiek mógł się przezeń przecisnąć.

– Jest otwarte – powiedział Ball. – Na parapecie widać ślady.

– Nie widziałam go przez te pudła. – Phoebe była rozdygotana. – Gdyby podjazd dla wozu był z tej strony domu, przynajmniej z zewnątrz bym je zauważyła.

– Wie pani, co myślę? – powiedział Ball, zamykając okno. – Otworzyły je, jak pierwszy raz wkradły się do domu. Wtedy, z jabłkami. Może nawet za pierwszym razem od razu weszły tędy, nie przez drzwi. Pewnie bez potrzeby wymieniła pani zamki.

Tak, pomyślała Phoebe, to chyba nie jest mój największy problem.

– Czy *teraz* możemy już zadzwonić na policję? – spytała. – Chyba wręcz powinniśmy?

– Proszę pozwolić, że ja to zrobię. Muszę im wytłumaczyć, dlaczego od razu nie zgłosiła pani włamań. Biorę to na siebie.

– Bardzo dziękuję.

– Tylko nie wiem, kiedy się tym zajmą. Na razie mają na głowie dwa utonięcia. Dobrze przynajmniej, że wiemy już, jak te dziewczyny tu weszły. Będzie się pani czuła bezpieczniej. Na pani miejscu założyłbym lepsze zamki w oknach.

Ball wyszedł, obiecując, że uczuli ochronę, by zwróciła uwagę na dom. Phoebe przeszła do salonu, usiłując zebrać myśli. Nawet nie próbowała wrócić do łóżka, choć miała jeszcze czas. Dopiero dochodziła czwarta.

Wkurzało ją, że była taka roztrzęsiona. Obiecała sobie, że więcej Szóstki jej nie dopadną, ale wygrały. Nie tylko ją przestraszyły, ale zaczęły rządzić jej umysłem. Wiedziała też, że to jeszcze nie koniec. Przynajmniej tego wieczoru będzie u Duncana.

W końcu zmusiła się, by pójść do kuchni i zrobić sobie herbatę. Cholerne łyżki nadal leżały na stole, działając jej na nerwy. Owinęła jej w papierowy ręcznik i przesunęła pod ścianę.

Zaczęło świtać. Phoebe weszła na górę, wzięła kąpiel, ubrała się. Zeszła na dół. Podenerwowanie jej nie opuszczało. Nie możesz w tym tkwić, powiedziała do siebie. Miała kupę roboty przed poniedziałkowymi zajęciami i nadzieję, że jeszcze tego dnia z częścią sobie poradzi. Jednak najpierw, powodowana zwykłą ciekawością, postanowiła zobaczyć miejsce, w którym znaleziono ciało Trevora Harrisa. Sięgnęła po płaszcz i notatki, które miała przekazać Hutchowi. Jeśli znajdzie chwilę, podrzuci mu do domu.

Już za kółkiem, skierowała się na północ. Route 1 biegła równoległe do ścieżki rowerowej, którą tak często jeździła. Phoebe dotarła do sklepu Big Red Barn. Tu postanowiła zaparkować, niedaleko miejsca, gdzie znaleziono ciało. Tuż po przyjeździe do Lyle Phoebe próbowała coś tu kupić, z nadzieją że znajdzie przedmioty, które pomogą nadać domowi Herba nieco ciepła. Ku jej rozczarowaniu okazało się, że sklep oferuje wyłącznie kosze, metalowe łyżki i bańki na mleko. O tej porze był jeszcze zamknięty, ale na parkingu stało już kilkanaście samochodów – część policyjnych, część należących zapewne do gapiów.

Phoebe zostawiła samochód na samym końcu parkingu. Było koszmarnie zimno. Dobrze, że ubrała się ciepło.

Idąc w kierunku drogi nad rzeką, zauważyła wystawione przed sklepem wydrążone dynie, a obok nich kilkanaście wysuszonych kolb kukurydzy. Phoebe uświadomiła sobie, że niedługo Halloween. Dokładnie w najbliższą niedzielę. Świetnie będzie pasowało do sytuacji, pomyślała.

Chociaż było jeszcze wcześniej, zajęło jej kilka dobrych chwil, by przejść przez jezdnię. Pojawiało się coraz więcej samochodów. Po przejściu przez ulicę Phoebe przecięła zagajnik i znalazła się na ścieżce rowerowej. Po jej przeciwnej stronie, tuż nad rzeką, widniała polana, na której ustawiono kilka drewnianych stołów. Miejsce, gdzie miejscowa ludność urządzała pikniki.

Phoebe popatrzyła w prawo. Panował tam wyraźny ruch. Ponad dwadzieścia osób, część z rowerami, patrzyła w kierunku otoczonej żółtą policyjną taśmą grupy drzew. Pośród drzew widać było cztery lub pięć osób w mundurach policyjnych, które kręciły się po terenie tuż nad rzeką. Wyraźnie było to miejsce, w którym znaleziono ciało Trevora. To potworne – wyobrazić sobie, jak leży, biedny, miesiącami w głębokim mule, podczas gdy jego rodzina i przyjaciele – a wśród nich Lily – szukają go i szaleją z rozpacz.

Phoebe przyjrzała się twarzom gapiów. Część z nich stanowili studenci, a część mieszkańcy miasta. Plus rowerzyści, którzy najwyraźniej znaleźli się tu przypadkowo. Nagle dostrzegła Hutcha. Stał na samym końcu, w swoich workowatych spodniach, we flanelowej koszuli i w kurtce. Nie była zdziwiona. Hutch chciał być w samym sercu tego, co się działo.

– Cześć, Hutch – powiedziała, przepychając się ku niemu. Miał poważny wyraz twarzy, ale gdy zobaczył Phoebe, na jego twarzy pojawił się uśmiech.

– Pani profesor, witam.

– Proszę mi mówić po imieniu. Phoebe.

– Dzięki, Phoebe. Czyli też chciałaś to zobaczyć. Straszne, prawda?

– Było źle, robi się coraz gorzej – odparła. Popatrzyła na policjantów kręcących się wśród krzaków. – Wiesz może, jak to się stało, że policja go znalazła?

– Rozmawiałem z moim starym przyjacielem. Jest jeszcze w czynnej służbie. Policja przeszukiwała brzeg rzeki w poszukiwaniu swetra Lily. Liczyli na to, że to im wskaże miejsce, w którym wpadła do wody. No i znaleźli. Najpierw sweter dziewczyny, potem ciało chłopaka.

Phoebe westchnęła.

– Zginęli w tym samym miejscu. Policja pewnie myśli, że to seryjny morderca – powiedziała.

– Niekoniecznie. Ponieważ tych dwoje było parą, może te same rzeczy przychodziły im do głowy, tylko w różnym czasie.

– Na przykład narkotyki? – zapytała Phoebe. O tym nie pomyślała.

– Możliwe. Tutaj to poważny problem. Marihuana, tabletki gwałtu, nawet heroina.

– Pozwolisz, że będę drażyć. A jeśli te dwie ofiary to część określonego planu?

Wspomniałeś, że półtora roku to za duża przerwa jak na seryjnego mordercę, ale teraz mamy do czynienia z czterema wypadkami. Każdy w odstępnie sześciu miesięcy.

– Jeśli liczyć Wesleya Hinesa.

– Tak. Znalazłam jego adres i odwiedziłam go. Cały czas twierdzi, że ktoś podał mu narkotyki i wepchnął do rzeki. Można oczywiście założyć, że kłamie, ale mnie się wydał wiarygodny. I naprawdę załamany tym, że nikt mu nie wierzy.

Hutch pokręcił wolno głową, jednocześnie z powątpiewaniem, ale i uwagą.

– Podczas rozmowy z Wesleyem robiłam notatki. Mam dla ciebie kopię – dodała Phoebe.

– Miałam ci podrzucić w wolnej chwili. – Podała Hutchowi kartkę.

– Rzucę okiem. – Hutch złożył papier i schował go do wewnętrznej kieszeni kurtki. – To będzie straszne, jeśli okaże się, że źle oceniłem tego chłopaka i niesłusznie zlekceważyłem jego zeznanie. Wszystko działo się w czasie, gdy zmusili mnie do odejścia. Byłem rozkojarzony, mogłem popełnić błąd.

Phoebe zrobiło się przykro. Hutch musiał przechodzić ciężkie chwile. Po śmierci żony praca była dla niego wszystkim. Dobrze świadczy o nim fakt, że potrafi przyznać się do błędu. Taki Craig Ball w życiu nie przyznałby się do błędu większego niż pomyłka w numerze telefonu.

– Pisanie biografii nauczyło mnie jednego. Często rzeczy nabierają znaczenia w określonym kontekście – powiedziała. – W notatkach znajdziesz też relację z mojej rozmowy z dziewczyną, która była ofiarą Szóstek. Opowiedziała mi, jak działają. W jaki sposób znęcają się nad koleżankami i kolegami. I nie mogę pozbyć się myśli, że być może stoją – pośrednio lub bezpośrednio – za tym, co się stało.

Hutch cicho zagwizdał.

– Cały czas myślę o tej historii ze szczurami. Do jakiego stopnia młodziaki w grupie potrafią się nakręcić.

Phoebe powiedziała mu, co przeżyła ostatniej nocy.

– Nie podoba mi się sposób, w jaki zareagowano – Hutch był wyraźnie przejęty. – Boję się o twoje bezpieczeństwo.

– Jak tylko otworzą zakład, zadzwonię do ślusarza i załatwię lepsze zamki – obiecała Phoebe. – Dzisiaj zostanę na noc u kogoś znajomego.

Coś się działo koło drzew. Hutch i Phoebe jednocześnie spojrzeli w tę stronę. Na widok tego, co zobaczyła, Phoebe zabiło mocniej serce. Pete Tobias rozmawiał z dwoma chłopakami, którzy wyglądali na studentów Lyle. Było w nim coś z tropiącego psa myśliwskiego, wiecznie czujnego, wiecznie węszącego z nosem w powietrzu. Phoebe wiedziała, że za chwilę ją wypatrzy. A jeśli wypatrzy, na pewno zrobi z tego użytek.

– Jadę do kampusu – zwróciła się do Hutch. – Zadzwoni, proszę, jak przejrzysz notatki. Jestem bardzo ciekawa twego zdania.

– Zadzwoń – obiecał Hutch. – I... uważaj na siebie, Phoebe.

Phoebe pożegnała się i szybko pobiegła w stronę samochodu, w nadziei że Tobias jej nie zauważył.

W kampusie poszła prosto do biblioteki. Następne kilka godzin spędziła, przygotowując się do poniedziałkowych zajęć. Kiedy była pewna, że u ślusarza jest już otwarte, zadzwoniła i zamówiła nowe okienne zamki. Fachowiec miał przyjść jeszcze tego samego dnia.

Phoebe wyszła z biblioteki, by się z nim spotkać. W drodze do domu, przechodząc przez kampus, zwróciła uwagę na napięcie, jakie wisiało w powietrzu. Wszędzie stały grupki studentów i wykładowców. Żywo dyskutowali, a na ich twarzach malował się niepokój. Najwyraźniej rozeszły się informacje na temat Trevora i ludzie nie tylko omawiali sytuację, ale spekulowali na temat jej przyczyn i dalszego ciągu wydarzeń. Mijając grupę dziewcząt, Phoebe usłyszała, jak jedna z nich snuła hipotezę, że Lily i Trevor postanowili popełnić samobójstwo. Trevor wywiązał się z obietnicy wcześniej, a Lily podjęcie ostatecznej decyzji zajęło więcej czasu.

Tuż za zachodnią bramą sprawy wyglądały jeszcze gorzej. Stało tam pięć albo sześć wozów kempingowych z logo różnych szmatławych stacji radiowych i telewizyjnych. Wszystkie miały na dachu anteny satelitarne.

Gdy Phoebe podjechała pod dom, ślusarz czekał. Ten sam, co poprzednio. Już po pracy pokazał jej wszystkie okna, demonstrując nowe zamki.

– Mysz się nie prześlizgnie – zapewnił, odgarniając włosy z czoła. Kiedy wyszedł, Phoebe pomyślała, że może czuć się bezpieczna. Chyba że Szóstkom przyjdzie do głowy włamać się przy użyciu ostrych narzędzi. Poczula, jak znowu ogarnia ją lęk.

O piątej po południu wzięła kąpiel, umalowała się i przebrała w dżinsy, czarny kaszmirowy sweter z dekoltem i kozaki. Niepokój zdawał się ustępować uczuciu oczekiwania. Czekala na ten wieczór. Sama była zaskoczona tym, jak bardzo. Ponieważ miała zostać u Duncana na noc, wrzuciła do torebki szczoteczkę do zębów i komplet czystej bielizny.

Do kampusu poszła piechotą. Do Duncana pojedą pewnie jego samochodem. Weszła przez zachodnią bramę, zdążając w kierunku placu. Napięcie, które wyczuła rano, zdawało się pomału opadać. Mijając akademik Curry, w którym mieszkała Lily, na moment przystanęła. Dowiem się, co się stało, Lily, obiecuję, pomyślała. Nie zostawi tak tego w sposób, w jaki wiele lat wcześniej zostawiono ją.

Na parkingu obok akademika zauważyła Craiga Balla. Rozmawiał ze studentem w bluzie z logo Philadelphia Eagles. Czyżby przesłuchiwał jednego z kolegów Trevora? Chciała zapytać Craiga, czy rozmawiał już z policją, ale postanowiła odłożyć to na później.

Phoebe minęła plac i skręciła na północ. Wkrótce po lewej stronie pojawiła się zadrzewiona część kampusu. Pomarańczowe i żółte liście częściowo pokrywały jeszcze gałęzie drzew, jednak ich warstwa tworzyła też już cienki, lśniący dywan na trawie. Gdyby Phoebe była w innym nastroju, zwróciłaby uwagę na urok, jaki przedstawiał ten widok. Ale nie tego dnia.

Między gałęziami klonów widziała już dachy budynków wydziału nauk ścisłych. Jeszcze jeden zakręt. Phoebe lekko przyspieszyła, nie mogąc się doczekać, kiedy będzie na miejscu. Jej uwagę przyciągnęły migające lampki chodnikowe. Kiedy Phoebe podniosła wzrok, zauważyła zbliżające się z przeciwnej strony dwie studentki – jedną w czarnym płaszczu, drugą, z rudymi włosami, w kamizelce ze sztucznego futra narzuconej na sweter. Phoebe zorientowała się po chwili, że ma przed sobą Blair i Gwen. Zołądek natychmiast zareagował silnym skurczem.

– Dzień dobry, pani Hall – powiedziała Blair, beczelnie patrząc jej prosto w oczy. Gwen, przeciwnie, spuściła wzrok ku ziemi.

– Dzień dobry, Blair. – Phoebe zatrzymała wzrok na twarzy Blair. Jej niepokój powoli

zmieniał się w złość.

– Ostatnio wcześniej zapada zmrok, prawda? – odezwała się Blair z uśmiechem, mijając Phoebe. Końcówki jej ust lekko uniosły się do góry.

Ty mała dziwko, pomyślała Phoebe. Nie pozwolę ci się zastraszyć.

– Wszyscy musimy uważać – powiedziała. – Ciemność bywa niebezpieczna.

Wstrętny uśmieszek zniknął z twarzy Blair. To ona miała rozdawać karty w tej grze.

Czyżby to było ostrzeżenie przed kolejną wizytą, myślała Phoebe, przyspieszając kroku. Może Blair chciała dać jej do zrozumienia, kto tu rządzi? Phoebe spojrzała za siebie, ale dziewczyn już nie było.

Dopiero na miejscu uspokoiła się i złapała oddech. Jak się okazało, gabinet Duncana mieścił się na pierwszym piętrze, tuż obok gabinetów innych wykładowców. Recepcjonistka już wyszła, Phoebe więc zaczęła pukać do kolejnych drzwi. Za trzecim razem trafiła na właściwe. Duncan siedząc w fotelu, z nogami na biurku, przeglądał papiery, które wyglądały na prace semestralne.

– Cześć – powiedział, podnosząc głowę na dźwięk jej kroków. Zdjął nogi z założonego papierami biurka i przesunął okulary na czubek głowy. Miał na sobie dżinsy i podwiniętą do łokci koszulę w kolorze, który podkreślał kolor jego oczu. Phoebe czuła, jak ogarnia ją pożądanie. Jak do tego doszło, pytała wciąż samą siebie. Tydzień wcześniej irytowała mnie sama myśl o spotkaniu z nim, a dzisiaj prawie padam przed tym facetem na kolana.

– Czyli tu jest centrum układu nerwowego wydziału psychologii college’u w Lyle – powiedziała z uśmiechem.

Duncan odłożył papiery i podniósł się.

– Nie nazwałbym tego centrum. A z układem nerwowym ma to tyle wspólnego, że czytając te wypociny, można się pozbyć własnego.

– Myślisz, że się nie starają? Może sytuacja w college’u nie pozwala im pracować?

– Raczej to drugie. Choć są i tacy, którzy po prostu nic nie robią, niezależnie od tego, co się dookoła dzieje. Poczekaj, zrobię ci miejsce.

Czyli znowu problem z chłopcami. Duncan wstał zza biurka, podszedł do jednego z krzeseł i jednym ruchem zrzucił zalegające je papiery na podłogę. Spojrzał na Phoebe.

– Jak ładnie dziś wyglądamy – powiedział, całując ją w usta.

– Dziękuję – odrzekła Phoebe, patrząc mu w oczy. – Ale czuję się raczej średnio.

Krótko opowiedziała Duncanowi o nocnej przygodzie ze zmywarką i spotkaniu z dziewczynami w drodze do laboratorium.

– Rany, Phoebe, czemu nie zadzwoniłaś? – zdenerwował się Duncan. – Natychmiast byłbym na miejscu.

– Już raz mnie ratowałeś w tym tygodniu. Ile razy mogę wyciągać cię z łóżka?

– Czy Ball zdaje sobie sprawę z powagi sytuacji?

– Tak myślę. Miał też zawiadomić policję.

– Może damy sobie spokój ze zwiedzaniem i pojedziemy prosto na kolację?

– Nie, nie, chętnie zobaczę twoje królestwo.

– Super. Poczekaj na mnie momencik. Muszę skoczyć na trzecie piętro. Bruce coś ode mnie chciał.

Duncan wyszedł, a Phoebe oddała się analizie wystroju gabinetu, licząc na to, że ten zdradzi jej, chociaż częściowo, prawdę o kochanku. Wszędzie zalegały książki i tony papieru, a ekran komputera oklejony był kartkami z zapisem notatek. Jednym słowem, gabinet jak każdy inny. Jedyne osobiste akcenty to kubek z napisem „Musikfest, Betlehem, Pensylwania”, oprawiony dyplom doktorancki uniwersytetu w Michigan na ścianie i dwa małe zdjęcia na

biurku. Na jednym z nich Duncan, z pucharem w ręku, stał wśród studentów. Drugie przedstawiało Duncana i Milesa na rybach. Nic ciekawego. Phoebe wyciągnęła się na krześle i próbowała rozluźnić.

Przez krótką chwilę jej myśli błądziły bez celu, ale przywołała się do porządku. Była w gabinecie Duncana, przed nią ekscytujący wieczór. Spojrzała na zegarek i ze zdziwieniem stwierdziła, że Duncana nie ma już piętnaście minut. Opuściła pokój, minęła recepcję i wyszła na główny korytarz. Było pusto i cicho – nic dziwnego, jak na tę porę w piątkowy wieczór. Nagle z niedalekiej klatki schodowej dobiegł ją dźwięk kroków. Była przekonana, że to Duncan. Czekala, jednak się nie pojawił. Poczula lekką irytację na myśl, że tak długo każe jej czekać.

Postanowiła wrócić do jego gabinetu. Nagle na korytarzu, w jednej chwili, zgasły wszystkie światła. Zapanowała ciemność.

Phoebe zamarła, zaskoczona. Czyżby dozorca wyłączył światło, pytała samą siebie, stwierdzając, że ciemność panuje na całym korytarzu. Po omacku ruszyła w kierunku wydziału psychologii. Pamiętała, że na biurku Duncana paliła się lampa, ale teraz nie widziała, żeby jakakolwiek smuga światła dochodziła zza drzwi jego gabinetu i oświetlała recepcję. Pewnie siadły bezpieczniki, pomyślała Phoebe. Poczwała, jak ogarnia ją panika. Oddychaj, dziewczyno. Nie daj się wyprowadzić z równowagi.

Znowu spojrzała w głąb korytarza. Oczy pomału przywykały do ciemności. Widziała, że nad drzwiami prowadzącymi na klatki schodowe pała się światła wskazujące drogę do wyjścia awaryjnego. Sprawiały niesamowite wrażenie, jak oczy duchów żarzące się po obu stronach korytarza. Gdzie, do diabła, jest Duncan? Przecież mówił, dokąd idzie. Na trzecie piętro, przypomniała sobie. Ale dlaczego nie wraca? Już dawno powinien być z powrotem. Phoebe szybko zaczęła iść w kierunku jednej z klatek schodowych. Liczyła na to, że tamtędy będzie wracał – i że tam go spotka. Przez głowę przeszła jej myśl, że być może światła nie ma w całym kampusie.

Na klatce schodowej paliły się tylko żarówki awaryjne. Dawały przyćmione światło, ale dobre i to. Na schodach nie było żywego ducha, nie słyhać też było, żeby ktoś schodził.

– Duncan? – Phoebe zawołała z niepokojem. – Jesteś tam?

Wydawało jej się, że w oddali słyszy, jak ktoś trzaska drzwiami, potem jednak zapadła cisza.

Była zła. Wręcz wściekła. Duncan nie tylko zostawił ją samą na tak długo, ale i w tej sytuacji nie raczył pofatygować się z powrotem. Phoebe nie zamierzała siedzieć sama w ciemnościach i czekać nie wiadomo na co. Zdecydowała się wyjść z budynku i poczekać na Duncana na zewnątrz. Zostawiła jednak torebkę w jego gabinecie. Na podłodze, tuż obok krzesła. Postanowiła, że po nią wróci. No i przyszło jej do głowy, że najprościej będzie zadzwonić do Duncana na komórkę. Powinien mieć ją przy sobie, w kieszeni dżinsów.

Wróciła na korytarz. Było cicho jak w grobie, Phoebe słyszała tylko coraz szybsze bicie własnego serca. Uspokój się, po raz kolejny zganiła samą siebie. To tylko głupia awaria. Skierowała się w kierunku wydziału psychologii. Na recepcji było jeszcze ciemniej niż dookoła – okna wychodziły na park. Phoebe po omacku zrobiła kilka kroków i skręciła w prawo, w kierunku, w którym znajdował się gabinet Duncana. Namacała ręką drzwi do klatki schodowej. Po ciemku uderzyła głową o framugę drzwi. Jęknęła z bólu.

Nabrawszy głęboko powietrza, ostrożnie wyszła na korytarz. Jej wzrok zaczął przyzwyczajać się do ciemności. Wysunęła ręce przed siebie i pomału posuwała się do przodu, aż dotarła do drzwi gabinetu Duncana. Jej wzrok wyłowił z ciemności kształt krzesła. Kiedy jednak udało jej się go dotknąć, uświadomiła sobie, że pomyliła pokoje. Krzesło w gabinecie Duncana było obite skórą. To, którego dotykała – materiałem.

Klnąc ze wściekłości, Phoebe znów wyszła na korytarz. Namierzyła wejście do gabinetu tuż obok. To zdecydowanie należało do Duncana. Nawet w ciemności widać było oklejony karteczkami ekran komputera. Phoebe podeszła do krzesła i rozglądając się, trafiła wzrokiem na swoją torebkę.

Nagle, na korytarzu, usłyszała jakiś dźwięk. Phoebe rzuciła się w kierunku, z którego dobiegał.

– Duncan? – krzyknęła. Bogu dzięki, pomyślała.

Ale nikt jej nie odpowiedział. Przystanęła więc i zaczęła nasłuchiwać. Przed budynkiem,

prawdopodobnie na chodniku, który prowadził do wejścia, jakiś chłopak głosem, który do Phoebe dobiegał już stłumiony, krzyczał: „Hej, Max!”, a potem „Poczekaj!”. Jednak w samym budynku panowała cisza. Nagle Phoebe usłyszała cichy oddech. Ktoś tu był. Niedaleko. Odgłos był ledwo słyszalny, coś jak sapanie psa przez sen. Phoebe nogi zmiękły ze strachu.

– Kto tam? – zapytała, a słowa więzły jej w gardle. Obróciła się i spojrzała w kierunku długiego rzędu gabinetów. Nie miała pojęcia, skąd dochodził odgłos. Wydawało się, że ciemność pochłania dźwięki niczym gąbka wilgoć. Po chwili znowu usłyszała to samo. Na pewno było blisko, jednak nie miała nawet pojęcia, z przodu czy z tyłu.

Phoebe odruchowo rzuciła się w kierunku recepcji. Kiedy tylko dotarła na główny korytarz, za drogowskaz mogły jej służyć światelka oznaczające wyjścia awaryjne. Pobiegnęła w kierunku klatki schodowej, a potem w dół, na parter. Otworzyła drzwi wejściowe i jak z procy wypadła na zewnątrz. O mało co nie zderzyła się ze stojącym przed wejściem mężczyzną. To był Bruce Trudeau. W chwili gdy go rozpoznała, budynek rozbłysł światłem.

– Nie wiesz, co się dzieje? – zapytał Bruce. Oboje patrzyli na oświetlony budynek. Oddychał z trudem, jak po ciężkim biegu.

– Nie mam pojęcia. – Phoebe sama była ledwo żywa. – Ktoś... Gdzie jest Duncan?

– Duncan? – Bruce był zaskoczony pytaniem. – Nie mam pojęcia. Byłem w kampusie, gdy nagle zobaczyłem, że w moim budynku zgasły światła. Pomyślałem, że sprawdzę, co się stało.

– Nie byliście razem? – Phoebe czuła, że znowu zapada w sen. Coraz dziwniejszy. Absurd goni absurd, konie siadają do kolacji przy jednym stole z ludźmi.

– Nie, dlaczego?

Dostrzegła w jego oczach ciekawość. Ostatnią rzeczą, o jakiej marzyła, było, by świat dowiedział się o jej romansie z Duncanem.

– Miał mi pokazać szczury – powiedziała. – Uważał, że to może być ciekawe. Musiał na chwilę pójść na inne piętro – myślałam, że na spotkanie z tobą – i kiedy na niego czekałam, w budynku zgasło światło.

– Dziwne to wszystko – powiedział Bruce. – Lepiej sprawdzę, co się dzieje. Chcesz iść ze mną czy poczekasz tutaj?

– Wolę tutaj. – Phoebe zmusiła się do uśmiechu.

Kiedy frontowe drzwi budynku zamknęły się za Bruce'em, wzięła głęboki oddech, Gdzie, do diabła, był Duncan, skoro Bruce go w ogóle nie widział? Zaczęła grzebać w torebce w poszukiwaniu telefonu.

Tymczasem nadeszła odpowiedź. Drzwi wejściowe otworzyły się i stanął w nich Duncan.

– A więc *tutaj* jesteś – rzekł, obejmując Phoebe. – Bruce mi powiedział.

– Ja? – zatkało ją. – Powiedz lepiej, gdzie *ty* byłeś tyle czasu?

W jej głosie brzmiała pretensja, ale nic nie mogła na to poradzić.

– Przepraszam – odparł Duncan. – Zagadaliśmy się. Zeszło nam dłużej, a gdy miałem już iść, zgasło światło, a Miles dostał ataku dusznicy.

– Mówiłeś, że idziesz spotkać się z Bruce'em.

– Powiedziałem „Bruce”? – Duncan uniósł brwi. – Musiałem się przejęzyczyć.

– A Miles? Już z nim dobrze?

– Tak, miał przy sobie leki, ale poczekałem, by zobaczyć, czy zadziałają. Myślę, że zdenerwowały go te światła. Zadzwoiłbym, ale nie miałem przy sobie komórki.

– No nic, nie przejmuj się – powiedziała Phoebe.

– Wszystko w porządku? – spytał Duncan, czując, że coś nie tak.

Chciała mu opowiedzieć o dźwiękach, jakie tropiły ją tuż obok jego gabinetu, ale

zmieniła zdanie. Może to był wentylator. Może wyobraźnia pracowała zbyt żywo, podsuwając jej różne obrazy. Wszystko przez tę ciemność. Nie chciała, by Duncan uznał, że wpada w paranoję.

– Po prostu się przestraszyłam – odpowiedziała krótko.

– Darujmy sobie wycieczki i jedźmy do mnie.

Phoebe uśmiechnęła się na samą myśl.

– Dobrze. Kanapa i lampka wina – to jest to, czego potrzebuję. Jestem potwornie spięta.

– Może zatem kanapa, lampka wina i masaż karku?

– Jeszcze lepiej.

– Skoczę tylko do biura po torbę. I wracam prosto do ciebie.

Duncan zniknął za drzwiami, a Phoebe wsparła się o barierkę otaczającą budynek. W dole kampus migotał światłami, wiodąc zwykle życie mimo ostatnich wydarzeń. Zwykle życie nie dotyczyło Phoebe, która czuła się potwornie rozbita. Słyszałam coś. *Na pewno* słyszałam, pomyślała.

– Zaskoczyłaś mnie tym, że pozwalasz się wieźć – powiedział Duncan kilka minut później, gdy już siedzieli w jego samochodzie. – Byłem prawie pewny, że zechcesz jechać swoim samochodem. Za mną.

– Co masz na myśli? – Phoebe poczuła się nieco zakłopotana.

– Wiem, że lubisz panować nad sytuacją – powiedział, patrząc na nią z uśmiechem. – Nie ma w tym nic złego. To moja obserwacja.

– Więc twoim zdaniem bardziej panowałabym nad sytuacją, jadąc do ciebie swoim samochodem? – zapytała Phoebe.

– Bardziej chodzi o to, co *potem*. Teraz ode mnie zależy, czy odwiozę cię do domu.

– Jasne. – Phoebe zaczęła się śmiać. – Zaufam ci. Chyba że chcesz mnie odstawić już o jedenastej.

Sama była zaskoczona swoją bezpośredniością.

– Lepiej uważaj – powiedział Duncan. – Bo mogę cię porwać na cały weekend.

Phoebe lekko się spięła. Oczywiście, wiedziała, co robi – wrzucając do torebki kosmetyki i bieliznę, spodziewała się, że zostanie u Duncana na noc. Jednak nie wybiegała myślami dalej. Idea spędzenia z Duncanem całego weekendu była równie nęcąca, co zaskakująca i odrobinę przedwczesna. Phoebe nie chciała, żeby coś działo się szybciej, niż powinno.

– Najpierw zobaczymy, czy umiesz gotować – rzuciła tonem upozowanym na lekki.

Kierując się poza kampus, przejechali obok drzwi wejściowych wydziału nauk ścisłych. Ku swojemu zaskoczeniu na schodach przed budynkiem Phoebe zobaczyła męża Glendy.

– Co tu robi Mark Johns? – zapytała.

– Nie wiem. – Duncan się rozejrzał. – Kiedyś chodziły słuchy, że chciał wykładać psychologię zarządzania jako adiunkt.

Boże, żeby mnie tylko nie zobaczył, modliła się Phoebe, kuląc się na fotelu. To *ja* powinnam powiedzieć o wszystkim Glendzie.

Minutę później minęli północną bramę miasteczka.

– *Gdzie* ty właściwie mieszkasz? – zapytała Phoebe.

– W Winamac Acres – odpowiedział Duncan. – Dziesięć minut drogi stąd.

Phoebe mniej więcej kojarzyła, gdzie to jest. Zamożna dzielnica na przedmieściach.

– Może nie jest to miejsce idealne, ale po śmierci Alice musiałem znaleźć coś natychmiast – dodał.

To dobrze, pomyślała Phoebe. Nie będę musiała używać wanny, w której zmarła jego żona.

Przed domem Duncana było ładnie, choć standardowo. Trawnik wysypany kamykami,

przy wejściu rosły topole. Jednak wewnątrz robiło zaskakujące wrażenie. Ściany pomiędzy kuchnią, jadalnią i salonem zostały wyburzone. Pomieszczenie sprawiało wrażenie ogromnego poddasza. Pośrodku, wbudowane w szare kamienie, stały kuchenka i barek. Dom był urządzony w nowoczesnym stylu, jednak z ciepłymi akcentami – jak skórzana sofa z płócienną narzutą. Mieszkanie wyglądało niezwykle przytulnie.

– *Sam* wyburzyłeś ściany? – spytała, gdy Duncan brał jej płaszcz. – Ależ tu miejsca!

– Tak, to był mój pomysł. Może trochę ekstrawagancki, ale w końcu nie planuję tu być do końca życia. Ale po tym, co się stało, potrzebowałem miejsca, w którym naprawdę poczuję się jak w domu.

Phoebe i Duncan przeszli do części kuchennej. Phoebe usiadła na jednym z krzeseł przy barku. Duncan otworzył butelkę czerwonego wina. Nalał do kieliszków, podpałił gaz, po czym wyciągnął z lodówki duży czerwony garnek.

– Co tam masz? – zapytała Phoebe.

– Kurczaka po myśliwsku – uśmiechnął się Duncan. – Uznałem, że przygotowanie potrawy o takiej nazwie nie zagrazi mojej męskości. – Postawił garnek na ogniu. – Musi się podgrzać. Dziesięć minut i gotowe.

Umył ręce, wytarł je w dzinsy i usiadł na krześle obok. Wypił łyk wina, odstawił kieliszek i spojrzał Phoebe w oczy.

– Dobrze, pani Hall. Proszę mi opowiedzieć, co się działo w nocy. Ze szczegółami, od początku do końca.

Opowiedziała mu zatem wszystko, uzupełniając to, o czym nie wspomniała wcześniej. Zarówno historię ze zmywarką, jak i przebieg rozmów z Hutchem, Alexis i Wesleyem. Mimo kojącego działania wina czuła, jak z każdym przekazany szczegółem jej wzburzenie rośnie.

Kiedy skończyła, Duncan milczał, obracając w dłoni kieliszek.

– Powiedz, co myślisz – ponagliła go Phoebe. – Czy twoim zdaniem grasuje tu seryjny morderca?

Wzruszył ramionami.

– Ciężko wyczuć. Nie wiadomo, co znalazła policja. Mogą mieć dowody. Jednak wiem *jedno*.

Phoebe zdziwił surowy wyraz jego twarzy.

– Tak? – spytała.

– Może to nie jest moja sprawa, ale zaszłaś już za daleko. O wiele dalej, niż Glenda mogłaby wymagać. Pora, by śledztwo przejęły władze.

– Masz rację – zgodziła się Phoebe. – Sytuacja się zagęszcza. Poza tym czuję, że zrobiłam, co w mojej mocy.

To akurat nie jest prawdą, pomyślała. Musi się dowiedzieć, co z ostatnimi kręgami wtajemniczenia. Musi też wiedzieć, kto zabił Lily. Czuła jednak, że dyskusja z Duncanem w tym momencie nie ma sensu.

– Czy usłyszałem właśnie obietnicę porzucenia tematu? – zapytał Duncan.

– Obiecuję – odrzekła Phoebe, jednak bez wiary w to, co mówi.

– Super. W nagrodę dostanie pani pysznego kurczaka po myśliwsku.

Następnych kilka minut Phoebe spędziła na kanapie, starając się ze wszystkich sił nie myśleć o Szóstkach, utonięciach, całym tym koszmarze. Starła się skupić na obserwowaniu tańczących płomieni, smaku wina i na krzątającym się wokół kuchenki Duncanie. W pewnej chwili poderwała się i zrobiła gotującemu Duncanowi zdjęcie telefonem komórkowym.

Podano do stołu. Phoebe marzyła o takim posiłku, pochłonęła go zatem błyskawicznie. Po kolacji podpytała Duncana o jego pochodzenie – nigdy wcześniej o tym nie rozmawiali.

Powiedział, że pochodzi z przedmieść Chicago. Doktorat robił w Michigan, uczył na Północnym Zachodzie.

– Tam poznaliście się z żoną? – zapytała Phoebe. – Na Północnym Zachodzie?

Temat jego małżeństwa, z jednej strony niemiły, z drugiej ją intrygował, i Phoebe walczyła z ciekawością od momentu ich pierwszej rozmowy na ten temat.

– Poznałem ją, mniej więcej wtedy, kiedy zacząłem uczyć, ale nie w szkole. – Duncan zabrał się do sprzątnięcia ze stołu i Phoebe przyszło na myśl, że chyba nie chce ciągnąć tematu.

– A ty? – spytał, stawiając na stół salatek i sery. – Założyłem, że jesteś ze Wschodniego Wybrzeża, ale nigdy cię o to nie pytałem.

– Pochodzę z małego, pozbawionego uroku miasteczka w Massachusetts. Kilka lat temu zmarła moja mama. Od tej pory byłem tam tylko raz – na weselu kuzynki.

– Nie przepadasz za nim?

– Nigdy nie przepadałam. Moja mama była kochana, robiła dla mnie co mogła, mam z dzieciństwa szczęśliwe wspomnienia, mimo że mój ojciec zniknął, gdy miałam dwa lata. Nigdy się już nie pojawił. Ale miasta nienawidziłam. Czekałam tylko, kiedy będę mogła stamtąd wyjechać i zacząć nowe życie.

– Dlaczego zatem nie zostałeś w szkole, tylko wróciłeś do domu? – zapytał Duncan cicho.

Phoebe uśmiechnęła się do siebie smutno. Czuli się jak świadek na rozprawie sądowej, podczas której jedna nieprawidłowa odpowiedź na pytanie kieruje wszystko nie w tę stronę, co trzeba. I zaczynają padać pytania, przed którymi ostrzegali adwokaci. Popatrzyła na Duncana, ale odwróciła wzrok. Wzięła z koszyka kawałek chleba.

– Czyli nie uwierzyłeś w historyjkę o tęsknocie za domem? – zapytała.

– Wyczułem, że nie mówisz wszystkiego – przyznał. – Jeśli masz ochotę się wygadać, chętnie posłucham.

– To ciekawy zbieg okoliczności – powiedziała, znowu patrząc Duncanowi w oczy. Zawahała się. – Znęcała się nade mną grupa dziewcząt. Należały do tajnej grupy. Coś jak Szóstki.

Uważaj, ostrzegła samą siebie. Przecież nie chcesz tego robić. Prawdę, oczywiście, znała Glenda. I jeszcze kilka osób. Nawet Alec nie znał szczegółów, mimo że byli w związku cztery lata.

– To tłumaczy, dlaczego interesuje cię sprawa Szóstek. Powiedz coś więcej o tym znęcaniu.

Phoebe dotknęła ręką czoła i poprawiła włosy. Niech to szlag, po co ja to zaczęłam?

– Nie ma za bardzo o czym mówić. Dostawałam obrzydliwe maile, tego typu rzeczy. Glenda mi wtedy bardzo pomogła. Od tamtej pory się przyjaźnimy.

Phoebe uświadomiła sobie, że mówi na jednym oddechu. Gdy skończyła, złapała trochę powietrza, starając się, by Duncan nie zauważył jej napięcia. Wypiła łyk wina.

– Trochę mi ciężko wyobrazić sobie Phoebe Hall, która ucieka z powodu kilku głupich maili.

– No nie, było też gorzej. Doprowadziły do tego, że wyrzucono mnie z kółek, do których chciałam należeć. Co za sens chodzić do szkoły i nie móc brać udziału w najciekawszych zajęciach? No i to żadna przyjemność być odrzuconym przez dziewczyny.

– Musiało ci być ciężko.

– Dojrzewanie nigdy nie jest łatwe. Ale zmieńmy temat. Nie lubię drażnić przeszłości. Szkoda czasu.

– Jasne – zgodził się Duncan. – Obiecałem ci masaż, to chyba dobry moment.

– Idealny. – Phoebe ucieszyła się zmianą tematu. Wstała od stołu i opróżniła salaterkę

z resztek sałaty.

Duncan poszedł za nią. Gdy stawiała talerze na stole, od tyłu objął ją w pasie. Po raz drugi tego dnia okazał jej czułość – pierwszy raz w gabinecie, całując w usta. Pożądanie uderzyło Phoebe do głowy.

- Albo pójdźmy prosto do łóżka – szepnął. – Znam kilka sztuczek lepszych niż masaż.
- Opcja B – uśmiechnęła się Phoebe.

Kochali się – najpierw powoli i zmysłowo, potem w pośpiechu i bez hamulców, co nieomal Phoebe przestraszyło. Pozwoliła się unieść szaleństwem.

Rano Duncan znowu wstał wcześniej. Za ścianą słyszała brzęk talerzy i cichą muzyką klasyczną. Kiedy weszła do olbrzymiego pokoju, na stole czekały owoce i muffiny.

- Ale *tego* chyba nie upiekłeś? – zapytała.

– Zdobyłem w „U Berty” – powiedział. – Pomyślałem, że musisz być jagodową panią i trzeba ci podogadzać.

- Bingo – odpowiedziała.

Śniadanie upłynęło im w naturalnej atmosferze. Żadnego spięcia w świetle dnia. Potem razem posprzątali. Dobrze się uzupełniamy, pomyślała Phoebe.

– To ostatni weekend na pięknej przejażdżce – powiedział Duncan. – Jeśli masz ochotę, możemy się przejść, a potem trochę pojeździć po okolicy. Znam gospodę, gdzie podają świetne małże.

Jednym słowem, realizuje swój plan porwania mnie na weekend, pomyślała Phoebe.

- Brzmi cudownie – odparła.

Tego ranka niebo było krystalicznie czyste. Duncan, zgodnie z obietnicą, pokazał jej urocze wiejskie okolice. Jeździli około dwóch godzin, zatrzymując się, z ciekawości, w kilkunastu sklepikach. W końcu dotarli do gospody. Była nieco zaniedbana, ale pełna gości. Phoebe poszła do łazienki. Gdy wróciła, Duncan już zajął stolik – tuż przy barze. Zamówili małże i butelkę zmrożonego pinot grigio. Duncan podczas posiłku był mniej rozmowny, niż gdy prowadził. Skończyli jeść i zamówili espresso. Do baru podszedł młody chłopak w czapce z daszkiem z logo Lehigh University. Wiedziała, że Lehigh leży w Bethlehem.

– Co myślisz o dzisiejszych chłopcach w college’u? – zapytała, odstawiając filiżankę po espresso. – A zwłaszcza o tych w Lyle? Ciągle słyszę, że nie dorastają dziewczynom do pięt.

– Mam w tym semestrze w swojej grupie kilku naprawdę fajnych chłopaków, ale to prawda, że teraz nie ma wielu mądrych nastolatków. Jako społeczeństwo poświęciliśmy dużo uwagi dziewczętom – zresztą słusznie – i część chłopców się pogubiła. Dziewczeta w Lyle często wydają się nimi rozczarowane.

- To mi przypomina coś, co odkryłam przy okazji sprawy Lily. Chciałabym to wyjaśnić.

- Co takiego? – zapytał Duncan.

– Tuż przed śmiercią spotykała się z kimś. I to nie był chłopak z college’u. Co wskazuje na to, że też chyba nie była fanką kolegów.

- Prawdziwy z ciebie detektyw. Od kogo to wiesz?

– Od jej koleżanki z pokoju. Odłóżmy na chwilę na bok teorię o seryjnym mordercy. Być może to ten facet ma coś wspólnego ze śmiercią Lily. Chciałabym wiedzieć, kto to jest. Jak zauważył Hutch, dziewczyny często padają ofiarą, gdy rzucają kogoś, kto nie chce być porzucony.

Zadzwoił telefon Phoebe. Dzwonił Hutch.

- O wilku mowa – powiedziała. – Przepraszam na sekundę.

– Dziękuję za notatki – usłyszała w słuchawce głos Hutch. – Okazały się bardzo przydatne.

– Naprawdę? – Phoebe była podekscytowana. – Coś znalazłeś?
– W pewnym sensie. Mindy, ta miła pani, z którą rozmawiałeś w budynku ochrony, zrobiła mi ksero moich notatek. Porównałem je z twoimi i coś mi przyszło do głowy. Mogłabyś do mnie znowu wpaść?

Jasne. Akcja w stylu Hutcha.

– Jestem teraz w restauracji, ale spróbuję coś wymyślić. Zadzwoń za chwilę.

Nawet jeśli miała spędzić weekend z Duncanem, zawsze mogła wziąć swój samochód i wyrwać się na chwilę do Hutcha.

– Znalazł coś w notatkach, które mu dałam – wyjaśniła Duncanowi. – Ale chce mi to powiedzieć osobiście.

– Myślałem, że postanowiłaś z tym skończyć. – Duncan wyraźnie nie był zachwycony.

– Jeszcze tylko to spotkanie. To może być ważne.

– Zjadłabyś coś jeszcze? Nie? To jedziemy.

– Dobrze. – Phoebe była zaskoczona jego pośpiechem. Myślała, że wypije przy kominku jeszcze jedno espresso.

Duncan podniósł głowę, szukając wzrokiem kelnerki. Kiedy przyniosła rachunek, podał kartę kredytową, nawet nie sprawdzając kwoty należności. Phoebe zaproponowała, że się dołoży, ale potrząsnął przecząco głową.

– Zostawiłaś coś u mnie?

– Nie – odpowiedziała Phoebe, zaskoczona.

– Odwiozę cię – powiedział Duncan. – Na pewno masz kupę roboty. Tak jak ja.

– Faktycznie. – Starła się, by nie było po niej widać rozczarowania.

– Czujesz się bezpiecznie z nowymi zamkami? – zapytał. – Nie chcę, żebyś się bała.

– W końcu muszę nauczyć się z tym żyć. Nie mogę cały czas uciekać.

To była prawda. Jednak ciągle czuła w żołądku nieprzyjemny skurcz. Tak chciała, żeby Duncan porwał ją na cały weekend.

Gdy wychodzili z knajpy, Duncan był uprzedzająco grzeczny. Pomógł Phoebe nałożyć kurtkę, przepuścił w drzwiach. Może po prostu źle go rozumiałam, gdy mówił o porwaniu na weekend, pomyślała Phoebe. Zażartował, a ja wzięłam to dosłownie. W końcu przecież *porwał* ją – na cały dzień, więc spędzili razem więcej czasu, niż pierwotnie planowała.

Jednak podczas drogi powrotnej do Lyle Duncan sprawiał wrażenie, jakby myślami był gdzie indziej. Chwilami wręcz wyczuwała w nim rezerwę. Przeczucie mówiło Phoebe, że coś się popsulo. Być może chodziło o to, że obiecała spotkać się z Hutchem w wiadomej sprawie – podczas gdy wcześniej przyrzekła, że porzuci prywatne śledztwo. Po chwili jednak uświadomiła sobie, że Duncan zaczął się inaczej zachowywać już po tym, gdy wróciła z łazienki. Stał się bardziej zamyślony.

A może to tylko zmiana nastroju – pod wpływem lunchu, wina oraz towarzystwa przez kilka godzin tej samej osoby. Od razu kiedy go poznała, zauważyła, że jest chimeryczny, ulega nastrojom i potrzebie wycofania się. Miała rację.

Wiejskie pejzaże przemykały za szybą samochodu, i Phoebe od czasu do czasu rzucała kilka słów zachwytu na ich temat. Duncan uprzejmie się zgadzał. I tyle.

– Wszystko w porządku? – spytała w końcu Phoebe. Wiedziała, że mężczyźni nienawidzą tego typu pytań i szanse na szczerą odpowiedź są praktycznie żadne, jednak czuła potrzebę lekkiej prowokacji. – Od jakiegoś czasu nic nie mówisz.

– Przepraszam – powiedział. – Miałem telefon, gdy byłeś w łazience. Muszę dzisiaj coś załatwić. Jestem trochę roztargniony. Wybacz.

– Nie ma problemu – odparła Phoebe. – Chciałam tylko wiedzieć, czy dobrze się czujesz.

Dojeżdżali do Lyle. Wydawało się, że Duncan nieco się rozluźnił. Wygodniej rozsiadł się na siedzeniu, humor wyraźnie mu się poprawił. Gdy podjechali pod dom Phoebe, popatrzył na nią z uśmiechem.

– Chyba twoi sąsiedzi nie zaczną gadać? Co prawda w dzisiejszych czasach nie musi to nikogo interesować, ale ktoś spostrzegawczy mógłby zauważyć, że masz na sobie to samo, co wczoraj.

– Skoro nikt nie zauważył, że ktoś mi włazi do domu przez okno albo tylnymi drzwiami wnosi szczury, to chyba nikt tu nie grzeszy spostrzegawczością – odparowała Phoebe.

Duncan zatrzymał samochód.

– Może zajrzę na chwilę i upewnię się, czy wszystko w porządku.

Jakaś część Phoebe kusila, by się zgodzić. Jednak pokręciła przecząco głową. Nie chciała, by uczucie rozczarowania, jakie męczyło ją od lunchu, nadal trwało.

– Dziękuję, dam sobie radę – powiedziała. – Ślusarz zapewniał, że mysz się nie prześlizgnie.

Ulicą przejechał sporych rozmiarów wóz. Oboje jednocześnie popatrzyli w jego stronę. Na samochodzie widniało logo Telewizji Filadelfia. Wyraźnie zmierzał w stronę kampusu.

– Może są jakieś nowe wiadomości. – Duncan uniósł brwi.

– Po prostu wracają z późnego lunchu w Taco Bell – wyraziła przypuszczenie Phoebe. – A skoro już się zgadało – dziękuję za miły dzień.

Duncan objął ją jedną ręką, przyciągnął i pocałował w usta.

– To był wspaniały weekend – powiedział. – Dzwon, jeśli coś będzie nie tak. O każdej porze dnia i nocy. Dziś wieczorem posiedzę nad pracami domowymi.

Jego zły nastrój ulotnił się i zdawało się, że wszystko było jedynie wytworem wyobraźni

Phoebe.

Otworzyła drzwi wejściowe i usłyszała, jak Duncan rusza. Czekał do chwili, aż Phoebe wejdzie do środka. Obrzuciła szybkim spojrzeniem salon, wróciła do przedpokoju i wyrzała na zewnątrz. Samochód Duncana zniknął w dole ulicy.

Po kolei sprawdziła zamki w każdym z okien. Zdecydowanie nikt nie próbował przy nich majstrować. Kiedy przechodziła przez kuchnię, by sprawdzić tylne drzwi, wspomnienie czerwonej plamy na dnie zmywarki sprawiło, że poczuła mdłości. Craig miał w czwartek porozmawiać z policją. Gdyby dotrzymał słowa, ktoś z komisariatu na pewno już by się do niej zgłosił.

Wreszcie zakończyła oględziny domu i zadzwoniła do Hutcha. Chciała umówić się na spotkanie i dowiedzieć, jakiego odkrycia dokonał. Hutch jednak nie odbierał.

„Cześć, Hutch, tu Phoebe – nagrała się na automatyczną sekretarkę. – Jestem już w domu i mogę podjechać do ciebie w każdej chwili”. Oczywiście wyobraźni widziała, jak chodzi z psami koło domu, na przykład zbierając drewno. I zapewne słuchając jakiejś muzyczki w stylu country.

Zadzwoniła do Glendy. Ta również nie odbierała, co nieco zaskoczyło Phoebe. Już miała się nagrać, kiedy w słuchawce usłyszała głos przyjaciółki.

– Przepraszam, że byłam dzisiaj taka niedostępna – powiedziała. – Ledwo znalazłam czas, by się wykąpać. Prawdziwe piekło.

– Co nowego?

– W kampusie wszyscy kotłują się jak w zoo. Dzieciaki są przerażone, ich rodzice i członkowie zarządu też. No i przestaliśmy być wydarzeniem lokalnym. Właśnie nadciąga ekipa z *Dateline*. A to, że w niedzielę przypada Halloween, też nie ułatwia sytuacji. Pojawiła się plotka, że w ten weekend pojawi się kolejna ofiara.

– Myślisz, że Tom za tym stoi?

– W pewnym stopniu na pewno tak. Powtarzam mu, jak szkodliwe jest podsycanie paniki, a ten patrzy na mnie oczami pełnymi wyrzutu, że w ogóle mogę go podejrzewać o coś takiego. Kilka razy wpadłam na niego w kampusie w towarzystwie różnych osób. Żywo dyskutowali i nie podoba mi się to. Rozesłał maile do rodziców. Ich treści nie skonsultował ze mną i uważam, że nie była właściwa. Oczywiście, trzeba poinformować, kogo trzeba. To jednak co innego niż sianie paniki.

– A ty? Jak się trzymasz?

– Nigdy nie żyłam w takim tempie. Myślę, że na zewnątrz tego nie widać, ale w środku trzęsę się jak galareta. Biedny Brandon. Zupełnie nie mam dla niego czasu.

– A Mark? Jak to wszystko na niego działa?

– Kiedyś myślałam, że to udane małżeństwo. Jednak ostatnio, kiedy potrzebuję wsparcia, wydaje się, że Mark jeszcze *bardziej* się oddalił. Poprosiłam go, by zajął się Brandonem. Dzieciak potrzebuje, żeby ktoś poświęcił mu trochę czasu. Wszystko, co Mark miał mi do powiedzenia, to że ma dużo pracy. Dobra, wystarczy już o mnie. Powiedz, co u ciebie.

Z lekkiego tonu, jakim Glenda powiedziała ostatnie zdanie, Phoebe zorientowała się, że przyjaciółka nie wie o tym, co jej się ostatnio przydarzyło.

– Miałam kolejną przygodę. Myślałam, że Ball ci powie. – Opowiedziała Glendzie historię ze zmywarką.

– Boże drogi. – Glenda była pod wrażeniem. – Ball ani słowem o tym nie wspomniał. Co jest, do diabła? I ostatniej nocy byłaś tam sama?

– Nie w tym problem. – Phoebe nie chciała wdawać się w szczegóły. – Wymieniłam zamki.

Mówiąc to, znowu poczuła ukłucie wyrzutów sumienia. Glenda nadal nie wiedziała o niej

i Duncanie. Im dłużej Phoebe będzie odkładała ich rozmowę, tym gorzej. Zaczęła mówić, ale Glenda jej przerwała.

– Posłuchaj, Fee. Ta cała sprawa zaczyna wymykać się z rąk. Chcę, żebyś zakończyła śledztwo. Nie możesz narażać się na niebezpieczeństwo.

– Daj spokój – odparła Phoebe. – Może nie były to żarty w najlepszym guście, ale nie sądzę, żeby naprawdę coś mi groziło.

– Sama powiedziałaś, że nie wiadomo, do czego te dziewczyny są zdolne.

– Myślisz, że piąty albo szósty krąg wtajemniczenia obejmuje zadanie urwania głowy oskarżonej o plagiat, niegdyś znanej specjalistce od celebrytów? – Phoebe usiłowała zażartować.

– Nie żartuję. Chcę, żebyś z tym skończyła. Może przyjedziesz dzisiaj do mnie?

Pogadamy.

– Nic mi nie będzie.

– To przyjedź jutro na lunch. Muszę porozmawiać z tobą sam na sam.

Phoebe nie miała zamiaru pozwolić Glendzie odsunąć się od śledztwa, jednak o wielu rzeczach chciała też powiedzieć jej osobiście. No i w końcu powie jej o Duncanie. Umówiły się na następny dzień na dwunastą.

Za oknem szybko zapadł zmierzch. Phoebe poczuła, jak wraca strach. Spokój i bezpieczeństwo, jakie towarzyszyły jej poprzedniego wieczoru u boku Duncana, całkiem ją opuściły. Zły humor nie był wyłącznie spowodowany strachem, ale też przebiegiem dnia, który właśnie mijał. Od rozstania z Duncanem minęło kilka godzin i Phoebe była przekonana, że za zmianą jego nastroju stało coś innego niż telefon z pracy.

Zrobiła sobie herbatę, starannie odwracając wzrok od zmywarki. Właśnie usiadła, kiedy zadzwonił telefon. Hutch, pomyślała. Na ekranie telefonu wyświetlał się jednak numer, którego nie znała.

– Pani profesor Hall? – usłyszała głos w słuchawce. Brzmiał młodo, to musiał być któryś ze studentów. „Błagam, tylko nie dyskusja na temat ocen w weekend”, pomyślała.

– Tak. Słucham?

– Tu Wesley Hines. Dała mi pani swój telefon i pozwoliła dzwonić.

– Jasne. – Czują, że coś się stało. – O co chodzi?

Słyszała, jak Wesley wzdycha.

– Od momentu, kiedy się spotkaliśmy, minęły dwa dni. Dostyc dziwne – w końcu wyrzucił z siebie.

– Czyli jakie? – zapytała Phoebe. Pewnie był na policji, pomyślała.

– Zrobiłem, jak pani kazała. Zgłosiłem się na policję i złożyłem zeznanie.

– To dobrze. Co powiedzieli?

– Wzięli to na serio. Naprawdę. Niech mi pani wierzy, aż mi ulżyło. W końcu ludzie zaczynają mnie słuchać. Pani była pierwsza. Doceniam to.

– Miałeś prawo być rozczarowany rok wcześniej. Ale postaw się na miejscu policji. Oni mieli z kolei prawo zakładać, że to był tylko wypadek.

– No tak. Na pewno słyszała pani o tym chłopaku, którego wyłowili?

– Trevor Harris. Znałeś go?

– Nie, chociaż słyszałem nazwisko. Lily Mack musiała o nim wspomnieć. Poza tym wszyscy gadali o nim na wiosnę rok temu. Kiedy zaginął.

– Myślisz, że mogło go spotkać to samo, co ciebie? Z tą różnicą, że jemu nie udało się wypłynąć.

– Nie jestem ekspertem, ale widziałem wystarczająco dużo programów kryminalnych. Wiem, że jeśli chcesz, aby coś wyglądało na oczywiste, zazwyczaj tak to wygląda. Słabo mi się

robi, kiedy myślę, jak blisko byłem śmierci.

– Cieszę się, że u ciebie wszystko w porządku. Miło mi, że zadzwoniłeś, by mi powiedzieć o rozmowie na policji.

– Nie tylko dlatego dzwonię. Miałem się odezwać, jeśli coś istotnego przyjdzie mi do głowy. To może nieważne, ale nie wiem... Wydaje mi się... Pomyślałem, że powinienem pani powiedzieć.

Phoebe instynktownie wyprostowała się. Jej ciekawość rosła. Wiedziała, że policja nie pozwoliłaby jej prowadzić śledztwa, ale nie zamierzała się tym przejmować.

– Mów – powiedziała. – Jestem bardzo ciekawa.

– Rany, mam klientów. Możemy się spotkać, jak zamknę sklep? Porozmawiamy spokojnie.

– Dzisiaj nie bardzo. – Phoebe była ciekawa rewelacji Wesleya, ale tego wieczoru liczyła na spotkanie z Hutchem. – Może jutro? Około dziesiątej?

– W porządku. W niedzielę nie pracujemy. Na Route 412 jest mała knajpka, „U Sammy’ego”. Wie pani gdzie?

– Znajdę. Do zobaczenia jutro o dziesiątej.

Phoebe rozłączyła się i zaczęła krążyć po salonie. Prawdziwa fala rewelacji. Najpierw Hutch, teraz Wesley. Może... Może już w ten weekend prawda ujrzy światło dzienne.

Zatrzymała się i zaczęła masować palcami skronie. Czuła, że nadciąga ból głowy. Z pewnością po części z głodu, ale nie wyobrażała sobie, by mogła teraz coś ugotować w swojej kuchni. Od tygodnia nie była „U Tony’ego” i pomyślała, że ciepło tego miejsca oraz kieliszek Montepulciano przywróci jej spokój. Zanim zamknęła za sobą drzwi, zapaliła światła i jeszcze raz spróbowała skontaktować się z Hutchem. Nadal nie odbierał. Ponownie nagrała się na automatyczną sekretarkę z prośbą o pilny kontakt.

Podjechała pod restaurację i zaparkowała samochód przy Bridge Street. Wchodząc do środka, zastanawiała się, czy i tym razem spotka Duncana siedzącego nad talerzem spaghetti. Jednak jedynymi gośćmi przy barze było dwóch mężczyzn w średnim wieku śledzących w telewizji mecz hokeja. Dźwięk był prawie niesłyszalny. Kelnerka zaprowadziła ją do stolika w sali na tyłach baru. Phoebe już miała zamówić to, co zwykle, czyli kurczaka w rozmarynie, gdy zmieniła zdanie. Nie miała aż takiego apetytu. Poprosiła o sałatkę caprese i kieliszek wina.

Czuła, jak powoli strach ustępuje. Pozostał jednak niepokój – Phoebe czuła się tak, jakby mieszała ze sobą leki, które wzajemnie się wykluczają. Zamknęła oczy i przywołała w pamięci obraz Lily. Zobaczyła ładną dziewczynę z blond włosami, które mokre od deszczu lepiły się do twarzy. Taką ją zapamiętała z ich ostatniego spotkania. Chciałaś odejść z Szóstek, prawda? – pomyślała. Co takiego zrobiła ci Blair, gdy to odkryła?

Podczas gdy kelnerka zabierała talerz z niedokończoną sałatką, Phoebe już miała zamówić espresso, kiedy znowu zmieniła zdanie. Nagle poczuła palącą potrzebę wyjścia – równie silną jak ta, która ją tu przynęcała. Zapłaciła i opuściła restaurację. Powietrze było świeże i surowe; gdzieś daleko, w dole ulicy słychać było muzykę rockową. Uświadomiła sobie, że dochodzi z pubu „Pod Kocimi Ogonami”. Do głowy przysła jej pewna myśl. Pora w końcu odwiedzić to miejsce.

Zostawiła samochód tam, gdzie stał. Ruszyła w dół wzgórza. Było dosyć stromo. Z każdym krokiem coraz wyraźniej słyszała muzykę, mieszały się z nią śmiechy i odgłosy rozmów. Planowała wśliznąć się do knajpy bocznymi drzwiami, ale odstraszył ją widok stojących tam kilku podejrzanych typów, podeszła więc do głównych drzwi. To raczej nie jest miejsce dla mnie. Będę się czuła jak kretyńka, zwłaszcza jeśli wpadnę na swoich studentów, pomyślała. Jednak jej ciekawość rosła. Musiała zobaczyć tę knajpę.

Ku jej zaskoczeniu w „Kocih Ogonach” nie było tłoku. Połowa miejsc pozostawała wolna. Przyjrzała się gościom. Po części wyglądali na miejscowych, przy stolikach siedziało też kilka kobiet w średnim wieku świecących dekolantami. Byli też studenci. Jeden z nich – student lub studentka (nie mogła rozpoznać płci) – miał na twarzy gumową maskę wilkołaka. Jedna ze studentek nosiła na głowie absurdalnie wysoką czapkę czarownicy. Phoebe przypomniała sobie, że to weekend Halloween.

Samo miejsce było zwykłą norą. Jediną dekorację stanowiły migające logo poszczególnych marek piwa oraz zdjęcie ogromnej ryby tuż nad szafą grającą – tą samą, z której Wesley grał piosenki Stonesów. Phoebe podeszła – nieomal przyklejając się do lepkiej podłogi – do baru i zamówiła kieliszek wina. Jej zdaniem od barmana wyraźnie śmierdziało. Obróciła się i zamarła. Kilka metrów dalej, przy barze, stał Tom Stockton. Twarz miał zwróconą w przeciwnym kierunku.

Instynktownie chciała uciec, by uniknąć spotkania, jednak sama nie wiedziała dlaczego. To jednak już nie miało znaczenia. Wydawało się, że Stockton wyczuł jej obecność. Obrócił się i spojrzał na Phoebe. Najwyraźniej był zaskoczony w tym samym stopniu, co ona.

– No proszę – powiedział. – Góra z górą...

– Cześć, Tom – rzuciła Phoebe. – Też mogłabym powiedzieć to samo. Jesteś ostatnią osobą, którą spodziewałam się tu spotkać.

– Bez przesady – Stockton starał się przekrzyczeć muzykę. Miał na sobie krótką, brązową kurtkę i ciemnoniebieską koszulę, która świetnie podkreślała kolor jego oczu. Ma tego świadomość, pomyślała Phoebe. – Ten bar leży w samym centrum wydarzeń. Powinniśmy tu czasem zaglądać. Zwłaszcza dzisiaj – dodał.

Odsunął się, by zrobić jej miejsce obok siebie. Przesunął też swojego drinka – wyglądał na whisky z lodem. Phoebe nie miała wyjścia, musiała stanąć obok Stocktona. Szafa grająca skończyła grać *Living on a Prayer* i zamilkła. To było tak, jakby w pokoju pełnym ludzi pojawił się nagle nieproszony gość i zapadła krępująca cisza.

– Wiem, co chcesz powiedzieć – rzekła Phoebe. – Nazwa tej knajpy pojawia się we wszystkich rozmowach.

– Prawdę mówiąc, mam sentyment do barów w tym mieście. Jednak tutaj coś mi nie pasuje.

– Słyszałam plotki, że w ten weekend coś się wydarzy. Myślisz, że są ku temu podstawy?

– Nie mam pojęcia. Jedno jest pewne – studenci są w szoku. Jako administracja *musimy* nad tym zapanować.

Czy to była wycieczka w stronę Glendy? – pomyślała Phoebe.

– Jestem pewna, że Glenda sobie poradzi – powiedziała. – I nie wątpię, że może na ciebie liczyć. Zwłaszcza teraz.

Phoebe pozwoliła sobie na lekką nutę ironii. Wiedziała, że nie powinna tego robić, ale Stockton zdawał się niczego nie zauważyć.

Ponownie rozległy się dźwięki muzyki, niemal uniemożliwiając rozmowę. Phoebe w zamyśleniu zaczęła się przyglądać szafie grającej. Jak mówił Wesley, stał właśnie tam, gdy podszedł do niego wymuskany mężczyzna w wieku około trzydziestu, czterdziestu lat. Nikogo takiego nie było w knajpie tego wieczoru, chyba że – pomyślała Phoebe z rozbawieniem – weźmie się pod uwagę Toma. Zwróciła uwagę na to, że szafa grająca stoi tuż obok wejścia, które prowadzi na Bridge Street. Jeśli rzeczywiście ktoś podał Wesleyowi narkotyki, nie było trudno wyprowadzić chłopaka z lokalu bez zwracania niczyjej uwagi.

– No, to na dzisiaj mam już dość. – Phoebe odstawiła kieliszek, nadal w połowie pełny.

– Zostań jeszcze. Może potem coś zjemy? Ja zapraszam.

– Dzięki – odpowiedziała, zbierając się do wyjścia. – Jadłam już w „U Tony’ego”.

Nie spodziewała się zaproszenia. Do tej pory Stockton wyraźnie za nią nie przepadał. Pewnie chciał z niej wyciągnąć jakieś informacje.

Pożegnała się i ruszyła pod górę, w kierunku samochodu, popychana wiatrem od rzeki. Już siedząc za kółkiem, wiedziała, co zrobi dalej. Wpadnie do Duncana. Może to przesada, ale chciała wiedzieć, czy naprawdę poświęcił wieczór na sprawdzanie prac domowych. Chciała przekonać się, czy był z nią szczery.

Jednak okna domu Duncana były ciemne. Paliło się tylko światło nad drzwiami wejściowymi. Nie było też samochodu.

Ją samą nieprzyjemnie zdziwiło to, jak źle się poczuła. Wracając do domu, starała się nie myśleć o Duncanie. Idąc przez trawnik w kierunku drzwi wejściowych, zatrzymała się. Szklane, zewnętrzne drzwi były uchylone. Pomiędzy nimi a drzwiami wejściowymi widniało coś białego.

Phoebe szybko popatrzyła w prawo, potem w lewo. Obróciwszy się, rzuciła okiem na ulicę. Nikogo nie było. Z bijącym jak oszalałe sercem znowu spojrzła na dom. Na białą przesyłkę między skrzydłami drzwi. Co te szczeniary znowu wymyśliły?

Zbliżyła się do werandy i weszła na schody. Z tej odległości widziała już, że biały przedmiot to koperta. Na kopercie widniało jej imię i nazwisko – napisane czarnym markerem. Charakter pisma był wyraźnie męski. Może tym razem to nie Szóstki, pomyślała Phoebe. Jeszcze raz rozejrzała się, po czym wzięła kopertę do ręki. Czuła, że środkiem znajduje się kilka kartek papieru.

Błyskawicznie otworzyła drzwi frontowe i wskoczyła do środka. Sprawdziła zamki w pozostałych drzwiach i wszystkich oknach, po czym usiadła przy stoliku w salonie. Otworzyła kopertę. W środku znalazła dwa pliki kartek spiętych spinaczem. Do jednej z nich dołączona była kartka podpisana „Hutch”.

„Prof. Hall, przepraszam że nie odebrałem telefonu – pisał. – Byłem na podwórku. Z psami. Spotkajmy się jak najszybciej, w niedzielę. Prawie cały dzień będę w domu. W międzyczasie przejrzyj, proszę, dokumenty. Jestem ciekaw twojego zdania”.

Phoebe wiedziała, że ma w rękach coś cennego. Czy tu właśnie leży prawda? – pytała samą siebie. Czy w końcu wpadnę na trop? Zaczęła uważnie przeglądać notatki.

Pierwszy zestaw dokumentów stanowiły notatki z ich rozmowy o Wesleyu, kiedy przypadkowo spotkała Hutcha nad rzeką. Kartkując strony, zauważyła, że Hutch podkreślił te fragmenty relacji Wesleya, które dotyczyły wydarzeń w pubie „Pod Kocimi Ogonami”: krótkiej rozmowy przy barze, wyjścia do męskiej toalety podczas rzucania lotkami, wybierania muzyki z szafy grającej oraz, na końcu, rozmowy z mężczyzną, który pytał, czy szafa wydaje resztę i gratulował chłopakowi wyboru Stonesów. Poza tym jedyny podkreślony fragment tekstu dotyczył chwili, w której Wesley, już w wodzie, zrzucił buty i podpłynął do brzegu. Na marginesach Phoebe nie zauważyła żadnych zapisków wyjaśniających, dlaczego właśnie te a nie inne szczegóły w relacji Wesleya zwróciły uwagę Hutcha.

Odłożyła pierwszy plik notatek i sięgnęła po drugi. Od razu wiedziała, że to kserokopia zeznań, jakie Wesley złożył na ręce Hutcha rok wcześniej. Materiały Hutch dostał od Mindy. Zeznania zostały spisane ręcznie, dużymi literami – wyraźnie był to charakter pisma Hutcha. Ten sam, którym zaadresował kopertę. I na tych notatkach część zdań była świeżo podkreślonych. I tu podkreślenia dotyczyły tych samych wydarzeń: rozmowy przy barze, przy szafie grającej i tak dalej. Wszystko wskazywało na to, że te właśnie wydarzenia naprowadziły Hutcha na jakiś trop.

Phoebe rozpięła oba pliki dokumentów i położyła obok siebie strony z tymi samymi wydarzeniami. Zaczęła je analizować zdanie po zdaniu, uważnie na przemian przebiegając oczami.

Z ich ostatniej rozmowy wynikało, że Hutch miał już koncepcję przebiegu wydarzeń tej nocy, kiedy Wesley wpadł do rzeki. Rozwiązania zagadki trzeba było zapewne szukać w którymś z podkreślonych fragmentów. Hutch musiał wpaść na nie, mając przed sobą oba komplety zeznań. Co to jednak, do diabła, mogło być? Phoebe nie miała pojęcia.

Jeszcze uważniej zaczęła przyglądać się notatkom. Zauważyła, że informacja na temat spotkania z nieznanym przy szafie grającej w obu kompletach została podkreślona bardziej zdecydowanie niż pozostałe części zeznań, na które Hutch zwrócił uwagę.

Jednym słowem, uznał ten fragment za szczególnie znaczący. Czyżby uważał, że mężczyzna podał Wesleyowi narkotyki?

Ale dlaczego równie wyraźnie była podkreślona część dotycząca kobiet przy barze? Może, zdaniem Hutcha, któraś z nich była w zмовie z mężczyzną przy szafie. Może jedna z nich wrzuciła narkotyk do piwa Wesleya, a kiedy ten zaczął działać, mężczyzna wyprowadził chłopaka z knajpy.

Phoebe spojrzała na zegarek. Miała ochotę natychmiast zadzwonić do Hutcha, ale było już po dziesiątej i mężczyzna prawie na pewno już spał. Sprawa zatem musi poczekać do następnego dnia, jak sugerował sam Hutch. Phoebe skopiowała notatki Hutcha na swoim skanerze i wydrukowała. Jeden komplet dokumentów schowała do torebki, drugi, na wszelki wypadek, ukryła w jednej z książek.

Zanim poszła do sypialni, zajrzała do kuchni. W oczy wpadł jej prezent od Szóstek – komplet łyżek. Papier, w który były owinięte, był już suchy. Phoebe przyszło nagle do głowy, że być może zawierał jakąś wiadomość. Owinęła palce papierowym ręcznikiem i pociągnęła za wstążkę. Wzięła papier do ręki.

Z obrzydzeniem przeniosła go do gabinetu i położyła na stoliku, pod lampą. Zaciskając zęby, pomalutku rozwinęła. Na papierze widać było kolorowe zacieki, ale żadnego tekstu. Z ulgą zostawiła go na stoliku.

Weszła na górę. Choć czuła się kompletnie wyczerpana, wiedziała, że sen nie nadejdzie szybko. Widok nieszczęsnych łyżek sprawił, że wróciły niedobre wspomnienia i niepokój. Leżała, wsłuchana w odgłosy, jakie wydawał dom – jęki i trzaski – zastanawiając się, czy to jeszcze naturalne odgłosy, czy już powód do paniki. W końcu zebrała pościel i zeszła na dół. Tu, na kanapie, szybciej zorientuje się, jeśli ktoś nieproszony zacznie się kręcić wokół domu. Kiedy po raz ostatni spojrzała na zegarek, było po trzeciej. Potem zapadła w sen.

Obudziła się za piętnaście szósta. Ze zmęczenia i niewyspania bolała ją głowa. Zmusiła się, by z telefonem do Hutcha poczekać do ósmej. Jego rześki w głos w słuchawce brzmiał tak, jakby nie spał od kilku godzin.

– Obawiam się, że detektyw ze mnie żaden – powiedziała.

– Skąd ten pomysł, uroczą damo?

– Czytałam twoje notatki wczoraj wieczorem i jeszcze raz dzisiaj rano. I nie znalazłam żadnego śladu rozwiązania zagadki.

Hutch zachichotał.

– Powinien był wyrazić się jaśniej. Tu nie chodzi o ślad. To widać czarno na białym.

Phoebe szybko przebiegła myślami teksty obu zeznań. Znała je już prawie na pamięć.

Nadal jednak nie wiedziała, co Hutch ma na myśli.

– Poddaję się – powiedziała po chwili.

– W porządku. Należy ci się zatem porządne szkolenie detektywistyczne. Poczekaaj chwilę. Ginger, wyjdź stąd. To nie dla ciebie. – Hutch na chwilę mówił gdzieś obok słuchawki. Po kilku sekundach wrócił do rozmowy z Phoebe. – Więc zainteresowana?

– Jak najbardziej. Kiedy możemy zacząć?

– Teraz jadę do bratanka, Dana. Mieszka w Allentown, i spędzę tam kilka godzin. Odkąd odeszła Becky, jego rodzina jest tak miła, że zaprasza mnie co niedziela na lunch – czy brunch – jak to nazywają. Może spotkamy się u mnie około trzeciej? Zadzwonię do ciebie, jak już będę z powrotem w domu.

– W porządku – powiedziała Phoebe. – Baker Street?

– Tak jest.

Miała jeszcze chwilę do spotkania z Wesleyem. Zaczęła przeglądać notatki, z których chciała skorzystać podczas lekcji w poniedziałek, następnego dnia. Jednak nie mogła się skupić i w końcu wyszła z domu wcześniej, niż było to konieczne. Dzień był wilgotny i pochmurny.

Niebo wyglądało jak pociągnięte sadzą. Bez trudności znalazła knajpkę, o której mówił Wesley. Na parkingu było już sporo samochodów. Phoebe zostawiła wóz i ruszyła w stronę knajpki, mijając trzech zwałistych mężczyzn ubranych od stóp do głów po myśliwsku. Wyraźnie planowali doładowanie akumulatorów kosztem jakiegoś martwego jelenia. Jednocześnie rzucili na ziemię papierosy, rozgnietli je obcasami i weszli do restauracji.

W środku pachniało jajkami, bekonem, tostami i naleśnikami. Zamiast apetytu zapachy wywołały u Phoebe mdłości. Usiadła przy wskazanym stoliku, zamówiła kawę i czekała.

Wesley zjawił się piętnaście minut później, punktualnie o umówionej godzinie. Pomimo że była niedziela i nie pracował, wyglądał identycznie jak w chwili, gdy spotkała go wracającego ze sklepu. Miał na sobie idealnie wyprasowane spodnie khaki, rozpiętą pod szyją elegancką białozółtą koszulę i krótki wełniany sweter. Skóra była wyraźnie odświeżona, włosy z przodu czoła ułożone w czub. W ciągu lat pracy Phoebe zauważyła, że wiele filmowych gwiazd miało głowy nieco zbyt duże w stosunku do całości, co w pracy przed kamerą działało na ich korzyść. Zasada ta nie dotyczyła, niestety, biednego Wesleya.

– Dziękuję, że pani przysłała, pani profesor – powiedział chłopak, siadając naprzeciwko Phoebe. Zdjął sweter i położył obok.

– Możesz mi mówić po imieniu – uśmiechnęła się Phoebe. – Nie jesteś już w szkole, a ja też nie jestem profesorem.

Wesley uśmiechnął się i kiwnął głową.

– W porządku.

– Na co masz ochotę? – zapytała Phoebe. Spieszyła się, by przejść do rzeczy. – Ja zostanę przy kawie.

– Ja też tylko kawę – powiedział chłopak. – Mój ojciec szykuje się do wyjazdu na Florydę i obiecałem mu, że przed jego wyjazdem pogadamy jeszcze dzisiaj rano o interesach związanych z młynem.

– Myślałam, że zajmujecie się produkcją pasz.

– Tak, ale mamy też stary młyn. Ojciec kupił go tanio trzydzieści lat temu. To urocze miejsce. Kiedyś zresztą też była tam fabryka pasz.

– Młyn można napędzać wodą?

– Tak. Ale trzymamy służę zamkniętą. Widać jednak koło wodne, czasem ludzie przychodzą popatrzeć.

Phoebe dała kelnerce znak, by ta przyniosła jeszcze jedną kawę.

– Wspomniałeś, że masz dla mnie jakieś wiadomości.

– To szczegóły, o którym do tej pory nie mówiłem nikomu. Jednak powiedziałaś coś, co mi uświadomiło, że może mieć znaczenie.

– Chodzi o wieczór w „Kocich Ogonach”?

– Tak. Chyba wspominałem, że tego wieczoru widziałem tam kilka dziewczyn z college’u. Dam sobie głowę uciąć, że był moment, kiedy na mnie patrzyły. Wyglądało na to, że mówią o mnie – wyraźnie było to coś złośliwego. Wiem, że to brzmi głupio, ale tak mnie to wytrąciło z równowagi, że raz nawet nie trafiłem w tarczę.

Nieźle, pomyślała Phoebe. Szkoda, że mówi to dopiero teraz.

– Czy rzeczywiście specjalnie nic nie powiedziałaś w straży kampusu? – zapytała Phoebe, starając się, by jej głos brzmiał naturalnie.

– Pewnie *powinienem*. Ale wtedy nie wydawało mi się to ważne. W college’u część dziewczyn zawsze patrzyła na mnie z góry. Poza tym żadna z nich nie kręciła się blisko mnie. Przynajmniej nic takiego nie pamiętam. W rozmowie ze strażnikami skupiłem się na ludziach, którzy wtedy do mnie podchodzili – jak ten facet przy szafie grającej. I pewnie bym o tym

zapomniał – dodał Wesley po chwili – gdybyś nie wspomniała o tej grupie wariatek.

– Kojarzysz imię którejkolwiek z tych dziewczyn w barze?

– Wtedy nie kojarzyłem.

– Co masz na myśli?

– To właśnie najważniejsze, co chciałem ci powiedzieć. Jak już mówiłem, żadnej z tych dziewczyn nie znałem osobiście, ale jedną z nich na pewno znałem z widzenia. Była ładna – taką oryginalną urodą – i wysoka. Po naszej rozmowie odszukałem ją w moim albumie z college'u. Nie zgadniesz. To dziewczyna, o której mówiłaś. Blair Usher.

Phoebe zaczęła się domyślać, co usłyszy, już od słów o „oryginalnej urodzie”. Nie mogła uwierzyć własnym uszom.

– I *żadna* z tych dziewczyn nie podeszła do ciebie tego wieczoru?

– Nie wydaje mi się. Mogły się kręcić w pobliżu, a ja tego nie zauważyłem. Był niezły tłok.

Phoebe westchnęła. Czy możliwe, że to *Blair* dodała narkotyk do piwa Wesleya? Po co miałyby to robić? Może został wytypowany jako oferma, nad którą należy się znęcać? Phoebe przyszło do głowy, że warto wyjaśnić, czy Blair była w „Kocich Ogonach” tego wieczoru, gdy zginął Scott Macus. Ciekawe, jak można to sprawdzić.

Pociągnęła łyk kawy. Czula, że nie opuszcza jej niepokój. Coś ją gryzło, ale nie wiedziała, co. I tym razem nie chodziło o Szóstki.

– Dobrze, Wesley, że mi o tym mówisz – powiedziała, odstawiając filiżankę. – Policja też już o tym wie? Byłeś u nich w zeszłym tygodniu.

– Jeszcze nie. Najpierw chciałem porozmawiać z tobą.

– Musisz im powiedzieć. Obiecujesz?

– Myślisz, że coś mi grozi? Te dziewczyny mi to zrobiły?

– Nie wiem, ale jedno jest pewne. Policja musi się o tym dowiedzieć. Tylko mam prośbę – nie mów im, że ze mną rozmawiałeś. Nie przepadają za tym, kiedy cywile wsadzają nos w ich sprawy.

Wesley z poważną miną skinął głową.

Phoebe zaczęła bawić się solniczką, usiłując zapanować nad myślami. Coś ją dręczyło.

– Coś jeszcze, Wesley? – zapytała. – Przypomniałeś sobie coś jeszcze?

Potrząsnął przecząco głową.

– To wszystko. Sam jestem zaskoczony, że przypomniała mi się ta dziewczyna. To tylko dzięki rozmowie z tobą.

Phoebe myślała o notatkach Hutcha. Wiedziała, że nie powinna wspominać o nich Wesleyowi – przynajmniej do chwili, gdy nie uzyska zgody Hutcha – ale nie było nic złego w pytaniu pośrednim.

– Ostatnia sprawa – powiedziała. – Czy twoim zdaniem istotne znaczenie w tym wszystkim mogła mieć twoja rozmowa z nieznajomym, z którym rozmawiałeś przy szafie grającej?

Ten fragment zeznań Wesleya Hutch podkreślił najmocniej.

– Jeśli to on wrzucił mnie do rzeki, musiał się do mnie jakoś zbliżyć. Tylko w ten sposób mógł dodać coś do mojego piwa.

– Ale dlaczego w ten sposób?

– Jaki?

– O co mu chodziło z tą resztą?

– Jakoś musiał zacząć.

Ta rozmowa prowadziła donikąd. Phoebe poprosiła o rachunek. Zapłaciła i oboje

z chłopakiem wyszli na parking. Obiecali sobie, że będą w kontakcie.

Do spotkania z Glendą została jeszcze godzina. Phoebe postanowiła wykorzystać ten czas na zrobienie zakupów. Podjechała pod ogromny Walmart na przedmieściach Lyle. Musiała kupić coś do jedzenia, chociaż na samą myśl o gotowaniu we własnej kuchni robiło się jej niedobrze. Kiedy mijała półki z makaronem, przeszło jej przez myśl, że nie dalej jak tydzień wcześniej gotowała Duncanowi spaghetti carbonara. Dlaczego dzisiaj nie zadzwonił? – zapytała samą siebie. Powinien, biorąc pod uwagę, przez co ostatnio przeszła. Może scena w samochodzie dowodziła tego, że uświadomił sobie, iż nie jest nią zainteresowany w takim stopniu, jak mu się początkowo wydawało. No i dobrze. Phoebe ogarnął smutek. Przynajmniej wiadomo, w czym problem.

W roztargnieniu pchała przed sobą wózek. Już przy kasie zauważyła w połowie opróżnione pudełko ze słodyczami. Dorzuciła do zakupów dwie torebki miniaturowych czekoladowych batoników.

U Glendy była punktualnie w południe. I chociaż wiedziała, że czeka ją ciężka walka o przekonanie przyjaciółki, by pozwoliła jej dalej prowadzić śledztwo, nie zamierzała odpuścić. Drzwi otworzyła gosposia. Bez uśmiechu zaprosiła ją do salonu, w którego najdalszym kącie stała Glenda. Ku zaskoczeniu Phoebe wyraz jej twarzy nie był przyjacielski. Wręcz przeciwnie.

– Dlaczego tak na mnie patrzysz? – zapytała Phoebe. Już po zadaniu tego pytania wyczuła czyjaś obecność. Odwróciła się w prawo. Obok antycznego biurka stali Tom Stockton i Craig Bell. Obaj patrzyli na nią srogo. Coś musiało się wydarzyć. Coś niedobrego. Phoebe zwróciła się z powrotem w kierunku Glendy, licząc na wyjaśnienia.

– Phoebe, musimy porozmawiać. – Głos Glendy był poważny. – Stało się coś złego.

Ton głosu przyjaciółki nie spodobał się Phoebe w równym stopniu, jak wyraz jej twarzy.

– Co takiego konkretnie? – zapytała prosto z mostu.

– Student wniósł przeciwko tobie oskarżenie. O plagiat.

– To... to niemożliwe! – krzyknęła Phoebe, zdając sobie sprawę z tego, że te same słowa padły z jej ust rok wcześniej, gdy usłyszała zarzuty dotyczące swojej książki. Poczowała, że miękną jej kolana. – Na Boga, nie opublikowałam ani słowa od czasu, gdy się tu zjawiłam.

– Spójrz na to. – Glenda wskazała na biurko.

Stał tam laptop. Stockton i Ball uważnie przyglądali się czemuś na ekranie. Phoebe podeszła do nich, starając się oddychać głęboko. Tylko spokojnie, powtarzała w myślach. To jakaś potworna pomyłka, nie mogą stracić panowania nad sobą.

– Oto, na co studenci zwrócili naszą uwagę. – Glenda wskazała ręką komputer. – Chodzi o twój blog. Ten z przeznaczeniem dla pisarzy.

Phoebe przyjrzała się ekranowi. Na górze strony, której wszyscy się przyglądali, widniał nagłówek „Zabawa słowami. Jak pisać”. Projekt strony nie był najlepszej jakości. W prawym górnym rogu widniało zdjęcie Phoebe. Po sukience rozpoznała, że zostało zrobione na jednej z nowojorskich premier kinowych rok wcześniej. Krótka biografia nie zawierała żadnych informacji oprócz tej, że redagowała pismo poetyckie. Najświeższy wpis na blogu nosił tytuł „Czy krócej oznacza lepiej?”. Phoebe wystarczył rzut oka i już wiedziała, że chociaż początek artykułu był jej, treść stanowił esej autorstwa jednego ze studentów, którzy uczęszczali na jej zajęcia.

Phoebe wyciągnęła rękę w kierunku klawiatury. Ball lekko podskoczył, jakby chciał ją powstrzymać.

– Pozwoli pan? – powiedziała zimno. – Chcę zobaczyć, co jeszcze tam jest.

Ball sztywno skinął głową. Phoebe szukała innych tekstów. Na stronie były jeszcze dwa wpisy, oba powstały w ciągu ostatnich dwóch lat na zamówienie Huffington Post. Jeden dotyczył

stopnia szczerości w pamiętnikach, drugi – źródeł niewiadomego pochodzenia.

Phoebe popatrzyła na bladą jak ściana Glendę.

– Czyli chłopak z mojej klasy na to trafił – powiedziała – i zgłosił tobie?

– Dokładnie rzecz ujmując, przyszedł z tym do mnie – wtrącił Stockton. W oczach miał błysk. Wyraźnie węszył krew.

– Mam nadzieję, że nikomu tu nie przyszło do głowy uwierzyć, że to moja strona i że ja wrzuciłam ten artykuł?

– Kto inny mógłby to zrobić? – zapytał Ball.

– Każdy! – Phoebe była wściekła. Panowała nad sobą resztką sił. – Wystarczy wejść na stronę w rodzaju www.blogger.com i założyć blog na moje nazwisko. Zdjęcie można ściągnąć z dowolnego miejsca w Internecie. Podobnie z materiałami. Dwa pozostałe wpisy są stare i są mojego autorstwa. Jeśli chodzi o esej studenta, dostała go cała klasa.

– Czyli utrzymujesz, że to oszustwo? – powiedział Stockton. – Że ktoś sfałszował to wszystko, by ukazać cię w złym świetle?

– Jedna wielka mistyfikacja – rzekła z naciskiem Phoebe. – Nie widzicie, jaki jest poziom tej strony? Możecie mi wierzyć, że mój blog wyglądałby o niebo lepiej. Gdybym, oczywiście, miała ochotę go zakładać.

– Widzisz, Tom? – wtrąciła się Glenda. Zwróciła się w kierunku Phoebe. – Od początku nie wierzyłam, że jesteś winna.

– Ale Sąd Najwyższy już się zebrał – w głosie Phoebe brzmiał sarkazm. Glenda drgnęła. Phoebe zwróciła się w kierunku Balla i Stocktona. – Sprawdźcie, z jakich kont były wysyłane maile na tę stronę. Założę się, że traficie na Szóstki.

Po tych słowach Phoebe opuściła pokój. Prawie biegła w kierunku drzwi wyjściowych i nieomal zderzyła się z Markiem. Rzucił jej miazdzące spojrzenie.

– Chcesz pójść na dno, twoja wola, Phoebe – powiedział zjadliwie. – Nikt nie ma nic przeciwko temu. Ale nie wciągaj w to Glendy.

Zszokowana, popatrzyła na Marka. Jednym słowem, miała dobre przeczucie – Mark jej nie znosił i powody tego były takie, jak przypuszczała. Zaczęła coś mówić, ale ugryzła się w język. Dyskusja pogorszyłaby tylko sytuację.

Sama nie wiedziała, jak wróciła do domu. Była wściekła. Sprawa jasna jak słońce, że to Szóstki spreparowały blog, który rzekomo miała prowadzić. Glenda, co prawda, twierdziła, że ufa Phoebe, ale pozwoliła, by sprawą zajęli się Stockton i Craig. Czy ten brak zaufania to cena, jaką już do końca życia będzie płaciła za jedno jedyne oskarżenie o plagiat? Czy już nigdy nie odzyska zaufania?

Na stronie jej rzekomego bloga była wzmianka na temat magazynu poetyckiego. Zajmowała się nim, gdy mieszkała w szkolnym internacie. Czyżby Szóstki zaczęły grzebać w jej przeszłości?

Phoebe weszła do mieszkania. Jej serce zaczęło bić jeszcze mocniej. Jeśli Szóstki zadały sobie trud, by stworzyć fałszywy blog, na pewno zrobią wszystko, żeby to w odpowiedni sposób wykorzystać. Phoebe zrzuciła płaszcz i pobiegła do swojego minibiura. Włączyła laptop i odszukała stronę „New York Post”. Był tam krótki artykuł Pete’a Tobiasa zatytułowany „Czy Phoebe Hall wraca do starych dobrych sztuczek?”. Przerazona Phoebe czytała, że jeden ze studentów oskarżył ją o wykorzystanie jego pracy na blogu nauczycielki i że administracja szkolna wszczęła przeciwko niej śledztwo.

Wzburzona Phoebe zadzwoniła do swojej agentki i nagrała jej się z prośbą o natychmiastowy kontakt. Muszę to uciąć jak najszybciej, zanim sprawa zostanie rozdmuchana, postanowiła. Do studenta, którego fragment pracy znalazł się na sfałszowanym blogu, napisała

maila. Wyjaśniła w nim całą sytuację. Kiedy popatrzyła na zegarek, było już po trzeciej. Zdała sobie sprawę, że w zamieszaniu i stresie całkiem zapomniała o Hutchu. On też się nie odezwał – pewnie jeszcze nie było go w domu.

Zadzwoił telefon. W słuchawce rozległ się głos agentki, Mirandy.

– Co się stało? – zapytała wprost. Phoebe krótko streściła jej sytuację.

– Dlaczego studenci mieliby robić ci coś takiego?

– Wpadłam w małe tarapaty. Mamy tu trochę zamieszania, ale możesz mi wierzyć, nie zrobiłam nic złego. Przy okazji wszystko ci wyjaśnię. – Phoebe czuła, że nie brzmi wiarygodnie. Jakby się tłumaczyła.

– Musimy wciągnąć agencję *public relations* – powiedziała Miranda. – Spróbuj ich złapać, chociaż w niedzielę może być to trudne.

Dobiegała piąta, a Hutch nadal nie dawał znaku życia. Phoebe ponownie do niego zadzwoniła. Może zapomniał, że miał dać sygnał jako pierwszy. Jednak znowu odezwała się automatyczna sekretarka.

Ktoś zadzwonił do drzwi. W pierwszej chwili Phoebe się przestraszyła, ale to tylko dzieci świętujące Halloween przyszły po cukierki. „Sekundę!” – krzyknęła, wysypała czekoladowe batoniki do wiklinowego koszyka i wystawiła na podwórkę. Dzieciaki zabrały batoniki i pobiegły dalej. Phoebe wniosła na schody pusty koszyk i zgasła światła w salonie.

Minęła ósma trzydzieści. Hutch nadal się nie odzywał. Phoebe poczuła lekki niepokój, ale po chwili uspokoiła się. Pewnie Hutch całe popołudnie był poza domem i zapewne dlatego nie słyszał, jak dzwoni telefon. Może myślał, że Phoebe po prostu do niego przyjedzie. Postanowiła zatem tak właśnie zrobić. Po pierwsze, bardzo chciała się z nim zobaczyć. Po drugie, nie chciała być sama tego wieczoru, w domu, w którym nie czuła się bezpiecznie.

Narzuciła płaszcz i wyszła. Jadąc w stronę domu Hutchu, mijała grupy halloweenowych przebierańców. Czuła się kompletnie wyobcowana. Jakby jej życie toczyło się w innej rzeczywistości.

Skręciła w boczną drogę, prowadzącą do domu Hutchu i uśmiechnęła się z ulgą. Nawet przez gęste drzewa było widać, że w jego chacie pali się światło. Przed domem stały oba samochody. Miły, starszy pan był w domu.

Phoebe wysiadła z samochodu i zatrasnęła drzwi. Z ciemności wyskoczyła Ginger. Phoebe aż drgnęła z zaskoczenia.

– Cześć, mała. Co tu robisz? Gdzie reszta?

Ginger wskoczyła Phoebe na ręce. Jej drobne ciało było mokre, jakby dopiero wynurzyła się z wody.

– Mam nadzieję, malutka, że nie narozrabiłaś. Tato wie, że biegasz tu sama?

Z Ginger na rękach Phoebe weszła na schody. Z psa dosłownie ciekło, więc Phoebe postawiła suczkę na ziemi.

Zanim zapukała do drzwi, zauważyła ogromną ciemną plamę, jaką pies zostawił na jej płaszczu. Plamę czegoś ciemnego i lepkiego. W świetle lampy na schodach Phoebe zobaczyła, że ma na palcach krew.

Nerwowym ruchem podniosła Ginger i uważnie obejrzała. Już jednak wiedziała, że na ciele psa nie znajdzie żadnej rany. Narastało w niej przeczucie, które wprawiało ją w paniczny dygot. Coś tu potwornie nie pasowało. Gdzie był drugi pies? Gdzie był Hutch?

Z Ginger na rękach Phoebe podeszła do drzwi wejściowych. Przez drzwi zewnętrzne widać było lekko uchylone drewniane drzwi główne. Za nimi rozciągał się pogrążony w ciemnościach korytarz. Phoebe zapukała, jednocześnie wołając:

– Hutch! *Hutch*, jesteś tam?

Nie było odpowiedzi, jednak Phoebe zdawało się, że w głębi domu, może z kuchni, słyszy grające radio.

– Hutch! Wszystko w porządku?

Gwałtowny powiew wiatru poruszył gałęzie drzew. Phoebe obejrzała się. Jedyne jasne punkty stanowił snop światła, jaki przez okno rzucały lampy z salonu. Poza tym panowała ciemność i Phoebe nie widziała nic oprócz rozmazanej linii drzew. Chciała już wejść do środka.

– Hutch! – zawołała ponownie przez drzwi. – To ja, Phoebe.

Ginger zaskomlała cicho.

Phoebe wzięła głęboki oddech i otworzyła zewnętrzne drzwi. Zaskrzypiało. Następnie pchnęła drugie drzwi i weszła do przedpokoju. W powietrzu unosił się zapach palonego drewna i fajki. Ten zapach знаła. Ale był też inny, którego nie potrafiła nazwać. Ginger zaczęła kręcić się w ramionach Phoebe, usiłując zeskoczyć na podłogę, jednak ta ją przytrzymała.

– Spokojnie, piesku. Wszystko będzie dobrze.

Wystarczyła chwila, by zdała sobie sprawę, że nic nie będzie dobrze. W salonie, tuż za progiem, obok kanapy, twarzą do podłogi leżał Hutch. Z prawej strony jego głowy widniała kałuża krwi. Ale nie tylko tam. Krew była wszędzie. Na kanapie, na poduszkach, na ścianach, nawet na ekranie telewizora. Phoebe jęknęła głośno.

Trzymając kurczowo Ginger, uklękła przy Hutchu. Wiedziała, że nie powinna niczego dotykać, musiała jednak sprawdzić, czy mężczyzna żyje. Wypuściła psa i dotknęła szyi Hutchu, sprawdzając puls. Nic nie czuła, ale nie była też pewna, czy robi to dobrze. Ujęła bezwładne ciało za ramiona i przewróciła na plecy.

Było jasne, że nie żyje. Jego oczy były puste, usta lekko uchylone. Nie poruszał ich oddech. Miał zmiażdżoną lewą skroń. W ranie widniały odłamki czegoś, co wyglądało jak kora drzewa. Drugą ranę Hutch miał na czubku głowy. Widać było ślady zaschniętej krwi.

– Błagam, nie... – Kiwając się nad ciałem, Phoebe krztusiła się od łez. Ginger usiłowała polizać Hutchu po twarzy. Phoebe wzięła psa na ręce i z trudem się podniosła. Musiała zadzwonić na policję. Ale najpierw musiała się z tego przeklętego miejsca wydostać. Zadzwoni na 911, jak już szczęśliwie będzie siedziała w samochodzie, w drodze do domu.

Zacząła kierować się ku wyjściu, zwracając baczną uwagę, by nie niszczyć śladów. Od razu po wyjściu do salonu zauważyła, że w kominku palą się świeże polana, jakby Hutch dorzucił do ognia dosłownie kilka minut wcześniej. To się zdarzyło przed chwilą, pomyślała Phoebe. Nogi jej zmiękły. Uciekaj, uciekaj natychmiast, krzyczała do siebie.

I wtedy, tuż nad nią, zaskrzypiała podłoga.

Phoebe zmartwiała z przerażenia. Ginger znowu zaczęła się kręcić, wyrwać z jej ramion. Szczeknęła – krótko i ostro. Ktoś tam był. Na górze, tuż nad nią. Może to drugi pies? Jednak nie, ten ktoś był za ciężki na psa. Nie oszukuj się, dziewczyno – Phoebe nie mogła dłużej ukrywać prawdy sama przed sobą. To ktoś, kto zabił Hutchu.

Bała się wyjść głównym wyjściem – stamtąd prowadziły schody na górę. Przemknęła przez salon do kuchni. Radio nadawało skoczną piosenkę, która w obliczu tego, co się działo, brzmiała absolutnie niestosownie, absurdalnie. Phoebe otworzyła otworzyła tylne drzwi i wysunęła się na schody prowadzące z kuchni na podwórko.

Panowała ciemność, którą rozpraszało tylko światło dochodzące z kuchennego okna i srebrna poświata księżyca. Ciągłe trzymając psa na rękach, Phoebe przebiegła przez trawnik i znalazła się wśród rosnących na tyłach domu drzew. Żeby tylko dostać się do samochodu, myślała w panice. Wiedziała, że podczas gdy ona wychodziła tylnymi drzwiami, morderca mógł opuścić dom głównym wejściem i czekać na nią z przodu domu. Nie miała wyboru, jedyną szansą były drzewa. I ciemność.

Weszła głębiej w las. Gałęzie drzew sprawiały, że nie docierało tu nawet światło księżyca. Phoebe widziała przed sobą tylko niewyraźne zarysy. Na szczęście miała na nogach półbuty, co ułatwiało jej lawirowanie między korzeniami i powalonymi pniakami drzew. Jednak ziemię pokrywały też suche, martwe liście, których szelest zdradzał każdy jej krok. Bała się, że morderca odkryje miejsce, gdzie się ukryła. Kiedy zanurzyła się w las na jakieś dwudzieścia metrów, przystanąła, by złapać oddech. I posłuchać.

Panowała kompletna cisza. Nawet wiatr przestał wiać, Ginger też umilkła, jakby wiedziała, że nie wolno jej pisnąć. Phoebe czuła, jak mocno bije małe psie serduszek. Przytrzymała suczkę prawą ręką, zaś lewą sięgnęła do torby w poszukiwaniu telefonu. Udało jej się tylko ją rozpiąć, gdy usłyszała dźwięk, który dochodził od strony chaty. Ktoś biegł przez las, pod jego stopami szeleściły liście.

Boże, nie! huczało Phoebe w mózgu. Próbowwała się poruszyć, tym razem wolniej, starając się, by nie było jej słychać. Gałęzie wbijały jej się w nogi, jedna z nich uderzyła ją w twarz. Phoebe wsunęła rękę do torby i namacała telefon. Szybko wstukała 9 – 1 – 1.

– Potrzebuję pomocy – powiedziała szeptem do słuchawki. – Jestem w lesie. Ktoś chce mi zrobić krzywdę.

– Nie słyszę. Proszę mówić głośniej.

– Jestem w lesie – syknęła. – Horton Road dziewięćdziesiąt. Było morderstwo, morderca mnie śledzi.

– Czy może pani podać swoje położenie?

– Nie, jestem w lesie. Za domem. Błagam, nie mogę mówić. Usłyszysz mnie. Przyślijcie kogoś.

– Połączę się z policją. Proszę się nie rozłączać.

– Dobrze – wyszeptała bez tchu.

Zaczęła biec. Nagle zdała sobie sprawę z tego, że obie nogi ma mokre. Popatrzyła w dół i zauważyła, że biegnie po błocie, brzegiem strumyka. Z prawej strony ciągle słyszała szelest liści. Szybciej, pogończyła samą siebie. Szybciej!

Las był tu bardziej gęsty. Phoebe nie widziała dalej niż na odległość kroku, do tego musiała cały czas uważać, by nie potknąć się o leżące na ziemi gałęzie oraz pnie drzew. W pewnej chwili rękaw jej płaszcz zaczął się zaplątać o gałąź. Szarpanie nic nie dało, Phoebe utknęła. Po chwili udało jej się rozerwać płaszcz i uwolnić. Miała wrażenie, że trzask rozdieranego materiału słychać było w całym lesie. Oprócz tego do jej uszu dotarło coś jeszcze. Gdzieś daleko, z lewej strony, słychać było szum silników samochodowych. Droga, pomyślała. Jeśli uda mi się wydostać na drogę, będę uratowana.

Szelest liści, który słyszała za plecami, ustał. Czyżby morderca dał sobie spokój? Phoebe obróciła się. W pierwszej chwili widziała tylko zarysy drzew, jednak kiedy jej wzrok oswoił się z ciemnością, zobaczyła ludzką postać. Oświetlona światłem księżyca, z głową o wyraźnym

kształcie, jak żarówka, stała całkiem niedaleko. W pewnym momencie postać ruszyła.

– Jest tuż za mną! – Phoebe prawie wrzasnęła do telefonu. Potem krzyknęła tak, żeby cały las ją usłyszał:

– Zadzwoiłam na policję! Już tu jadą!

Ginger warknęła. Jej małe ciało zadrżało.

Phoebe znowu zaczęła biec, co kilka kroków potykając się i walcząc o to, by nie upaść. Droga. Muszę dobiec do drogi, powtarzała bez tchu. Samochody było słychać coraz wyraźniej. Przystanęła na kilka sekund, nasłuchując. Wyraźnie słyszała niski, buczący dźwięk, jaki wydają silniki ciężarówek. *Teraz*, zdecydowała i rzuciła się przed siebie.

Przez chwilę miała wrażenie, że leci, jej stopy straciły kontakt z gruntem. Potem ciężko upadła na ziemię, jej ciało zaczęło się toczyć... I tak leciało, bezwładne, objijając się o kamienie i pnie drzew. Próbowwała trzymać Ginger, ale poczuła, że pies wysunął jej się z ramion. Coś chrupnęło i Phoebe poczuła, jak ból przeszywa jej ramię i głowę. Nagle zdawało się, że znalazła się pod wodą... Płynęła i płynęła, unosząc się bezwładnie, w nieznanym kierunku...

Potem były już tylko cisza i ciemność. Raptem jej oczy poraziło światło. Ból głowy nasilił się. To latarka, uświadomiła sobie. Ktoś kucnął z jej prawej strony. Serce Phoebe zaczęło bić jak oszalałe. Morderca? Kiedy próbowała się podnieść, spostrzegła, że osoba, która trzymała latarkę, ma na sobie mundur. Policjant. Głowa Phoebe opadła. Musiała zemdleć, zapewne nawet na kilka minut.

– Nic już pani nie grozi – mówił policjant. Powiedział coś jeszcze, czego nie zrozumiała. Zamknęła oczy. Chciała spać. Sen był najważniejszy, nieważne, że była zmarznięta i mokra.

– Proszę pani, proszę pani – znowu usłyszała natarczywy głos policjanta.

– Tak? – mruknęła, z trudem otwierając oczy. Zobaczyła, że policjantów jest już dwóch. W głowie jej huczało, w jednym ramieniu pulsował okropny ból, ale nie mogła z całą pewnością określić, w którym. Zaczęła się trząść.

– Karetka już jedzie – mówił policjant. – Proszę leżeć spokojnie.

Czyżbym próbowała się ruszyć, pomyślała Phoebe. Nic nie pamiętała.

– Dobrze – odparła.

– Jak się pani nazywa?

Musiała chwilę pomyśleć.

– Phoebe... Phoebe Hall. Gdzie jestem?

Widziała teraz w świetle latarki, że leży u stóp niewielkiego wzgórza. Niedaleko przeszukiwało teren jeszcze dwóch policjantów z latarkami.

– Jest pani w wąwozie. Musiała pani wpaść, kiedy pani biegła.

– A pies? – Phoebe aż bała się spytać. – Czy pies...

– Wszystko w porządku – powiedział łagodnie policjant. – Mamy ją. Dzielna suczka, to ona panią uratowała.

Phoebe stanął przed oczami obraz martwego Hutcha. Łzy napłynęły jej do oczu.

– Czy może pani powiedzieć, co się stało? – zapytał policjant.

– Hutch... Miałam się z nim spotkać. Przyjechałam, a on nie żył. Morderca był na górze... Nadal tam był. I ja... – Chciała jeszcze coś powiedzieć, ale nie dała rady. Nogi, ramiona, nawet powieki – całe ciało było ciężkie jak ołów.

– Chcę zasnąć – wyszeptała resztką sił. – Chociaż na chwilę.

– Jest ryzyko, że doznała pani wstrząsu mózgu. Musi pani być przytomna – powiedział policjant. – Przynajmniej do chwili, kiedy przyjedzie karetka. Proszę spróbować. Dla mnie.

– Nie wiem, czy dam radę. – Phoebe była zmęczona. Tak potwornie zmęczona...

– To pani piesek? – Policjant usilnie starał się zająć jej uwagę. – Jest uroczy.

Zagadywał na różne tematy. Co jakiś czas Phoebe odpowiadała. Jego głos słyszała jak przez mgłę. Nagle wokół pojawiło się więcej osób. Czowała, jak czyjeś ręce unoszą ją w górę. Zrobiło się głośno. Phoebe chciała poprosić, żeby zachowywali się ciszej, że chce spać, ale usta odmówiły jej posłuszeństwa.

Znalazła się w karetce, chociaż nie pamiętała, jak. Coś osłaniało jej głowę – ochronne klamry. Kierowca karetki włączył sygnał. Głowa znowu zaczęła jej pękać.

Zawieźli ją na oddział reanimacyjny. Stali nad nią lekarze i pielęgniarki. Część z nich zdejmowała z Phoebe ubranie, usiłując jednocześnie nawiązać z nią kontakt.

– Jestem doktor Morton – przedstawiła się jedna z kobiet. Była wysoka i z pozycji leżącej Phoebe wydawała się wielkości wieży. – Proszę powiedzieć, gdzie panią boli.

– Głowa – wyszeptała Phoebe. – I ręka. Chyba... lewa.

– Pomożemy pani. Wszystko będzie dobrze – powiedziała lekarka. Jej zielone oczy pełne były ciepła i współczucia. – Podejrzewamy wstrząs mózgu. Lewa ręka jest złamana. Zrobimy badania, żeby sprawdzić, czy nie ma wewnętrznych obrażeń.

– Dziękuję – wymamrotała Phoebe.

– Czy powinniśmy kogoś powiadomić? – zapytała jedna z kobiet. Pielęgniarka, pomyślała Phoebe.

– Nie trzeba, dziękuję. – Phoebe nie chciała, żeby Glenda kręciła się po szpitalu, chociaż wiedziała, że w końcu będzie musiała ją poinformować.

– Jest tu dwóch detektywów. Chcą z panią rozmawiać, ale poprosiłam, żeby przyszli jutro. Musimy mieć pewność, że nic poważnego pani nie dolega – powiedziała lekarka.

Phoebe wydawało się, że od chwili gdy wylądowała na reanimacji, mijają godziny. Prześwietlono i unieruchomiono jej rękę. Następnie została poddana tomografii komputerowej głowy. Po tym wszystkim nie dawało jej spokoju pytanie, co dalej.

– Jak dostanę się dzisiaj do domu? – spytała sanitariusza. W odpowiedzi roześmiał się.

– Nie ma się czym przejmować. Mamy tu specjalny hotel. Wypasiony, dla gwiazd. Proszę mi wierzyć, odpoczynek gwarantowany.

W końcu spędziła noc w szpitalu, na innym piętrze. Znowu odpłynęła, cały czas jednak czuła obecność różnych osób, które kolejno sprawdzały, czy wszystko z nią w porządku.

W pewnym momencie oczy Phoebe same się otworzyły. Była całkowicie przytomna. Za oknami panowała ciemność, jednak w pokoju paliło się przyćmione światło. Phoebe była sama, w izolatce. Przez uchylone drzwi dochodziły z korytarza odgłosy rozmów. Czasem słychać było, jak przejeżdża wózek – lub nosze. Wiedziała, że podano jej tabletki przeciwbólowe – jednak czuła też, jak pomału przestają działać. Bolały ją głowa i ręka oraz – dopiero teraz zdała sobie z tego sprawę – lewy pośladek.

Czas płynął, a Phoebe myślała o tym, co się wydarzyło. Minuta na minucie, jak na podglądzie, w przód i w tył... Poraniła się, spadając w ciemności do jaru. Ktoś ją gonił. Ktoś, kto zabił Hutcha. Twarz Phoebe ściągał skurcz cierpienia za każdym razem, gdy myślała o Hutchu – przemiłym starszym panu, którego знаła tak krótko. Został brutalnie zamordowany. Zakatowany. Oczywiście zawsze była możliwość, że Hutch nakrył kogoś na włamaniu, jednak wszystko mówiło Phoebe, że stoi za tym sprawa śledztwa, które wspólnie prowadzili. I to ona wciągnęła w nie Hutcha. Nagle zrobiło jej się niedobrze. Czowała się winna. Kim był człowiek, którego zarys postaci widziała w świetle księżyca? Zapamiętała jedno – głowę gładką jak czaszka.

Phoebe przypomniała sobie o Ginger. Gdzie była? Z ulgą przypomniała sobie, co mówił policjant: „To ona panią uratowała”. Kochana suczka, doprowadziła policję na miejsce, gdzie leżała Phoebe. Pewnie Ginger jest u nich. Ale co z drugim psem? Gdzie się podział? Hutch wspominał o bratanku. Phoebe powinna się z nim skontaktować. Powiedzieć, co się stało

z Hutchem i poprosić, by zajął się psami.

Myśli zaczęły jej się plątać. „Torebka i telefon” – na pewno policja je ma. Jeśli nie, najwyżej nadal leżą w lesie. „Samochód”. Nadal stoi przed domem Hutcha. Już prawie poniedziałek – nie przyjdzie na lekcję. Trzeba zawiadomić szkołę.

Phoebe próbowała przekręcić się na prawą stronę. Ból gwałtownie wzrósł. Zadzwoiła po pielęgniarkę i poprosiła o kolejną dawkę środków przeciwbólowych. Kiedy zasypiała, za oknami wstawał świt. Przynajmniej noc się już skończyła, pocieszyła się w myślach.

Policja rano nie zwracała jej głowy. Phoebe obudziła się około siódmej, kiedy nad jej łóżkiem stał pielęgniarz, sprawdzając, czy wszystko w porządku. Pomógł jej przejść do łazienki. Ku swojemu zaskoczeniu Phoebe zauważyła w lustrze, jakie pamiątki na jej twarzy zostawił upadek – podbite oczy i liczne zadrapania. Jak dowiedziała się od pielęgniarza, jej torba bezpiecznie leżała w szafce obok łóżka. W torebce znalazła telefon. Bateria była na wyczerpaniu, ale Phoebe udało się zadzwonić do szefa wydziału i powiadomić go, że jest w szpitalu i odwołuje zajęcia.

Potem dostała śniadanie – wilgotny tost i jajka o podejrzanym wyglądzie.

Zaczęła grzebać widelcem w jedzeniu, gdy usłyszała dzwonek do drzwi. I tak były otwarte. Stał w nich detektyw Michelson, jak zwykle zaróżowiony na twarzy. Wszedł bez czekania na zaproszenie. Towarzyszył mu Azjata o drobnej posturze.

– Lepiej się pani czuje? – zapytał Michelson.

– Dużo lepiej – odpowiedziała Phoebe, próbując usiąść. Prawie krzyknęła z bólu.

Pośladek bolał potwornie.

– To jest detektyw Huang. – Michelson przedstawił kolegę. – Jak się pani domyśla, obaj nie możemy się już doczekać rozmowy.

– Rozumiem – powiedziała słabym głosem Phoebe. Do tej pory nie rwała się do rozmów z policją, jednak tym razem zamierzała zrobić wszystko, co w jej mocy, by pomóc wyjaśnić sprawę morderstwa Hutcha. – Złapaliście mordercę?

– Niestety, jeszcze nie. – Michelson przysunął krzesło, na którym siedział, bliżej łóżka. Huang przyniósł sobie krzesło z drugiego kąta pokoju.

– Może zaczniemy od początku – zaproponował Michelson. Huang wyjął z torby notatnik i otworzył na czystej stronie. Od obu mężczyzn dolatywał zapach wody po goleniu. Ta kompozycja ze szpitalnymi zapachami sprawiła, że Phoebe zrobiło się niedobrze.

– Najpierw pytanie – zaczęła, przezwyciężając słabość. – Hutch ma bratanka w Allentown. Czy ktoś mógłby się z nim skontaktować?

– Już to zrobiliśmy – odpowiedział Michelson.

– A co z psami? Są oba?

– Bratanek ma już małego. Nic mu nie jest.

– A retriever? Nie widziałam go w nocy.

Huang popatrzył na Michelsona. Jednak ten nie zareagował.

– Niestety – powiedział. – Wpadł pod samochód. Nie żyje. Zapewne wybiegł na ulicę po tym, jak zginął pan Hutchinson.

Phoebe spuściła głowę. Łzy napłynęły jej do oczu.

– Pani Hall – delikatnie ponaglił ją Michelson. – Proszę opowiadać. To ważne dla śledztwa.

Posłuchała. Opowiedziała o wydarzeniach ostatniej nocy, starając się nie pominąć żadnego, nawet najdrobniejszego szczegółu, wiedząc, że to może okazać się ważne dla sprawy. Na końcu dodała też, że jedynymi samochodami, jakie widziała przed domem Hutcha, były należące do niego honda i furgonetka. Po raz pierwszy pojawiło się w jej głowie pytanie, jak

morderca dostał się na to odludzie.

– Dałaby pani radę określić, czy osoba, która panią gonila, była mężczyzną czy kobietą? – zapytał Michelson.

Phoebe pokręciła głową przecząco.

– Wtedy w nocy wydawało mi się, że to musi być mężczyzna – jego głowa wydawała się gładka, jakby był łysy. Potem zdałam sobie sprawę, że ten ktoś mógł mieć na głowie czapkę.

Albo owinąć głowę T-shirtem.

– Jeszcze coś, co zwróciło pani uwagę?

Phoebe znowu pokręciła głową.

– Niestety. Nie wiem, czy osoba była wysoka czy niska, grunt był nierówny. Mam jednak wrażenie, że to nie był nikt niski. Ani zbyt wysoki.

Michelson popatrzył na notatki. Przerzucił kilka stron.

– Co pani miała na sobie?

– Co ja miałam na sobie? – Phoebe była zaskoczona.

– Tak. – Michelson nie zadał sobie trudu, by wyjaśnić, skąd to pytanie.

– Dzinsy, sweter... Płaszcz. Powinny być tam. – Phoebe wskazała głową szafkę. Huang rzucił się w jej kierunku i szybkim ruchem otworzył drzwiczki. Ubrania Phoebe leżały starannie złożone, z wyjątkiem płaszcza, który spadł z wieszaka. Phoebe zauważyła, że lewy rękaw był pocięty, zapewne przez sanitariuszy, którzy uwalniali jej lewą rękę. Nic z tego nie pamiętała.

– To wszystko? Żadnych rękawiczek, kapelusza, szalika? – drążył Michelson.

– Miałam rękawiczki. – Phoebe nadal nie rozumiała, o co mu chodzi. – Powinny być w kieszeni płaszcza.

– No dobrze. Zmieniamy temat – powiedział Michelson, gdy Huang wrócił już na swoje miejsce. – Jakie były przyczyny pani wizyty w domu pana Hutchinsona?

Detektyw wyraźnie zmienił ton – z uprzejmego na dosyć bezceremonialny. Phoebe poczuła, jak znowu zaczyna boleć ją głowa.

– Dobrze, że pan o to pyta. To może mieć związek – rzekła, świetnie zdając sobie sprawę, że Michelson i tak nie odpuści. – Jak zapewne mówił wam Wesley Hines, rozmawialiśmy w zeszłym tygodniu. Opowiedziałam panu Hutchinsowi o tej rozmowie. Poprosił, żebym przyjechała. Chciał ze mną o tym porozmawiać.

Michelson przyjął tę wiadomość z niedowierzaniem.

– Trudno mi uwierzyć, by wykładowczyni z college'u przyjaźniła się z byłym szefem ochrony kampusu – powiedział, unosząc brwi.

– Zostałam poproszona przez doktor Johns o zbadanie pewnych problemów związanych z wizytami studentów college'u w nadrzecznych barach. Pan Hutchinson znalazł się wśród osób, z którymi rozmawiałam o tej sprawie. Rok temu przesłuchiwał Wesleya na temat jego wypadku nad rzeką. Zastanawialiśmy się, czy ta historia mogła mieć związek z kilkoma utonięciami studentów, jakie miały miejsce. Hutch, to znaczy pan Hutchinson, był przekonany, że znalazł rozwiązanie zagadki.

– Chce pani powiedzieć, że pan Hutchinson prowadził własne śledztwo? – Twarz Michelsona stała się jeszcze bardziej różowa. Phoebe przyszło do głowy, że połączenie naturalnie występujących w przyrodzie kolorów – różowego jak chmury o zachodzie słońca, niebieskiego jak słoneczne niebo – na ludzkiej twarzy zdecydowanie nie zdawało egzaminu.

– Nie chodziło o śledztwo – powiedziała. – Hutch obawiał się, że niesłusznie zlekceważył zeznania Wesleya. Dlatego wrócił do swoich starych notatek. Czy może mi pan podać moją torbę?

Huang wyjął torbę z szafy – Phoebe prawą ręką wydobyła z niej notatki Hutch. Podawała

je Michelsonowi, ciesząc się w duchu, że zrobiła sobie kopię. Wiedziała, że tych egzemplarzy już nie zobaczy. Nie miała zapasowych kopii swoich notatek, ale nie widziała powodu, by dzielić się nimi z Michelsonem. W obu przypadkach Hutch podkreślił te same fragmenty.

– Powiedział mi, że po ponownym przejrzaniu notatek przyszła mu do głowy pewna myśl – rzuciła Phoebe, podczas gdy Michelson uważnie studiował pismo Hutch. – Nie chciał jednak rozmawiać przez telefon. Nalegał na rozmowę w cztery oczy.

– Orientuje się pani, czy mógł te notatki pokazać komuś jeszcze?

– Nic o tym nie mówił. Ale też się zastanawiam, czy tak nie zrobił.

– Zatrzymam je. – Michelson złożył dokumenty i wsunął je do wewnętrznej kieszeni kurtki. – A pani niech mnie uważnie posłucha, pani Hall. To śledztwo jest sprawą policji. Wyłącznie. Czy to jasne?

– Oczywiście. – Phoebe usiłowała przybrać pokorny wyraz twarzy. – Nie chciałam przeszkadzać. Chodziło mi o to, by pomóc szkole.

– Jeszcze jedno. Wydarzenia w pani domu. Jak się pani domyśla, nie byłem zachwycony tym, że o pierwszym z nich dowiedzieliśmy się sporo po fakcie.

Phoebe już się chciała tłumaczyć, ale w porę ugryzła się w język. Im mniej powie, tym lepiej. Poza tym nie wiedziała, jak Ball przyjmie jej tłumaczenie.

– Wobec tego cieszę się, że już o tym wiecie i zajmiecie się sprawą – powiedziała. – Mam nadzieję, że ktoś znajdzie czas, by przyjrzeć się mojej kuchni. W mojej zmywarce nadal jest krew, na stole leżą łyżki.

Michelson się zgodził. Phoebe dała mu klucz do drzwi wejściowych, a detektyw obiecał zwrócić go jak najszybciej. Zobowiązał się też, że policja odprowadzi do domu jej samochód.

Detektyw wstał. Prawie równocześnie, jak lustrzane odbicie szefa, z krzesła podniósł się Huang. Michelson, zapinając płaszcz, spojrzał na Phoebe.

– Pani mieszka sama, prawda? – zapytał. Jego głos brzmiał ostro.

– Tak. Dlaczego pan pyta?

– Musi pan uważać. Bardzo uważać. Czy to jasne?

– Chce pan przez to powiedzieć, że Szóstki znowu mogą złożyć mi wizytę?

– Tego nie wiem. Ale jest spora szansa, że zrobi to osoba, która zamordowała pana Hutchinsona.

Nie rozumiem. – Phoebe była zdenerwowana. – Przecież nie stanowią dla niej żadnego zagrożenia, skoro natychmiast stamtąd uciekłam.

– Być może Hutchinson znalazł coś, co obciąża tę osobę i wzbudził jej czujność. Może dlatego musiał zginąć. Morderca widział panią w jego domu. Jeśli założy, że Hutchinson coś pani zdradził, będzie chciał pozbyć się również pani.

Phoebe głośno przełknęła ślinę

– Niech mi pan powie, czyli Lily i Trevor zostali zamordowani? – zapytała. – Skoro zakłada pan, że Hutch zginął, bo wiedział za dużo o utonięciach, musi pan przypuszczać, że te utonięcia nie były przypadkowe.

– Pani Hall, niech się pani przestanie bawić w Sherlocka Holmesa. Najwyższy czas z tym skończyć.

Dla Phoebe zabrzmiało to jak potwierdzenie.

– Nie bawię się w detektywa – powiedziała. – Staram się dowiedzieć, co mi grozi.

– Chcę tylko, by nie lekceważyła pani sytuacji. To wszystko. Jeśli to możliwe, niech pani zamieszka u kogoś na kilka dni. Na wszelki wypadek.

To raczej średnio możliwe, pomyślała Phoebe. W Lyle wchodziły w grę dwie osoby i z żadną z nich chwilowo nie była w rewelacyjnych stosunkach.

– Dobrego dnia – pożegnał się Michelson. – I jeszcze coś. Na razie nie poinformujemy mediów o pani obecności na miejscu zbrodni. Częściowo dla pani bezpieczeństwa. Z pani strony też liczymy na dyskrecję. Nikomu ani słowa.

Policjanci wyszli. Phoebe dopiła resztki letniej herbaty. Czowała, jak dookoła czai się strach. Nie mogę tak leżeć i czekać nie wiadomo na co, jak wtedy, gdy miałam piętnaście lat, powtarzała w myślach. Musiała dowiedzieć się, co takiego odkrył Hutch. Jak tylko wróci do domu, jeszcze raz przestudiuje notatki. Najpierw jednak musi wydostać się ze szpitala.

Sięgnęła w kierunku dzwonka. Nie zdążyła go jednak nacisnąć, bo w drzwiach pojawił się mężczyzna ze stetoskopem na szyi. Przedstawił się jako doktor Awad, członek „zespołu”, jak to ujął, który zajął się nią minionej nocy.

– Lepiej się pani czuje? – zapytał. Phoebe zauważyła, że jest przystojny i nie ma więcej niż trzydzieści pięć lat.

– Dużo lepiej – odparła. – Chciałabym dzisiaj wyjść do domu.

– Najpierw paną zbadam – powiedział lekarz. – Miała pani lekki wstrząs mózgu, musimy to poobserwować. Jak mocno panią boli, w skali od jednego do dziesięciu?

– Nie bardziej niż jeden, może dwa – skłamała Phoebe. Uznała, że da radę, jeśli wypiszą jej tabletki przeciwbólowe.

Lekarz przejrzał jej kartę, potem posłuchał serca, kładąc Phoebe spokojnie oddychać. Następnie wyjął z kieszeni latarkę w kształcie długopisu i zajrzał w jej źrenice, po czym zajął się czaszką, opuszkami palców szukając, jak domyśliła się Phoebe, możliwych obrzęków. Po wszystkim odsunął się na kilka kroków i przyjrzał Phoebe.

– Doznała pani niegroźnego złamania w lewym łokciu, ale ręka musi być unieruchomiona przez sześć tygodni. Jeśli chodzi o głowę, badania nic nie wykazały i wygląda na to, że wszystko w porządku. Co pani na to, żebyśmy podjęli panią świetnym lunchem i wypuścili po południu? To nam pozwoli jeszcze trochę panią poobserwować.

Doktor wyszedł. Phoebe poczuła, jak znowu ogarnia ją zmęczenie. Po kilku sekundach już spała. Przyśnił jej się sen, jeden z tych, których nie znośiła – bez końca męczyła się

w pomieszczeniu pełnym ludzi. Męczył ją hałas, była spocona i zgrzana. „Błagam, zabierzcie mnie stąd” – powiedziała do kogoś, ale osoba, do której się zwróciła, nie chciała jej słuchać. Wtem ktoś lekko dotknął jej prawego ramienia. Phoebe obudziła się. Obok jej łóżka stała Glenda.

Phoebe uśmiechnęła się szeroko. Dopiero po chwili przypomniała sobie, co się ostatnio wydarzyło. Wciąż nie mogła darować przyjaciółce sposobu, w jaki ją potraktowała przy okazji historii z fałszywym blogiem. Glenda praktycznie postawiła ją pod ścianą.

– Cześć – przywitała się już chłodniej.

– Fee, powiedz, że już wszystko w porządku – powiedziała z niepokojem Glenda.

– Tak. – Phoebe miały sprzeczne uczucia. Wyciągnęła spod głowy jedną z poduszek i położyła pod lewą rękę. – Jeśli nie brać pod uwagę tego, jak wyglądam. Jakbym wpadła twarzą w krzaki dzikiej róży.

– To moja wina. Ja cię w to wpakowałam.

– Kto mógł się spodziewać czegoś takiego? Przy okazji – skąd się dowiedziałas, że tu jestem?

– Już wczoraj wieczorem usłyszałam o Hutchu. W pierwszej chwili przyszło mi do głowy, że tragedia wydarzyła się, bo przyłapał kogoś na włamaniu. Tego ranka Craig powiedział mi, że wie z pewnego, zaufanego źródła w policji, że w okolicy domu Hutchu została znaleziona ranna kobieta. I że ma ona związek ze sprawą. Nie miałam jednak pojęcia, że to mogłaś być ty. Wiem, że byłaś z Hutchem w kontakcie, rozmawialiście, ale do głowy mi nie przyszło, że mogłaś być u niego w niedzielę wieczorem. Potem zadzwonili z administracji szkoły z pytaniem, czy wiem, że jesteś w szpitalu. Wtedy zrozumiałam.

– Powinam była sama do ciebie zadzwonić. Nie mogłam, telefon mi padł. Przepraszam.

– Myślałam, że nie zadzwoniłaś, bo ciągle jesteś na mnie zła.

– Tak, to też.

Glenda zdjęła ciemnoczerwony płaszcz i powiesiła go na krześle obok. Miała na sobie długą, czarną sukienkę z długimi rękawami i wyraźnie zarysowaną talią. Wyglądała bardzo atrakcyjnie. Całość dopełniał łańcuch białych pereł okalający jej szyję. Świetna ilustracja motta, którym Glenda się kierowała, a które brzmiało: Jeśli sprawiasz wrażenie, że wszystko jest pod kontrolą, ludzie też w to uwierzą. Jednak ten, kto znał Glendę lepiej, zauważyłby, jak jest wykończona. Jej twarz była wychudzona, pod oczami widniały cienie.

– Posłuchaj, Fee. – Glenda poprawiła się na krześle. – Nawet przez sekundę nie wierzyłam w to, że miałaś cokolwiek wspólnego z tym całym blogiem. Oraz wykorzystaniem eseju studenta. Przysięgam.

– To dlaczego najpierw nie porozmawiałaś ze mną sam na sam? Nie zapytałaś, jak było naprawdę? Postawiłaś mnie pod ścianą. Stockton i Ball rzucili się na mnie jak święta inkwizycja.

– To był przypadek. Tom miał do mnie kilka pilnych spraw, poprosiłam, żeby zajrzał przed lunchem. Kiedy rozmawialiśmy, do domu wpadł Ball z laptopem. Powiedział nam o blogu dosłownie kilka sekund przed tym, zanim przyszłaś. Powinam była poprosić, by wyszli, i sama z tobą porozmawiać. Nie miałam zamiaru cię o nic oskarżać, byłam po prostu w szoku. I przejęta.

Ma rację. Powinna była najpierw porozmawiać ze mną, pomyślała Phoebe. W końcu jednak nie zrobiła tego specjalnie, więc chyba można jej wybaczyć.

– Są jakieś postępy w wyjaśnieniu tej sprawy? – głos Phoebe był nieco łagodniejszy.

– Tak i nie. Dotarli do konta, z którego wychodziły maile. Jest fałszywe. Sprawa utknęła w miejscu.

– „New York Post” o tym napisał. Będę chciała, by szkoła wydała oficjalne oświadczenie, że jestem oczyszczona z zarzutów.

– Pracujemy nad tym. Teraz opowiedz, co się stało w nocy.

Phoebe streściła przebieg wydarzeń oraz treść swoich rozmów z Hutchem. Kiedy skończyła, Glenda opadła na oparcie krzesła i ciężko westchnęła. Widać było, że to, co usłyszała, silnie nią wstrząsnęło.

– Bardzo boli mnie serce z powodu Hutcha – westchnęła. – Wyjątkowo dobry człowiek. To potworne, że zginął w taki sposób.

– Pewnie atmosfera w kampusie jest słaba – powiedziała Phoebe.

– Raczej. Wszyscy oszaleli. Dwie dziewczyny zrezygnowały ze szkoły – założę się, że za namową rodziców.

Glenda ściągnęła usta.

– Muszę cię o coś spytać. Myślisz, że to Szóstki zamordowały Hutcha?

To pytanie Phoebe zadawała sobie dziesiątki razy. Krążyło jej po głowie, zarówno gdy spała ciężkim snem nafaszerowana lekami, jak i później, gdy była już w stanie myśleć nieco jaśniej.

– Myślę, że cię zaskoczę – odpowiedziała na pytanie Glendy. – Ale wystarczająco długo zajmuję się tematem tych dziewczyn i sprawami utonięć. Przeczucie mi mówi, że zabójstwo Hutcha nie jest ich dziełem.

– Sądzisz, że to nie ich zakres działań? – zastanawiała się Glenda. – Że są w stanie kręcić się nad rzeką w tych swoich kozakach i wrzucać do niej kolegów, ale nie posunęłyby się do tego, żeby starszego mężczyznę zakatować na śmierć?

– Nie mówię, że tego *nie* zrobili. Wesley pamięta, że tej nocy, kiedy wpadł do rzeki, widział Blair w pubie „Pod Kocimi Ogonami”. Być może to ona dosypała mu narkotyków do piwa, realizując swój program znęcania się nad szkolnymi – jak one to określały – ofermami. Może Hutch, przeglądając notatki, wpadł na trop Szóstek, zadzwonił do Blair i wzbudził jej niepokój. A wtedy dziewczyna – sama lub z koleżankami – zjawiała się w jego domu. Co potem, wiemy. Jednak ta teoria ma jeden słaby punkt – mówiła dalej Phoebe. – Pamiętam, że Hutch mówił, iż wyjaśnienie zagadki leży we fragmentach notatek dotyczących Wesleya. A w nich nie ma słowa ani na temat Blair, ani na temat *żadnej* z dziewcząt z college’u.

– Jeśli to nie Szóstki, to kto? Wracamy do wersji o seryjnym mordercy?

– Być może – powiedziała Phoebe posępnym głosem. – Z jedną małą korektą.

– To znaczy? – spytała Glenda.

– Stockton wspominał o przypadkach utonięć w tej części Stanów. Jego zdaniem wydarzenia te mają związek z tym, co stało się w Lyle. W tym przypadku wszystko byłoby dziełem mordercy, który przemieszcza się po kraju. Jednak moim zdaniem morderca to ktoś stąd. Hutch najbardziej zdecydowanie podkreślił fragment dotyczący rozmowy Wesleya z facetem, który podszedł do niego, gdy ten stał przy szafie grającej. Z jakichś przyczyn Hutchowi coś ta sytuacja przypominała. Hutch chwalił się też, że miał wtyczki w policji. Być może któryś z kolegów policjantów wspominał, że notowano już przypadki, gdy mężczyzna w średnim wieku zaczepiał studentów. Hutch nie łączył wcześniej tych faktów – do chwili gdy nie skojarzył ich z przypadkiem Wesleya.

– Znowu zaczynam się bać – powiedziała Glenda.

– Wiem, to wszystko jest potworne. Jeśli jednak Hutch odkrył prawdę, może ja też dam radę.

– Ty? Ty, Phoebe, kończysz z tym. Natychmiast. Zwłaszcza po tym, co się stało. Słyszysz?

Phoebe obiecała, że nie zrobi nic, co mogłoby sprowadzić na nią zagrożenie. Poprosiła też Glendę, by ta zdobyła numer bratanka Hutcha z Allentown. Glenda wyszła.

Kolejne kilka godzin dłużyło się Phoebe niemiłosiernie. Nudę przerwała tylko wizyta

policjanta, który wpadł, by oddać jej klucze do domu. Po obiedzie do pokoju Phoebe zjrzała starsza kobieta, oferując lokalną prasę. Phoebe rzuciła się na dziennik, szukając wzmianki o tym, co się wydarzyło. Była niewielka, wyraźnie przygotowana w ostatniej chwili. Zgodnie z tym, co obiecał Michelson, o niej nie było ani słowa.

Posługując się samą prawą ręką, Phoebe zaczęła od niechcenia przerzucać strony gazety, wyłącznie dla zabicia czasu. Wypełniały ją dziesiątki zdjęć z Halloween – młodych ludzi poprzebieranych za Batmanów i Harrych Potterów, dzieci za truskaweczki lub pszczołki. Kiedy wszyscy tak świetnie się bawili, ktoś zginął, pomyślała ze smutkiem Phoebe. Przed oczami, wbrew jej woli, znowu stanął obraz leżącego na podłodze martwego Hutcha. Jak morderca się tam dostał? Przecież nie było samochodu, to pytanie nie dawało Phoebe spokoju. Dom Hutcha leżał zbyt daleko od drogi, by można się tam było dostać na piechotę. Zabójca musiał zatem zaparkować gdzieś niedaleko i do chaty dotarł na piechotę, przez las. Phoebe postanowiła, że jak tylko będzie w stanie, jeszcze raz przemierzy drogę do domu Hutcha. Może odnajdzie miejsce, w którym zabójca zostawił samochód. Może dowie się, kim jest... Jakaś bliżej niesprecyzowana myśl przemknęła Phoebe przez głowę. Usiłowała nadać jej kształt, ale myśl umknęła.

W końcu była gotowa do wyjścia. Dała znać Glendzie, która zaoferowała jej odwiezienie do domu. Pielęgniarka pomogła Phoebe się ubrać, zwracając uwagę, by nie urazić jej lewej ręki. Na ramiona zarzuciła poszarpany płaszcz. Na drogę Phoebe dostała maść i dokładną instrukcję, jak dbać o chorą rękę. Myśl o powrocie do domu napełniała ją lękiem. Phoebe pomyślała o Duncanie. Ciekawe, czy wie, że jest w szpitalu.

Dzień był zimny i ponury, niebo znowu pokryte ciemnymi chmurami. Glenda wpadła jak burza, w nastroju typu „opiekunka”.

– Przy okazji – powiedziała, gdy opuszczały przyszpitalny parking. – Stockton o ciebie pytał. Słyszał, że miałaś wypadek i chciał wyciągnąć trochę szczegółów. Powiedziałam mu, że jesteś ranna i że nic więcej nie wiem.

– Zamierza wykorzystać śmierć Hutcha, by wywołać jeszcze większą panikę?

– Nie wiem. Jednak Madeline powtórzyła mi jego słowa podczas jednego ze spotkań, że po tym jak zniknął Trevor Harris, szkoła powinna była bardziej naciskać na policję i pilnować śledztwa. Oczywiście, mówiąc szkoła, ma na myśli mnie. Jest bardziej niż jasne, że przy każdej okazji kopie pode mną dołki.

– Byłabym zapomniała – powiedziała Phoebe. – W sobotę wieczorem zjrzałam do pubu „Pod Kocimi Ogonami”, byłam ciekawa, jak wygląda to miejsce. Wyobraź sobie, że wpadłam na Stocktona. Twierdził, że kontroluje pub ze względu na jego związek z utonięciami.

– Albo poluje na studentki.

– Co ty mówisz? – Phoebe była zaskoczona.

– Od początku zastanawiałam się, co robi w Lyle i dlaczego odszedł z renomowanego college’u. Nie mogłam dojść, o co chodzi. Mniej więcej pół roku temu moja dobra koleżanka podjęła pracę w tym samym college’u, w którym wcześniej pracował Stockton. Z uwagi na jego zachowanie w ostatnim czasie zadzwoniłam do niej i poprosiłam, żeby trochę powęszyła. Może Stockton wszedł w konflikt z prawem? Wczoraj koleżanka oddzwoniła. Okazuje się, że lubił wdawać się w romanse ze studentkami. Oficjalnie nie jest to zabronione, jednak kiedy ktoś zaczyna przesadzać, reszta kadry patrzy na to krzywym okiem. Poza tym rzecz dotyczy dziekana do spraw studenckich... Sytuacja jest zatem jeszcze bardziej skomplikowana. Wszystko wskazuje na to, że Stockton posunął się za daleko. Został usunięty z uczelni.

– A tutaj? Zdarzyło mu się romansować ze studentkami?

– Nic o tym nie wiem. Co oznacza, że albo zmądrzał, albo się lepiej ukrywa. W każdym razie ta cała historia potwierdza moje przecucie, że nie można mu w pełni ufać. – Glenda

przerwała na chwilę, skupiając się na prowadzeniu. Po chwili dodała: – A ty łądujesz dzisiaj w moim pałacu. Po drodze zajedziemy do ciebie do domu, przebierzesz się i zabierzesz niezbędne rzeczy.

Część Phoebe rozmarzyła się na myśl o spokojnej nocy w żółtym gościnnym pokoju, jednak rozsądek nakazał jej odmówić. Musiała stawić czoło sytuacji.

– Kochana jesteś, Gee, ale dziękuję. Już ci mówiłam, to nic nie zmieni. Będzie, co ma być, a ja muszę nad tym zapanować.

– Nie przyjmuję do wiadomości odmowy.

– Jest jeszcze jeden powód, dla którego nie powinnam skorzystać z twojej propozycji. – Phoebe powiedziała Glendzie o nieprzyjemnej wymianie zdań z Markiem.

– Robi się coraz bardziej beczelny – burknęła Glenda. Phoebe po raz pierwszy słyszała, jak Glenda mówi o mężu takim tonem.

– Jak wygląda sytuacja? – zapytała.

– Ciągle jakieś tajemnice. Jestem nerwowo wykończona. W weekend znalazłam rachunek z pewnej restauracji. Nie miałam pojęcia, że tam był. Twierdzi, że to było służbowe spotkanie, ale nie brzmiało to przekonująco. Wyglądał, jakbym złapała go na kłamstwie.

– Myślisz, że ma romans?

– Zapytałam wprost. Usłyszałam, że mam paranoję. Zabawne. On zachowuje się jak wariat, ale wariatkę robi ze mnie.

Phoebe zrobiło się przykro. Nigdy nie przepadała za Markiem, ale nie chciała, żeby małżeństwo przyjaciółki się rozpadło. Zwłaszcza teraz, gdy było wystarczająco dużo innych zmartwień.

– Może wybierzecie się do poradni?

– Myślałam o tym. Ale nie teraz. Muszę się zająć tym cholernym college'em, bo za chwilę wszystko się rozwali.

Drzewa wzdłuż Hunter Street, którą jechały, obwieszane były resztkami papieru toaletowego. Phoebe uświadomiła sobie, że miniony weekend był dla niektórych czasem zabawy. Smętnie zwisające paski papieru sprawiały tajemnicze, niepokojące wrażenie. Jakby mówiły: *Uciekaj. To nie jest już miejsce dla ciebie.* Nie chce tu być, pomyślała Phoebe. Tylko gdzie, do cholery, mam się podziąć?

Podjechały pod dom Phoebe. Na drodze dojazdowej stał jej samochód. Phoebe wyjęła ze środka kluczyki. Policja przeszukała cały dom, o czym świadczyły ślady, takie jak resztki proszku do zbierania odcisków palców w kuchni. Zniknęły też łyżki. Phoebe ostrożnie otworzyła drzwi zmywarki i z ulgą zauważyła, że w środku nie ma już śladów działalności Szóstek. Następnie sprawdziła pozostałe pokoje. Glenda poczekała, aż przyjaciółka zapewni ją, że wszystko jest w porządku, po czym pożegnała się. Kiedy tylko Glenda wyszła, Phoebe naładowała telefon i zadzwoniła do bratanka Hutcha pod numer, który zostawiła jej przyjaciółka. Włączyła się automatyczna sekretarka. Phoebe zostawiła wiadomość, składając kondolencje i prosząc o oddzwonienie.

Następnie odsłuchiwała szereg wiadomości nagranych na jej sekretarce. Craig Ball chciał z nią rozmawiać o tym, co wydarzyło się w domu Hutcha. Michelson, co prawda, zapewniał ją, że jej obecność w domu Hutcha w czasie, kiedy dokonano morderstwa, nie wyjdzie na jaw, jednak Ball miał najwyraźniej w miejskiej policji swoje wtyczki.

Ponadto wiadomości zostawili Phoebe: agentka oraz uczelniany specjalista od Internetu, który chciał z Phoebe porozmawiać o sfingowanym blogu. Doktor Parr dzwoniła dwa razy z zapytaniem, jak się Phoebe czuje, podobnie jak dwoje innych wykładowców, w tym Jan. Ku jej zaskoczeniu zadzwoniło też dwoje jej uczniów, zapewniając, że myślą o niej. Phoebe sama była

zdziwiona tym, jak miło jej się zrobiło.

Od Duncana jednak ani znaku życia. *Musiał* już wiedzieć, co się stało. Musiał wiedzieć, że była w szpitalu, że jest ranna – więc brak zainteresowania z jego strony zabolął Phoebe. To potwierdzało jej teorię. Zainteresował się nią, ale potem zniechęcił – może z powodu śledztwa? Może nie akceptował jej udziału w tym, co się dzieje – podobnie jak Michelson? Wątpiła, czy kiedykolwiek uda jej się poznać odpowiedź na to pytanie.

Phoebe nie mogła się doczekać, kiedy znowu przejrzy notatki Hutch'a, jednak zrobiło jej się słabo. Prawdopodobnie z głodu, tego dnia nie jadła zbyt wiele. Przeszukała lodówkę w poszukiwaniu czegoś do jedzenia, czego nie trzeba byłoby kroić. Zdecydowała się na jajecznicę. Uświadomiła sobie, że życie z jedną sprawną ręką może być nie lada wyzwaniem.

Za oknem zapadał zmierzch, i Phoebe znów poczuła budzący się niepokój. W domu panowała nienaturalna cisza. Włączyła muzykę, pomyślała. Włożyła do odtwarzacza płytę Neko Case.

Jajecznica wcale nie okazała się tak łatwa w przygotowaniu, jak się Phoebe początkowo zdawało, jednak w końcu dało jej się rozbić skorupki nad patelnią. Patrzyła, jak się smażą, i usiłowała skoncentrować się na muzyce. Czuła jednak narastający lęk. A jeśli morderca kręci się koło jej domu? Obiecała sobie, że następnego dnia zamówi system alarmowy. Nieważne, ile to będzie kosztowało.

Wyłączyła gaz, w tym samym momencie skończyła się piosenka. Zapanowała cisza. Nagle Phoebe usłyszała dźwięk. Ktoś szedł. Jej całe ciało zeszytywniało. W salonie ktoś był.

Nigdy się nie dowiedziała, jak weszły do jej pokoju. W ten weekend Glenda pojechała do domu. Była sama. Była też pewna, że zamknęła drzwi na klucz. Musiały jakoś zdobyć oryginalny klucz. Później przyszło jej do głowy, że może to RA je wpuściła.

W pierwszej chwili pomyślała, że na podłodze ktoś leży. Przerażona, że ma w pokoju czyjeś bezwładne ciało, zapaliła światło. Jej oczom ukazał się przerażający widok. Wszystkie ubrania były pocięte. Po chwili zorientowała się, że ułożone na podłodze tworzyły wzór. To było koło. Koło fortuny.

Odwróciła się, instynktownie chwytając za patelnię. Będzie się bronić – albo zaatakuje. Ku swemu zaskoczeniu w drzwiach kuchni ujrzała Duncana.

– Co tu robisz? – prawie krzyknęła. Ulgę, jaką poczuła, zagłuszył stres. Jak się dostał do jej domu?

– Przepraszam – wyjąkał. – Chciałem sprawdzić, jak się czujesz. Automatyczna sekretarka w twoim telefonie była pełna. Pojechałem do szpitala i tam mi powiedzieli, że już wyszłaś.

– Ale jak tu wszedłeś? Drzwi były zamknięte.

– Nie były. Pukałem kilka razy, ale nie słyszałaś. Pewnie przez muzykę. Nacisnąłem klamkę. Było otwarte.

Phoebe prawą ręką dotknęła czoła.

– Przepraszam, że tak zareagowałam – powiedziała po chwili. – Ale jestem wykończona. Glenda odwiozła mnie do domu. Najwyraźniej zapomniałam zamknąć drzwi, kiedy wyszła.

– Nie chciałem cię przestraszyć. Cieszę się, że cię widzę. – Duncan uśmiechnął się. – I słuchasz Neko Case. Jestem pod wrażeniem.

Phoebe westchnęła i odwzajemniła uśmiech. Czyli jednak martwił się o nią.

– Masz ochotę na jajecznicę? – zapytała. – Z niejasnych powodów postanowiłam zjeść to samo, co jadłam w szpitalu.

– Jestem po kolacji. Może pozwolisz, że ja to zrobię? Ty usiądź.

– Super. Chociaż nalej sobie wina.

Duncan zdjął płaszcz i powiesił go na haku obok tylnych drzwi. Wyłożył jajka na talerz. Phoebe usiadła przy kuchennym stole. Patrzyła, jak Duncan smaruje masłem tostowe pieczywo. Uczucie paniki pomału zaczęło ustępować. Kiedy posiłek był gotowy, Duncan nalał sobie wina i usiadł naprzeciwko Phoebe.

– Naprawdę bardzo się martwiłem – powiedział. – Słyszałem o Hutchu i o tym, że go znalazłaś.

Ciekawe, od kogo słyszał. Policja obiecała, że nikt się nie dowie, pomyślała Phoebe.

Zanim zdążyła zadać pytanie, Duncan wstał i dotknął jej czoła.

– Phoebe, cieszę się, że już wszystko w porządku – powiedział. – Przynajmniej taką mam nadzieję. Jak jest?

– W porządku. To był lekki wstrząs mózgu. I lekkie złamanie w łokciu.

– Opowiedz wszystko po kolei.

Phoebe opowiedziała. Duncan nie zadawał wielu pytań, jednak w miarę jak relacjonowała kolejne fakty, w jego oczach widać było przejęcie.

– Ależ musiałaś być przerażona – powiedział cicho, kiedy skończyła.

– Potwornie – potwierdziła Phoebe. Kiedy wróciła pamięcią do traumatycznych wydarzeń, wspomnienia odebrały jej kompletnie apetyt. Jajka leżały na talerzu nieruszone, zimne i nieapetyczne. – To było jak jeden z tych koszmarów. Chcesz uciec, ale nogi odmawiają ci posłuszeństwa.

– Nie udało ci się przyjrzeć temu, kto cię gonił?

– Nie. Może jednak jak przestanę o tym myśleć, samo mi się przypomni.

– Co masz na myśli? – zdziwiony Duncan uniósł brwi.

– Nigdy nie miałeś wrażenia, że coś ci chodzi po głowie? I nie umiesz sprecyzować myśli, gdy usiłujesz to zrobić, ucieka jak spłoszona mysz. Wtedy trzeba być cierpliwym.

I czekać. Ale może gadam jak potłuczona. To te tabletki przeciwbólowe.

Duncan potrząsnął głową.

– Masz rację. Coś w twojej podświadomości domaga się uwolnienia. Myślisz, że chodzi o mordercę?

– Może – powiedziała w zamyśleniu Phoebe. – Może chodzi o coś, co wpadło mi w oczy ostatniej nocy i z czego wagi nie zdałam sobie sprawy. A może sedno sprawy leży w notatkach Hutch'a. – Mówiąc te słowa, uświadomiła sobie, że to uczucie dopadło ją po raz pierwszy, gdy była w restauracji z Wesleyem. Powiedział coś, co ją zaniepokoiło. Uczucie niejasnego niepokoju mogło jednak równie dobrze wrócić pod wpływem zapachu jajek – taki sam unosił się w miejscu, w którym spotkała się z chłopakiem.

– Co powiesz na to, żebym rzucił okiem na notatki Hutch'a? – spytał Duncan. – Dwie pary oczu to nie jedna.

– Jasne. Dobry pomysł – odpowiedziała Phoebe.

– Jeśli coś ci przyjdzie do głowy, koniecznie daj znać, komu trzeba. Sytuacja jest zbyt niebezpieczna. Mam nadzieję, że to rozumiesz.

– Tak. – Phoebe poczuła, jak znowu zaczyna się w niej budzić znienawidzone uczucie paniki. – Dziękuję, że wpadłeś. Już myślałam, że się więcej nie odezwiesz. Wydawało mi się, że w weekend coś się między nami skończyło.

Duncan wyciągnął się na krześle, założył nogę na nogę, kieliszek wina oparł o pierś.

– To moja wina – powiedział. – Nie chodziło o ciebie.

Phoebe nie odpowiedziała. Postanowiła poczekać, aż sprawa sama się wyjaśni.

Duncan strzepnął ze spodni niewidzialne pyłki. Phoebe uświadomiła sobie, jak rzadko widywała go zachowującego się nerwowo. W końcu na nią spojrział.

– W sobotę zdarzyło się coś dziwnego – powiedział. – Kiedy byliśmy w restauracji.

Jednym słowem miała rację. Właśnie wtedy nastrój Duncana całkowicie się zmienił.

– Chodziło o nas? – spytała.

– Nie, nie – zaprzeczył. – To się zdarzyło wtedy, kiedy poszłaś do łazienki. Do środka weszli starzy znajomi Allison i moi. Byliśmy bardzo zaprzyjaźnieni, spędzaliśmy razem dużo czasu. Nie przepadałem za nimi specjalnie, ale Allison była związana z tą kobietą od czasów szkoły średniej. Ich kontakty jeszcze się zacieśniły, kiedy wróciliśmy na Wschód. Pomachałem im znad stolika, chciałem podejść i się przywitać – jednak kompletnie mnie zignorowali. Spojrzeli tylko na mnie i znacząco odwrócili wzrok.

– Może to dlatego, że byłeś ze mną?

– Byłaś w toalecie, kiedy weszli. Jestem prawie pewny, że Allison nieźle mnie przed śmiercią obgadała. W miarę jak postępowała choroba, robiła się coraz bardziej zgorzkniała. Nie miałem do niej żalu, była w okropnej sytuacji. Twierdziła, że nasze małżeństwo rozpada się przeze mnie. Że to ja postanowiłem odejść i że zostałem tylko ze względu na jej chorobę, bo tak się lepiej prezentowałem w oczach ludzi.

– Kiedy wróciłam i przysiadłam się do ciebie, to pewnie jeszcze pogorszyło sytuację.

– Pewnie tak. Chwilę po tym, jak przyszłaś, zapłacili za niedopite drinki i wyszli. Nie powinienem się przejmować, ale ta cała historia z Allison ciągle we mnie tkwi.

– Świetnie to rozumiem. Całą jesień zmagam się z własną przeszłością.

– *À propos* zmagania – powiedział Duncan. – Nie chcę, żebyś była sama. Pojedziemy do mnie. Nie wyobrażam sobie, że mógłbym cię tu zostawić.

– Świetnie – ucieszyła się Phoebe. I nie chodziło tylko o ulgę, jaką poczuła na myśl, że nie stawi czoła samotnej nocy w swoim domu. Między nią a Duncanem znowu zaczęło się układać, na co, musiała przyznać sama przed sobą, już nie liczyła. – Poczekaj chwilę, wezmę

szczoteczkę do zębów i jakieś ubranie.

– Może zostałabyś na kilka dni? Nie powinnaś mieszkać sama do chwili, gdy policja złapie tego maniaka albo przynajmniej będzie wiadomo coś więcej.

Phoebe kiwnęła głową na znak zgody.

Zabrała z biurka laptop, do torby wrzuciła materiały szkolne i notatki – te Hutch'a i te, które zrobiła po rozmowie z Wesleyem. Jej wzrok pobiegł ku stercie materiałów, nad którymi pracowała z myślą o nowej książce. Wyciągnęła rękę w ich kierunku, jednak powstrzymała się. Kogo chcesz oszukać, dziewczyno, zapytała samą siebie.

Pobiegła na górę i wrzuciła do torby zmianę ubrań na kilka dni.

Do Duncana pojechała swoim samochodem. Jechał przed nią wolno, tak by nie straciła go z oczu. Kiedy już byli na miejscu, Phoebe poczuła się bardzo zmęczona. Przebrała się w pidżamę. Ręka znowu zaczęła ją boleć, Phoebe połknęła więc tabletkę przeciwbólową. Wsunęła się pod kołdrę. Do pokoju wszedł Duncan i przysiadł na brzegu łóżka.

– Poczytam chwilę w sąsiednim pokoju. Zawołaj mnie, gdybyś czegoś potrzebowała – powiedział.

Tej nocy spała jak zabita, zbudziła się tylko raz. Gdy otworzyła oczy rankiem, miała wrażenie, że jej głowa jest jak gąbka nasączona wodą. Była półprzytomna. Bała się, że Duncan już wyszedł, jednak kiedy próbowała usiąść, wszedł do pokoju, niosąc parującą kawę.

– Słyszałem, jak się kręcisz, więc pomyślałem, że może napijesz się kawy.

– Cudownie. Cały czas czuję działanie leków. Pomału muszę je zmienić – pociągnęła łyk kawy. – Nie masz dziś lekcji?

– O dziesiątej, ale zaraz wychodzę, muszę zajrzeć do laboratorium. W lodówce masz lunch. Potrzebujesz czegoś jeszcze?

– Nie, dziękuję. Wpadnę na chwilę do kampusu, ale resztę dnia poleżę.

– Brzmi dobrze. – Duncan przysiadł na brzegu łóżka i delikatnie odsunął włosy z czoła Phoebe. Potem pochylił się i delikatnie pocałował ją w usta.

– Nawet nie myśl o tym, żeby robić kolację – powiedział. – Mam już plan.

Dwie minuty później Phoebe usłyszała, jak samochód Duncana odjeżdża. Obecność mężczyzny sprawiała, że jej smutek drzemał gdzieś w ukryciu. Gdy została sama, wrócił ze zdwojoną siłą. Nie znała Hutch'a dobrze, ale bardzo go polubiła, z łatwością wyobrażając sobie, że w ciągu roku będzie się z nim od czasu do czasu spotykała na miłą pogawędkę. Nie dało się ukryć – jego śmierć była częściowo jej winą. Gdyby nie poprosiła go o pomoc, być może żyłby nadal.

Wspomnienia pobiegły ku chwili, gdy odnalazła ciało Hutch'a. Oczom Phoebe znowu ukazała się jego zmasakrowana twarz. Musiał okropnie cierpieć, zanim bezlitosne ciosy odebrały mu życie. Po raz pierwszy od chwili, gdy zobaczyła martwego Hutch'a, myśli Phoebe skoncentrowały się na drzazgach, które były widoczne na twarzy martwego mężczyzny. Czyżby morderca jako broń użył polan? Jeśli tak, mogło to oznaczać, że pierwotnie przybysz nie planował zabicia Hutch'a.

Co z tego wynikało? Phoebe wcześniej zakładała, że Hutch mógł sprowokować mordercę – w bezpośredniej rozmowie lub przez telefon. Może jednak nie powiedział za dużo, tylko zasugerował, że coś wie. I wtedy zainteresowana osoba – lub grupa osób – odnalazła jego adres i zaskoczyła go, bezbronnego – w domu. Podczas rozmowy Hutch mógł coś chlapanąć, usiłując pozbyć się nieproszonego gościa. I nie docenił jego determinacji.

Morderca zostawił samochód w odpowiedniej odległości od domu ofiary. Zatem nawet jeśli morderstwo nie było planowane, nieproszony gość nie chciał, by ktokolwiek wiedział o jego wizycie u Hutch'a.

Phoebe zebrała siły i w końcu wstała. Zrobiła sobie kolejną filiżankę kawy. Usłyszała dzwonek telefonu.

– Gdzie ty jesteś, do diabła? – Glenda nie czekała na powitanie. Była bardziej zaniepokojona niż zła.

– Pojechałaś do mnie do domu?

– Stoję przed nim. Waliłam do drzwi, ale nikt nie odpowiada.

No to klops, pomyślała Phoebe. Teraz dowie się o Duncanie i będzie zła, że tak długo trzymałam to w tajemnicy.

– Nie ma mnie w domu. Jestem... Jestem u kogoś. U znajomego.

Glenda zaśmiała się.

– Czyżbyś poderwała w szpitalu jakiegoś przystojnego doktora? – zapytała. – Jednym słowem, zadrapania na twarzy nie pozbawiły cię urody.

– To nie lekarz. Jest z Lyle. Przyjechał do mnie wczoraj wieczorem i zaproponował, żebym przeniosła się do niego na kilka dni.

– Nie mów, że spotykasz się z *miejscowym*.

– Mam na myśli college w Lyle. Spotkaliśmy się kilka razy i chciałam ci powiedzieć, ale zawsze było coś ważniejszego do omówienia. Mam nadzieję, że nie jesteś zła?

– Oczywiście, że nie. Chyba że to byłby mój mąż. Powiesz mi, o kogo chodzi?

– To Duncan Shaw. Poznałam go na zebraniu komitetu. Pracuje w...

– Wiem, gdzie pracuje. Znam go.

W głosie Glendy zabrzmiała szorstka nuta. Phoebe nie wiedziała, czy chodzi o osobę Duncana, czy o tajemnicę, w jakiej trzymała ich romans.

– Nie jesteś zachwycona – zauważyła nieśmiało.

Glenda odpowiedziała dopiero po chwili.

– Nie, dlatego. To podobno świetny nauczyciel. Studenci za nim przepadają. Po prostu nie znam go dobrze. Ale cieszę się, że kogoś masz. Zwłaszcza teraz przyda ci się ktoś bliski.

– Powiem ci więcej, jak się spotkamy.

– W porządku. A poza tym, jak się czujesz?

– Obolała, ale wracam do świata żywych.

Pożegnały się i Phoebe usiadła na chwilę, by przemyśleć przebieg rozmowy.

Zdecydowanie coś było nie tak, ale Phoebe nie miała pojęcia, o co mogło chodzić. Najlepiej będzie, jak spotka się z Glendą osobiście. Wtedy wyciśnie z niej prawdę.

Otworzyła laptop i weszła do internetu. Wyszukała internetowe wydania lokalnej prasy w poszukiwaniu śladów ostatnich wydarzeń. Tym razem miejscowy dziennik poświęcił morderstwu Hucha prawie całą pierwszą stronę. O niej – zgodnie z policyjną obietnicą – nie było żadnej wzmianki. Przez chwilę Phoebe czuła się tak, jakby czytała o historii, która jej zupełnie nie dotyczy. Po minucie jednak znowu przed oczami stanęły jej straszne sceny. *Była tam*. I przerażenie, które wtedy poczuła, nadal jej towarzyszyło. Tylko czekało, by znowu ją dopaść...

Pora na działanie, powiedziała sama do siebie. Muszę się czymś zająć. Położyła na kuchennym stole notatki Hucha. Następne pół godziny studiowała je słowo po słowie, partie, które podkreślił Hutch, odczytując nawet na głos – na wszelki wypadek. Być może rozwiązanie zagadki kryło się w *brzmieniu* słów. Nic nie przyszło jej do głowy. Lekko załamana, zaczęła przeglądać własne notatki i fragmenty, które zainteresowały Hucha. Były identyczne jak te, które podkreślił w swoich. Nadal żadnego światełka w tunelu.

Muszę wziąć prysznic, pomyślała nagle. Może to przywróci mi jasność myślenia. W końcu nie kapała się od dwóch dni. Zadanie nie było łatwe – z jedną ręką niesprawną

i w łazience, której nie znała.

W końcu się udało i ciało Phoebe zrelaksowało się pod strumieniem ciepłej wody. Kąpiąc się, myślała o Szóstkach. Od niedzielного wieczoru jej umysł zaprzętała historia Hurcha, jednak Phoebe wiedziała, że nie może odpuścić i musi doprowadzić do ujawnienia grupy. Być może to ona stała za śmiercią Lily – a nawet Hurcha. Muszę wiedzieć, kto jeszcze należy do Szóstek. I jakie zadania obejmują piąty i szósty krąg wtajemniczenia, myślała.

Być może nadszedł właściwy moment, by ponownie pogawędzić z Jen Imbibio. Choć Phoebe nie była przekonana co do tego, czy dziewczyna należy do Szóstek, jednak czuła, że Jen coś *wie*.

Owinięta tylko w ręcznik, Phoebe wysłała do Jen maila. Napisała, że ma do niej sprawę i prosi o telefon.

Wracając do sypialni po ubranie, Phoebe poczuła, jak ogarnia ją zmęczenie. Nie mogła mu jednak ulec. Miała przed sobą kupę roboty – w tym wyprawę do kampusu. Chciała spotkać się z Ballem – częściowo po to, by spełnić jego prośbę, ale bardziej, by dowiedzieć się, czy są jakieś postępy w śledztwie.

Wyjęła z torby czystą parę dzinsów i bluzkę. Zaczęła rozczesywać włosy, gdy nagle usłyszała ostry, przenikliwy dźwięk. Phoebe zamarła. Dopiero gdy dźwięk rozległ się po raz drugi, uświadomiła sobie, że to dzwonek do drzwi. Kto to może być, pomyślała. W jej umyśle zapaliło się alarmowe światelko. Czyżby morderca ją tu odnalazł? Raczej nie dzwoniłby do drzwi – Phoebe skarciła samą siebie.

Wyszła z sypialni i skierowała się w kierunku drzwi wejściowych. Były zrobione z ciężkiego drewna, przeciętego wąskim, przeszklonym otworem, przez który można było wyjrzieć na zewnątrz. Zanim jednak Phoebe zdążyła zbliżyć się do okienka, osoba, która stała na zewnątrz, podeszła bliżej i Phoebe ujrzała jej twarz.

Wstrzymała oddech. To była Val Porter. Stała za drzwiami i patrzyła prosto na Phoebe.

W pierwszym odruchu Phoebe chciała zrejterować. Schować się w sypialni i udawać, że jej nie ma. Jednak miałyby się to z sensem – Val już ją widziała. Nie pozostało zatem nic innego, jak podejść do drzwi. Co, do diabła, robi tu Val – to pytanie, rzecz jasna, towarzyszyło jej w myślach. Czyżby to był sposób na poderwanie Duncana – wpadanie rano z uśmiechem i wesołym „cześć” na ustach?

Phoebe stanęła w otwartych drzwiach.

– Dzień dobry, Val – powiedziała. – Jeśli szukasz Duncana, to przykro mi, ale pojechał już do szkoły.

Val zmierzyła Phoebe wzrokiem – od podrapanej twarzy do bosych stóp, z powrotem podnosząc wzrok – i przyglądając się jej mokrym włosom. Potem posłała Phoebe porozumiewawczy uśmiech – jakby je dwie łączyła mała, słodka tajemnica.

– Mam coś dla niego. Mogę wejść na chwilę?

To jakieś żarty, pomyślała Phoebe. Ona naprawdę chce to ciągnąć?

– Jasne – powiedziała. Co innego mogła zrobić?

– Wygląda na to, że miałaś wypadek – zagaiła Val, gdy Phoebe zamknęła za nią drzwi.

Tego dnia miała na sobie śliwkowy płaszcz i brązowe sztylpy. Zastosowała fryzurę, którą Phoebe już знаła – wysoko upięte włosy plus wijące się wokół twarzy srebrne pukle. – Co się stało?

– Spadłam z roweru – odpowiedziała Phoebe. Odpowiedź na takie pytania przygotowała sobie jeszcze w szpitalu. – Trochę nieszczęśliwie, jak widać.

– Biedactwo, tak mi przykro. To pewnie strasznie boli.

– Trochę.

– Dobrze chociaż, że Duncan się tobą zajął. Nie wiedziałam, że się spotykacie.

– Nawet w tak małej szkole ludzie nie muszą zajmować się wyłącznie plotkami. W czym ci mogę pomóc, Val? Wspominałaś, że chcesz coś zostawić?

– Tak, oczywiście. – Val była lekko zmieszana. Z przepastnej, brązowej, skórzanej torby wyjęła książkę. Po chwili jednak lekko się zawahała.

– Jednak powinnam mu to dać osobiście – powiedziała. – Złapię go jakoś.

– Jasne – zgodziła się Phoebe.

Val znowu czarująco się uśmiechnęła i schowała książkę do torby. Obrzuciła przychylnym spojrzeniem pokój.

– Ładnie tu, prawda? – rzuciła tonem sugerującym, że dobrze zna mieszkanie Duncana.

– *Bardzo* ładnie – potwierdziła Phoebe. W jej głowie zapaliło się światelko alarmowe.

Val, patrząc Phoebe prosto w oczy, powiedziała:

– To potworne, co stało się z jego żoną, prawda? W każdym razie przynajmniej zostawiła mu sporo kasy na otarcie łez. Stać go na każdą zachciankę. Jak to mieszkanie, na przykład.

Wbrew woli Phoebe na jej twarzy pojawiło się zaskoczenie i zakłopotanie. Zmusiła się, by przywrócić twarzy naturalny wyraz. Spojrzała na Val.

– Jeszcze coś, Val? Za chwilę muszę wyjść.

– To wszystko. – Val ruszyła w kierunku drzwi wyjściowych. – Życzę zdrowia.

Phoebe zamknęła za nią drzwi i opadła na kanapę, układając nogi na stojącym obok niej stoliku. Wyciągnęła się i zamknęła oczy. Powrócił ból głowy. Był jednak inny niż przedtem – jakby jej głowę ktoś chwycił w niewidzialne kleszcze. I mocno ścisnął.

Wszystko przez Val. Jej złośliwa uwaga – komentarz na temat żony Duncana i pozostawionych przez nią pieniędzy – poruszyła Phoebe. Czyżby to była prawda? Jeśli tak, to

czy nie majątek żony był powodem, dla którego Duncan pozostał przy niej aż do śmierci? Phoebe nie sądziła, by był do tego zdolny. Po prostu Val chciała zaburzyć stosunki Phoebe z Duncanem – co innego, wściekła, mogła zrobić w tej sytuacji? Nie, to głupie, pomyślała Phoebe. Cała ta historia to bzdura. Szkoda czasu. Pomału zaczęła zbierać się do wyjścia.

Pół godziny później dzwoniła do drzwi budynku straży kampusu. Panująca tu atmosfera była zdecydowanie bardziej ożywiona niż wtedy, gdy Phoebe poprzednio odwiedziła to miejsce. Na recepcji dwóch funkcjonariuszy żywo rozmawiało, omawiając plan patroli na bieżący dzień.

W biurze był tylko jeden gość, dziewczyna zgłaszająca kradzież bonów żywnościowych. Gdy skończyła i odeszła od biurka, Phoebe zauważyła wyraźnie podpuchnięte oczy Mindy. Musiała długo płakać. Phoebe podała swoje nazwisko i informację, że Ball chciał się z nią widzieć.

– Rozmawia teraz z uczniami – powiedziała Mindy. – Dam mu znać, że pani przysła.

– Proszę przyjąć wyrazy współczucia – powiedziała Phoebe, gdy Mindy skończyła rozmawiać z Ballem. – Słabo znałam Hutchę, ale jestem pewna, że dla pani to wielka przykrość.

– Był dla mnie jak rodzony dziadek. – Mindy sięgnęła po chusteczkę. – Czuję się potwornie. To straszne.

Za plecami Mindy skrzypnęły drzwi. Dziewczyna rzuciła chusteczkę, przysunęła krzesło do biurka najbliżej jak się dało i zaczęła przekładać papiery. Chwilę potem do biura wszedł Ball, a tuż za nim jeden ze studentów. Dziecinną jeszcze twarz chłopca wskazywała, że to student pierwszego roku. Ball skinął głową w kierunku Phoebe na znak, że ją widzi. Zauważyła, że przygląda się jej zadrapaniom. Potem zwrócił się w kierunku chłopca.

– Zastanów się nad tym, co powiedziałem, Kevin. I zgłoś się do mnie – powiedział ostro. Chłopak pokornie skinął głową i kuląc się, przemykał w kierunku drzwi. Miał na sobie zieloną koszulkę z napisem Philadelphia Eagles. Phoebe skądś go znała. To był ten sam dzieciak, którego widziała z Ballem, gdy szła do zakładu, w którym pracował Duncan.

– Dziękuję, że pani przysła. – Ball popatrzył na Phoebe. – Przejdźmy do mnie.

Phoebe ominęła biurko Mindy i weszła za Ballem do jego biura. Wystrój gabinetu był tak samo pozbawiony wyrazu jak wystrój pozostałej części budynku. Na tle metalowego biurka, szaf wypełnionych segregatorami i zwyczajnych, biurowych lamp uwagę zwracała „ściana chwały”. Ball przygotował swoistą wystawkę kilkunastu zdjęć, na których widniał on sam w towarzystwie szacownych gości, którzy odwiedzili miasteczko. Byli wśród nich: burmistrz, kilka średnio znanych gwiazd rocka i pewien autor książek, którego nazwiska prawdopodobnie Ball nawet nie znał. Strażnik wskazał Phoebe miejsce na krześle naprzeciwko biurka, sam usiadł w swoim fotelu – wyraźnie podwyższonym, co dawało mu na starcie przewagę nad rozmówcą.

– Kampusowy rozrabiaka? – zapytała Phoebe.

– Co proszę? – Ball zmarszczył brwi.

– Ten chłopak. Tylko z nim kłopoty?

– Dlaczego pani pyta?

– Kilka dni temu też pan z nim rozmawiał. Widziałam.

– Po prostu zbieram informacje. – Ball oparł łokcie na biurku.

– Związane z utonięciami? – drążyła Phoebe.

– Nie, pani Hall. – Ball uciął temat. – Skoro mamy rozmawiać o panie Hutchinsonie, proszę mi opowiedzieć, co się stało. Wszystko, oczywiście, zostanie wyłącznie między nami. Wiem, że policja nie ujawnia informacji o pani związku ze sprawą.

Phoebe przedstawiła przebieg wydarzeń, skupiając się na najważniejszych wątkach. Z jednej strony policja nie chciała, by ujawniać wszystkie szczegóły, z drugiej jednak Phoebe była świadoma, że Ball ma kontakty, nie może zatem ukrywać zbyt wiele. Kiedy skończyła,

pochyliła się do przodu. Wiedziała, że za chwilę Ball zacznie zadawać pytania. Postanowiła go wyprzedzić.

– Jestem bardzo ciekawa pana opinii o tych wszystkich wydarzeniach – Phoebe starała się, by w jej głosie nie brzmiało przesadne zainteresowanie. – Myśli pan, że to było zwykłe włamanie – czy coś innego?

Ball poprawił się na fotelu. Wyraźnie było widać, że zirytowało go trochę, iż nie może zadać pytania, jednak jego próżność została połączona. Lubił, jak pytano go o zdanie.

– Nie mogę się wypowiadać, dopóki nie zapoznam się z dowodami – powiedział. – A Michelson, w przeciwieństwie do swojego poprzednika, niechętnie się nimi dzieli. Z tego, co wiem od jednego z kolegów, nie znaleziono śladów włamania. Można oczywiście zakładać, że to pani przeszkodziła złodziejom, jak jednak wynieśliby łupy? Ciągnąc przez las, aż do samochodu?

– Czyli zaparkowali gdzieś daleko, przy drodze... – Phoebe udawała, że myśli na głos. – Tak też myślałam.

Ball zawahał się chwilę.

– Możliwe – powiedział, a coś w jego oczach mówiło Phoebe, że wie na ten temat więcej, niż chce mówić. Być może nawet badał sprawę na miejscu. Ball zdecydowanie należał do tych, którzy wolą zbierać informacje, niż się nimi dzielić.

– Jeśli nie włamanie, to co? Jak pan myśli? Nawet nie mając dostępu do dowodów? – spytała.

– Myślę, że pani zgadnie jednak szybciej niż ja – odpowiedział Ball. – W końcu to pani tam była. Jak się pani wydaje, czy Hutchinson na pewno został zaskoczony atakiem?

– Przykro mi, ale nie wolno mi rozmawiać o szczegółach – powiedziała Phoebe.

Ball zaśmiał się, nieco piskliwie.

– Wszyscy tu gramy do jednej bramki.

– Wiem. Jednak, jak pan słusznie zauważył, Michelson jest czuły na punkcie tajemnicy.

– W porządku – powiedział Ball tonem, który sugerował, że myśli przeciwnie. Zaczął bawić się ołówkiem, który tańczył w opuszkach opalonych palców. – Teraz mam pytanie do pani. Skąd tak bliskie kontakty z panem Hutchinsonem? Prawie przyjaźń?

– Przyjaźń, proszę pana, to za dużo powiedziane – odparła Phoebe. – Rozmawialiśmy kilka razy w związku z moim śledztwem. Chodziło o Szóstki.

– A ta wyprawa w niedzielny wieczór? W planie była kolejna pogawędka?

– Tak, mieliśmy omówić postępy w śledztwie. Pan Hutchinson dał mi znać, że ma coś ważnego do przekazania. Informacje mogły okazać się zasadniczej wagi, ale tego już się nie dowiemy.

Ball uniósł wysoko brwi – tego samego srebrnego koloru co jego włosy – a usta złożył w dzióbek.

– Mówił coś konkretnego?

– Niestety, nie. – Phoebe poczuła gwałtowną potrzebę opuszczenia biura Balla. – Coś jeszcze? Trochę się śpieszę.

– Na tym możemy skończyć – powiedział Ball. – Wiem, że nie jest pani łatwo. Podwieźć panią czy ma pani samochód?

– Mam samochód, dziękuję. – Phoebe wstała.

– *À propos* samochodu. Hyde mi doniósł, że nie widział go ostatniej nocy przed pani domem. Oczywiście się zaniepokoiłem, ale rozumiem, że na kilka dni przeniosła się pani do doktor Johns.

– Uhm, tak, przez kilka dni pomieszkam u kogoś. Poza domem.

– Jak pani wróci, proszę dać mi znać. Nie chcę, by moi ludzie tracili czas na obserwację

pani domu. Mamy co robić.

– Oczywiście – odpowiedziała Phoebe.

Ball udzielił jej lekcji z wyraźną przyjemnością. Phoebe miała zająrzeć następnie do swojego gabinetu, jednak zniechęciły ją do tego już spojrzenia pierwszych z kolegów nauczycieli, na których wpadła po drodze. Jej podrapana twarz wzbudzała powszechne zainteresowanie. Postanowiła zatem, że do kampusu wróci dopiero następnego dnia. Przez noc twarz się trochę wygoi i nie będzie już zwracać takiej uwagi. Phoebe nie chciała, żeby ludzie gadali zbyt dużo.

Zawróciła w kierunku parkingu. Poczula się nagle zmęczona i obolała. Wschodnia część kampusu, gdzie mieścił się parking, zawsze była spokojniejsza niż inne. Ostatnie wydarzenia nie zmieniły sytuacji. Phoebe była sama, jeśli nie liczyć tańczących na chodniku suchych liści. Pusto tu i odludnie. Jak na pustyni, pomyślała i instynktownie się rozejrzała. A jeśli morderca Hutha ją rozpoznał i teraz śledzi? Do samochodu dotarła z zółdkiem ściśniętym ze strachu.

Przez całą drogę w kierunku domu Duncana nie spuszczała oka ze wstecznego lusterka. Już na miejscu dokładnie zamknęła za sobą drzwi wejściowe. Poszła od razu do sypialni. Nie tyle była zmęczona, co obolała – w głowie czuła coraz mocniejszy ucisk, ból pulsował w złamanej ręce. Musiałam ją nadwerżyć, pomyślała. Chociaż umierała z głodu, jedyne, na co miała siły, to połknąć pół tabletki przeciwbólowej, popić ją wodą i położyć się do łóżka. I spać, spać...

Obudziła się tylko raz, zdając sobie sprawę z tego, że zapada zmierzch i powinna zapalić światło. To była jednak tylko myśl. Phoebe nie miała siły wstać. Ponownie zasnęła.

Kiedy się znów obudziła, było już ciemno. Serce biło jej jak oszalałe, a ciało było mokre od potu. Wszystko przez senny koszmar. Straszne wydarzenia niedzielnej wieczoru ciągle tkwiły w jej głowie. We śnie znowu odwiedziła dom Hutha. Weszła do salonu i ujrzała Hutha leżącego na podłodze – żył, ale potwornie jęczał. To był dziwny jęk, podobny do dźwięków, jakie wydają krowy. W pokoju był ktoś jeszcze. Stał w rogu po lewej stronie od wejścia, ubrany w czarny płaszcz, w masce na twarzy. Phoebe westchnęła i tajemnicza postać wolno ściągnęła maskę. Ukazała się twarz doktor Parr, szefowej wydziału anglistyki.

Gdzie jest Duncan, zastanawiała się Phoebe, wstając i podpierając się zdrową ręką. Spojrzała na elektroniczny zegarek: była siedemnasta dwadzieścia. Phoebe zapaliła nocną lampę. Przynajmniej wokół łóżka zrobiło się trochę jaśniej.

Powłokła się do łazienki. Całe wieki nie spała w ciągu dnia i teraz nie czuła się za dobrze; jak po przekroczeniu strefy czasowej. Umyła twarz zimną wodą, włosy ściągnęła w kucyk i przeszła do salonu. W ciemności nieznanome pomieszczenie wyglądało nieprzytulnie, prawie wzbudzało strach. Phoebe nie miała pojęcia, gdzie mogą znajdować się kontakty i prawie przez minutę macała ściany w ich poszukiwaniu. Były przy drzwiach. Gdy tylko dotknęła jednego z nich, pokój zalało światło z kilkunastu luksferów.

Nalała sobie wody, odnalazła telefon i sprawdziła sekretarkę. Duncan dzwonił, żeby spytać, jak się czuje – głupio zrobiła, że nie zabrała telefonu ze sobą do sypialni. Wysłał jej też maila – jakąś godzinę wcześniej: „Mam nadzieję, że śpisz. Przyjadę później, niż się umawialiśmy, ale będę w domu przed siódmą. KOLACJA POD KONTROLĄ – nawet nie myśl, żeby cokolwiek robić”. Phoebe się uśmiechnęła. Uczucie lekkiego zagubienia ustąpiło.

Duncan wrócił dwie godziny później. Zastał ją siedzącą z laptopem na kanapie. Sprawdziała wiadomości w Internecie.

– Cześć – powiedział Duncan na widok Phoebe. – Jak się ma nasza pacjentka?

– Wraca do zdrowia – odparła Phoebe z uśmiechem.

– Przepraszam, że tak późno. Musiałem pogadać z jednym ze studentów.

Phoebe podeszła, żeby się przywitać. Włosy miał bardziej rozczochrane niż zwykle,

zapewne z winy wiatru. Odstawił zakupy i zdjął płaszcz. Objął Phoebe i pocałował.

– Wyglądasz nieco lepiej – powiedział. – Siniak pod okiem zmienia kolor z fioletowego na żółty. To dobry znak.

– Poza tym w żółtym bardziej mi do twarzy – odpowiedziała Phoebe.

– Zaraz mi opowiesz, jak minął dzień. Najpierw jednak przygotuję kolację. Mam dwa pyszne steki, zrobię grilla.

Phoebe wróciła zatem do laptopa. Słyszała, jak Duncan kręci się po mieszkaniu. Po tylu wieczorach samotnie spędzonych na Hunter Street czuła się jednocześnie dobrze i trochę dziwnie.

– Wiesz, dziś rano dzwoniła Glenda – odezwała się, gdy usiedli do stołu. – Powiedziałam jej o nas. Mam nadzieję, że się nie gniewasz. Była u mnie w domu. Nie zastała mnie, a ja nie chciałam kłamać.

– Nie gniewam się – uśmiechnął się Duncan. – To nie jest zabronione. A ludzie i tak zobaczą nas razem. Na przykład w knajpie „U Tony’ego”.

Czyli *myślał* o nas jako o parze, uświadomiła sobie Phoebe.

– Jedna z tych osób, które nas zobaczą, raczej nie będzie zachwycona – powiedziała. – Była tu Val Porter. Zaraz po tym, jak wyszedłeś. Nie otworzyłabym, ale zobaczyła mnie przez okno.

Duncan uśmiechnął się ironicznie.

– To jedna z tych kobiet, które nie przyjmują do wiadomości słowa „nie”. Była zaskoczona, że tu jesteś?

– Tak. I trochę nieprzyjemna. – Ciekawość Phoebe kazała jej pociągnąć temat.

– W jakim sensie?

– Wspomniała, jak dobrze się złożyło, że twoja żona zostawiła ci kupę pieniędzy. Dzięki temu mogłeś sobie pozwolić na dom.

Duncan pokręcił głową z niesmakiem.

– Ta osoba zmienia definicję słowa „feministka”. Ale to prawda. Sam byłem zaskoczony, że dostałem niezły prezent.

– To twoja sprawa. – Phoebe powiedziała to od niechcienia, jednak chciała, by Duncan wyjaśnił całą sytuację.

– Tak, ale chciałbym, żebyś wiedziała, jak było. Allison miała niewielki fundusz powierniczy, który dostała od dziadków. Nic wielkiego, ale suma przyzwoita. Ku mojemu zaskoczeniu zapisała go mnie.

– A skąd Val wie o tych pieniądzach?

– Zapewne po śmierci Allison chodziły plotki. No i popełniłem błąd: zbudowałem dom. – Duncan skrzywił usta w wymuszonym uśmiechu. – Wystarczy już o Val. Jakież wieści w sprawie Hutcha?

– Do mnie nic nie dotarło.

– Rzućmy może okiem na notatki. Masz je, prawda?

– Tak. Przejrzymy je po kolacji. Przyszła mi do głowy *jedna* hipoteza, jednak niezwiązana z notatkami.

– Obiecałaś, że o wszystkim będziesz mi mówić. – Duncan się uśmiechnął.

– Wpadłam na to dosłownie przed chwilą. Kiedy spałam po południu, miałam potworny koszmar. Śniło mi się, że jestem w domu Hutcha. Tym razem morderca też tam był i zobaczyłam jego twarz. To była doktor Parr.

– Chwileczkę – zająknął się Duncan. Zaskoczony, podniósł głowę. Po chwili zaśmiał się.

– Chcesz powiedzieć, że to doktor Parr jest mordercą?

– Nie. Jasne, że nie – odparła Phoebe. – Ale wydaje mi się, że moja podświadomość wysyła sygnał, iż jest nim ktoś, kogo Hutch *znał*. Jeśli zabił go ktoś, kogo Hutch *znał*, to by potwierdzało tezę, że z tą osobą Hutch kontaktował się w sprawie notatek. Inaczej nie odnalazłby jej tak szybko. *Znał* ją. Mógłby to być równie dobrze ktoś miejscowy, jak z kampusu.

– Coś w tym jest – powiedział Duncan. – Masz kogoś konkretnego na myśli?

– Nie znam tu zbyt wielu osób, kojarzę głównie studentów i to tych, którzy chodzą na moje zajęcia. Może tobie coś przychodzi do głowy? Kojarzysz kogoś, nie wiem, dziwnego?

– Tak z marszu to nie. Ale z tego, co wiem, często choroba nosi pozory zdrowia.

Przestępstwa często popełniają ludzie pozornie normalni. Z tak zwanych normalnych rodzin.

– Może coś ci się skojarzy, jak przeczytasz notatki.

Duncan uparł się, że sam posprząta. Phoebe wróciła na kanapę. Zadzwoił telefon – po krótkiej chwili uświadomiła sobie, że to jej. Na ekranie wyświetlił się numer Glendy.

– Cześć – Phoebe przywitała przyjaciółkę.

– Siedzisz? – zapytała Glenda.

– Tak, co się stało? – Phoebe zeszywniała. W kuchni Duncan zastygł, słysząc w jej głosie napięcie.

– Są postępy w śledztwie.

– Czyli? – Phoebe nie mogła się doczekać.

– W związku ze śmiercią Hutch'a aresztowano dwie osoby. Blair Usher i Gwen Gallogly.

Fee? Jesteś tam? – Glendę zaniepokoiło milczenie po drugiej stronie słuchawki.

– Jestem, wybacz. Trochę mnie zatkało – powiedziała Phoebe. Więc to jednak *one*.

Z wrażenia straciła oddech. – Jak policja na to wpadła?

– Wiesz, jak jest. Michelson nie piśnie słowa.

Phoebe kątem oka widziała, jak Duncan porzuca ściereczkę do naczyń i wolno podchodzi do miejsca, w którym siedziała. Stał teraz dokładnie naprzeciwko Phoebe, z uniesionymi do góry rękoma i otwartymi ustami. Jego całe ciało było jednym wielkim znakiem zapytania. „Co się, do diabła, dzieje?” – zdawało się pytać.

Phoebe uniosła dłoń, gestem prosząc, by dał jej jeszcze minutę. Miała ogromną ochotę przekazać Duncanowi rewelacyjne wieści, jednak musiała mieć pewność, że wszystko dobrze zrozumiała.

– Zdaniem policji są też zamieszane w śmierć Lily? I Trevora?

– Tego nie wiem. Ale myślę, że policja bierze to pod uwagę. Dlaczego w innym przypadku miałyby zabijać Hutcha, jeśli nie dlatego, że jego śledztwo im groziło i prowadziło do odkrycia związku dziewczyn z utonięciami?

– Co teraz zrobisz?

– Za pięć minut spotykam się z ludźmi. Musimy ustalić strategię komunikacyjną. Prawda o Szóstkach wyjdzie na jaw. Myślę, że w komunikacie odwołamy się do starej prawdy, że w każdym stadzie może się znaleźć czarna owca. Albo kilka. Przy okazji, Fee, jeszcze raz ogromne dzięki. Gdybyś nie zaczęła drażnić tematu...

– ...Hutch by nadal żył.

– Nie mów tak. I nie myśl – powiedziała Glenda. – Kto mógł przypuszczać, że są aż tak bezwzględne. Ktoś dzwoni do drzwi. To na spotkanie, muszę kończyć. Zdzwońmy się jutro.

– Dobrze. – Phoebe zakończyła rozmowę i popatrzyła na Duncana. – Nie uwierzysz. – Zdała mu relację ze swojej rozmowy z Glendą.

– Nieźle. – Duncan usiadł obok Phoebe. – Czyli wtedy, w lesie, śledziła cię jedna z nich.

– Tak myślę – odparła Phoebe. Nie miała co prawda pewności, czy osoba, przed którą uciekała po odkryciu morderstwa Hutcha, była kobietą czy mężczyzną, jednak założenie wskazujące na Blair lub Gwen wydawało się prawdopodobne. Phoebe była bardzo ciekawa, na podstawie jakiego dowodu policja uznała, że dziewczyny mają związek z zabójstwem Hutcha.

Duncan dotknął jej włosów.

– Jutro w college’u wybuchnie bomba. Szkoda, że w rankingach szkół nie bierze się pod uwagę liczby wzmianek w *Wiadomościach*. Miejsce w pierwszej setce mielibyśmy gwarantowane.

– Oby tylko zarząd nie obciążył winą Glendy.

– A ty? Jak się czujesz?

Phoebe głęboko westchnęła.

– Ja? Chyba odetchnęłam. Może przestanę się bać. Ale... – w jej głosie słychać było wahanie.

– Ale co? – Duncan spojrział na nią pytająco.

Phoebe dotknęła swojego końskiego ogona i rozpuściła włosy.

– Nie miałam racji.

– Jak to?

– Nie byłam przekonana, że to Szóstki.

– Brałaś przecież pod uwagę taką *możliwość*.

– Tak, ale... – Phoebe wstała z kanapy i podeszła do kominka. – Cały czas zadaję sobie pytanie, co mogło doprowadzić Hutcha na trop dziewczyn. Co takiego wyczytał w notatkach? Chociaż z drugiej strony, być może skontaktował się z nimi zupełnie bez związku z notatkami. Może chodziło mu tylko o zadanie kilku pytań – wiedział o Szóstkach ode mnie i postanowił na własną rękę je przepytąć. A one poczuły zagrożenie i przeszły do ataku.

– Możliwe – powiedział Duncan. – Co myślisz o tym, żebym rzucił okiem na te notatki?

Phoebe wyjęła z torby oba komplety i wytłumaczyła Duncanowi różnice między nimi. Ten wyjął z kieszeni koszuli okulary do czytania i zaczął studiować papiery. Phoebe w zamyśleniu śledziła taniec płomieni w kominku. Jej zdrowe ramię dotykało Duncana i Phoebe czuła ciepło jego ciała. Uświadomiła sobie, jak wiele czasu minęło od chwili, gdy ostatnio siedziała po kolacji obok mężczyzny. Podczas ostatniego roku jej związku z Alekiem byli tak zajęci. Wieczory spędzali, pracując. To był czas przeznaczony na zaległe maile, telefony lub pakowanie walizek przed kolejnym wyjazdem.

Duncan w skupieniu zaciskał usta.

– Masz rację. Nie ma tu śladu wzmianki o jakichkolwiek dziewczynach z college'u.

– Może Hutch dowiedział się o obecności Blair w barze w inny sposób – powiedziała Phoebe. Na krótką chwilę oparła głowę o tył kanapy. Była zmęczona i wiedziała, że tego dnia nic już nie wymyśli. – Chyba powinnam przygotować się do zajęć. – Popatrzyła z uśmiechem na Duncana. – Miałam nadzieję, że zadrapania do jutra znikną. Ale nic na to nie wskazuje. I zdaje się, że uparli się i zostaną na dłużej.

– Jesteś szkolną bohaterką, a zadrapania to jak blizny po walce. Możesz je nosić z dumą.

– Jak na razie, nikt o tym nie wie. I ode mnie nie może się dowiedzieć. Swoją drogą, ciekawa jestem, skąd *ty* wiedziałeś o tym, że byłam u Hutchu.

Duncan potarł palcem wskazującym prawej ręki dolną wargę i rozejrzał się w zamyśleniu.

– O tym, że jesteś w szpitalu, powiedział mi Miles – przyznał. – Mówił, że wie o tym od Cameron Parr.

– Chodzi mi o to, skąd się dowiedziałeś, że byłam na miejscu zbrodni.

Duncan odpowiedział dopiero po chwili.

– Cóż, mam nadzieję, że to nie przyczyni mu kłopotów. O tym powiedział mi Mark Johns. – Duncan schował okulary z powrotem do kieszeni. Wstał i zaczął porządkować notatki.

– Mark? – Phoebe nie ukrywała zaskoczenia. – Dlaczego powiedział to tobie? Nawet Glenda wie o nas dopiero od dzisiaj.

– To był przypadek. Sprawa wyszła na jaw podczas krótkiej rozmowy – powiedział Duncan. – Chyba ci wspominałem, że chciałem u nas prowadzić zajęcia. Wpadłem na niego w instytucie w poniedziałek. Właśnie dowiedziałem się od Milesa, że jesteś w szpitalu, wiedziałem też, że Hutch został zamordowany, ale nie wiedziałem, iż te dwie sprawy są ze sobą powiązane. Zacząłem rozmawiać z Markiem o Hutchu. Miałem nadzieję, że może wie jednak coś więcej. Wtedy powiedział, że byłaś w domu Hutchu.

– Tak, dopiero później poinformowałam Glendę, że policja życzy sobie, by mój udział trzymać w tajemnicy. Mark też o tym nie wiedział. – Phoebe starała się mówić spokojnie, ale była zła. – W każdym razie chodzi o śledztwo i Mark powinien trzymać język za zębami.

– Nie mów nic Markowi. Obiecałem mu, że nie powiem nikomu, skąd o tym wiem – poprosił Duncan. – Gotowa do snu?

– Tak. Odetchnę tylko jeszcze świeżym powietrzem. Cały dzień siedzę w domu. Wyjdę na chwilę na taras.

Duncan poszedł do sypialni. Phoebe otworzyła tylne drzwi. Na zewnątrz było lodowato –

ale właśnie orzeźwienia potrzebowała. W domu było bardzo ciepło – dzięki kominkowi – i Phoebe nie mogła się skupić.

Podeszła do balustrady i popatrzyła na ogród. W świetle reflektora widać było, jak jest obszerny i ładnie zagospodarowany. Od sąsiadów oddzielało go kilka rzędów jodeł. Spojrzała w niebo. Nad jej głową migotały miliardy gwiazd, lśniła srebrna wstęga Drogi Mlecznej. Tuż nad czubkami drzew świecił Orion.

Jeśli było tak, że to Gwen i Blair zabiły Hutch'a – a należało zakładać, że policja miała wystarczające dowody, by je aresztować – to oznaczało, że Hutch nabrał wobec dziewczyn podejrzeń; oraz dał im to do zrozumienia. Zabiły go, by siebie chronić. Miałam szczęście, pomyślała Phoebe. W moim przypadku zastosowały tylko taktykę zastraszania.

To oznacza, że Hutch wpadł na ślad związku dziewczyn z utonięciami lub z przypadkiem Wesleya – lub ze wszystkim naraz. Na ślad czegoś, czego nie było w notatkach. Pytanie, co to mogło być, nie dawało Phoebe spokoju.

Nagle olśniła ją pewna myśl. Być może Hutch skontaktował się z Wesleyem. Być może miał kilka pytań związanych z przebiegiem tego wieczoru, kiedy Wesley został wrzucony do rzeki. Być może w trakcie rozmowy pojawiła się postać Blair – Wesley powiedział Hutchowi, że widział ją w barze. Phoebe postanowiła, że następnego dnia zadzwoni do Wesleya i wyjaśni sprawę.

Oczywiście, nadal nie miało to nic wspólnego z fragmentami, które Hutch podkreślił w notatkach. Być może jednak Hutch zdał sobie sprawę, że to do niczego nie prowadzi i porzucił ten trop.

Phoebe wróciła do środka. Duncan pogasił już prawie wszystkie światła, zostawiając jedno, tak by ułatwić jej powrót. Phoebe przystanęła, do głowy bowiem przyszła jej pewna myśl. Teraz, gdy morderczynie zostały ujęte, nie było powodu, by dłużej mieszkała u Duncana. W każdym razie i tak nie mogła bez końca korzystać z cudzego mieszkania.

Weszła do sypialni. Duncan nastawiał budzik. Na jego widok w krótkich szarych spodenkach Phoebe poczuła, pomimo zmęczenia i lekkiego bólu, jak ogarnia ją podniecenie. W łazience szybko przemyła twarz i przebrała się w pidżamę. Gdy wróciła, Duncan leżał już w łóżku. Wyglądał na zamyślonego.

– Nawet nie spytałam, jaki był *twój* dzień – powiedziała, wślizgując się do łóżka i uważając, by nie urazić chorej ręki.

– Mój? W porównaniu z twoim – nuda. Dzień jak co dzień – odparł, patrząc na Phoebe.

– A ten student?

– Jaki student?

– Ten, z którego powodu musiałeś zostać dłużej.

– Ach, ten. Bystry chłopak, ale kompletnie nie radzi sobie z analizą danych. Brał prywatne lekcje, ale to też nie działa. Prawdopodobnie będzie musiał zmienić przedmiot. Gasimy światło?

– Tak.

Duncan zgasił nocną lampkę po swojej stronie łóżka. Phoebe, w ciemnościach, czuła, jak jego ciało się zbliża. Duncan ujął w ręce jej twarz, pogłaskał i pocałował w usta.

– Dobrej nocy – powiedział. – Jutro będziesz się czuła jeszcze lepiej.

Phoebe poczuła rozczarowanie. Może powinna była wyraźniej dać do zrozumienia, o co jej chodzi? Duncan odwrócił się już jednak plecami, naciągając kołdrę. Raczej nie zakładał, że będą miała ochotę na seks, pomyślała Phoebe.

Była pewna, że od razu zaśnie. Jednak gdy tylko zamknęła oczy, w jej umyśle pojawił się obraz, którego nie chciała widzieć – Blair bezlitośnie biła Hutch'a polanem. Być może zaczynał

działać mechanizm wyparcia – musiała wszystko przeżyć jeszcze raz, by w końcu zapomnieć. Męczyła się tak ponad godzinę. Koszmar nie dawał jej spokoju, a po godzinie, kiedy nieco oprzytomniała, uświadomiła sobie, że Jen Imbibio do tej pory się do niej nie odezwała. Phoebe postanowiła, że porozmawia z nią po zajęciach. Blair i Gwen były w areszcie, Szóstki jednak nadal działały.

Rano Phoebe i Duncan kolejno wzięli szybki prysznic i wypili w kuchni poranną kawę.

– Słuchaj, zaproponowałem ci mieszkanie, gdy morderca był jeszcze na wolności – powiedział Duncan. – Ale może zostaniesz dłużej? Potrzebujesz pomocy.

– Dam ci znać pod koniec tygodnia – odrzekła Phoebe. – Mam w domu coś do załatwienia.

Wyszła kilka minut przed Duncanem. Było znacznie zimniej niż dzień wcześniej. Phoebe stoczyła ciężką walkę z rękawiczkami – jedna upadła na ziemię. Schylając się, by ją podnieść, Phoebe raptownie zastygła. Coś przyszło jej do głowy. Podczas rozmowy w szpitalu Michelson pytał ją, co miała na sobie pamiętnej nocy. Kiedy odpowiedziała, że płaszcz, zapytał, czy to wszystko. Przypomniała sobie to pytanie. Po raz pierwszy przyszło jej do głowy, że policja znalazła na miejscu zbrodni jakieś części damskiej garderoby i zanim założyła, że należą do sprawcy morderstwa, najpierw wykluczyła możliwość, że mogły one należeć do Phoebe. Może to był ślad, który doprowadził Michelsona do Blair i Gwen.

W drodze na kampus Phoebe na krótko zajrzała do mieszkania. Rozpakowała torbę, brudne rzeczy wrzuciła do pralki. Część papierów, które zabrała ze sobą do Duncana, z powrotem wróciła na biurko. Z ogrodu przyniosła kilka szyszek, włożyła je do miski stojącej na stoliku do kawy. Chciała się poczuć jak u siebie, bezpiecznie, ale zdawała sobie sprawę, że to zwykła naiwność. Z tego, co mówiła Alexis, do Szóstek należało około czterdziestu dziewcząt. Nadal, nawet osłabione, stanowiły siłę i realne zagrożenie.

Dotarła na teren kampusu. Duncan prawidłowo przewidział rozwój wydarzeń. Bomba wybuchła. Wszędzie stały grupki młodych ludzi, dyskutujących, pokrzykujących i kiwających głowami. Wrażenie zamieszania pogłębiały tańczące papiery, którymi miotał silny wiatr.

W sali lekcyjnej też nie było spokoju. Studenci, wyraźnie podminowani, kręcili się, jakby przedawkowali red bulla. Phoebe umalowała się starannie, w nadziei że makijaż pokryje zadrapania. I chociaż nadal były widoczne, wydawało się, że uczniowie byli zbyt zaaferowani, by zwrócić na to uwagę. Phoebe postanowiła złapać byka za rogi.

– Musicie być bardzo zdenerwowani – powiedziała, gdy wszyscy zasiedli już na swoich miejscach. Przez chwilę panowała cisza. Studenci patrzyli na nią ze zwykłym na jej zajęciach wyrazem zdziwienia na twarzach. W końcu, wzruszając ramionami, odezwała się dziewczyna o imieniu Jackie.

– Wie pani, wszystko wymyka się spod kontroli. Nikt nie wie, o co chodzi, płacimy za to wszyscy. Wszędzie prasa. Rodzice chcą nas przenieść.

– Właśnie – dorzucił chłopak o imieniu Andy. – Chodziły słuchy o seryjnym mordercy. Ale żeby tajne bractwo w college'u *mordowało* tych, którzy mu nie pasują? Jakaś pieprzona masakra.

– Mam pomysł – powiedziała Phoebe, wychodząc zza biurka. – Jesteśmy dziennikarzami, prawda? *Opiszmy* to. Ustawmy krzesła w koło. Zamienimy się teraz w koncert medialny – i opiszemy sytuację, używając różnych formuł. Część z was przedstawi wydarzenia w postaci rozmowy z policją, z kierownictwem szkoły. Część z was opíše sytuację na blogu – w formie eseju. Dobrym tematem jest też rozważanie na temat tego, jak się czujecie, gdy prasa ingeruje w *wasze* życie. Zastanówcie się również, co mogłoby uspokoić waszych rodziców. Zgadza się?

Studenci przyjęli pomysł z entuzjazmem. Przez następnych kilka godzin omawiali sposoby, w jaki można opisać sytuację – i jakich środków użyć. Potem podzielili się zadaniami. Wyszły z tego po części suche informacje, a po części rodzaj psychoterapii. Wszyscy wydawali się bardzo zaangażowani. Co za ironia, pomyślała Phoebe, że żadne z nich pojęcia nie miało, do jakiego stopnia Phoebe była częścią wydarzeń.

Kiedy tylko zajęcia się skończyły, Phoebe zamknęła się w swoim biurze i zadzwoniła do Wesleya. O tej porze był w pracy, ale zapewne miał przy sobie komórkę. Jednak odezwała się automatyczna sekretarka. Phoebe zostawiła wiadomość. Nie minęło pięć minut, gdy Wesley oddzwonił.

– Cieszę się, że pani zadzwoniła – powiedział. – Zamierzałem sam się odezwać, ale jakoś nie mogłem się zebrać. To wszystko jest takie dziwne.

– Co masz na myśli?

– Ten gość, Hutchinson. Dziwnie się czuję.

– Dlaczego? – Phoebe uparła się, by wyjaśnić, o co mu konkretnie chodzi.

– To on przesłuchiwał mnie, kiedy wpadłem do rzeki. Pamięta pani, kompletnie zlekceważył moje zeznanie.

– Pamiętam. – Phoebe zaczęła tracić cierpliwość. – Ale dlaczego czujesz się dziwnie?

– Dzwonił do mnie. W niedzielę, po tym, jak się widzieliśmy. Powiedział, że jeszcze raz przejrzał swoje notatki. Miałem go olać, ale przyznał, że być może pomylił się w ocenie tego, co się wtedy stało. Jeszcze raz omówiliśmy przebieg wydarzeń. Ale tym razem... No cóż...

– Co takiego, Wesley? – Phoebe miała ochotę krzyknąć. No już, chłopaku, wyduś to z siebie!

– Powiedziałem mu, że w barze była Blair. Że nie wspominałem o tym wcześniej, bo nie wiedziałem, że to ważne. A potem jego zabijają, a te dziewczyny są aresztowane. Czuję się winny.

Jednym słowem, Phoebe miała rację. Hutch *kontaktował się* z Wesleyem. Po tym, jak dowiedział się o Blair, wyciągnął własne wnioski.

– Jest tam pani? – zapytał Wesley.

– Tak. Nie powinieneś czuć się winny. Skąd mogłeś wiedzieć, do czego są zdolne?

– Wiem, co teraz pani powie. Że powinienem zadzwonić na policję. Już to zrobiłem. Zadzwoniłem do nich od razu po tym, jak się dowiedziałem, że Hutchinson nie żyje.

– To dobrze – powiedziała Phoebe. – Czy Hutch zadawał ci jakieś szczególne pytania związane z wieczorem w pubie „Pod Kocimi Ogonami”?

– Hutch? Znała go pani osobiście?

– Trochę.

– Nie przypominam sobie żadnych szczególnych pytań. Po prostu chciał, żebym jeszcze raz opowiedział wszystko, co pamiętam. Krok po kroku.

– Mówił coś? Wspominał o swoich teoriach, podejrzeniach?

– Nie, nic takiego. Tylko jeszcze raz przeprosił za to, że nie potraktował moich zeznań wystarczająco poważnie. Przepraszam na chwilę. – Wesley zwrócił się do klienta. – Torby, o które pan pyta, znajdzie pan pod ścianą.

– Jeszcze jedno – powiedziała Phoebe, gdy Wesley ponownie mógł rozmawiać. – Hutch przejrzał notatki obojga z nas, swoje i moje, i coś w nich znalazł. Jednak nie zdążył mi zdradzić, co takiego. Wspominał coś na ten temat?

– Nie. Głównie interesowała go ta dziewczyna. Blair.

– W porządku. – Phoebe była rozczarowana. – Jeśli coś ci przyjdzie do głowy, dzwoń.

Zakończyła rozmowę i przez chwilę myślała, podpierając policzek dłonią. Coś było nie

tak. Ale nie miała pojęcia, co.

Zadzwonił telefon. Phoebe spojrzała na wyświetlacz. Numer nieznany. Odebrała.

– Cześć, Phoebe – w słuchawce usłyszała męski głos.

Jej całe ciało zastygło w napięciu, kiedy rozpoznała, kto dzwoni.

Alec.

Cześć, Alec – Phoebe starała się, by jej głos brzmiał obojętnie. – O co chodzi?

– Jak to „o co chodzi”? – Alec był wyraźnie zbity z tropu.

A jak niby miała zareagować? Ostatni raz rozmawiali w kwietniu poprzedniego roku, kiedy to Alec był uprzejmy poinformować Phoebe, jak mu się powodzi w nowym związku. Od tej chwili porozumiewali się prawie wyłącznie za pośrednictwem maili, i wyłącznie w sprawach, takich jak rachunki czy podział rzeczy. Już wiem, pomyślała Phoebe. Potrzebuje kilku istotnych informacji w rodzaju: jak się nazywał ich ulubiony hotel w Prowansji. A może szuka zimowego płaszcza i jest ciekaw, czy nadal wisi w ich byłym wspólnym mieszkaniu.

– Przecież nie dzwonisz, żeby się dowiedzieć, za co przebrałam się na Halloween – powiedziała. – Mów, o co chodzi.

– Szczerze mówiąc, chciałem po prostu pogadać. Jestem ciekaw, co u ciebie.

Rany, pomyślała Phoebe. Chyba sam nie wierzysz, że to kupię.

– Twój numer się nie wyświetla – powiedziała. – Zmieniłeś pracę?

– Tak. Teraz pracuję dla „Searles, Minka i Holt”. Mieszcza się w tej samej okolicy, co moja poprzednia praca.

Bardzo ciekawe, pomyślała Phoebe. Czyżby zmiany po całosci? Łatwiejsza praca, łatwiejszy nowy związek?

– Pamiętam, że lubiłeś swoją pracę. Czyżby lepsza oferta?

– Tak to można ująć. Ale nie dzwonię, żeby rozmawiać o mojej pracy. Jak wspomniałem, ciekawi mnie, co u ciebie.

– Hm, chyba wszystko w porządku. Polubiłam nauczanie. No i Glenda tu jest.

Po drugiej stronie słuchawki zapadła cisza. Phoebe poczuła, jak narasta w niej irytacja. Alec na sto procent miał w tym wszystkim jakiś interes. Dobrze by było, żeby w końcu przeszedł do sedna sprawy. Chciałaby to mieć już za sobą.

– To wszystko? – odezwał się wreszcie Alec. W jego głosie brzmiał znajomy ton. Był urażony lakonicznością, z jaką potraktowała go Phoebe.

– Nie bardzo wiem, o co ci chodzi – odparła. – Nie rozmawialiśmy od miesiący. Chodzi ci o moje życie osobiste? Czy kogoś mam? Czy radzę sobie zawodowo po aferze z plagiatem? Jeśli mi zdradzisz, co chcesz wiedzieć, dam z siebie więcej.

Nie znęcaj się nad nim bardziej niż trzeba, pouczyła Phoebe samą siebie. Po pierwsze, szkoda pary. Po drugie, później będziesz tego żałować.

Usłyszała, jak Alec wziął głęboki oddech.

– Nie ma powodu ironizować, Phoebe – powiedział. – Czytam „The New York Post”. Podobno w waszej okolicy grasuje seryjny morderca. W reportażu pada też twoje nazwisko. W kontekście oskarżenia o plagiat. Przez jednego z twoich uczniów. Chciałem się upewnić, czy nic złego się nie dzieje.

Phoebe nadal była przekonana, że nie o to w tej rozmowie chodzi. Postanowiła jednak być miłą. Im szybciej powie Alecowi to, co chce wiedzieć, tym szybciej skończy się ta rozmowa.

– Miło z twojej strony, że pytasz. Nie było żadnego plagiatu. W przyszłym tygodniu „The Post” zamieści sprostowanie.

– I dobrze się czujesz?

Phoebe spojrzała na swoją rękę, na czubki palców wystające z temblaka.

– Jak najbardziej – odpowiedziała. – Dzięki. A ty? Jesteś zadowolony z nowej pracy?

– Raczej tak. Tak się składa, że mam klienta w Allentown, to chyba niedaleko od miejsca,

gdzie mieszkasz. W przyszłym tygodniu mam z nim spotkanie. Pomyślałem, że mógłbym umówić się z człowiekiem na rano, a potem zabrać cię na lunch.

Phoebe omal nie parsknęła śmiechem. Czegoś takiego zupełnie się nie spodziewała. Nie tylko nie miała nawet cienia ochoty na spotkanie z nim, zaskoczyła ją też bezczelność Aleca.

– Dziękuję, że o tym pomyślałeś. Ale to nie jest dobry pomysł.

– Mogę spytać, dlaczego?

– Dobrze, postaram się to jakoś wyjaśnić. Pewnego dnia zniecka oświadczyłeś, że to koniec naszego związku i po prostu się wyprowadziłeś. Kiedy było mi ciężko, kiedy tablety robiły ze mnie krwawą masę – nie zadzwoniłeś ani razu. A teraz oczekujesz, że będziemy szczebiotać na lunchu?

Czuła, że przestaje nad sobą panować, ale przestało ją to obchodzić.

– Zniecka?

– Słucham?

– Powiedziałeś, że zniecka oświadczyłem, że to koniec naszego związku. Może gdyby ten związek interesował cię wcześniej, zwłaszcza w ciągu ostatniego roku, zauważyłabyś, że coś nie gra.

– Jasne. Dawałeś dymne sygnały na horyzoncie, tylko ja ich nie widziałam.

– Nie chcesz przyjąć tego do wiadomości, co, Phoebe? – Alec przypuścił ostateczny atak.

– Najwyraźniej. Byłbyś łaskaw wyjaśnić, czego mianowicie nie chcę przyjąć do wiadomości?

– Nie widzisz, że coś jest nie tak, bo dla ciebie ważna jest tylko praca. Nie widzisz nikogo oprócz samej siebie. Tak naprawdę nie chcesz się angażować. Nie dajesz niczego z siebie.

Phoebe była pewna, że Alec nie może jej już dotknąć. Jednak było inaczej.

– Jednym słowem, sugerujesz, że byłeś w tym związku tylko dla mnie – powiedziała. – Ale kiedy potrzebowałam cię najbardziej, nawet tylko jako przyjaciela, nie odbierałeś telefonu. Muszę już iść. Cześć.

Phoebe odłożyła telefon, choć tak naprawdę miała ochotę rzucić nim o ścianę. Nie mogła uwierzyć w to, do jakiego stopnia dała się wyprowadzić z równowagi.

Za kilka minut zaczynała kolejne zajęcia. Musiała się jakoś uspokoić, obmyć twarz zimną wodą – czuła, że jest czerwona jak burak. Zabrała rzeczy i pobiegła szybko do łazienki.

Kiedy tylko weszła do małego, wykafelkowanego pomieszczenia, usłyszała dziwny dźwięk. Dochodził z jednej z toalet. Ktoś wymiotował. Po chwili osoba, która była w środku, spuściła wodę i wyszła z toalety, podchodząc do umywalki. Phoebe spodziewała się zobaczyć którąś ze studentek.

Jednak obok umywalki, wycierając usta chusteczką, stała Val. Popatrzyła krótko w oczy Phoebe odbijające się w lustrze, po czym spuściła wzrok i schowała chusteczkę do torebki. Phoebe przyszło na myśl, że Val może być chora.

– Cześć, Val – powiedziała. – Nic ci nie jest?

– Skąd to pytanie? – zapytała Val sucho. Zaczęła grzebać w torebce. Po chwili wyjęła szminkę.

– Wydawało mi się, że... Dobrze się czujesz?

– Dobrze. – Val w końcu odwróciła się w kierunku Phoebe. Wyglądała fatalnie. Była chora i to było widać. Skórę na twarzy miała bladą jak wosk, oczy przekrwione. Wyglądała jak osoba, która chwilę wcześniej całe śniadanie zwróciła do sedesu.

– Ale dzięki, że pytasz. – Val z powrotem zaczęła przeglądać się w lustrze. Pomalowała usta na fioletowo. – A ty jak? Doszłaś już do siebie?

– Jest lepiej, dziękuję.

Val włożyła szminkę do torebki.

– Dobrego dnia – pożegnała się.

– Wzajemnie. – Phoebe patrzyła, jak Val ją mija. Tego dnia była ubrana w zaskakująco prosty sposób: miała na sobie czarne spodnie i obcisły, czarny golf. W uszach skromne srebrne kolczyki. Zdecydowanie nie była u szczytu swojej formy.

Do zajęć pozostało jeszcze dziesięć minut. Phoebe postanowiła poczekać na korytarzu – z nadzieją że jeszcze przed lekcją złapie Jen. Jednak do chwili rozpoczęcia lekcji Jen nie przyszła. Zajęcia trwały już dziesięć minut, i Phoebe zrozumiała, że dziewczyna nie przyjdzie. W klasie była jednak jej przyjaciółka, Rachel. Siedziała z oczami wbitymi w laptopa.

Phoebe użyła tej samej strategii, co w trakcie poprzednich zajęć. Poleciała studentom, aby omówili sytuację w kampusie i zaproponowali sposoby radzenia sobie z nią. Grupa wciągnęła się do swoich zadań z podobnym zaangażowaniem co poprzednia. Trzeba było dramatu, żeby złapała z nimi dobry kontakt, pomyślała. Ale w końcu się udało.

– W porządku. Pora na obiad – powiedziała, gdy zajęcia dobiegły końca. – Pisarze też muszą jeść.

Phoebe szybko spakowała swoje rzeczy i narzuciła płaszcz. Czyżby Jen jej unikała? Może schowała się gdzieś, zestresowana informacją o aresztowaniu Blair i Gwen?

Szybko pobiegła do samochodu. Nie mogła się doczekać, by poszukać śladów parkowania na drodze, gdzie prawdopodobnie pamiętnego wieczoru zostawił swój samochód morderca Hutch. Nareszcie miała chwilę, by to zrobić. W głowie cały czas dźwięczały jej przykre słowa, które powiedział Alec, ale ze wszystkich sił starała się myśleć o czym innym. Gryzło ją też coś związanego ze śmiercią Hutch, jakaś ulotna myśl, której nie potrafiła sprecyzować. Może ta wyprawa coś wyjaśni, podpowie – naprowadzi na ślad.

Phoebe wiedziała, że chwila, gdy znajdzie się w okolicy domu Hutch, nie będzie łatwa. Jednak ją samą zaskoczyło to, jak zareagowała. Prawie natychmiast potem, jak wjechała na drogę prowadzącą do jego domu, w jej oczach pojawiły się łzy, a ramionami wstrząsnął szloch.

Odnalezienie miejsca, gdzie parkował samochód mordercy (lub tego, które za takie uznała policja), okazało się dziecinnie łatwe – policja oznaczyła je żółtą taśmą. Miejsce znajdowało się w odległości około kilometra za domem Hutch. Phoebe zatrzymała samochód tuż obok i wysiadła. Lepiej, żeby Michelson nie pojawił się tutaj w ciągu najbliższych pięciu minut, pomyślała. Inaczej złapie ją na gorącym uczynku.

Uważnie przyjrzała się oznaczonemu miejscu. Spokojnie mógł tam zaparkować osobowy samochód – w bezpiecznej odległości od drogi. Chociaż byłby widoczny, to jednak – dla przejeżdżających pojazdów – wyłącznie w zarysie.

Phoebe spojrzała w dół. Nie było śladów opon, ale ziemia w otoczonym żółtą taśmą miejscu była wyraźnie zruszona. Ktoś, kto parkował tu samochód, zanim odjechał, wrócił i przezornie zatarł ślady. Dobrze pomyślane. Czy jednak dziewczyny takie jak Gwen i Blair wpadłyby na to?

Phoebe oderwała oczy od ziemi i spojrzała przed siebie. Uświadomiła sobie, że stoi niedaleko miejsca, w którym upadła i straciła przytomność. Wzdrygnęła się na wspomnienie tego, co wtedy przeżyła.

Wsiadła do samochodu, starając się nie podrażnić chorego łokcia. Miała przed sobą jeszcze jedno zadanie.

Wróciła do miasta, objechała budynki college'u, po czym skierowała się na północ, w kierunku sklepu ze starociami, Big Red Barn. Tego popołudnia było tam zaledwie kilku klientów. Wysiadając, Phoebe zauważyła, że większość halloweenowych dekoracji zniknęła. Wokół budynku poniewierały się tylko niepotrzebne już nikomu kolby kukurydzy.

Phoebe poczekała, aż ruch na drodze nieco zelżeje i szybko przebiegła na drugą stronę – w kierunku brzegu rzeki. Poszła w prawo – w stronę miejsca, gdzie tydzień wcześniej rozmawiała z Hutchem. Rozmawiała ostatni raz. Teraz nie było tu żywego ducha, tylko wiatr poruszał ogołocionymi z liści gałęziami drzew.

Planowała, że tym razem podejdzie jak najbliżej miejsca, gdzie wyłowiono ciało Trevora Harrisa. Jednak w miarę przedzierania się w kierunku rzeki dostrzegła, że interesujące ją miejsce nadal oddzielone jest policyjną taśmą. Jak tak dalej pójdzie, policja zużyje cały zapas żółtej taśmy w okolicy, pomyślała Phoebe.

Wróciła w poblizsze sklepu i usiadła przy jednym z drewnianych, piknikowych stolików. Tu też widniała policyjna taśma – oddzielała park od brzegu rzeki. Tymczasem wody Winamacu płynęły sobie spokojnie, nieświadome dramatów, jakich były przyczyną.

Phoebe rozejrzała się i popatrzyła na stojące wokół stoliki i grille. Zastanawiała się, kiedy ostatnio były w użyciu. Miejsce wyglądało na popularne i często odwiedzane – ślady na ziemi wskazywały na obecność wielbicieli natury, którzy pomimo chłodu nie rezygnowali z wizyt w parku. Phoebe zwróciła uwagę na coś jeszcze – z tego miejsca dostęp do rzeki był znacznie łatwiejszy niż z miejsca zarośniętego drzewami. Istniało spore prawdopodobieństwo, że to tutaj trafił do wody Trevor. Jego ciało zabrała woda, a dopiero potem zatrzymały korzenie drzew.

Podobnie ciało Lily, uświadomiła sobie Phoebe. Mogło zaplątać się w korzenie drzew tuż obok ciała Trevora. W ten sposób, już po śmierci, przez chwilę byli razem – aż do chwili, gdy ciało Lily nurt rzeki porwał w dalszą podróż.

Miejsce wydawało się idealne dla osoby, która planowała wrzucenie kogoś do rzeki. Kompletnie odosobnione. Nie było żadnej szansy na to, by ktokolwiek usłyszał krzyk lub odgłos szarpaniny. Od drogi oddzielał zarówno park, jak i ścieżkę rowerową rząd drzew. Jeśli Lily i Trevor zostali zamordowani, w grę – podobnie jak w przypadku Hutchy – wchodził samochód. Jasne też było, że morderca świetnie znał okolicę. Ciekawe, pomyślała, że akurat Wesley nie wylądował właśnie w tym miejscu.

Ponownie przyszła jej do głowy myśl, czy aby na pewno zabójstw dokonały Szóstki. Nie miała pojęcia, co mogłoby stanowić motyw i w jaki sposób – jeśli w ogóle – cała ta sprawa łączyła się z dwoma ostatnimi kręgami wtajemniczenia.

Zaczęło mżyć. Phoebe wstała. Marzyła o tym, by znaleźć się w domu, a jazda w taką pogodę mogła nie być łatwa. Już z samochodu wysłała maila do Glendy z prośbą o sprawdzenie, w którym z akademików mieszka Jen. Po prostu się na nią zaczął. Phoebe chowała telefon do torebki, gdy usłyszała sygnał.

– Pani Hall? – zapytał nieznany jej męski głos.

– Tak.

– Mówi Dan Hutchinson. Jestem bratankiem Eda Hutchinsona.

– Dan! Dziękuję, że pan dzwoni – powiedziała Phoebe. – Bardzo mi przykro z powodu tego, co się stało.

– To ja dziękuję za telefon. W niedzielę wujek wspominał o pani. Mówił, że się śpieszy, bo jesteście umówieni.

– Wiem. To potworne, co się stało. Planujecie jakieś uroczystości?

– Oczywiście. Odbędą się nieco później, z powodu śledztwa. Jak już będzie coś wiadomo, dam pani znać.

– Dziękuję. – Phoebe podała Danowi swój adres. – Przy okazji zapytam o Ginger.

Wszystko w porządku?

– Mniej więcej. Jest u nas, ale ciągle się boi. Chcielibyśmy zatrzymać ją na zawsze, niestety, moja żona jest alergiczka. Rozglądamy się za kimś, kto by mógł ją przygarnąć, aż

znajdziemy dla niej dom.

– Chwileczkę – powiedziała Phoebe bez zastanowienia. – Może chwilowo ja ją wezmę? Mogę też popytać w kampusie.

Ostatnią rzeczą, o jakiej marzyła, było posiadanie psa, ale chciała to zrobić. Dla Hutchy.

– Rany, cudownie – ucieszył się Dan. – Będę jutro w Lyle. Sprawy urzędowe. Mogę ją do pani przywieźć.

Umówili się na dwunastą.

Kiedy dotarła do domu, było już po drugiej. Podobnie jak poprzedniego dnia, poczuła, że ogarnia ją popołudniowe zmęczenie. Postanowiła jednak, że się nie położy. Zrobiła sobie podwójne espresso i poszła do swojego małego biura. Miała za dużo roboty, by spać.

Włączyła laptop i weszła do internetu w poszukiwaniu informacji na temat postępów w śledztwie. Nie znalazła żadnej wzmianki. Zaczęła notować pomysły, którymi chciała zainteresować studentów w trakcie kolejnych zajęć. Do następnego poniedziałku miała jeszcze co prawda mnóstwo czasu, ale powodzenie ostatnich zajęć dodało jej skrzydeł. To był dobry pomysł – opisywanie zdarzeń z odmiennego punktu widzenia i w różnym stylu. Może rozwinie pomysł redakcji najnowszych wiadomości. Wyraźnie się sprawdzał.

Rzuciła okiem na papiery, które razem z nią wróciły od Duncana. Zaczęła je porządkować, gdy jej wzrok pobiegł w kierunku drugiego końca biurka. Nadal leżał tam porzucony kawałek kartonu, którym owiniętych było sześć podrzuconych do jej zmywarki łyżek. Nadal nie zgłosiła tego policji. Phoebe obiecała sobie, że jak tylko znajdzie chwilę, zadzwoni do Michelsona.

Krzywiąc się, wzięła papier do ręki i rozprostowała. Kiedy przyglądała mu się wcześniej, miała wrażenie, że to kawałek opakowania, być może od łyżek właśnie. Jednak teraz nie była już tego taka pewna. Przyjrzała się uważniej. Na każdym z górnych rogów był ślad wyblakłego żółtego koloru z czarnymi kreskami. Papier wyglądał na nienaturalnych rozmiarów kartę do gry. Phoebe już wiedziała: karta do tarota. Wzięła głęboki oddech. Być może ktoś chciał jej coś przekazać.

Pomyślała, że może te kolory, które zostały na papierze, wystarczą, by określić rodzaj karty. Ponownie otworzyła laptop i wrzuciła w wyszukiwarkę hasło „karty tarota”. Szybko przebiegała oczami zdjęcia kart.

Niebawem znalazła właściwą. Widniał na niej rysunek mężczyzny. Po jego lewej stronie narysowana była para żółtych skrzydeł, po prawej – gigantyczny ptak (czarne końcówki piór pozostały w postaci kreski na karcie, w którą były owinięte łyżki). Tuż nad nimi – pomiędzy – widniał rysunek sfinksa. Na samym dole karty widniały słowa: „Koło fortuny”.

Gwałtownie oparła się o krzesło. Zaskrzypiała podłoga. Boże, nie!, pomyślała w panice. Tylko nie to. Znowu to samo. To niemożliwe. Wrażenie było nie mniejsze niż to, jakiego przed laty doznała na widok bransoletki ozdobionej wąskim, srebrnym kółkiem.

Phoebe jeszcze raz uważnie przyjrzała się leżącej na stole karcie. Na samym dole widać było wyblakły fragment litery „K”.

Krew uderzyła jej do głowy. Nie mogła się skupić, cała ta historia kompletnie wytrąciła ją z równowagi. To zwykły przypadek, Szóstki nie wiedziały, co robią. – Phoebe próbowała zapobiec ogarniającej ją panice. Szybko odszukała znaczenie karty: „Punkt zwrotny, odmiana losu i przeznaczenia. Na korzyść, lecz czasem również na niekorzyść – znak, że szczęście się odwróci”.

A co, jeśli to *nie* był przypadek? Jeśli Szóstki *wiedziały*, co się kiedyś stało? Jednak, jakim cudem? Przecież nie wiedział nikt. Phoebe pomyślała o fałszywym blogu – i wzmiance o magazynie poetyckim. Wszystko wskazywało na to, że ktoś zdradzał tajemnice jej przeszłości.

Czy Szóstki zamierzały to wykorzystać? Nawet w sytuacji gdy Blair i Gwen siedzą w areszcie?

Phoebe chwyciła za telefon i połączyła się z Glendą. Gdy ta nie odbierała, zadzwoniła do biura przyjaciółki. Z trudem się powstrzymała, by od razu nie wykrzyknąć prośby o rozmowę z Glendą. Odczekała jednak, aż sekretarka się przywita, i wtedy dowiedziała się, że Glenda dosłownie sekundę wcześniej opuściła biuro.

Phoebe zadzwoniła do Duncana. Może powinna jednak mieszkać u niego. Spokojnie, powiedziała do siebie. Bo zrobisz coś, czego będziesz żałować.

„To ja – poinformowała automatyczną sekretarkę, kiedy Duncan nie odebrał. – Mam problem. Zadzwoń, jak tylko będziesz mógł”.

Coś zadzwoniło, aż podskoczyła. Dzwonek u drzwi wejściowych. Phoebe wstała z krzesła i pobiegła do salonu. Wyrzała przez okno. Przed domem stała osoba drobnej postury, ubrana w żółty przeciwdeszczowy płaszcz z kapturem. Czego jakiś dzieciak może szukać w moim domu, pomyślała otwierając drzwi.

– Słucham? – spytała.

Dzieciak podszedł i zdjął kaptur. Ku swojemu ogromnemu zaskoczeniu Phoebe zobaczyła, że stoi przed nią Jen Imbibio. W jej umyśle zapaliło się światelko alarmowe. Czyżby prowokacja? Jednak dziewczyna sprawiała wrażenie wyraźnie zestresowanej.

– Muszę z panią porozmawiać – powiedziała.

Phoebe zaprosiła ją do środka i dokładnie zamknęła drzwi.

– Mów – powiedziała niecierpliwie. Cały czas była pod wrażeniem odkrycia związanego z kartą tarota i nie bardzo mogła się skupić.

– Jestem jedną z Szóstek – powiedziała Jen.

– Jasne. – Phoebe nie wiedziała, jak inaczej mogłaby zareagować na tę wiadomość.

W końcu podejrzewała, że tak właśnie jest.

– Musi mi pani pomóc. Blair i Gwen tego nie zrobili. Nie zabiły tego starszego mężczyzny. Wiem to.

Jesteś sama? – spytała Phoebe.

Dziewczyna zamrugała oczami, zbita z tropu.

– Pewnie. Z kim miałabym być?

Przeszły do salonu. Phoebe wskazała Jen fotel. Dziewczyna usiadła, opierając się o poduszkę. Na jej twarzy wyraz pokory mieszał się z wyrazem lekkiego buntu. Tak wygląda wezwany do gabinetu dyrektora szkoły uczeń, który nie do końca czuje się winny i nie jest przekonany, że zasłużył na jakąkolwiek karę.

– Na jakiej podstawie twierdzisz, że są niewinne? – spytała Phoebe.

– Po pierwsze, wiem, że *czegoś takiego* by nie zrobiły. Wiem – powiedziała Jen. – One nie są takie. Widziałam Gwen w poniedziałek w kawiarni. Zachowywała się jak zwykle.

– Ludzie, którzy brutalnie mordują innych, to często socjopaci – powiedziała Phoebe sucho. – Wyglądają i zachowują się jak cała reszta, ale są zdolni do strasznych rzeczy. I robią je bez mrugnięcia powiek.

– Socjopatki? Pani uważa, że to socjopatki? – Jen podniosła głos.

– Czyżby cię to zaskoczyło, Jen? Przecież Szóstki powstały po to, by ranić i niszczyć innych. Podkładacie ludziom świnie, kradniecie, znęcacie się nad chłopakami, którzy wam nie pasują, i dziewczynami, które nie chcą z wami być – jak Alexis Grey.

– Nie *po to* powstały Szóstki. Chodzi o to, by pokazać siłę kobiet, pomagać i wspierać się nawzajem, jak tylko się da. Czasem pokazujemy innym, gdzie ich miejsce, ale tylko wtedy, gdy nam ktoś *przeszkadza* – mądrzy się, zabiera nauczycielom cały czas i tak dalej. Stoi nam na drodze. Poza tym Alexis Grey nie wie, co mówi. Blair wspominała, że Alexis oskarżyła nas o wysłanie jej chłopakowi taśmy z nagraniem – pani wie, jakim. Ale to nie my, to zrobił jej były chłopak.

– Od jak dawna jesteś w Szóstkach?

– Od początku semestru. Jestem dopiero juniorką.

– Szeffową była Blair? Oczywiście, do chwili aresztowania.

– Tak myślę. – Jen przygryzła dolną wargę. – Istnieje coś w rodzaju rady senierek i one rządzą. Blair im przewodziła. Jednak czasem wydawało się, że konsultowała się jeszcze z kimś innym. Nie wiem, kto to był.

Phoebe przypomniały się słowa Alexis. Ona też twierdziła, że Blair nie podejmuje decyzji i nie działa sama.

– Powiedziałaś „po pierwsze”. Co jeszcze świadczy o tym, że Blair i Gwen nie zabiły Hucha?

– Na miejscu zbrodni policja znalazła szalik Blair, ale ja wiem, że został skradziony – powiedziała Jen. – Ktoś chce ją zrobić. Dużo ludzi jej zazdrości, będą zadowoleni, jak powinie jej się noga.

Phoebe miała rację. W domu Hucha policja *znalazła* części garderoby.

– Poczekaj, po kolei – powiedziała. – Skąd wiesz, że policja znalazła szalik?

– Od jednej z dziewczyn, która rozmawiała z matką Blair. Policja pokazała Blair szalik i spytała, czy to jej. Powiedzieli, że znaleźli to w miejscu, gdzie dokonano zabójstwa. Na pewno Blair im mówiła, że nie nosiła tego szalika, że ktoś go ukradł, ale jej nie uwierzyli. Policja na pewno uznała, że Blair kłamie, że chce się bronić. Ale ja wiem, że to prawda. Spotkałyśmy się tamtego dnia i Blair mówiła mi o kradzieży.

– Zorientowała się, że zgubiła szalik w domu Hucha, i na szybko zmyśliła historijkę

o kradzieży, żeby mieć alibi.

Jen przecząco potrząsnęła głową.

– To było w niedzielę *w południe*. Zanim ten człowiek został zamordowany. Blair przyjechała prosto z domu. Wiem, że mieszka w domu z korytarzem, który się nie zamyka. Na dole mieszkają jacyś chłopcy. Mieli gości – były u nich dziewczyny. Blair podejrzewa, że to jedna z nich ukradła jej szalik. Tylko tak, żeby zrobić na złość.

Jasne, wszyscy się uparli na biedną Blair, pomyślała Phoebe, wiedziała jednak, że to, co mówi Jen, może być prawdą. Przed oczami stanął jej szereg urywających się pod ciężarem ubrań wieszaków w domu przy Ash Street. Czyżby naprawdę ktoś ją wrabiał? Skąd by jednak morderca wiedział, że łatwo będzie zrzucić winę akurat na nią?

– Przy okazji, czy Blair albo Gwen mają samochód? – zapytała.

– Nie, dlaczego pani pyta?

– A mogłyby mieć?

Jen znowu przygryzła dolną wargę. Wzruszyła ramionami.

– Każdy by mógł. Można przecież pożyczyć.

– Musisz koniecznie powiedzieć policji o swojej rozmowie z Blair – poradziła Phoebe. – Podam ci nazwisko detektywa, z którym powinnaś się skontaktować.

– Nie mogę – powiedziała Jen płacząco. – Nie rozumie pani? Wyda się, że należę do Szóstek. Mnie też zaczęła podejrzewać.

Czyli to tak. Nie chodzi o to, by pomóc Blair i Gwen. Ważne jest, by chronić własny tyłek, przeszło Phoebe przez myśl.

– Wcześniej czy później wpadną na twój trop. Każda z Szóstek może zostać oskarżona. Jak najszybciej powinnaś skontaktować się z rodzicami. Musisz porozmawiać z prawnikiem.

Oczy Jen napełniły się łzami.

– Moi rodzice nie zrozumieją – powiedziała, a w tonie jej głosu słychać było lekkie rozdrażnienie. – A pani? Może najpierw pani spróbuje?

– *Jak mam ci pomóc?* – Phoebe nie było żal tej dziewczyny. Ani trochę.

– Nie wiem. Ale może domyśla się pani, kto chce je zrobić.

– Nie prowadzę śledztwa, Jen. To sprawa policji.

– Ale pisze pani książki. I to jakie. Wszystkiego się pani dowie.

Phoebe podała Jen chusteczkę. Potrzebowała chwili na zastanowienie. Chciała to rozegrać tak, by wydobyć z Jen jak najwięcej informacji na temat Szóstek.

– W porządku, Jen. Zobaczą, co da się zrobić – powiedziała. – Ale potrzebuję kilku dodatkowych informacji.

Jen poprawiła się na fotelu, przybrała wyczekujący wyraz twarzy.

– Zacznijmy ode mnie. – Phoebe nie miała litości. – Oczywiście wiesz, że Szóstki za mną nie przepadały?

Jen patrzyła w bok, wyraźnie nie chcąc patrzeć Phoebe w oczy.

– Wiem, że działała im pani na nerwy – wymamrotała. – Blair mówiła, że chce nas pani nakryć. I zniszczyć.

– Byłaś jedną z tych, które się do mnie włamały?

– *Co takiego?* – Jen była zaskoczona. – Nigdy o tym nie słyszałam. Jest pani pewna, że to Szóstki?

– Wrócimy jeszcze do tego – odparła Phoebe sucho. – Co mówi ci słowo „Fortuna”?

Dziewczyna sprawiała wrażenie autentycznie zdumionej.

– Raczej nic. To jakieś miasto?

– Chciałabym, żebyś zapytała kilka Szóstek o to samo. Muszę wiedzieć, czy „Fortuna”

coś im mówi. Pewnie wolałyby, żeby nie wiedziały o naszej rozmowie. Powiedz im, że dzwoniłam do ciebie po zajęciach i pytałam o Szóstki i Fortunę.

– Dobrze.

– Teraz powiedz mi o kręgach wtajemniczenia.

Jen otworzyła oczy ze zdziwienia.

– Po co... Po co to pani?

– Zaufaj mi. Pomogę ci, jeśli udzielisz mi informacji. Wiem, jakie są pierwsze cztery. Co z piątym i szóstym?

– Nie mogę powiedzieć. Naprawdę. Przysięgamy, że żadna z nas nigdy nie powie niczego na temat kręgów.

– Sytuacja się zmieniła. Ktoś *zabija*. Są ofiary. Najwyższy czas zacząć mówić.

Dziewczyna siedziała z zaciśniętymi ustami i rozglądała się dokoła z paniką w oczach.

Tym razem to ja rozdaję karty, mówiła w myślach Phoebe. I nie będę miała litości. W końcu Jen spojrzała na nią.

– Zazwyczaj jest tak, że każda z nas wie, na czym polega zadanie, które ma za sobą i zadanie, które przed nią. Tylko jedno w przód – powiedziała. – Ja przeszłam dopiero dwa kręgi. Ale ktoś, w tajemnicy, powiedział mi o czwartym i piątym.

Zadania czwartego etapu wtajemniczenia Phoebe знаła.

– O co chodzi w piątym? – spytała.

– Uwiedz i wykorzystaj.

– Chodzi o seks?

– Coś w tym rodzaju.

– Jak to? – Phoebe czuła, że jej cierpliwość się kończy.

– Jeśli ma się ochotę, może być seks. Ale nie musi. Może też być coś innego – to, co kto chce.

– A wykorzystanie?

Jen znowu zaczęła się rozglądać. Uspokoila się po chwili, ale od tej pory już ani razu nie spojrzała Phoebe w oczy.

– Doprowadzasz do tego, że ktoś robi dla ciebie lub daje ci coś, czego potrzebujesz.

– Na przykład uprawiasz seks z chłopcem, a potem stawiasz warunki, czy tak?

– Nie chodzi o chłopca. Musisz uwieść kogoś, kto ma władzę. Ktoś może. Od kogo dostaniesz coś, co się liczy.

Nieźle, pomyślała Phoebe. Psycholog miał rację, dziewczyny miały świra na punkcie władzy.

– Kogoś takiego jak nauczyciel? – spytała. – Ktoś z zarządu? Administracji?

– Tak – powiedziała Jen prawie szeptem.

– I nie wiesz nic o szóstym kręgu?

– Znam tylko nazwę. „Zabezpieczenie”.

– W znaczeniu „zapewnienie, gwarancja”?

– Tak. Wydaje mi się, że chodzi o zapewnienie sobie przyszłości. Nic więcej nie wiem.

Słowa Jen na temat przyszłości przypominały to, co Alexis Grey mówiła w wzajemnym wspieraniu się Szóstek również po ukończeniu college’u. Phoebe była zdumiona. Ciężko było wyobrazić sobie, jak grupa złośliwych dziewczyn zmienia się we wspierającą się siatkę karierowiczek.

Jen tymczasem zaczęła się nerwowo kręcić.

– Chyba muszę już iść – mruknęła i wstała. Wbiła ręce w kieszenie. – Dziewczyny zaraz zaczną mnie szukać. Pomoże pani, prawda?

– Szóstki ciągle działają? Nawet bez Blair?
– Jest trochę zamieszania, ale próbują jakoś dać sobie radę – powiedziała Jen.
– Kto teraz rządzi? Inna seniorka?
– Tak. Ale nie mogę pani powiedzieć kto. To moja przyjaciółka. My... – Jen przerwała, jakby bojąc się, że powiedziała za dużo. Phoebe mogła się założyć, że to Rachel. Widziała je razem. Rachel była seniorką.
– Dobrze, Jen. Zobaczą, co da się zrobić. Ale ty też zrobisz coś dla mnie. Podpytasz o Fortunę. I dasz mi znać.
Po chwili dodała:
– Poza tym muszę wiedzieć, jakie zadania obejmuje szósty krąg wtajemniczenia.
– Nigdy mi nie powiedzą – stęknęła Jen. – Poza tym nie rozumiem, co to ma wspólnego z tym, co się stało.
– Wiem swoje. Czekam na informacje.
Jen zaczęła iść w kierunku wyjścia.
– Jeszcze jedno – zatrzymała ją Phoebe. – Czy Lily Mack próbowała opuścić Szóstki? Jen westchnęła, wpychając ręce jeszcze głębiej w kieszenie.
– Próbowała. Podobno Blair była naprawdę wściekła. Dla niej to była potworna zdrada.
– Jak długo Lily należała do Szóstek?
– Dopiero od wiosny. Od chwili gdy zniknął jej chłopak.
– Dlaczego chciała odejść? Bo zaczęła odkrywać, co robią Szóstki?
Jen w końcu spojrzała Phoebe w oczy. I nie odwróciła wzroku.
– Nie dlatego. Jesienią przechodziła piąty krąg. Ten facet, którego miała uwieść... No, zakochała się w nim i nie chciała w żaden sposób go wykorzystywać. Nie chciała tego ciągnąć i dlatego postanowiła odejść.
Phoebe ciężko westchnęła. Coraz mniej podobało jej się to wszystko.
– Kto to był?
– Nie wiem. Przysięgam. Jedyne, co wiem, to to, że byli w jednym zespole. Blair mówiła, że Lily tak go poznała.
Ta szkoła, z tego, co zorientowała się Phoebe, specjalizowała się w zespołach, zwanych też komitetami. Ona sama tak poznała Duncana – byli razem w komitecie składającym się wyłącznie z wykładowców. Było wiele innych: wyłącznie studenckich, ale również mieszanych, które zrzeszały studentów, wykładowców i pracowników administracyjnych. Jen była członkiem zespołu ds. organizacji życia studenckiego. Zespół ten stworzył Stockton i to na jednym z zebrań tego zespołu zauważył, jak w odpowiedzi na uwagę o tajnych stowarzyszeniach Jen wymieniła znaczące spojrzenie z Molly Wang. Dotarcie do informacji, w którym z komitetów działała Lily, nie powinno być trudnym zadaniem.
Jen wyszła, a Phoebe zaczęła nerwowo krążyć po mieszkaniu. Czuła się kompletnie rozbita swoim odkryciem w związku z kartą tarota, o wizycie Jen nie wspominając. Instynktownie czuła, że w sprawie Fortuny Jen mówiła prawdę. Nie miała pojęcia, o co chodzi, ale pozostałe dziewczyny – Blair i rada seniorek – na pewno miały. W jaki jednak sposób dowiedziały się o Fortunie? Glenda była jedyną osobą, która znała tajemnice przeszłości Phoebe. Czyżby jej przyjaciółka komuś je zdradziła?
Phoebe nagle stanęła. Zastanawiała się, po co w ogóle miałaby zawracać Michelsonowi głowę tematem karty do tarota. Co go to obchodzi? Jaki związek z morderstwem miałby fakt, że Szóstki znały jej przeszłość? Nawet jeśli Blair i Gwen *były* winne.
Myślała też o tym, co Jen mówiła o szaliku. Jeśli nie kłamała, znaczyło to, że ktoś próbował skierować podejrzenie na Blair, a co za tym idzie, generalnie na Szóstki. Morderca

musiał być kimś z college'u. Tylko ktoś taki wiedział, że łatwo będzie mógł rzucić winę na Szóstki.

Phoebe postanowiła uporządkować wszystkie wątki. Już w poniedziałek przyszło jej do głowy, że jeśli to nie Szóstki zabiły Hutch'a, morderca nie miał wyraźnego motywu i był po prostu psychopata – kimś, komu zabijanie sprawia przyjemność. Teraz pojawił się jednak nowy wątek. Już dawno powinna była iść tym tropem: nowego mężczyzny, z którym jesienią spotykała się Lily. Phoebe przypomniały się słowa, które kiedyś powiedziała do Amandy: „Chyba nie jestem tak głupia, żeby znowu spotykać się z gówniarzem”.

Phoebe spojrzała na zegarek. Dochodziła czwarta, a Glenda wciąż nie dzwoniła. Spróbowała dodzwonić się do niej ponownie, jednak przyjaciółka nie odbierała komórki. Phoebe znowu więc zadzwoniła do biura.

– Przykro mi, pani dyrektor nadal nie ma – poinformowała ją asystentka Glendy.

– To naprawdę bardzo pilne. Muszę z nią porozmawiać, a nie odbiera komórki. – Phoebe zdała sobie sprawę, że brzmi trochę jak dziecko, któremu nikt nie chce dać wymarzonej zabawki.

– Dobrze, powiem pani, gdzie poszła. Na pewno nie będzie miała żalu – zlitowała się asystentka. – Doktor Johns pojechała odebrać Brandona ze szkoły. Potem mają odrobić razem lekcje. Następnie wybiera się do kampusu na targi książki. Organizują je dziś po południu.

– Bardzo dziękuję. Złapię ją w kampusie. – Phoebe przyszło do głowy jeszcze coś. – Mam pytanie. Orientuje się pani, gdzie mogę znaleźć listę komitetów, które działają w tym semestrze wraz z wykazem ich członków?

– Nie bardzo. Na pewno ma coś takiego doktor Johns. I chyba jeszcze Tom Stockton.

On akurat był ostatnią osobą, którą Phoebe poprosiłaby o pomoc.

Odłożyła słuchawkę i w tym samym momencie uświadomiła sobie, że dłużej nie wytrzyma. Musi porozmawiać z Glendą *natychmiast*. Narzuciła płaszcz, złapała torebkę i pobięła do samochodu. Pojedzie do Glendy do domu, powinna już wrócić z Brandonem ze szkoły. Phoebe wiedziała, że nie powinna kraść Glendzie cennego czasu przeznaczonego dla dziecka, jednak musiała upewnić się, czy przyjaciółka mówiła komukolwiek w Lyle o wydarzeniach z przeszłości. Już po kilkudziesięciu metrach włączyła wycieraczkę – lekka mżawka zamieniła się w deszcz.

Ku zaskoczeniu Phoebe gospodyni nie zareagowała na jej dzwonek do drzwi domu Glendy. Spróbowała jeszcze raz. Stojąc po drzwiach, usłyszała muzykę. Ktoś w środku słuchał jazzu. Wystarczająco głośno, by nie słyszeć, że ktoś dzwoni.

Phoebe sama zatem otworzyła drzwi i głośno krzyżąc „Hello”, poinformowała o swojej obecności. Zero odzewu. Muzyka zdawała się dochodzić z oranżerii i Phoebe poszła w tym kierunku.

Weszła do pomieszczenia i rozejrzała się uważnie. Na stoliku stały małe kolumny, to z nich dochodziła muzyka. Ale w oranżerii nie było nikogo.

Phoebe wyjrzała przed dom, w kierunku parkingu. Samochodu Glendy nie było. Niech to diabli, pomyślała, Glenda musiała zmienić plany. Phoebe obróciła się na pięcie i ruszyła w kierunku wyjścia. Zrobiła pierwszy krok, gdy nagle zadzwonił stacjonarny telefon. Aż drgnęła, kiedy z salonu dobiegł ją męski głos. To Mark podniósł słuchawkę. Phoebe zamarła.

– Tak, rozumiem – powiedział Mark. – A ty zrozumi, że masz do mnie więcej nie dzwonić na ten telefon. Masz komórkę.

Phoebe stała bez ruchu, wstrzymując oddech. Niezbyt ładnie by to wyglądało, gdyby Mark odkrył jej obecność, jednak Phoebe była potwornie ciekawa, co jeszcze Mark powie.

– Już ci mówiłem – odezwał się po kilku sekundach. Znowu przerwa. Słysząc było, jak Mark przełyka ślinę.

– Dostaniesz to – powiedział suchym tonem. – Powiedziałem, że dostaniesz, to dostaniesz.

Boże drogi, pomyślała Phoebe. Zaraz wyjdzie i mnie zobaczy. Na palcach podeszła do wyjścia i wymknęła się z domu Glendy, szybko przemierzając schody i odległość dzielącą ją od samochodu.

Dopiero siedząc za kierownicą, złapała oddech. Ruszyła i zanim skręciła na ulicę, we wstecznym lusterku popatrzyła na dom. Ku swojemu zmartwieniu zauważyła, że przez zasłony w salonie ktoś patrzył w jej kierunku. Kto inny, jak nie Mark?

Czy ją poznał? Jeśli tak, mógł się domyślić, że podsłuchiwała. Do listy powodów, dla której jej nie znośli, dołożyła zatem jeszcze jeden. Jednak Phoebe bardziej zaniepokoiły słowa Marka. Dlaczego osoba, która dzwoniła, nie powinna się z nim kontaktować na telefon stacjonarny? Co takiego Mark miał jej dostarczyć?

Phoebe zaparkowała w pobliżu akademików. Rozpadało się na dobre i zanim dobiegła do najbliższego budynku, rękawy jej swetra i temblak były kompletnie mokre. Na placu stało kilka stolików przykrytych folią, jednak wokół nich kręciło się tylko parę osób. Pogoda wyraźnie nie sprzyjała tego typu spotkaniom na świeżym powietrzu. Do jednego z krzeseł przyczepiona była mokra kartka z informacją: „Targi przeniesione na piątek”. Phoebe po raz kolejny spróbowała skontaktować się z Glendą, jednak w jej komórce znowu włączyła się automatyczna sekretarka. Poczekala jeszcze piętnaście minut – być może Glenda nie wiedziała o nowej dacie imprezy. Jednak przyjaciółka się nie zjawiała. Organizatorzy zwinęli ostatni stolik, a Phoebe pobiegła do samochodu. Ból w lewej ręce wrócił ze zdwojoną siłą.

Już w domu wzięła dwa ibuprofeny i zrobiła sobie zieloną herbatę, w nadziei że to ją uspokoi. Z kubkiem w dłoni przemierzała kolejne pokoje, jeszcze raz analizując przebieg rozmowy z Jen. *Musiła się* dowiedzieć, w którym z komitetów działała Lily i w kim się zakochała. Być może ten człowiek był mordercą. Zamyśliła się. Coś jej tu jednak nie pasowało. Jakim cudem Hutch mógł się dowiedzieć o nim i Lily? Co miała z tym wspólnego śmierć Trevora Harrisa? Czyżby kochanek Lily zabił go z zazdrości? To akurat było niemożliwe: podobno Lily zakochała się w nim dopiero potem, gdy Trevor już nie było. Phoebe chwyciła za telefon i szybko wybrała numer Jen.

– Czy, twoim zdaniem, romans Lily z dorosłym mężczyzną mógł się zacząć, gdy była jeszcze z Trevorem? – zapytała.

– Nie, to się zaczęło jesienią – powiedziała Jen. – Poza tym ona go kochała. Trevora, znaczy. Mieli razem zamieszkać. Lily była załamana, kiedy zniknął.

– Nie podejrzewała, że mogło mu się coś stać?

– Nie. Była pewna, że uciekł. Ciągłe narzekał na college’ę, mówił, że go prześladują.

– Prześladują?

– Że dostaje złe oceny. Niesłusznie. Że ochrona kampusu go męczy. Mówił Lily, że za nim chodzą.

To zabrzmiało intrygująco. Phoebe zapytała Jen, czy domyśla się dlaczego, jednak dziewczyna odparła, że nie ma bladego pojęcia. Phoebe pożegnała się, obiecując zadzwonić następnego dnia.

Zapadł zmierzch. Było ciemno, do tego za oknami ścieliła się mgła, pogłębiając u Phoebe uczucie zamknięcia i osaczenia. Miała świadomość, że to rozstrój nerwowy i że ma prawo czuć się rozdrażniona, jednak ani to przekonanie, ani światło nie pomagały. Bała się nadciągającej nocy i żałowała chwili, w której dotknęła kartonu. Dlaczego Glenda nie oddzwania? Gdzie jest Duncan? Dlaczego, do diabła, jest z tym wszystkim sama?

Jakby w odpowiedzi ktoś zastukał do drzwi. Pod domem stał Duncan.

– Cześć – powiedział, gdy otworzyła. Jego czarny przeciwdeszczowy płaszcz był mokry.
– Byłem zajęty i nie miałem czasu odsłuchać wiadomości. Kiedy tylko mi się udało, od razu przyjechałem.

– Boże – odetchnęła Phoebe. – Tak się cieszę, że jesteś. To wszystko to jeden wielki koszmar.

Duncan zdejmował płaszcz, gdy Phoebe zaczęła wyrzucać z siebie rewelacje na temat karty do tarota.

– Phoebe, pozwól, że zagram rolę adwokata diabła – powiedział Duncan, gdy skończyła.
– Może po prostu Szóstki chciały cię nastraszyć i przesłały ostrzeżenie? Że czeka cię odmiana losu? Bez żadnej aluzji do twojej przeszłości.

– To jasne. – Phoebe wzruszyła ramionami. – Ale im dłużej o tym myślę, tym bardziej jestem przekonana, że to nie przypadek. Fortuna zawsze zostawiała znak: koło. A na karcie widnieje koło.

Duncan patrzył na nią ze współczuciem, jednak miała wrażenie, że jego zdaniem mocno przesadza.

– Jeśli nawet ktoś dowiedział się o Fortunie – założmy, że Glenda komuś o tym wspomniała – nie możesz pozwolić, by aż tak wyprowadziło cię to z równowagi. Jakie to ma znaczenie, że ktoś zna twoją przeszłość?

– A jeśli chodzi o coś *więcej*? – wyrwało się Phoebe. Ku swemu niezadowoleniu czuła, że głos jej drży. Przyszło jej do głowy coś, na co wcześniej nie wpadła. – A jeśli w college’u jest ktoś, kto należał do Fortuny? Nigdy nie znałam wszystkich.

– Nie wydaje mi się. Jeśli nawet, to chyba to już przeszłość? Znęcali się nad tobą, jak to w szkole. Zdarza się.

– Nie. – Oczy Phoebe napęłniły się łzami. – Było gorzej. Dużo gorzej, niż ci mówiłam.

Po tym, jak znalazła pocięte swoje ubrania, zdecydowała się powiedzieć o wszystkim jednej z nauczycielek. Ta zaprowadziła ją do dyrektorki szkoły. Kobieta wysłuchała historii, pokiwała głową, wyraziła współczucie oraz poinformowała dziewczynę, że szkoła nie zamierza zajmować się tą sprawą. Ani przeprowadzać stosownego śledztwa, ani – w najmniejszym procencie – zrefundować kosztów zniszczonych ubrań. Dyrektorka, ze swoim zadartym nosem, sprawiała wrażenie nie tylko niezainteresowanej, ale wręcz lekko zniesmaczonej faktem, że zmusza się ją do zajmowania się czymś tak banalnym i niewartym uwagi. Jakby młoda dziewczyna sama nie umiała poradzić sobie ze swoimi sprawami!

Wyszła z gabinetu dyrektorki i przyszło jej do głowy, że w ten sposób jej prześladowczynie z Fortuny – bo to na pewno one – nigdy nie zostaną ukarane. Podobnie jak było do tej pory. Przynajmniej ona nie słyszała o takim przypadku.

Jednak po tym wydarzeniu zapanował spokój. Przyszła wiosna. Poznała chłopca z sąsiedniej, koedukacyjnej szkoły. Dwa razy wybrali się do kampusu na kawę. Ku jej uldze wszystko wskazywało na to, że życie wraca do normy. Może, myślała, Fortuna znalazła sobie inną ofiarę.

W weekend wielkanocny została w kampusie. Miała dużo nauki – chciała porządnie przygotować się do egzaminów końcowych. Jak przyjemnie spędzało jej się czas w prawie pustym internacie! Jednak bomba wybuchła. W sobotni wieczór, gdy wracała z biblioteki do siebie, napadło ją kilku chłopców.

Nie widziała ich twarzy. Zaszli ją od tyłu i na głowę zarzucili szmatę. Z rozmów, jakie prowadzili między sobą ściszonymi głosami, wywnioskowała, że jest ich trzech. I że są młodzi. Zaciągnęli ją do samochodu i wrzucili na tylne siedzenie.

Była pewna, że ją zgwałcą. Oszalała ze strachu. Jednak po dziesięciu minutach jazdy chłopcy wyciągnęli ją z samochodu i wrzucili do czegoś w rodzaju piwnicy. Zatrzasnęli wejście.

Z trudem łapała powietrze. Było zimno i wilgotno, miała wrażenie, że roi się od szczurów. Choć wiedziała, że jej oprawcy już odjechali, zaczęła wzywać pomocy. Krzyczała i krzyczała. Bez skutku. Próbowwała też otworzyć to, co uznała za drzwi, była jednak zbyt słaba.

Następnych trzydzieści sześć godzin przeleżała w ciemnościach, lkając i mocząc się. Wyobrażała sobie, że obok siedzi jej matka i dodaje jej sił. Wiedziała, że zaczną jej szukać, jednak kto będzie wiedział, że jest właśnie tutaj? Była pewna, że to koniec.

Duncan objął Phoebe, uważając, by nie urazić jej chorej ręki i zaprowadził ją na kanapę. Oparła się o poduszkę.

– Powiedz mi, co się wtedy wydarzyło – powiedział, siadając obok niej.

Opowiedziała. O listach, zniszczonych ubraniach i w końcu o porwaniu i uwięzieniu. Zaczęła płakać, ale udało jej się powstrzymać łzy.

– Jak cię znaleźli? – spytał Duncan z przygnębionym wyrazem twarzy. Był wyraźnie przejęty.

– Częściowo dzięki Glendzie – powiedziała po chwili Phoebe. – Wróciła z Brooklynu w niedzielę wieczorem. Ponieważ nie mogła mnie znaleźć, zawiadomiła kierowniczkę internatu. Szkoła zawiadomiła policję. W poniedziałek rano ktoś – prawdopodobnie, jak później uznano, jeden z chłopaków – zadzwonił i anonimowo podał miejsce, gdzie mnie zamknęli. Policja mnie uwolniła. Kilka dni leżałam w szpitalu. Myślałam, że po tym wszystkim wrócę jeszcze do szkoły, ale moja mama się nie zgodziła. Szczerze mówiąc, ja też nie bardzo chciałam – bałam się. Poza tym szkoła nie zrobiła nic, żeby mi wcześniej pomóc i wiedziałam, że w przyszłości też nie mam na co liczyć.

– Aż trudno mi uwierzyć, że przeszłaś coś takiego. Jesteś pewna, że to Fortuna?

– Prawie na sto procent. Ktoś podrobił mój podpis pod potwierdzeniem nieobecności w internacie podczas weekendu – dlatego kierowniczka nie szukała mnie od razu. Kto jak nie Fortuna mógł to zrobić? Moim zdaniem chłopcy chodzili do zaprzyjaźnionej z nami szkoły koedukacyjnej położonej obok naszej. Ktoś ich namówił, żeby mnie porwali dla zabawy, ale najprawdopodobniej nie wiedzieli, że sprawy zajdą aż tak daleko.

– Dlaczego Fortuna posunęła się do czegoś takiego?

– Myślę, że chodziło o chłopca, z którym zaczęłam się spotykać – powiedziała Phoebe. – Był uczniem tej szkoły i kilka razy spotkaliśmy się razem na kawie. Później dowiedziałam się, że podobał się jednej z dziewczyn, które należały do Fortuny. Wszystko wskazuje na to, że chciała mnie przestraszyć.

– I nigdy nie złapali tych łobuzów?

– Ani ich, ani dziewczyn. Szkoła udawała, że prowadzi śledztwo, ale rodzice dziewczyn z Fortuny należeli do jej największych darczyńców. Więc śledztwo się nie powiodło.

– Rany, Phoebe – powiedział poruszony Duncan. – Wyobrażam sobie, że historia z Szóstkami musiała przywołać te wszystkie potworne wspomnienia.

Z jednej strony, Phoebe była zadowolona, że wyrzuciła z siebie to wszystko. Alec nigdy nie poznał całej prawdy. Jednak z drugiej, świadomość, że Duncan wie aż tyle, budziła w niej niepokój.

– Wiesz już, o co mi chodzi? – odezwała się błagalnym głosem. – Spędza mi sen z powiek myśl, czy jest tu ktoś z Fortuny. I czy współpracuje z Szóstkami.

– Jak mogę ci pomóc? – zapytał Duncan.

Phoebe pokręciła głową z powątpiewaniem.

– Nie mam pojęcia. Może zacznijmy od jedzenia. Nie jadłam od rana, to też mnie wykańcza.

Duncan zaproponował, że zamówi pizzę. Zadzwonił do pizzerii, a po zakończeniu rozmowy spytał, czy może wziąć prysznic. Całe popołudnie spędził w laboratorium i musiał się odświeżyć. Poszedł na górę, a Phoebe otworzyła butelkę wina. Nalała sobie solidny kieliszek. To już dwadzieścia pięć lat, pomyślała. Dwadzieścia pięć lat minęło od czasu, gdy Fortuna się nade

mną znęcała, a ja znowu jestem w tym samym czasie i miejscu. Przerażona i osamotniona. Pomyślała o Lily i Alexis. I o innych ofiarach Szóstek. Musiała położyć kres temu, co działo się tu, w Lyle.

Kilka minut później, gdy na górze rozległ się szum wody pod prysznicem, zadzwonił telefon. Glenda. Nareszcie.

– Przepraszam, że nie odbierałam komórki – powiedziała. – Byłam z Brandonem w bibliotece i musiałam wyłączyć telefon.

– Mówiłaś komuś w college’u o Fortunie? – spytała Phoebe wprost.

– Oczywiście, że nie. Dlaczego pytasz?

Phoebe powiedziała Glendzie o karcie do tarota.

– Nie wierzę – jęknęła przyjaciółka. – Co tu się w ogóle dzieje?

– Nie miałabym żalu, gdy coś ci się wymknęło – zapewniła Phoebe. – Może powiedziałaś coś komuś, jak miałam przyjechać tu do pracy albo zgadało się przy okazji rozmów o Szóstkach. Nigdy nie umawialiśmy się, że to będzie tajemnica do grobowej deski.

– Słowem nikomu o tym nie wspomniałam. Oczywiście, nie wymagałaś ode mnie trzymania wszystkiego w tajemnicy, ale ponieważ sama nikomu o tym nie mówiłaś, uznałam, że też powinnam trzymać język za zębami. Możesz mi wierzyć – albo nie – ale nie rozmawiałam na ten temat nawet z Markiem. Pytał kiedyś, dlaczego zrezygnowałaś ze szkoły, powiedziałam mu, że tęskniłaś za mamą.

– Ktoś jednak coś odkrył – albo jeszcze gorzej, ktoś tutaj należał do Fortuny i rozmawiał z Szóstkami.

– Może wspomniałaś coś w którymś z wywiadów?

– Nigdy. W mediach nie było żadnej wzmianki o moim porwaniu. Szkoła o to zadbała.

– Wyjaśnimy to, Fee. Jestem pewna, że policja wycisnie z Blair i Gwen, co się da.

Wkrótce będziemy znali nazwiska wszystkich członkiń Szóstek. Sprawdzimy, czy cokolwiek łączy je z Fortuną.

Phoebe pociągnęła kolejny łyk wina.

– Wiesz, jak jest. Ta sprawa wyprowadza mnie z równowagi.

– Doskonale cię rozumiem – odpowiedziała Glenda. – Miałaś jeszcze jedną sprawę.

Chodziło o komitet, w którym działała Lily?

– Tak. Rozmawiałam z kimś, kto zaklina się, że Blair i Gwen są niewinne. Że nie zabiły Hutch’a, a ktoś próbuje je zrobić. Ta osoba twierdzi też, że Lily była zakochana w jednym z nauczycieli lub pracowników administracji, którego poznała, działając w komitecie. Wygląda na to, że mieli romans. To może mieć znaczenie dla śledztwa.

– Jestem w biurze, zaraz to sprawdzę. Daj mi chwilę, muszę włączyć komputer.

Glenda odłożyła telefon na biurko. Phoebe słyszała ruch po drugiej stronie. Uświadomiła sobie, że wstrzymuje oddech. W końcu Glenda podniosła telefon.

– Nie uwierzysz – powiedziała. – Chociaż, czemu nie.

– *Kto?* – Phoebe nie mogła się doczekać.

– Tom Stockton. Komitet do spraw życia studenckiego.

Phoebe nerwowo łapała powietrze. W tym samym komitecie działała Jen, chociaż nie była uprzejma wspomnieć o tym szczególe.

– Niech to diabli. Pomimo tego, co o nim mówiłaś, takiego obrotu sprawy się nie spodziewałam.

– Jesteś pewna, że ta historia w ogóle miała miejsce?

– Nie do końca. Ale jeśli miała, Stockton może być zamieszany w morderstwo. Lub kilka. To również wyjaśniałoby jego upór w lansowaniu teorii o seryjnym mordercy. Odwraca uwagę

od jego osoby.

– Zadzwońisz z tym na policję?

– Nie teraz. Muszę to jeszcze sprawdzić. Nie bój się, będę działać ostrożnie. – Myśli Phoebe pobiegły w kierunku sceny w domu Glendy. – A co u ciebie? Jak *sprawy*?

– Na ten moment sytuacja jest pod kontrolą. Nastroje w kampusie się uspokoiły, zarząd też przestał szaleć. Boję się tylko, co będzie, gdy światło dzienne ujrzą kolejne rewelacje związane z Szóstkami. Jeśli chodzi o dom, jest słabo. Marka wiecznie nie ma i wynajduje przeróżne sposoby, by wytłumaczyć swoją nieobecność. Jeden żałośniej od drugiego. Jak mawiała moja mama: kłamstwo zawsze brzmi podejrzenie prawdziwie.

Phoebe widziała przed oczami siebie, jak przemyka się w kierunku wyjścia domu Glendy, a do jej uszu docierają wypowiedziane przez Marka słowa. Musiała opowiedzieć o tym przyjaciółce, ale nie chciała tego robić przez telefon.

– Kiedy najszybciej możemy się zobaczyć? – spytała. – Muszę z tobą pogadać w cztery oczy.

– Ja też. Jutro o czwartej jest mecz piłki nożnej dziewczyn. Może tam?

Phoebe potwierdziła.

– Wytrzymasz sama w domu? – zapytała jeszcze Glenda.

– Tak. Duncan tu jest.

Po drugiej stronie zapadła cisza, dłuższa niż zwykle.

– W porządku. Ale pamiętaj, że w moim domu zawsze jest dla ciebie miejsce – powiedziała Glenda.

Phoebe podziękowała i już miała się pożegnać, gdy do głowy przyszło jej jeszcze jedno pytanie.

– Poczekaj – rzekła szybko. – Słyszałam coś jeszcze. Podobno na Trevora Harrisa uwziął się Craig Ball. Oczywiście, zanim Trevor zniknął. To cytat, tak mi ktoś mówił. Wiesz coś o tym?

– Dziwne. – Glenda była zaskoczona. – Craig nigdy nie wspominał o Trevorze, o żadnych kłopotach. Poza tym nie lubię określenia „uwziąć się”. To nie jest w stylu tej szkoły. Ale sprawdzę to.

Przyjaciółki zakończyły rozmowę. Phoebe opadła na kanapę, trawiąc przejmujące dla niej wiadomości. *Stockton*. Był znany ze swej skłonności do młodych dziewczyn, zasadniczo więc sprawa nie budziła wątpliwości. Jego romans z Lily mógł być faktem. Jednak co takiego młoda, ładna dziewczyna dostrzegła w tym nudnym pajacu? Chociaż, co do jej osoby, Phoebe mogła się mylić. I wiele wskazywało na to, że tak właśnie było.

Czyżby to Stockton wrzucił Lily do rzeki? Jeśli miał obsesję na jej punkcie, mogła nim powodować zazdrość. Albo wściekłość i rozczarowanie, gdy odkrył, że wszystko było ukartowane i dziewczyna chciała tylko go wykorzystać. A kiedy Hutch to odkrył, Stockton pojawił się w jego domu i zabił starego. Z drugiej jednak strony, w jaki sposób Hutch wpadł na trop Stocktona?

To wszystko, rozpędzała się w myślach Phoebe, mogło być jeszcze bardziej chore. Stockton mordujący byłą kochankę – to jeszcze nic. A jeśli on sam był seryjnym mordercą, wmuszającym w studentów narkotyki, a następnie, już nieprzytomnych, pozbawiającym życia? Na własne oczy widziała go w pubie „Pod Kocimi Ogonami”. Być może był tam już wcześniej. Może to on był tym trzydziesto- czy czterdziestolatkiem, którego zapamiętał Wesley? Chłopak był w szkole tylko dwa lata, mógł nie kojarzyć Stocktona. Phoebe postanowiła, że pokaże Wesleyowi zdjęcie Stocktona.

Słyszała, jak woda przestaje szumieć. Po kilku minutach na schodach pojawił się Duncan. Jego skóra wyglądała świeżo, a twarz otaczały mokre, wijące się włosy. Kiedy leżeli już w łóżku,

Phoebe przytuliła się do Duncana, dotykając ręką jego torsu i ud.

– Jesteś pewna? – spytał łagodnie. – Nie marzę o niczym innym, ale nie zrobię ci krzywdy?

– Chyba nie myślisz, że będę czekać sześć tygodni, aż mi zdejmą to coś z ręki.

Świat z jego koszmarnymi problemami odpłynął. Phoebe czuła tylko Duncana, jego dłonie – na sobie i w sobie.

Rano wstała pierwsza. Przygotowywała śniadanie, gdy w kuchni zjawił się Duncan.

– Wygląda na to, że się spieszysz.

– Tak, czeka na mnie kilka spraw – powiedziała. – Ale mam też miłą wiadomość.

– Słucham.

Phoebe powiedziała mu o swojej obietnicy przejęcia tymczasowej opieki nad Ginger.

Duncan się uśmiechnął.

– Miło z twojej strony – powiedział. – Pies na pewno to przeżywa. Nie ma już ani pana, ani domu. Skoro o tym mowa, ciekawe, czy policja coś wydobyła z dziewczyn. Jeśli nie, sprawą musi się zająć sąd.

Phoebe postanowiła, że nie będzie wtajemniczać Duncana w szczegóły swojej rozmowy z Jen. Bo gdyby okazało się, że nie wszystko jest prawdą? Poza tym obiecała Duncanowi, że wycofa się z prowadzenia śledztwa. Była jednak ciekawa jego zdania.

– A co, jeśli mój instynkt się nie mylił? Jeśli to nie Blair i Gwen? – spytała.

Duncan mył kubek do kawy. Popatrzył na Phoebe uważnie.

– Skąd ta myśl? Masz dowody?

– Ktoś mi wczoraj powiedział, że Lily była zakochana w mężczyźnie – nie studencie – który pracuje w Lyle. Może to on zabił ją, a potem Hucha?

– Kto *tak* mówi?

– Teraz nie mogę powiedzieć.

– Na miłość boską – zdenerwował się Duncan. Podniósł głos. – Nie możesz wreszcie zostawić tego wszystkiego policji? Znowu ładujesz palce między drzwi.

Phoebe było miło, że Duncan się o nią martwi. Nie będzie jej jednak dyktował, co ma robić – a już na pewno nie tym tonem.

– Szukam odpowiedzi, jak wszyscy – powiedziała spokojnie. – I chcę, żeby była prawdziwa. Policja nie ma na ten temat pełnej wiedzy.

– Przepraszam, że podniosłem głos. – Duncan westchnął. – Boję się o ciebie.

Phoebe przyjęła przeprosiny i zaczęła sprzątać po śniadaniu. Atmosfera zrobiła się ciężka. Humor Duncana wyraźnie się pogorszył. Jednak kiedy kilka minut później wychodził, wyglądało na to, że sytuacja wróciła do normy.

– Może dzisiaj wieczoru zjemy poza domem? – zaproponował. – Dobrze nam to zrobi.

Phoebe zgodziła się, Duncan pocałował ją na pożegnanie i wyszedł. Phoebe zamknęła drzwi. Przez okno widziała, jak idzie po schodach, trzymając ramiona lekko uniesione w górę. Szkoda, że tak się to rozegrało.

Phoebe zastanowiła się, co dalej. Do spotkania z bratankiem Hucha zostało jeszcze kilka godzin. Zamierzała poświęcić je na zbadanie sprawy Stocktona. Chciała zapytać go o komitet – ciekawiło ją, jak zareaguje i co odpowie.

Zadzwoiła do biura Stocktona i została poinformowana, że tego dnia ma wiele spotkań.

– To dosyć pilne – powiedziała Phoebe po tym, jak się przedstawiła. – Czy może mi pani powiedzieć, gdzie go znaleźć około dziesiątej?

– Nie wiem, czy powinnam... – zaczęła asystentka, jednak po chwili wyraźnie

uświadomiła sobie, że nie ma potrzeby trzymać tego w tajemnicy.

Podala Phoebe miejsce, gdzie odbywały się spotkania – pokój konferencyjny znajdował się w podziemiach biblioteki.

Tym razem Phoebe wybrała się do kampusu piechotą. Na niebie nie było chmur, jednak wiał wiatr tak silny, że biedne flagi na budynkach kampusu ledwo żyły i trzeszczały, jakby za chwilę miały się rozerwać na kawałki. Studenci byli ciepło ubrani, w przeciwieństwie do Phoebe, która dotarła do drzwi biblioteki sina z zimna.

Kobieta na recepcji nie miała pojęcia, gdzie dokładnie ma spotkania Tom Stockton, ale wskazała Phoebe drogę do pokoi konferencyjnych. Phoebe nieomal biegła po schodach, w obawie że może się minąć ze Stocktonem. O tej porze w podziemiach biblioteki nie było żywego ducha. Phoebe mijała puste korytarze, regały z książkami i okazjonalne wystawy za szklanymi szybami.

W końcu, tuż przed sobą, usłyszała głosy i odgłos kroków. Zza zakrętu wyłoniły się dwie kobiety.

– Dzień dobry – zaczęła je Phoebe. – Nie widziały panie dziekana Stocktona?

– Właśnie skończyliśmy z nim spotkanie – odpowiedziała jedna z nich. – Proszę skrócić w lewo. Jest na końcu tego korytarza, po prawej stronie.

Był. Pakował do skórzanej, eleganckiej teczki dokumenty. Na jednym z krzeseł leżał jego płaszcz z wielbłądziej wełny i szalik w szkocką kratę. Na dźwięk kroków Phoebe podniósł wzrok.

– No proszę. Kogo my tu mamy – powiedział, zaskoczony. – Nie spodziewałem się spotkania akurat tutaj. Chyba nie musisz bywać w bibliotece.

Phoebe uśmiechnęła się słodko. Nie chciała się kłócić, ale czuła, jak kielkuje w niej złość.

– Rozumiem, że to komplement, Tom.

– Oczywiście. Tak przy okazji, jak się czujesz?

– Dobrze. Dziękuję.

– Podejrzewam, że to jak konna jazda. Znowu będziesz chciała do tego wrócić. Chyba że się w końcu przestraszysz.

– Nie rozumiem. – Phoebe nie miała pojęcia, o co chodzi Stocktonowi.

– Rower. Podobno spadłaś z roweru.

– A... tak.

– Słucham. Co mogę dla ciebie zrobić? – zapytał Stockton. – Chyba że chodzi ci o pogłębienie wiedzy na temat rewolucji.

– Mam szybkie pytanie. Nadal prowadzę śledztwo w sprawie Szóstek. One...

– Dlaczego to robisz? – przerwał jej Stockton, cały czas porządkując dokumenty. – Chyba policja już to przejęła?

– Kończę to, co zaczęłam. Oczywiście, wszystkie informacje przekażę policji.

Wspomniałeś kiedyś, że założyłeś komitet, który zajmował się poziomem życia studentów. Czy Lily Mack w nim była?

Stockton przerwał przewracanie papierów.

– Co to ma wspólnego ze sprawą? – zapytał, wyraźnie wkurzony.

– Tego jednego elementu mi brakuje, żeby zamknąć pewien wątek.

– Skoro to takie ważne... *Była*. Ale tylko nominalnie. zaproponowałem jej pracę w Komitecie po incydencie z krzesłami. Zgodziła się, ale nigdy nie zobaczyłem jej na żadnym z zebrań. – Stockton sięgnął po płaszcz i szalik. – A teraz wybacz, mam kolejne spotkanie.

Czy mówił prawdę? Ta myśl drażyła Phoebe, podczas gdy Stockton opuszczał pokój krokiem tak dostojnym, jakby udawał się na spotkanie co najmniej Banku Światowego.

W każdym razie to wyjaśniało, dlaczego Jen nie wspomniała o pracy Lily w komitecie. Jeśli nawet Lily nie uczestniczyła w pracach zespołu, w każdym razie została do niego przez Stocktona zaproszona. Jen mogła nie wiedzieć, że tych dwoje się znało. Albo – i to też było możliwe – *nie chodziło* o Stocktona.

Skierowała się w stronę wyjścia z podziemi biblioteki. Nadal nie było nikogo, słyszała tylko odgłos własnych kroków. Rósł w niej niepokój. Dlaczego tu tak pusto, pytała samą siebie. Poczwała, jak ogarnia ją klaustrofobia. Skręciła w jeden z korytarzy i odkryła, że się zgubiła. Boże, chcę stąd wyjść, wszystko w niej krzyczało. Biegiem wróciła tam, skąd przyszła, i w końcu znalazła schody. Wbiegła na górę, pokonując jednym skokiem po dwa stopnie.

Już na zewnątrz zadzwoniła do Jen. Dziewczyna odezwała się zasnany głosem, jakby nadal była w łóżku.

– Coś pani znalazła? – zapytała, gdy Phoebe się przedstawiła.

– Jeszcze nie, ale mam kolejne pytanie. Mówiłaś, że osobę, w której się zakochała, Lily poznała w komitecie, w którym pracowała tej jesieni. Jesteś pewna? Może to było gdzie indziej?

– To nie było tej jesieni. – Tym razem dziewczyna była bardziej przytomna. – Komitet działał ubiegłej wiosny. Wtedy go poznała. Ale zakochała się dopiero w tym semestrze – kiedy wybrała go jako ofiarę zadania numer pięć.

Czyli to *nie był* Stockton. Phoebe odetchnęła i natychmiast wybrała numer biura Glendy. Asystentka poinformowała ją, że doktor Johns całe przedpołudnie przebywa na spotkaniach.

– Mogłabym zostawić wiadomość? – Phoebe prawie błagała. – Proszę przekazać, że potrzebuję dodatkowych informacji. Muszę wiedzieć, w jakim zespole pracowała Lily Mack podczas wiosennego semestru.

– Sama spróbuję pani pomóc. Doktor Johns pokazała mi, gdzie mogę znaleźć te dane. Proszę chwilę poczekać.

Phoebe czekała, obserwując, jak studenci po zajęciach szybko wybiegają z budynków.

– Mam – powiedziała asystentka Glendy. – Jest na liście członków zespołu do spraw testów na zwierzętach.

– Kto jeszcze? – szybko spytała Phoebe.

– Sześcioro... Nie, siedmioro innych studentów.

– Kto z *wykladowców*?

– Chwileczkę. Mam. Doktor Duncan Shaw.

Phoebe straciła oddech. Jakby ktoś ją rąbnął w plecy z całej siły.

– Dziękuję – wyjąkała z trudem. – Ktoś jeszcze? To znaczy, jakiś nauczyciel? – Może Duncan nie był jedynym.

Słysząc było stuk klawiszy – asystentka Glendy przeglądała bazę danych. Szybciej! Phoebe miała ochotę krzyknąć.

– Tylko on – powiedziała wreszcie asystentka. – Coś jeszcze, pani Hall?

– Nieeee, to wszystko – wydusiła z siebie Phoebe. – Dziękuję.

Schowała telefon do kieszeni. Nagle poczuła, że miękną jej nogi. Oparła się o ścianę budynku. Ktoś wychodził z biblioteki i obrzucił ją ciekawym spojrzeniem.

Czyżby Duncan miał romans z Lily? Phoebe była zrozpaczona. To do niego nie pasowało. Sprawiał wrażenie mądrego, dojrzałego. Wizerunek kogoś, kto wdaje się w romans ze studentką, ryzykując swoją pozycję w college'u, jakoś do niego nie przystawał. Jednak prawda była taka, że o jego życiu emocjonalnym – od chwili śmierci żony – nie wiedziała nic. Phoebe nie czuła się upoważniona do jakiegokolwiek śledztwa w tej sprawie. Z tego, co rozumiała, nie spotykał się z kobietami, miał za sobą jedną czy dwie noce przypadkowego seksu. Może w ten sposób potraktował także noce z Lily.

Jeśli wierzyć temu, co mówiła Jen, inicjatywa leżała teraz po stronie Lily. Zadanie numer pięć – uwieść i wykorzystać... Czy Duncan domyślił się, o co w tym chodzi?

Cokolwiek się stało, uświadomiła sobie Phoebe, tylko ten romans mógł tłumaczyć zachowanie Duncana rankiem tego dnia. Krzyknęła na nią, gdy dotknęła tematu Lily i jej związków emocjonalnych.

Na odpowiedź czekało jeszcze jedno pytanie. Poważniejsze i dużo bardziej przerażające: czy to Duncan *zabił* Lily? Co właściwie wiedziała Phoebe o Duncanie? Zaczęła to analizować, jakby czytała kartki niewidzialnego notatnika. Pozostał u boku ciężko chorej żony. Na wydziale, na którym pracował, wszyscy go lubili, studenci wręcz go uwielbiali. Nawet jednak ideał może się pogubić. Jego osobowość mogła mieć ciemną stronę, możliwe, że był zdolny do różnych rzeczy – nawet tych najbardziej podłych.

I jeden szczegół, który dotąd ignorowała: bardzo interesowały go wszelkiego rodzaju morderstwa. Chętnie o nich rozmawiał i często dopytywał Phoebe o szczegóły. Może chciał wiedzieć, na jakim etapie jest policyjne śledztwo? Może dlatego tak dociekał, czego dotyczyły zapiski Hutch'a? Szukał w nich wzmianki o sobie? Nalegał też, by zrezygnowała ze śledztwa. Czyżby bał się, że Phoebe jest już zbyt blisko prawdy?

Jakie to wszystko potworne. Kochała się z Duncanem, *zależało* jej na nim. Czy to możliwe, że zabił?

Nie, niemożliwe, odpowiedziała sobie gorączkowo. W tym momencie zorientowała się, że studenci na nią patrzą. Nic dziwnego, mówiła sama do siebie, potrząsając głową.

Wzięła głęboki oddech i spróbowała odzyskać równowagę. Musi znaleźć spokojne miejsce, tam się zastanowi, co dalej. Jej biuro. Przytrzymując poły płaszcza zdrową ręką, pobięła w kierunku auli Arthur.

Tuż za rogiem biblioteki o mało co nie zderzyła się z Pete'em Tobiasem. Boże, tylko nie to, pomyślała. Tylko spotkania z tym kretyńcem teraz brakowało.

– No proszę. Phoebe Hall we własnej osobie – usłyszała. – Ktoś mógłby uznać, że mnie unikasz.

Uważaj, ostrzegła w myślach samą siebie. Rozmowa z tym człowiekiem przypominała

ucieczkę przed jadowitym wężem. Przede wszystkim Phoebe nie mogła pozwolić, by facet zorientował się, jak potwornie jest zdenerwowana.

– Co tu robisz? Myślałam, że produkujesz kolejne kłamstwa na mój temat – rzekła szorstko.

Wyglądało na to, że się zirytował.

– Na dzisiaj już koniec – powiedział. – Oczywiście, prawda okazała się znacznie ciekawsza od tego, co nam się wydawało. Studenci postanowili cię wrobić. Jak myślisz, dlaczego?

– Może dlatego że jestem uczciwa – warknęła Phoebe. – Ale odpowiedź na to pytanie zostawiam tobie. W końcu mam do czynienia z zawodowcem.

Pete zaśmiał się ironicznie.

– Jasne, przyjrę się temu. A swoją drogą, jestem zaskoczony, że nie zajęłaś się czymś dużo ciekawszym. Byłabyś godnym przeciwnikiem.

– Czym mianowicie?

– Sprawą ciała odnalezionego w Lyle. Może nie jest to wydarzenie na miarę przełomów życiowych gwiazd, ale historia smakowita. W rodzaju tych, które zawsze fascynowały Phoebe Hall.

– W życiu cię nie przebiję, Pete – powiedziała ironicznie Phoebe. – Pozwolisz, że się pożegnaj. Mam sprawę do załatwienia.

Znalazłszy się w biurze, Phoebe zamknęła oczy, próbując zebrać myśli. Nurtowało ją, dlaczego jako swoją ofiarę Lily wybrała właśnie Duncana. Nie miała z nim zajęć, mogła się na nie zapisać dopiero w kolejnym roku.

Jednak się w nim zadurzyła. Coś poszło nie tak. Czy wtedy, gdy Phoebe i Lily biegły w deszczu, a Lily wspomniła o błędach, jakie popełniła, miała na myśli *Duncana*?

Nic nie przemawiało za tym, by to Duncan *zabił* Lily. Jeśli to jednak on? To by znaczyło, że zamordował również Hutch. I śledził ją tamtej nocy, zmuszając do ucieczki przez las. Phoebe była osaczona przez beznadziejne myśli. I udręczona.

Jedno nie pozostawiało wątpliwości: gdyby Duncan chciał wrobić Blair, uczyniłby to z łatwością. Dzięki Phoebe wiedział wszystko o Szóstkach i domu na Ash Street.

Phoebe oddychała ciężko. Usiłowała się uspokoić, gdy do głowy przysłała jej jeszcze jedna, potworna myśl: Lily utonęła. Utonął Trevor. Utonęła też żona Duncana.

Musiał być sposób, by dowiedzieć się czegoś więcej. Będzie musiała ponownie porozmawiać z Amandą. Współlokatorka Lily nie wiedziała zbyt wiele o nowym mężczyźnie w życiu koleżanki, ale może, zapytana, przypomni sobie szczegóły. Phoebe zadzwoniła do Amandy i zostawiła jej wiadomość z prośbą o kontakt.

Nagrała się także Wesleyowi. Liczyła na dokładniejszy opis mężczyzny, z którym rozmawiał przy szafie grającej. Tego, który zdawał się zwracać uwagę Hutch.

Następnie Phoebe postanowiła skoncentrować się na pracy. Okazało się to jednak niemożliwe. Była zbyt rozdrażniona, robiło jej się niedobrze. Znowu miała wrażenie, że wszystko dookoła wali jej się na głowę. Spakowała więc rzeczy i zamknęła biuro. Kiedy się odwróciła, zobaczyła zmierzającą w jej kierunku Jan Wait.

– Cześć, Phoebe. Odebrałaś moją wiadomość? Jak się masz?

– O wiele lepiej niż w poniedziałek – powiedziała Phoebe. – Bardzo ci dziękuję za telefon.

Zastanawiała się, jak wyciągnąć od Jan kilka informacji na temat Duncana. Na pewno sporo o nim wiedziała – Duncan przyjaźnił się z Milesem. Jednak gdyby zaczęła wypytywać, sprawa byłaby podejrzana. I niby jak miała to zrobić? „Wiesz, przespałam się z Duncanem. Masz

może jakieś informacje, czy nie jest psychopatycznym mordercą?”.

– Mogłabym coś dla ciebie zrobić? – spytała Jan. – Nie wyglądasz na osobę, która lubi rondle, ale z chęcią podarowałabym ci – może formę do zapiekanek? Jeśli, oczywiście, ci się przyda.

– Bardzo miło z twojej strony, ale jakoś radzę sobie bez takich rzeczy. Kwestia przyzwyczajenia.

– Wiem. Rok temu Miles złamał kość w śródstopiu. To był koszmar.

– Przy okazji, jak z jego atakami duszniczy? Jest już lepiej?

– Atakami duszniczy? Nie rozumiem.

– Czy on...

– Miles nie ma duszniczy – powiedziała Jan.

Kolejne kłamstwo. Phoebe czuła się, jakby ktoś walił ją kamieniem w głowę. Musiała jakoś wybrnąć z sytuacji.

– Och, przepraszam. Coś mi się pomieszało. Słyszałam, że któryś z wykładowców na wydziale Milesa miał atak duszniczy. Byłam pewna, że to chodziło o niego. No nic, lepiej już pójdę. – W uszach jej dzwoniło. Nie mogła zebrać myśli.

– Na pewno dobrze się czujesz?

– Na pewno. Do zobaczenia.

Nie pamiętała, jak udało jej się dotrzeć do domu. Myślała tylko o tym, co usłyszała od Jan, i co to może oznaczać. Duncan kłamał – nie poszedł, by się spotkać z Milesem. W takim razie, gdzie był? Czy to on wyłączył prąd? Żeby ją przestraszyć i zniechęcić do prowadzenia śledztwa?

Dziesięć minut później usłyszała pod drzwiami szczekanie. To Dan przywiózł Ginger. Otworzyła. Dan był wysoki i trzymał Ginger pod pachą, jedną ręką – w sposób, jaki trzyma się damską torebkę. Widok pieska wywołał w Phoebe uczucia jednocześnie gniewu i ulgi.

Chociaż Dan nosił brodę, pomiędzy nim a Hutchem widać było pewne podobieństwo.

– Przykro mi, że poznajemy się w takich okolicznościach – powiedziała.

– Mnie również – odrzekł Dan, wchodząc do środka. W drugiej ręce, jak zauważyła Phoebe, Dan trzymał sporych rozmiarów torbę, w której znajdowały się rzeczy psa. Postawił torbę na podłodze, a pieska wręczył Phoebe. Kiedy tylko wzięła Ginger na ręce, poczuła, jak ciało suczki ufnie się rozluźnia.

– Nie mieliśmy wstępu do domu wujka Eda, więc sprawiliśmy jej nową wyprawkę. W torbie jest też żywność. Jakies wieści w sprawie jej nowego domu?

– Jeszcze nie, ale jedna z osób związanych ze szkołą jest chętna. – Phoebe czuła na klatce piersiowej dotyk małego psiego pyszczka.

– Naprawdę panią lubi – ucieszył się Dan. – U nas chyba nie czuła się najlepiej.

– Dziękuję. Jeszcze raz proszę przyjąć wyrazy współczucia.

Dan wyszedł. Phoebe wzięła Ginger w obie dłonie i popatrzyła jej prosto w oczy.

– Hej, malutka, masz za sobą ciężkie chwile, co? – wyszeptwała. – Obiecuję, że ze mną będzie ci dobrze.

Następnych kilka godzin poświęciła na zapoznanie Ginger z jej nowym otoczeniem. Pokazała jej mieszkanie, miseczki napełniła jedzeniem i wodą, po czym zabrała na krótki spacer w dół ulicy. Cały czas jednak myślała o Duncanie. Myśl, że mógł być mordercą, nie dawała jej spokoju.

Jeszcze dwukrotnie próbowała dodzwonić się do Wesleya, ale nic z tego nie wyszło. Zadzwoiła do Jen Imbibio. Na zdobycie informacji dziewczyna dostała dwadzieścia cztery godziny. Właśnie mijały.

– Dowiedziałaś się czegoś? – spytała Phoebe, gdy Jen odebrała.
– Nie... Nie mogą tak po prostu chodzić i pytać o szósty krąg. Muszę poczekać na odpowiedni moment.

– A co z Fortuną?

– Eeee, jeszcze nic. To znaczy nie do końca.

Phoebe aż podskoczyła.

– Co to znaczy, Jen? Jeszcze nic czy nie do końca? Nie do końca oznacza, że coś wiesz.

– Wiem, ale nie do końca. Wspomniałam coś jednej z dziewczyn, wie pani, tych ważnych. Uśmiechnęła się porozumiewawczo. Jakby wiedziała, o co mi chodzi. Ale nie jestem pewna.

Phoebe starała się zapanować nad emocjami.

– A *pani*? Czegoś się pani dowiedziała? – Jen przerwała ciszę. – Chodzi o dowody. Na to, że to nie Blair.

– Pracuję nad tym, Jen – rzekła krótko Phoebe. – Ale musimy działać razem. Potrzebuję informacji. Zadzwoń jutro. I muszę coś wiedzieć.

– Dobrze – mruknęła dziewczyna.

Phoebe znowu wyszła z Ginger, starając się utemperować jej energię. Po powrocie zadzwoniła do Duncana. Wiedziała, że o tej porze prowadzi zajęcia. Nie może z nim być do momentu, kiedy wszystko się wyjaśni.

„Cześć, to ja – nagrała się na automatyczną sekretarkę. – Przepraszam, ale dzisiaj nie dam rady się spotkać. Glenda ma do mnie ważną sprawę i spędzę wieczór u niej. Pogadamy... Pogadamy jutro, dobrze?”

Ciekawe, co powiem jutro, pomyślała. Do jutra raczej niczego się nie dowiem.

O czwartej obiecała Ginger, że wróci szybko, narzuciła płaszcz i ponczo (na wypadek zimna) i wyszła. Nigdy nie była na boisku piłki nożnej, ale wiedziała, gdzie leży. Tam, gdzie pozostałe boiska – w północnej części kampusu. Weszła na teren college’u przez zachodnią bramę i skierowała się na północ. Kilka z boisk było zajętych, dziewczęta trenowały hokej i piłkę nożną. Koło jednego z boisk stała spora grupa ludzi – to tam zapewne odbywały się rozgrywki, na które zmierzała Phoebe. Przyspieszyła kroku, nie mogąc doczekać się spotkania z przyjaciółką. Ziemia była nadal przesiąknięta wodą i Phoebe czuła, jak jej buty przemakają. Ponczo, co prawda, pomagało, jednak wiatr był bardzo silny. Phoebe zaczynała marznąć.

Zauważyła Glendę natychmiast. Stała tuż obok linii boiska, wyróżniając się wśród tłumu swoim czerwonym płaszczem. Kiedy Phoebe zaczęła iść w jej kierunku, Glenda, jakby wyczuwając obecność przyjaciółki, odwróciła się. Przebiła się przez otaczający ją tłum. Gdy podeszła do Phoebe, jej uśmiech przygasł.

– Co tym razem? – spytała z niepokojem, widząc wyraz twarzy przyjaciółki.

– Jest coraz lepiej – powiedziała zdławionym głosem Phoebe. Przedstawiła Glendzie wyniki swoich najnowszych odkryć – że w sprawę zamieszany jest Duncan, nie Tom. Glenda pokiwała głową, krzywiąc się.

– O rany. Jesteś pewna?

– To dane z bazy. Oczywiście, nie mam dowodu na to, że mieli romans.

– Zakochałaś się, prawda, Fee?

Phoebe smutno wzruszyła ramionami.

– Zakochanie to na razie zbyt duże słowo. Na szczęście – powiedziała. – Ale stał mi się bliski. Zdecydowanie. Tylko że nie chodzi tu tylko o romans. Bardziej o to, co *jeszcze* mogło się zdarzyć.

Wiatr zburzył włosy Phoebe, które zasłoniły jej oczy. Zebrała kosmyki z twarzy i założyła

je za uszy.

– Muszę cię o coś spytać, Gee – powiedziała. – Kiedy po raz pierwszy wspomniałam ci o Duncanie, zamilkłaś na chwilę. Dlaczego?

Glenda nie odpowiedziała od razu. Widać było, że szuka właściwych słów. Jej włosy również tańczyły wokół głowy. Przytrzymała je odruchowo.

– Nie dlatego, żebym słyszała o nim coś *złego* – powiedziała po chwili. – Oczywiście bym ci wtedy powiedziała. Posłuchaj, ten gość ma tutaj nieskalaną opinię. Nie tylko dzieciaki za nim przepadają, odnosi też sukcesy naukowe. Jednak kiedy jego żona była chora – no cóż, to tylko plotki – podobno miał kogoś.

– Chodziło o studentkę? – drążyła Phoebe.

– Nie – mówiła dalej Glenda. – O tym też bym ci powiedziała. Podobno to był ktoś z miasta. Wiesz, jacy są ludzie. Zawsze gadają. Może Duncan potrzebował pomocy, nie radził sobie z sytuacją. Ale to, w jaki sposób zmarła... Koszmar.

– Myślisz, że mógł ją zabić? – w głosie Phoebe brzmiała desperacja.

– Wtedy tak nie myślałam. Ani też pięć minut temu. Myślałam o tym w sposób, jak mówiłam – że to był koszmar. Jednak teraz...

– Chyba zaraz zwymiotuję. – Phoebe była biała jak ściana.

– Dzwonimy na policję? – zapytała Glenda.

– *Nie!* – ostro zareagowała Phoebe. – Przepraszam. Nie chcę, żeby był podejrzany. Aż do chwili, zanim nie zbiorę więcej informacji.

Za ich plecami rosły emocje. Szum tłumu stopniowo zamieniał się w głośny doping. Finałowy, zwycięski dla jednej ze stron gol publiczność powitała głośnym rykiem.

Rozmawiające kobiety odruchowo zwróciły głowę w stronę boiska. Na jednej z ławek przeznaczonych dla graczy rezerwowych Phoebe zauważyła Rachel. Rachel chodziła do niej na zajęcia, kiedyś widziała ją też u boku Jen. Szły gdzieś razem.

– Chyba muszę wracać – powiedziała Glenda.

– Widzisz tę blondynkę na ławce rezerwowych? – spytała Phoebe. – Nazywa się Rachel Blunt. Wiesz o niej coś więcej?

– Tylko tyle, że ma kontuzję i zwolnienie na kilka dni. Dlaczego pytasz?

– Ona... Nie teraz. Później ci powiem. Będę nadal drążyć.

– Phoebe, uważaj na siebie.

– Oczywiście. Mam dla ciebie coś jeszcze.

Z ogromną przykrością Phoebe opowiedziała Glendzie o tym, co dzień wcześniej usłyszała w jej domu.

Przyjaciółka pokręciła głową z niesmakiem.

– Myślisz, że chodzi o kobietę?

– Rozmowa nie wyglądała na przyjazną – stwierdziła Phoebe. – Wspominałaś, że Mark miał kłopoty z hazardem. Chodziło o gry komputerowe. Może o to chodzi, a coś, co Mark ma dostarczyć, to pieniądze.

– Gnojek. Myślałam, że ma to za sobą.

Phoebe objęła Glendę zdrowym ramieniem.

– Odezwę się później. Jeśli będę mogła w czymś pomóc, daj znać – po tych słowach Phoebe skierowała się w kierunku zachodniej bramy. Ponownie spróbowała dodzwonić się do Wesleya. I znowu nic.

Schowała telefon do torebki i rozejrzała się. Dwa pozostałe boiska, wcześniej zajęte, były już puste. W oddali widać było tylko piłkarzy wracających po treningu do szatni. Szła wzdłuż zachodniego krańca zagajnika i nagle uświadomiła sobie, że wokół niej praktycznie nikogo nie

ma. Jest naprawdę sama. Otuliła się ponczem i przyspieszyła kroku.

Po kilku minutach przystanęła, żeby odetchnąć. Wtedy usłyszała za sobą kroki. Obróciła się. W jej kierunku zbliżał się jakiś mężczyzna. Był w czarnej kurtce, twarz prawie w całości zakrywał mu szalik. Phoebe знаła ten chód. Tak chodził Duncan. Śledzi mnie, pomyślała i zamarła na krótką chwilę, niepewna, jak ma się zachować. Odruchowo zrobiła krok w tył.

– Phoebe, poczekaj – usłyszała głos Duncana.

– Co tu w ogóle robisz?

Ton, jakim Phoebe zadała to pytanie, stanowczo nie był miły.

– Co *ja* robię? – spytał. – Byłaś na meczu, więc postanowiłem pogadać. Co się dzieje?

Dlaczego nie zobaczymy się wieczorem?

– Chyba mówiłam – mruknęła Phoebe. – Muszę zobaczyć się z Glendą.

– Nieprawda. – Duncan podszedł bliżej. – Coś się stało. Wiem.

Phoebe popatrzyła w dal ponad ramieniem Duncana. Przed jednym z akademików grupa chłopców grała we frisbee, przekrzykując się i obrzucając dowcipnymi uwagami. Wiedziała, że konfrontacja z Duncanem będzie błędem, ale nie mogła się powstrzymać.

– Kłamałeś – wyrzuciła z siebie. – Oszukałeś mnie. *Znaliście się* z Lily, prawda?

Duncan nie odpowiedział. Patrzył tylko na Phoebe z wyrazem bólu w oczach.

– Niech będzie – odezwał się w końcu. – Zналиśmy się. Ale to nie tak, jak myślisz.

Phoebe, co prawda, zdążyła się już oswoić z myślą, że Duncan kłamał w sprawie znajomości z Lily, jednak jego słowa zraniły ją.

– Mieliście romans? – zapytała.

– Skądże.

– *Naprawdę?*

– Czy na serio myślisz, że mógłbym się wplątać w romans ze studentką? – Duncan był oburzony.

– Lily co najmniej jednej osobie mówiła, że zakochała się w którymś z nauczycieli. Zeszłej wiosny byli w jednym komitecie.

Duncan zacisnął usta, jakby bał się powiedzieć za dużo.

– Dobrze. Coś *było* – powiedział po chwili.

Serce Phoebe prawie przestało bić. Znowu popatrzyła ponad ramieniem Duncana. Grający we frisbee chłopcy zniknęli.

– Spałeś z nią? – spytała.

– Przecież powiedziałem, że nie. – Duncan był coraz bardziej zły. Nerwowo poprawiał włosy. – Lily miała do mnie słabość, po części to moja wina. Pozwoliłem jej się do siebie zbliżyć, gdy razem działaliśmy w komitecie. Było mi jej szkoda z powodu tej historii z chłopakiem. Poza tym imponowało mi jej zaangażowanie w walkę o prawa zwierząt. Kilka razy była u mnie w gabinecie i rozmawialiśmy o tym. Któregoś dnia zadzwoniła i zaproponowała piwo po zajęciach. Myślałem, że chodzi o spotkanie całego komitetu, ale była tylko ona. Zaczęła ze mną flirtować. Wtedy się usztywniłem. Nawet gdybym był zainteresowany – a *nie byłem* – nie ryzykowałbym kariery w college'u.

– To wszystko? – drażyła Phoebe.

Nie odpowiedział. Wziął głęboki oddech.

– Nie – powiedział w końcu. – Było jeszcze coś. Mniej więcej dwa tygodnie potem wpadłem na nią na jednym z wiejskich targów. Jej obecność w tym miejscu wydawała mi się dziwna. Dopiero później uświadomiłem sobie, że być może wspomniałem wcześniej, gdzie się wybieram i Lily pojawiła się tam specjalnie. Zaproponowała, żebyśmy napili się kawy. Stało tam kilka plastikowych stolików, przy których można było usiąść. Poczuję się postawiony pod ścianą i dla świętego spokoju usiadłem z nią przy stoliku. Spokojnie sobie siedziałem, kiedy Lily nagle wstała i ni stąd, ni zowąd pocałowała mnie.

Duncan potrząsnął głową, jakby wspomnienie tej chwili do tej pory sprawiało mu przykrość. Czyżby aż tak grał, pomyślała Phoebe.

– Powiedziałem, że oczywiście pochlebia mi jej zainteresowanie – ciągnął Duncan. – Ale że nie uważam takich związków za właściwe. Przepraszała. Tłumaczyła się, że ma kłopoty, jest zagubiona. Było mi jej szkoda. Wiedziałem, że ciągle cierpi z powodu chłopaka. Wtedy widziałem ją ostatni raz – oprócz kilku innych razy, gdy mignęła przy wyjściu z budynku, gdzie pracuję. Jeśli mówiąc o mężczyźnie, w którym się zakochała, miała na myśli mnie, to nie przypuszczałem, że aż tak się zaangażowała.

– Dlaczego kłamałeś? Powiedziałeś, że jej nie znasz. – zapytała Phoebe.

– Nie byłem zachwycony perspektywą wciągania mnie w to wszystko. Ona utonęła. Podobno się we mnie kochała. Miałem o tym rozpowiadać na prawo i lewo? Nawet z Milesem o tym nie rozmawiałem.

Był wiarygodny. Ale poprzednio, kiedy kłamał, też był... Phoebe sama już nie wiedziała,

czy ma mu wierzyć, czy nie.

– Posłuchaj, Phoebe – powiedział, gdy milczała. – To dlatego dziś rano zareagowałem jak krety, kiedy wspomniałaś, że Lily miała romans. Ponieważ jesteśmy blisko, chciałem od razu odwołać to, co mówiłem wcześniej. Zazwyczaj nie kłamię.

– Czyżby? – rzekła przeciągłym tonem Phoebe. – Jednak zdarza ci się kłamać. Mówiłeś, że Miles miał atak dusznicy, ale dzisiaj rozmawiałam z Jan. Nic nie wie o żadnej dusznicy.

– Rozmawiałaś z Jan?

– Spytałam, jak się czuje Miles.

Duncan uniósł ręce w bezsilnym geście.

– Powinienem był cię uprzedzić. Miles nie powiedział Jan o dusznicy. Nie chciał jej martwić. Jeśli mi nie wierzysz, zadzwoń do niego.

Wyglądało na to, że Duncan ma dość. Phoebe jednak wiedziała, że kłamca nigdy nie jest zachwycony, gdy się go przyłapie. Zmyślają, a winę zrzucają na ciebie. I jeszcze są źli!

– A dlaczego powiedziałaś, że idziesz zobaczyć się z Bruce'em?

– Co?

– Mówiłeś, że idziesz pogadać z Bruce'em.

– Na miłość boską, przejęzyczyłem się. Pracuję z nimi na co dzień, mogę się pomylić. Swoją drogą, co czego zmierzasz?

– Nic do niczego nie pasuje, a ty chcesz, bym uwierzyła, że między tobą i Lily nic nie było. Potem znajdują ją martwą. Hutchę też.

– Chcesz przez to powiedzieć, że coś jej *zrobiłem*? Że to ja ją *zabiłem*?

Opanuj się, rozkazała sobie w myślach Phoebe. Ani kroku dalej.

Nie wytrzymała. Nerwy jednak jej puściły.

– A *zabiłeś*? – zapytała zmęczonym nagle głosem.

Duncan opuścił ręce wzdłuż ciała, pokiwał głową z niesmakiem, zacisnął usta.

– Phoebe, nie mogę w to uwierzyć – powiedział, kręcąc głową. – Myślałem, że coś nas łączy. Coś dobrego.

Obrócił się gwałtownie i po chwili zniknął wśród drzew.

Z nami koniec, pomyślała Phoebe. Niezależnie od tego, jaka jest prawda. Sprawa zamknięta.

Czuła się przytłoczona – przez smutek, żal, ale też przez gniew, że Duncan kłamał. Bała się, że, jeśli skłamał kiedyś, mógł kłamać również teraz. Chciała mu wierzyć, ale zżerały ją wątpliwości.

Poczekala, aż Duncan zniknie jej z oczu i ruszyła w swoją stronę. Gdy dotarła do bramy, w głowie jej huczało, a rękę przenikał przejmujący ból.

Była na Hunter Street, gdy zadzwonił telefon. Wesley. Nareszcie.

– Coś się stało? – był wyraźnie podekscytowany. – Odebrałem wiadomości.

– Przepraszam, że tak wydzwaniałam – powiedziała Phoebe. – Pilnie chciałam z tobą porozmawiać.

– Ale wszystko w porządku?

– Jak najbardziej. Potrzebuję twojej pomocy. A dokładnie – nieco więcej informacji na temat mężczyzny, z którym w barze „Pod Kocimi Ogonami” rozmawiałaś obok szafy grającej.

– Mężczyzny? A po co? Przecież już aresztowali dziewczyny, które to zrobiły.

– Może nie. Mam wątpliwości co do tego, że to one.

– O, naprawdę? Myśli pani, że to ten facet, z którym rozmawiałem?

– Nie wiem, ale chciałabym wrócić do tego wątku. Dasz radę spotkać się ze mną dziś wieczorem? Powiem ci, o co chodzi.

– Niech pomyślę – powiedział Wesley. – Jestem jeszcze w pracy, potem wyjeżdżam. Do Lyle mi nie po drodze – umilkł na chwilę, po czym zaproponował. – Może podjedzie pani do sklepu? To niedaleko, dwadzieścia, dwadzieścia pięć minut na zachód od Lyle.

Phoebe nie była zachwycona perspektywą wyprawy. Wkrótce miała zapaść ciemność. Jednak zależało jej na spotkaniu z Wesleyem. Takie spotkanie to dobra okazja do konkretnej rozmowy, notatek. Okazja, by zobaczyć zdjęcia.

– Dobrze – zgodziła się. – Do której pracujesz?

– Miałem wyjść za pół godziny. Ale jeśli się pani pospieszy, zaczekam.

Phoebe nie bardzo wiedziała, jak trafi do sklepu Wesleya, ale musiała się z nim zobaczyć. Nie można było tego odkładać. Zapisała adres. Teraz musiała gnać do domu, szybko wyprowadzić Ginger i wskoczyć do samochodu. Musiała też ściągnąć z Internetu zdjęcie.

Psina nie mogła nacieszyć się jej widokiem i omal nie wskoczyła jej na ręce. Phoebe poświęciła jej kilka sekund, pieszcząc pieska i karmiąc przysmakami, które przywiózł Dan. Potem weszła błyskawicznie na internetową stronę college'u i ściągnęła zdjęcie Stocktona. Istniało prawdopodobieństwo, że Lily – odrzucona przez Duncana – zainteresowała się z kolei Stocktonem. I tak naprawdę nie wiadomo, o kim w końcu mówiła.

Nie upłynęło dziesięć minut, a Phoebe siedziała w samochodzie. Jednak była już spóźniona. Wrzuciła adres docelowy do GPS-a i wyjechała na drogę. Na szczęście do sklepu Wesleya jechało się bocznymi drogami, a na nich panował niewielki ruch. W miarę jak droga uciekała jej spod kół, Phoebe czuła się coraz bardziej nieszczęśliwa. Miała przemoczone buty, łokieć potwornie ją bolał, o emocjach nie wspominając. Ją z Duncanem *łączyło* coś dobrego. Ale się skończyło. Phoebe czuła się jak zbity pies.

Siedziba niewielkiej firmy Wesleya leżała na krańcu małej miejscowości o nazwie Springville. Phoebe była na miejscu piętnaście minut później, niż się umawiali. Modliła się, by Wesley na nią czekał. Kiedy skręciła z drogi głównej na parking przed sklepem, zobaczyła tabliczkę z napisem „Zamknięte”. Na parkingu stał jednak jeszcze jeden samochód.

Wysiadła. Robiło się coraz chłodniej. Po lewej stronie widziała duży, ceglany budynek. W zapadającym zmierzchu widać było zarysy strumienia. To ten, o którym wspominał Wesley. Niegdyś poruszał młyńskie koło. W powietrzu unosił się słodki zapach, jednak Phoebe nie była w stanie określić, co tak pachnie.

Pobiegła w kierunku bramy wejściowej. Zorientowała się, że zamiast jednego na terenie firmy są dwa budynki. Jednym z nich był rodzaj garażu – utworzonego w starym młynie. Dalej stał nowszy, o wiele brzydszy – zapewne magazyn środków do pielęgnacji trawników. W głównym budynku paliło się światło, Phoebe zatem otworzyła drzwi wejściowe.

Wchodząc, za ladą ogromnego sklepu zobaczyła Wesleya. Miał na sobie spodnie khaki, zapinaną na guziki koszulę i pulower. Tu zapach, który czuła na zewnątrz, był jeszcze silniejszy.

– Bardzo dziękuję, że poczekałeś – przywitała się Phoebe. Szybko rozejrzała się po sklepie. Miał dwa piętra – parter wypełniały artykuły związane z paszą dla zwierząt. Na piętrze stał sprzęt specjalistyczny, różnego rodzaju pojemniki oraz worki. Wszystko wskazywało na to, że tu właśnie była pakownia.

– Nie ma problemu – odpowiedział Wesley. – Co ci się stało w rękę?

– Stłukłam sobie kość łokciową. Nic poważnego.

Wesley potarł czoło. Phoebe zrozumiała, że się spieszy. Starał się być miły, ale miał swoje sprawy.

– Nie zajmę ci dużo czasu. Swoją drogą, co tak pachnie?

– Pewnie czujesz melasę. Używamy jej do słodzenia paszy. W piwnicy stoją całe kadzie. Phoebe wyjęła notes. Wtedy zadzwonił telefon stojący na ladzie sklepowej.

– Odbiorę, dobrze? – powiedział Wesley. – To klient.

Chłopak podniósł słuchawkę. „Springville Feed Company” – przedstawił się i zagłębił w rozmowie na temat dzikiej trawy. Podczas gdy rozmawiał, wzrok Phoebe błędził po sklepie.

Na parterze, na samym środku, część pomieszczenia była odgradzona drewnianym płotkiem. Widniało za nim ogromne, młyńskie koło. Phoebe podeszła bliżej i z ciekawością przyjrzała się ogromnemu otworowi w ziemi, który z łatwością mieścił zarówno młyńskie koło, jak również kilka drewnianych przekładni. Uświadomiła sobie, że kiedyś płynęła tędy woda, wprawiając całą maszynę w ruch. Obecnie jednak koło tkwiło w miejscu – suche i nieruchome.

Usłyszała, jak Wesley żegna się z rozmówcą. Wróciła do miejsca, gdzie stał chłopak.

– Ciekawe, prawda? – zapytał, wychodząc zza kontuaru i podchodząc do Phoebe. – Woda wprawiała w ruch młyńskie koło, koło poruszało przekładniami, a to kamienie, które miały ziarno.

Ręką wskazał jej miejsce po lewej stronie. Obróciła głowę w tym kierunku. Na podłodze leżał ogromny, okrągły kamień.

– Naprawdę ciekawe. – Phoebe udawała zainteresowaną, ale nie miała głowy do rozmów o młynach. – Przez telefon wspomniałam, że chciałabym pomówić o mężczyźnie, który pojawił się koło szafy grającej. Twoim zdaniem miał około czterdziestki i nie wyglądał na miejscowego. Pamiętasz coś jeszcze?

Wesley wolno potrząsnął głową.

– Nie bardzo – przyznał. – Może jeszcze to, że był pewny siebie. Zadowolony. To wszystko.

Phoebe wyjęła z torebki zdjęcie Stocktona. Nie było zbyt wyraźne, ale lepszego nie udało jej się znaleźć.

– To przypadkiem nie ten?

– Kojarzę go, ale to nie on – powiedział Wesley. – Tamten był brunetem. Miał ciemne włosy i ciemne oczy.

Phoebe schowała zdjęcie do torebki. Po chwili wahania wyciągnęła telefon. Boże drogi, nie mogę uwierzyć, że to robię.

– Może ten? – pokazała Wesleyowi zdjęcie Duncana, które zrobiła, gdy w ostatni piątek kręcił się po kuchni.

– O! – powiedział Wesley po chwili.

Phoebe wstrzymała oddech.

– Co? – spytała nieomal szeptem.

– On uczy w Lyle. Znam go.

– Wtedy, koło szafy, to był on?

– Nie. Na pewno nie. – Wesley zmrużył swoje szare oczy. – Pamiętam go ze szkoły.

Mała rzecz, a cieszy, pomyślała Phoebe. Schowała telefon. Wesley zapytał:

– Myślisz, że to ten facet?

– Tak. To musiał być ktoś, kto znał dobrze teren i wiedział o Szóstkach, że łatwo będzie skierować na nie podejrzenie. Prawdopodobnie ktoś związany z college'em. Może niekoniecznie akurat mężczyzna, z którym rozmawiałaś. Ale to możliwe. Mogę mieć jeszcze jedną prośbę?

– Długo to zajmie? – głos Wesleya brzmiał coraz mniej przyjaźnie. Wyraźnie tracił cierpliwość.

– Kilka minut. I kończymy, przysięgam. – Phoebe wyjęła z torebki kopię notatek Hutcha. – To są notatki, które Hutch zrobił po rozmowie z tobą po tym, jak zgłosiłeś wrzucenie do rzeki. Mówił, że po ponownym przejrzaniu znalazł w nich coś nowego, ważnego. Nigdy jednak nie

powiedział, co to było. Nie zdążyliśmy porozmawiać. Mógłbyś rzucić na nie okiem? Może coś ci wpadnie do głowy.

Wesley wzruszył ramionami, zanim jeszcze spojrział na dokumenty, potem jednak szybko – i pobieźnie – przebiegł oczami tekst.

– Przykro mi – powiedział. – To tylko zapis tego, co mówiłem.

– Nurtują mnie podkreślone fragmenty. – Phoebe nie dawała za wygraną. – Muszą coś znaczyć. Hutchinson czytał notatki, które zrobiłam po naszym pierwszym spotkaniu, i podkreślił identyczne fragmenty. To niewiarygodne, ale oba komplety notatek są prawie takie same. Te same szczegóły, prawie słowo w słowo. To...

Nagle Phoebe olśniło. Prawda zaczęła wyłaniać się powoli, ale nieubłaganie. Było tak, jakby w jej głowie otworzyła się jakaś klapka. *Takie same*. Obie wersje zeznań Wesleya były identyczne. Usłyszała to samo, co Hutch – *po roku*. Przypomniała sobie słowa Glendy: „Historia kłamcy brzmi zawsze *zbyt* prawdziwie”.

Phoebe wreszcie zrozumiała, co zwróciło uwagę Hutch. Wesley tę historię zmyślił. Ponieważ to on był mordercą. Nie była pewna, co nim powodowało, ale wiedziała już, że to on.

Zmusiła się do uśmiechu, czuła jednak, że uczucia ma wypisane na twarzy. Czy się domyśla? – myślała z przerażeniem. Czy wie, że ja wiem?

– No dobrze – powiedziała słabym głosem. – Jeśli nic nie przychodzi ci do głowy, dam ci już spokój. Musisz zamknąć sklep – mówiąc te słowa, Phoebe patrzyła w dół. Chowała notatki do torby, z nadzieją że Wesley nie zauważył, jak się boi. Ręce jej się trzęsły.

– Dokąd teraz jedziesz? – spytał Wesley. Phoebe podniosła wzrok. Na twarzy chłopaka gościł złośliwy uśmiech.

– Do domu. Planowałam odpocząć. Może poczytać... – Była tak przerażona, że mogła mówić tylko szeptem. – Dobranoc.

– Naprawdę myślisz, że cię wypuszczę?

Phoebe otworzyła usta, ale nie wydobył się z nich żaden dźwięk.

– Pojęłaś, o co chodzi, prawda? – powiedział. – Przecież widzę, że na to wpadłaś.

A w każdym razie podejrzewasz.

– Nie wiem, co masz na myśli – odparła Phoebe.

Zaczęła iść w kierunku wyjścia. Wesley zagroził jej drogę.

– Lepiej nie wyprowadzaj mnie z równowagi – powiedział niskim i ostrym głosem. – Jak ten stary dziadek.

– Nic ci nie zrobię. – Phoebe nadal nie mogła się zdobyć na więcej niż szept. – Obiecuję.

– Cholerny dziadyga. – Wesley kiwał teraz głową w przód i w tył jak nakręcony. –

Myślał, że jest taki mądry. Każdego by wkurzył.

Zagadaj go, powtarzała w myślach Phoebe. Zanim wymyślisz, co dalej.

– Czy Hutch... Hutch dzwonił do ciebie? Pytał o notatki?

– Mówiłem *ci* przecież, że tak. W ten sposób naprowadziłem cię na myśl, że mogliśmy też rozmawiać o Blair. Ale był upierdliwy i telefon mu nie wystarczył – syknął Wesley. – Tydzień temu w sobotę pojawił się w sklepie. Byłem akurat na zewnątrz, koło magazynu, gdy zajechał swoim truckiem. Poznałem go od razu. Powiedział, że żałuje, iż nie potraktował poważnie mojej historii o przygodzie nad rzeką i że chce to naprawić. Pokazał mi moje zeznanie sprzed roku, a potem wyciągnął *twoje* notatki. I nagle zaczął odstawiać pieprzonego Sherlocka Holmesa. Zapytał tym swoim irytującym, ironicznym tonem, czy nie wydaje mi się zabawne, że szczegóły w obu relacjach tak bardzo się pokrywają. Powiedział, że gdy ktoś mówi prawdę, takie rzeczy się nie zdarzają – wersje zeznań zawsze będą się choć trochę różnić. Ale kłamcy zawsze powtórzą wszystko słowo w słowo – ponieważ mają to przygotowane. I zmyślone. Potwornie

zadziałał mi na nerwy. Oczywiście o nic mnie nie oskarżał, dawał tylko do zrozumienia, jak jest bystry, a musi rozmawiać z głupkiem.

No i powiedział, że mnie sprawdził. I że w college'u na zajęcia z kilku przedmiotów chodziliśmy razem z Lily Mack.

– Z kilku? – Phoebe pamiętała, że w rozmowie z nią Wesley wspominał o *jednych*.

– Dokładnie z trzech. Byłem z tą dziwką na trzech kursach. Zakochałem się w niej do szaleństwa. Ostatniej jesieni zaczęliśmy się wymieniać notatkami, kilka razy byliśmy na kawie. Rozumiesz, te sprawy. Coś między nami było. I nagle ona zaczyna się spotykać z tym kretynem, Trevorem. Próbowałem jej uświadomić, że to palant, ale nie dotarło. Postanowiłem zatem usunąć go z pola widzenia. Czekałem tylko na właściwy moment.

Do przerażonej Phoebe pomału docierała prawda. Klocki układanki zaczynały do siebie pasować.

– Zanim zabiłeś Trevora, sam wskoczyłeś do rzeki. Chciałeś, by wszyscy myśleli, że jego utonięcie wpisuje się w pewną serię.

– Dobrze, co? Utonięcia już się zdarzały. Czytałem w Internecie.

– W jaki sposób go zabiłeś?

– To było takie łatwe. Aż nieprzyzwoicie. Wiedziałem, że chłopak lubi się zabawić i gustuje w barach w mieście. Kilka miesięcy czekałem i pewnego wieczoru wpadłem na niego w pubie „Pod Kocimi Ogonami”. Staliśmy razem przy barze. Wrzuciłem mu do szklanki narkotyk. Potem zapytałem, czy nie ma ochoty na jakieś zioło. Nie przepadał za mną i za plecami nazywał matole, ale *takiej* oferty nie mógł odrzucić. Poza tym nie bardzo już kojarzył, co się dzieje. Pojechaliśmy na parking nad rzeką, tak żeby nikt nas nie widział. Potem sprawa była prosta. Do rzeki było niedaleko.

– Spotkaliście się na parkingu naprzeciwko Big Red Barn?

– Tak. Tam go wepchnąłem do rzeki. Bez większego wysiłku.

– Ale wtedy nikt nie znalazł ciała.

– Wiem. Miałem szczęście, co? Poszło jak po maśle. Wszyscy myśleli, że zabrał się i uciekł. I mieli go za jeszcze większego dupka.

– Ale Lily nadal nie chciała się z tobą spotykać.

– Na początku była zbyt załamana. Postanowiłem poczekać do jesieni – liczyłem na to, że przez wakacje zapomni o Trevorze. Na początku semestru powiedziałem jej, co czuję, ale ona nie dawała mi szans. Mogłem liczyć wyłącznie na pieprzoną przyjaźń.

Wymawiając słowo „przyjaźń”, Wesley prychnął pogardliwie, jakby to było coś obrzydliwego. Phoebe nie mogła na niego patrzeć. Wiedziała jednak, że musi. Niech mówi jak najdłużej. Niech myśli o sobie i swojej zawiedzionej miłości, a nie o niej.

– I wtedy zabiłeś też Lily? Ponieważ cię nie kochała?

– Nie. – Wesley zazgrzytał zębami. – Zaczęła coś podejrzewać.

– Co?

– Że to ja zabiłem Trevora – zapienił się Wesley. – Niby co innego, do cholery?

– W porządku. Już łapię. – Phoebe starała się oddychać spokojnie. Zapanować nad strachem.

– Starałem się cały czas mieć ją na oku. Liczyłem na to, że w końcu zorientuje się, co traci. Śledziłem ją tej nocy, gdy poszła do baru „Pod Kocimi Ogonami”. Zaparkowałem samochód i wszedłem za nią kilka minut później – tak by wyglądało na przypadek. Kupiłem piwo i zacząłem kręcić się w pobliżu, ale nie zaczynałem jej. Do baru weszło kilku kolesi, którzy znali Trevora i byli z nim w barze tamtego wieczoru, kiedy widziano go ostatni raz. Lily zaczęła z nimi rozmawiać i wyraźnie posmutniała. Słyszałem, jak pytała ich, czy Trevor mówił coś

o powodach, dla których chciał uciec. Nagle jeden z chłopaków ni stąd, ni zowąd popatrzył na mnie i zapytał: „Rozmawialiście wtedy, prawda, Hines? Mówił coś?”. Chyba to wzburzyło Lily. Szybko dokończyła swoje piwo i wyszła. Wskoczyłem do samochodu, dogoniłem ją i namówiłem, żeby wsiadła, to porozmawiamy. Chciała, oczywiście, wiedzieć, dlaczego nie mówiłem jej o swojej rozmowie z Trevorem. Powiedziałem, że nie chciałem zmartwić jej tym, co mi wyznał. Lily usłyszała ode mnie, że Trevor bał się ją zranić, ale że jej nie kochał i dlatego postanowił zniknąć.

W miarę opowiadania Wesley był coraz bardziej podekscytowany. Kręcił głową tak gwałtownie, jakby gryzła go koszula.

– Widziałem, że Lily nie bardzo mi wierzy. Wiedziała, że koleś taki jak Trevor nigdy by ze mną nie rozmawiał, nie mówiąc już o zwierzaniu się. Przyszło mi do głowy, że może pójść na policję, a oni wygrzebią w moim samochodzie DNA tego barana. Wiesz, co jest w tym wszystkim zabawne? Był moment, kiedy wydawało mi się, że po prostu wysiądzie z samochodu, a ja nie będę mógł nic zrobić. Ale ona chciała poznać prawdę – taki mały detektyw amator jak ty. Więc rozmawialiśmy dalej. Miałem przy sobie termos z kawą i zaproponowałem, żebyśmy się napili. Wrzuciłem jej do kawy narkotyki. Kiedy wepchnąłem ją do rzeki, była kompletnie nieprzytomna.

Phoebe stanęła przed oczami scena, jak ciało Lily wpada do wody. Zrobiło jej się niedobrze. Przynajmniej utopiła się od razu. Nie musiała walczyć o życie w ciemnej, mulistej głębi.

– A Hutch? – zapytała Phoebe. – Też musiał umrzeć?

Wesley potrząsnął głową.

– Nie miałem pomysłu, co zrobić z dziadkiem – powiedział. – Po tym, jak tu był i odjechał, *oszalałem*. Wiedziałem, że wcześniej czy później doniesie na policję. Nie było czasu do stracenia. Historia o tych głupich Szóstkach, którą usłyszałem od ciebie, spadła mi jak z nieba. Dokładnie to sobie obmyśliłem. A potem złożyłem dziadkowi wizytę. Nie wiedziałem od razu, co zrobić, ale on nie dał mi wyboru.

Chłopak ponownie potrząsnął głową.

– Chcesz być porządny – powiedział. – Ale ludzie ci nie dają. Jak Lily. Nie dała mi szansy.

Spojrzał na Phoebe.

– Albo jak ty – dodał.

– Ale...

– Nie odpuszczasz. Tylko wężysz i wężysz. Myślałem, że po akcji ze zgaszonymi światłami na wydziale nauk ścisłych przestraszysz się i dasz spokój. Nawet kiedy złapali dziewczyny, nie masz dosyć.

Rozejrzał się, jakby z niepokojem. *Teraz!* – krzyknęła w duchu Phoebe. Odwróciła się i rzuciła w kierunku drzwi. Zdażyła zrobić dwa kroki, gdy Wesley złapał ją za włosy i gwałtownie pociągnął do tyłu. Jęknęła z bólu.

– Dokąd to, krowo? – wrzasnął. Stał za nią, trzymając jej włosy w zaciśniętej garści.

– Wesley, nie rób tego. Proszę – wyszeptwała. – Masz jeszcze szansę.

– Na co? Na areszt? – syknął. – Może cię zdziwię, ale nie mam ochoty.

– I tak cię złapią. Ja... powiedziałam, gdzie jadę. Mój facet wie.

– Wątpię. Wiem, kto to. Ten gość w telefonie. Kilka pieprzonych minut temu myślałaś, że to on jest mordercą.

Zaczęła się szarpać, próbując wyrwać się chłopakowi. Jednak jedną ręką trzymał jej włosy coraz mocniej. Drugą z całych sił uderzył Phoebe w twarz. Głowa poleciała jej do tyłu.

Wtedy puścił ją i upadła – prosto na złamany łokieć. Rękę przeszył palący ból.

A on znowu złapał ją za włosy i zaczął wlec po zakurzonej podłodze.

– Musisz mi wybaczyć – wysapał. – Ale naprawdę się spieszę. Umówiłem się i muszę się pojawić. Inaczej to będzie podejrzone. Później się z tobą rozprawię.

W końcu puścił Phoebe. Leżała tuż obok drewnianej barierki odgradzającej dziurę w ziemi. Czyżby planował ją przywiązać? Jeśli tak, może uda jej się uwolnić. Zawsze to jakaś szansa.

Jednak Wesley zaczął ją podnosić – czuła, jak chwytają ją chude ramiona.

– Wesley, proszę – jęczała. – Błagam, nie.

Usiłowała stopami odepchnąć się od barierki, ale bezskutecznie.

Wesley podniósł ją bez trudu. Chwilę później leciała jak kamień w powietrzu.

Nie zdążyła nawet pomyśleć, gdy jej plecy odbiły się od czegoś twardego. Usłyszała, jak gips uderza o twarde podłoże, na twarzy poczuła podmuch powietrza. Spadała dalej. Po sekundzie znalazła się na samym dole. Upadła twarzą w dół, a lewa ręka bezwładnie uderzyła o ziemię tuż obok jej twarzy. Phoebe czuła, jak każdy centymetr jej ciała przenika ostry, potworny ból.

Próbowała oddychać, ale przychodziło jej to z trudem. Wydawało się, że ogromny wąż owinął się wokół jej klatki piersiowej i tamował oddech. Ale żyła. Wiedziała, że z góry patrzy Wesley, w nadziei iż zabiła się na miejscu.

Po chwili usłyszała jego kroki – szybko i zdecydowanie zmierzające w kierunku wyjścia z budynku. Uświadomiła sobie, że wychodzi. Spróbuje zatem uciec. Phoebe otworzyła oczy i rozejrzała się dokoła. Przed sobą miała ścianę. Gdzieś musiały być punkty zaczepienia, dzięki którym ludzie schodzili w dół.

Nagle wszystkie światła zgasły. Zapanowała głęboka ciemność. Boże, tylko nie to, pomyślała Phoebe. Już kiedyś była w podobnej sytuacji. Tym razem jednak nikt jej nie uratuje. Weź się w garść, powtarzała w duchu.

Po kilku minutach usłyszała stłumiony dźwięk silnika przejeżdżającego nieopodal samochodu. Potem zapadła cisza. Wesley na pewno zrobi wszystko, by wrócić jak najszybciej. Musiała się spieszyć. Musiała wydostać się stąd *natychmiast*.

Postanowiła wstać. Jednak nic z tego. Nogi jej nie słuchały. Phoebe była przerażona, co, jeśli są złamane lub dotknął ją paraliż? Jednak po kilku próbach poruszyła nimi. To, z czym miała prawdziwy problem, to lewa ręka. Ból był nie do zniesienia, jakby ktoś wbijał jej gwoździe prosto w kość.

Phoebe próbowała wstać, podpierając się prawą ręką. Udało jej się lekko unieść ciało. Podparła się prawym kolaniem, a następnie bardzo powoli przekręciła ciało, tak by przybrała pozycję siedzącą. Zebrała wszystkie siły, by się podnieść i stanąć. Jej prawe ramię w ciemnościach dotknęło czegoś o dziwnym kształcie. Czegoś drewnianego. Phoebe uświadomiła sobie, że to jedna z przekładni po prawej stronie młyńskiego koła. Spadając, prawdopodobnie zsuwała się wzdłuż młyńskiego koła. Chociaż nieźle się poobijała, koło, spowalniając upadek, prawdopodobnie uratowało jej życie.

Powoli, krok po kroku, Phoebe przesuwała się w kierunku ściany. Czuła, jak wraca znajome uczucie paniki, i pilnowała się, by głęboko i spokojnie oddychać. Prawą ręką dokładnie milimetr po milimetrze macała ścianę w poszukiwaniu wyjścia, drabiny lub zamontowanych żelaznych stopni. Gdzieś *musiały* być. W końcu ludzie jakoś się tu dostawali. Jednak poszukiwania nie przyniosły efektu.

Skup się, powiedziała sama do siebie. Co mówił Wesley? Woda wprawiała w ruch koło, koło przekładnie, a te młyńskie kamienie. Było coś jeszcze. Wspominał o tym, kiedy spotkali się wcześniej. *Śluza*. Tędy wpływała woda.

Phoebe uklękła i zaczęła od początku – tym razem jednak sprawdzała ściany przy samym dnie jamy. Gdzieś tu musiało być miejsce, przez które niegdyś dostawała się woda. A nawet dwa – jedno z tyłu, a drugie po przeciwnej stronie. Jednak Phoebe straciła orientację i nie wiedziała już, w którym miejscu jamy się znajduje.

W końcu jej ręka, macając ścianę, trafiła na płaską, metalową powierzchnię. Z obu stron miała uchwyty – wyraźnie zamontowane do celów zamykania i otwierania. Prawą ręką szarpnęła za jeden z nich. Nic. Przyszło jej do głowy, że być może otwór został zamurowany – lub zasuwany,

nieużywane od lat, zacięły się. Phoebe szarpnęła jeszcze raz, tym razem na stojąco i ze zdwojoną siłą. Blaszana kłapa lekko drgnęła. Phoebe odetchnęła z ulgą.

Namaciała drugą rączkę. Szarpnęła. Kłapa drgnęła o kolejny milimetr. Poczowała, jak woda moczy jej stopy – zaczynała się sączyć. Strumień nie był silny, ale płynął równomiernie. Co jednak, jeśli woda wypełni jamę, zanim zdąży się wydostać?

Phoebe zaczęła coraz szybciej szarpać za poszczególne trzymadła – raz z jednej, raz z drugiej strony. Zimna jak lód woda sięgała jej już do kostek. W końcu udało jej się podnieść spust służący na wystarczającą wysokość. Mogła już się przecisnąć.

Ale co dalej? Jak przedostanie się, walcząc z prądem jedną ręką? Nie miała wyboru. W każdej chwili mógł wrócić Wesley. I nie będzie miał litości.

Phoebe wzięła głęboki oddech i rzuciła się w odmętę. Przez kilka sekund tkwiła pod wodą, której zimno dosłownie ją zmroziło. Brakowało jej powietrza. Daremnie próbowała wychylić głowę na powierzchnię. Płyn – nakazała sama sobie. Desperacko machała nogami i prawą ręką. W końcu stopami dotknęła twardego gruntu. Z resztką sił w płucach, które ledwo już pracowały, wystawiła głowę nad wodę. Nareszcie widziała, gdzie jest. Znalazła się w strumieniu po prawej stronie budynku. Nad jej głową lśniło niebo pełne gwiazd. Odetchnęła z ulgą.

Stała po pas w wodzie, nadal próbując złapać oddech i wpatrywała się w ciemność. Trzęsła się z zimna. Słabe światło na tyłach budynku oświetlało fragment parkingu. Phoebe widziała cień jedyne go stojącego tam samochodu. Jej samochodu. Wesleya nie było.

Próba dotarcia do wozu nie wydawała się sensowna. Nie miała torebki ani kluczyków, poza tym było to ryzykowne – Wesley mógł wrócić w każdej chwili. Phoebe rozejrzała się. Zauważyła nasyp, którym można było dostać się na porośnięte krzakami wybrzeże. Phoebe chwiejąc się i zataczając, przedzierała się w jego kierunku. Mokre ubranie lepilo się do jej ciała. Gdy wspinała się po nasypie, każdy krok odbijał się piekielnym rwaniem w jej chorej ręce. Jęczała z bólu.

Już na górze zauważyła, że miasteczko Springville leży po przeciwnej stronie strumienia, jednak, ku jej radości, dwa samotne domy stały też po stronie, gdzie wyszła na brzeg. Wystarczyło przejść przez drogę.

W jednym z domów było ciemno, jednak w oknach drugiego świeciło się światło. Phoebe powlokła się w jego kierunku. Z zimna szczykały jej zęby, serce biło jak oszalałe. Oczy zalewała woda, ściekająca z włosów. Kiedy przetała ręką, na dłoni zobaczyła krew.

Słyszał było, jak w domu, w którym paliło się światło, ktoś ogląda telewizję. Przez okno Phoebe zobaczyła parę starszych ludzi siedzących na kanapie, z głowami skierowanymi ku odbiornikowi. Patrzyli w ekran, a ich twarze nie wyrażały żadnych emocji. Phoebe wdrapała się na schody i głośno zapukała do drzwi wejściowych. Nie możesz ich przestraszyć – mówiła sama do siebie. Inaczej ci nie pomogą. Widziała, że para wstaje z kanapy i niepewnie zbliża się do wejścia.

– Kto tam? – spytał jakiś mężczyzna, nie otwierając jednak drzwi.

– Jestem nauczycielką z college'u Lyle! – krzyknęła Phoebe. – Ktoś chciał mnie zabić. Potrzebuję pomocy.

Nie było odpowiedzi. Zza drzwi dochodził tylko odgłos gorączkowego szeptu. W końcu drzwi uchyliły się lekko, cały czas jednak zabezpieczone łańcuchem. Phoebe zobaczyła parę uniesionych siwych brwi.

– Zadzwonimy na pogotowie – powiedział męski głos. – Proszę czekać na zewnątrz.

Droga biegła tuż za jej plecami. Phoebe słyszała, jak przejechał samochód. Jeśli Wesley wrócił i odkryje, że zniknęła, przede wszystkim będzie jej szukał wzdłuż drogi.

– Proszę – zaczęła błagać. – Boję się, że mnie tu znajdzie. Proszę mnie wpuścić.
Słyszała, jak kobieta namawia mężczyznę, by odmówili. Mężczyzna jednak postanowił wpuścić Phoebe. I w końcu usłyszała dźwięk zdejmowanego łańcucha.

Drzwi się otworzyły i mężczyzna wpuścił ją do środka. Kiedy znalazła się w korytarzu, w oczach kobiety dostrzegła szok. Powoli osunęła się na podłogę. Zauważyła, że całą lewą rękę ma we krwi.

Mężczyzna kazał kobiecie zadzwonić pod 911, a potem przynieść koc.

Uważnie przyjrzał się Phoebe.

– Mąż to pani zrobił? – zapytał ze współczuciem.

Przez chwilę Phoebe miała ochotę się roześmiać. Kusilo ją, by odpowiedzieć coś w rodzaju: „Tak, mała małżeńska sprzeczka, pojedynek na węże ogrodowe”, ale wiedziała, jakie to szczęście, że ją wpuścił, nie chciała więc przeciągać struny.

– Nie – szepnęła. – Nie mąż.

Kilka minut później przybiegła kobieta i otuliła Phoebe kocem. Uczucie przejmującego zimna zaczęło ustępować. Karetka przyjechała po piętnastu minutach. Do tej chwili Phoebe leżała w korytarzu. Zamknęła oczy. Cały czas słyszała szept dyskutującej tuż nad jej głową pary. Nie spytali, czy chce się położyć na kanapie lub usiąść. Pewnie, ich zdaniem, jestem lunaticzką, pomyślała Phoebe. Zastanawiała się, czy Wesley nie wrócił i zaraz nie zacznie łomotać do drzwi domu, przekonany, że tu się ukryła.

Bezpiecznie poczuła się dopiero w karetce. Myślała już tylko o bólu.

Miała wrażenie, że czeka na nią mnóstwo osób. Jednak nie mogła rozpoznać twarzy.

Przywieźli ją do tego samego szpitala, gdzie była wcześniej. Obok noszy, na których niesiono ją do budynku, szła jedna z pielęgniarek.

– Proszę powiadomić Glendę Johns – wyszeptała Phoebe. – Z college’u Lyle.

Hej, popatrz tutaj – usłyszała czyjś głos. Phoebe zmusiła się, by otworzyć oczy. Obok łóżka stała Glenda.

– Hej – zamruczała.

– Jak się czujesz?

– Beznadziejnie. Co się dzieje?

– Miałaś operację. Ręki, pamiętasz? Była strzaskana, kawałki kości powbijały ci się w skórę.

– Tak – przytaknęła półprzytomnie Phoebe. Znowu zamknęła oczy, próbując uporządkować myśli. Pamiętała nosze. I pielęgniarkę. Wodę i walkę o życie. A przedtem wrzucenie do jamy.

– Co z Wesleyem? – wyszeptała. – Złapali go?

– Tak, mają go – powiedziała Glenda. – Craig mówi, że pomału wszystko się wyjaśnia.

Na dźwięk nazwiska detektywa Phoebe nasunęło się jeszcze jedno wspomnienie: Michelson i jeszcze jeden policjant, nie Huang tym razem... Byli tu. Próbowali z nią rozmawiać.

– A Blair i Gwen? – spytała.

– Ich prawnicy twierdzą, że wkrótce zostaną zwolnione. Policja pewnie chce się upewnić na sto procent, że za wszystkim stoi Wesley.

– *Ginger!* – przypomniała sobie Phoebe. – Ktoś do niej zaglądał?

– Wszystko pod kontrolą. Dogadałam się z twoją uroczą gospodynią i wpuściła mnie do domu. Pies jest u nas. Brandon jest w niej rozkochany.

Phoebe próbowała usiąść. Bez skutku. Glenda nacisnęła przycisk regulujący oparcie łóżka.

– Musisz leżeć – powiedziała. – Doktor mówił, że musieli wstawić ci śrubę.

Rekonwalescencja to nic przyjemnego, ale ręka będzie w pełni sprawna.

– Miałam szczęście, że uderzyłam o koło – powiedziała Phoebe. – To zamortyzowało mój upadek. Gdyby nie to, poleciałabym jak kamień i skręciłabym kark.

– Masz siłę, żeby mi opowiedzieć, co się stało? – spytała Glenda.

Phoebe krótko przedstawiła przebieg wydarzeń, opisała też zachowanie Wesleya. Kiedy skończyła, Glenda poklepała ją po zdrowym ramieniu.

– Czyli Wesley ma osobowość seryjnego mordercy – zadumała się. – Mogłabyś tak o nim powiedzieć?

– To chyba nie jest tak, że pewnego dnia obudził się i poczuł gwałtowną potrzebę pozbawienia kogoś życia. Ale kiedy ktoś wszedł mu drogę – na początku był to Trevor – zabił bez skrępowań. Moim zdaniem to stuprocentowy socjopata. Wiesz, taki dobry sąsiad, porządny kolega czy mąż i ojciec rodziny. Wszystko gra, a nagle budzą się w nim demony.

– Przeczuwałaś coś?

– Był taki moment. Podczas jednego z naszych spotkań wspomniał, że tego wieczoru, gdy wylądował w rzece, w barze „Pod Kocimi Ogonami” widział Blair. Coś mi nie pasowało, ale nie wiedziałam co. Teraz wiem, że zaalarmowało mnie to, iż teoria o obecności Blair w barze bardzo pasowała do jego wersji wydarzeń. Za bardzo. Zaczął kombinować, a ja coś czułam – Phoebe zamilkła. Po chwili dodała: – Mogłabym mieć do siebie pretensję o to, że od razu nie złapałam go na kłamstwie. Ale tacy jak on są wiarygodni.

Phoebe pomyślała o tym, co kiedyś powiedział Duncan: „Na pozór są zdrowi. Znałem kilku takich. Cholerne klauny”.

Zamknęła oczy. Zakręciło jej się w głowie. Poczula się tak, jakby stanęła nad przepaścią i spojrzała w dół.

– Chcesz się przespać? – spytała Glenda.

– Nie. – Phoebe otworzyła oczy. – Mam wrażenie, że śpię od kilku dni. Zupełnie nie wiem, co się dzieje. Opowiadaj. Co w szkole? Jak z twoją pracą?

– Nie mam pojęcia. Zarząd na razie nie żąda mojej głowy. Oczywiście, nikt nie może obciążyć mnie winą za postępowanie Wesleya, ale jest jeszcze sprawa Szóstek. Stowarzyszenie powstało podczas mojej kadencji. Jeśli nic więcej się nie zdarzy, chyba zostawią mnie w spokoju. Co, oczywiście, wkurzy Stocktona. Cały czas liczy na to, że wylecę.

– To dobrze, Gee. Tak się cieszę.

– Coś ci chciałam powiedzieć. Po tym jak widziałyśmy się podczas meczu, wróciłam do biura. I wtedy odwiedziła mnie Val Porter. Zdenerwowana i chętna do zwierzeń.

– Opowiadaj.

– Zeszłej wiosny paliła skręty z pewną dziewczyną – studentką. Obie były pijane. Tej jesieni studentka ta zaczęła chodzić na zajęcia do Val. Val wyczuła lekki nacisk ze strony dziewczyny. Po tym jak opowiedziałaś Tomowi o Szóstkach i kręgach wtajemniczenia, ten powtórzył to Val. Val zaczęła podejrzewać, że dziewczyna należy do Szóstek i upatrzyła sobie ją jako ofiarę zadania numer pięć. Przysięga, że nie zawyżyła tej dziewczynie ocen. Była jednak przerażona i załamana tym, że być może grozi jej utrata pracy.

– To wyjaśnia sprawę. Widziałam ją pewnego dnia, jak wymiotowała w łazience – powiedziała Phoebe. Po chwili zastanowienia dodała: – Myślisz, że Val mówi całą prawdę? Podobno Blair działania Szóstek z kimś konsultowała. Może za tym stać ktoś jeszcze. Czy sądzisz, że to mogłaby być Val? Miałoby to sens. Pasowałoby do jej feministycznych teorii.

Glenda wolno pokręciła głową.

– Nie sądzę. Val naprawdę była ledwo żywa.

– A co z Szóstkami? – ten temat nie dawał Phoebe spokoju. – Masz już listę nazwisk?

– Nadal nie możemy ustalić, kto należy do Szóstek na sto procent. Dotyczy to nawet Blair i Gwen. Nie ma dowodów. Któraś musiałaby zeznawać.

– Cholera. Jest jedna dziewczyna, którą mogłabym do tego zmusić, ale najpierw potrzebuję jej do czegoś innego.

– Na razie daj sobie spokój. Musisz wyzdrowieć. Pójdę już. Widzę, że jesteś zmęczona.

– Dobrze, *mamusiu*.

– Jeszcze jedno. Duncan do mnie dzwonił. Od razu po tym, jak się dowiedział, co się stało.

– Naprawdę? – spytała Phoebe cichym głosem.

– Powiedział, że zerwaliście, ale chce wiedzieć, jak się czujesz. Prosił, bym ci powtórzyła, że o ciebie pytał.

Phoebe opadła na poduszkę.

– Chyba mu się nie spodobała moja sugestia, że mógłby być mordercą. Nie tak, zdaje się, radzą w „Cosmo” w cyklu: „50 sposobów na to, jak zmiękczyć faceta”.

Glenda uśmiechnęła się blado.

– Przykro mi – powiedziała. – Ale może tak miało być. No i nie planujesz przecież zostać tu na wieki. Podejrzewam, że nie dasz się nawet namówić na następny semestr.

Glenda wyszła. Phoebe zmusiła się, by zjeść rozwodnione lody, które jej podano. Do pokoju zajrzała pielęgniarka. Phoebe chciała zasnąć, jednak była zbyt podekscytowana.

Wesleya aresztowano. Mogła już przestać się go bać. Ale to jeszcze nie koniec. Szóstki nadal działały. Wraz z uwolnieniem Blair i Gwen odzyskują dawne siły i zaczną działać. W sposób równie bezwzględny jak dotychczas.

A w kampusie wciąż był ktoś, kto wiedział o Fortunie.

Przez następnych kilka dni Phoebe siedziała w domu, próbując odpocząć i pochłaniając jedzenie, które przygotowywała jej gospodyni lub Glenda. Tym razem historię o niej można było przeczytać w lokalnej prasie – oczywiście, przedrukowały ją wszystkie możliwe tytuły prasowe oraz Internet. Phoebe zalała falą maili. Pisali do niej znajomi z kampusu oraz przyjaciele z Manhattanu i Los Angeles. Na kilka z nich odpowiedziała, na więcej nie miała siły. Napływały też prośby o wywiady. Agentka Phoebe na wszystkie odpowiadała tymczasem przecząco. Z wyjątkiem jednego przypadku – Pete Tobias nie został zaszczycony żadną odpowiedzią.

Kilka razy dziennie Phoebe wychodziła na spacer z Ginger. Za każdym razem wypuszczały się coraz dalej. Phoebe cieszyła się, że ma psa. Czuli, że to ją ratuje: ciepło Ginger leżącej tuż obok na łóżku, widok pieska biegnącego tuż przed nią w stronę drzwi, gdy wracały ze spaceru. Nocami nie dręczył jej lęk – Ginger była idealnym psem obronnym. Szczekała za każdym razem, gdy coś wzbudziło w niej choćby najmniejszy niepokój. Jednak Phoebe nadal spała czujnie, często się budząc w nocy.

W poniedziałek późnym wieczorem zadzwoniła do niej Jan Wait. Phoebe postanowiła odebrać telefon.

– Phoebe, koniecznie daj mi znać, jeśli mogę coś dla ciebie zrobić – usłyszała w słuchawce głos Jan. – Przyrządziłam szynkę, ale nie wiem, czy ci zasmakuje.

Phoebe roześmiała się i obiecała Jan, że, jeśli zajdzie taka potrzeba, na pewno do niej zadzwoni.

– Powinam już dać ci spokój – powiedziała Jan, gdy już omówiły wszystko, co dzieje się w szkole. – Jednak jestem ci winna przeprosiny. Nie chciałam, żebyś czuła się jak kretyńka. Mój uroczy mąż przyznał się wreszcie, że *miewa* ataki duszniczy.

Czyli Duncan nie kłamał. Phoebe pożegnała się z Jan i zaczęła o nim myśleć. Z całych sił starała się tego unikać, jednak bez wielkiego powodzenia. Żałowała tego, jak się wobec niego zachowała. Z całych sił. Jednak nic nie mogła zrobić.

We wtorek skontaktowała się mailem ze swoimi studentami. Powiadomiła ich, że wróci dopiero na zajęcia w następny poniedziałek i poprosiła, by do piątku każde z nich przesłało na jej adres mailowy swoje zadanie domowe. Na końcu maila do Jen dodała zdanie: „Musimy porozmawiać. Najszybciej, jak tylko się da”.

Odpowiedź nadeszła godzinę później: „Chciałabym, ale teraz jestem bardzo zajęta”.

„Sprawa jest pilna – odpisała Phoebe. – Czy możemy spotkać się w kawiarni?”

Zadziało.

„Nie. Zobaczymy się u pani”.

Dziewczyna pojawiła się następnego ranka. W obcisłych dżinsach, dżinsowej kurtce i męskiej czapce z daszkiem wyglądała na wyluzowaną i zadowoloną. Odzyskała pewność siebie. Najwyraźniej nie miała pojęcia, że administracja szkoły ma Szóstki na celowniku. I nie odpuści.

– Rozczarowałam mnie. Czekałam na wiadomość – zaczęła Phoebe. – Ja mojego słowa dotrzymałam. Zrobiłam, co miałam zrobić. To miała być wymiana.

– Zamierzałam się odezwać – powiedziała Jen. – Naprawdę. Ale dowiedziałam się, że jest pani w szpitalu.

– Co wiesz o Fortunie?

Jen wzruszyła ramionami.

– Niewiele więcej. Zrobiłam tak, jak pani powiedziała. Wspomniałam jednej z dziewczyn, że pytała pani o Szóstki i Fortunę. Popatrzyła na mnie tak, jakby nie miała *bladego* pojęcia, o co

chodzi.

– A ta, która teraz rządzi? Wie coś?

– Nie wydaje mi się.

– To Rachel, prawda? – Phoebe postanowiła iść na całego.

– Tak – wyrwało się Jen. – Ale skąd...? Nigdy nie mówiłam, że to Rachel.

– Co z szóstym kręgiem? Jeśli chodzi o urządzenie kogoś poza college'em, jak to robią? Jen zacisnęła usta.

– Chyba chodzi o kontakty. Czy coś takiego.

– Skup się, Jen. – Phoebe nie zamierzała się z nią pieścić. – Chyba nie chcesz mi wmówić, że po szkole Szóstki automatycznie zostają członkami rad nadzorczych.

Dziewczyna utkwiała wzrok w przeciwległej ścianie.

– Chodzi o kontakty. I pieniądze. Dają pieniądze – powiedziała cicho, znów patrząc na Phoebe. – Na dobry początek.

Pieniądze? Phoebe była zaskoczona.

– Skąd mają pieniądze? – zapytała.

– Nie wiem – powiedziała Jen. – Jest chyba darczyńca. Czy coś takiego.

Guzik prawda, pomyślała Phoebe. Jednak czuła, że Jen naprawdę nie wie.

Pozwoliła jej iść. Usiadła w kuchni, zamyślona, pod wrażeniem tego, co usłyszała.

Podobno członkowie tajnego bractwa „Czaszki i Piszczeli” na uniwersytecie w Yale dostawali pieniądze, które miały pomóc ustawić im się w życiu. Zawsze uważała to za rodzaj legendy.

Może w przypadku Szóstek to też legenda – przynęta, która ma zachęcać kolejne dziewczyny do wstępowania w szeregi tajnego stowarzyszenia.

Jeśli jednak była to prawda? Pieniądze na pewno nie mogły pochodzić z uczciwego źródła. Phoebe po raz kolejny zastanowiła się, do czego mogły być zdolne te dziewczyny. Na pewno do uwodzenia chłopaków – po to, by ich następnie upokorzyć. Do nękania innych. Potrafiły się nawet posunąć do wrzucenia do netu pornografii. W końcu jednak by się to wydało. Phoebe nie wiedziała, jak to ugryźć.

Jednego była pewna – do śmierci nie tknie gotowego jedzenia. Tego wieczoru postanowiła sama przygotować kolację – zwykły makaron z oliwą z oliwek, czosnkiem i parmezanem. Był pyszny.

Potrzebowała konkretnego planu. Wyciągnęła się na kanapie, pochłaniając makaron i popijając wino. Było jasne, że z Jen już niczego nie wyciągnie. Musiała wymyślić coś innego.

Następnego dnia obudziła się obolała, z lekką gorączką. Wstała później, niż planowała. Około trzeciej poczuła się lepiej, zarzuciła na ramiona płaszcz i wyszła. Wiedziała, w którym z zamieszkiwanych przez studentów domów mieście mieszka Rachel. Postanowiła ją odnaleźć.

Znała tę dzielnicę z widzenia, ale nigdy tam nie była. Składało się na nią dwanaście stojących w jednym rzędzie domów. Szkoła wybudowała je z przeznaczeniem na mieszkania dla studentów wyższych lat. Były identyczne. Przed domem Rachel stał, przymocowany łańcuchem do ogrodzenia, niebieski rower.

Już na schodach prowadzących do wejściowych drzwi domu, w którym mieszkała Rachel, Phoebe poczuła niepokój. To ją zbiło z tropu. Wiedziała, że spotkanie z tą dziewczyną na pewno wytrąci ją z równowagi i nie wiadomo, jak się potoczy. Nie mogła jednak pozwolić, by Szóstki znowu wywołały w niej lęk.

Zapukała do drzwi. Czekala, ale nikt nie reagował. Phoebe celowo wybrała na wizytę godzinę czwartą – Rachel powinna już być po zajęciach, a jeszcze przed kolacją. Zapukała ponownie dwa razy. Nadal nic. Nie zamierzała jednak się poddać. Nacisnęła klamkę. Ku jej zdumieniu drzwi się otworzyły. Phoebe weszła do środka. Co ja, do diabła, robię, pomyślała.

Jednak nie zdrowy rozsądek był tym, co nakazywało jej iść dalej.

Znalazła się w pomieszczeniu, które wyglądało na skrzyżowanie kuchni, pokoju jadalnego i salonu. Na stole leżało kilka brudnych talerzy, na środku królowała deska do prasowania ze stojącym na niej żelazkiem.

Skądś dochodziły dźwięki muzyki. Phoebe nie była pewna, czy z góry, czy też z korytarza, do którego wejście prowadziło z prawej strony salonu.

– Jest tu ktoś? – krzyknęła.

Nagle zobaczyła przed sobą dziewczynę, Azjatkę ubraną w spodnie od dresu i T-shirt z wyblakłym napisem „College Lyle”.

– Tak? – zapytała dziewczyna.

Usiłowała sprawiać wrażenie opanowanej, jednak czoło przecinała jej zmarszczka.

– Szukam Rachel – powiedziała Phoebe. – Zastałam ją?

– Jest na treningu. Futbolu. – Dziewczyna była zdziwiona, że jest ktoś, kto może tego nie wiedzieć.

No jasne, przypomniała sobie Phoebe. Że też zapomniała.

– Musicie chodzić nawet z kontuzjami?

– Nie. Poszła na mecz.

– To dobrze. Jestem Phoebe. A ty...?

– Molly – powiedziała dziewczyna po sekundzie wahania. Wyglądała na wyraźnie spiętą i zaniepokojoną z powodu nieoczekiwanej wizyty. Phoebe gotowa była się założyć, że to Molly i Jen wymieniły spojrzenia podczas spotkania zespołu, który prowadził Tom Stockton.

– Rachel chodzi do mnie na zajęcia. Zajrzałam, żeby podrzucić jej książkę – wymyśliła na poczekaniu Phoebe. – W tym tygodniu nie było zajęć.

– Niech pani położy – dziewczyna kiwnęła głową w stronę stolika. W roztargnieniu odruchowo związała włosy w kucyk, po czym równie szybko je rozpuściła. Gdy podnosiła rękę, widać było, że dolną część jej klatki piersiowej opina elastyczny pas ortopedyczny.

– Też miałaś kontuzję? – zapytała Phoebe.

– Naciągnęłam mięsień. – Molly lekceważąco wzruszyła ramionami. – Na gimnastyce. Lekarz kazał mi zostać w domu dzień lub dwa.

Phoebe przypomniała sobie, że podobny pas – tym razem służący do unieruchomienia kolana – widziała w korytarzu domu, w którym mieszkały Blair i Gwen.

– Dają sobie z czymś takim radę w szkolnym ambulatorium? – zaintrygowała się Phoebe.

Molly wykrzywiła wargi.

– Nie, trzeba iść poza kampus.

Phoebe popatrzyła na swoją zagipsowaną rękę.

– Też kogoś szukam. Tylko niedaleko szkoły – powiedziała. – Dałabyś mi kontakt?

Molly znowu się zawahała.

– Doktor Rossely – wydusiła w końcu z siebie. – Ale jest bardzo zajęty.

– Dziękuję. – Phoebe czuła, że dzieje się coś dziwnego. – On leczy też Rachel, prawda?

Chyba o nim wspomniała. – Nie wiedziała, dlaczego kłamie. Ale w jej głowie zapaliło się alarmowe światełko.

– Chyba tak. – W oczach Molly widać było nieufność.

– Dam ci już spokój – powiedziała Phoebe. – Dobrej nocy.

– Nie zostawi pani książki? – rzuciła Molly zaczepnym tonem.

– Dam jej osobiście. Tak będzie lepiej – odpowiedziała dziewczynie i uśmiechnęła się w duchu. Zabawne, pomyślała. Sytuacja zmusza mnie do tego, że zaczynam zachowywać się jak Val Porter.

Molly nie odprowadziła Phoebe, jednak ta czuła na plecach jej wzrok przez całą drogę przez korytarz i podczas zmagania z ciężkimi drzwiami.

Zapałał zmierzch. Phoebe wracała do domu, myśląc o jednym: Co się, do diabła, dzieje? Być może trzy kontuzje w tym samym czasie wśród szóstkowych senierek były czystym przypadkiem. Alexis wspominała, że prawie każda z dziewczyn należących do Szóstek uprawiała jakiś sport, a wszystkie były bardzo sprawne fizycznie. Swoją drogą, to też ciekawe. I ciekawe również, dlaczego Molly tak niechętnie zdradziła nazwisko ich lekarza.

Czyżby tylko udawały kontuzje? To osłabiałoby szanse drużyn, w których grały. Ale tak się robi w poważnym sporcie... Gdzie w grę wchodzi zakłady i duże pieniądze.

Phoebe odnalazła numer telefonu do doktora Rossely'ego – na szczęście w Lyle był tylko jeden o takim nazwisku, na imię miał Todd. Zadzwoiła do jego gabinetu. Przedstawiła się jako osoba, która leczy się po wypadku i jest zainteresowana dodatkową opinią lekarską. Recepcjonistka zaproponowała jej wizytę następnego dnia o drugiej. Tyle, jeśli chodzi o brak terminów – ironicznie pomyślała Phoebe. Poczowała, jak ogarnia ją specyficzna mieszanka emocji: strachu, oczekiwania i przecucia, że wpadła na ważny trop. Nie wiedziała tylko jeszcze jaki.

W domu podgrzała resztki makaronu z poprzedniego wieczoru, przyniosła z góry poduszkę i kołdrę i ku zaskoczeniu Ginger, wyciągnęła się na kanapie. Postanowiła, że tej nocy będzie spała na dole. Znowu zaczęła Szóstki i istniała szansa, że będą chciały na tę zaczepkę odpowiedzieć. Wołała spać w miejscu, z którego szybciej je przyłapie na próbie włamania się.

O dziesiątej zadzwoniła Glenda.

– Przepraszam cię bardzo, że dzisiaj nie wpadłam – powiedziała.

– Była twoja gospodyni. Przyniosła pieczonego kurczaka. Pyszny. Doprowadzicie mnie do tego, że będę musiała poddać się liposukcji.

– Doktor Carr wspomniała, że usiłujesz pracować *online*. Nie forsuj się. Musisz wyzdrowieć.

– Już wyzdrowiałam. Oszaleję, jak się czymś nie zajmę. Wiem, że jesteś zajęta, ale może znalazłabyś dla mnie chwilę? Nie zrozum mnie źle – dobrze mi z Ginger. Ale nie jest zbyt rozmowna.

– Spróbuję w czwartek. Jutro wyjeżdżam na cały dzień.

– Dokąd?

– Muszę się spotkać z jednym z darczyńców. Trzeba ich dopieścić. Wiesz, całe to zamieszanie...

– Jasne.

Phoebe była nieco zaskoczona faktem, że Glenda opuszcza college na cały dzień, kiedy tyle się dzieje.

– Mam prośbę, żebyś zajęła się jedną rzeczą. – Glenda głęboko westchnęła. – Pamiętasz, jak mówiłaś, że Trevor Harris czuł się gnębiony przez ochronę college'u. Gryzło mnie to i postanowiłam dyskretnie zbadać sprawę. Z tego, co wiem, wygląda na to, że Ball zmuszał niektórych studentów, by płacili mu za zachowanie w tajemnicy takich wykroczeń jak narkotyki czy niszczenie mienia. Nic dziwnego, że oficjalnie szkoła świetnie poradziła sobie z narkotykami.

– O rany. – Phoebe była wstrząśnięta. Nigdy nie przepadała za Ballem, jednak czegoś takiego się nie spodziewała. – Chyba widziałam go w akcji. Dwa razy podczas rozmowy z tym samym studentem. Ball wydawał się spłoszony.

– W tej szafie jest coraz więcej trupów. Mam do ciebie prośbę, żebyś odnalazła tego chłopaka. Tylko dyskretnie. Nikt nie może się dowiedzieć – to tajna akcja. Jeśli to wszystko okaże się prawdą, zdaję sobie sprawę, że będzie przysłowiowym gwoździem do mojej trumny.

– Glendo, tak mi przykro. Daj znać, jeśli będę mogła ci pomóc.

Phoebe chciała opowiedzieć Glendzie o historii z doktorem, ale zmieniła zdanie. Najpierw zbierze więcej informacji. Nie było sensu jeszcze bardziej dołować przyjaciółki.

Zasnęła około dwudziestej drugiej trzydziści z książką na kolanach i Ginger w nogach. Obudziła się gwałtownie w środku nocy. Usiadła na kanapie, kompletnie rozbudzona i przestraszona. Potwornie bolały ją plecy i chora ręka – musiała ją urazić, przewracając się podczas snu. Czyżby zbudził ją ból? A może coś innego? Ginger leżała nieruchomo, wydała tylko długie warknięcie.

– Co to? – wyszeptła Phoebe.

Zastygła i słuchała. Pies przestał warczeć, po chwili zaczął znowu – tym razem głośniej i bardziej agresywnie. Najwyraźniej w pobliżu znajdowało się coś, za czym pies nie przepadał. Phoebe namacała telefon, by upewnić się, że jest pod ręką.

Przez chwilę panowała cisza. Nagle, od strony okna, dobiegł ją dźwięk. Phoebe zaczęła uważnie słuchać. To mógł być tylko szelest gałęzi, którymi poruszał wiatr. Tylko tyle. Żadnego innego dźwięku. Kolejne dwie godziny Phoebe przeleżała z ręką pod głową, nasłuchując. W końcu, prawie nad ranem, zasnęła. Godzinę później obudziło ją słońce i Ginger, która skakała i lizała ją po twarzy.

– Jesteś cudownym małym stworzeniem – przemówiła Phoebe do suczki. – Może zostaniesz ze mną na zawsze?

Sama była zaskoczona tym, co powiedziała. Nie myślała wcześniej o tym. Ale skoro słowa już padły, Phoebe uświadomiła sobie, że właśnie tego chce. Zatrzymać pieska.

W odpowiedzi Ginger ponownie polizała ją w policzek.

– Rozumiem, że się zgadzasz – powiedziała pieszczotliwie Phoebe.

Ranek spędziła na sprawdzaniu pomału napływających prac domowych studentów. Jednak myślami była już na czekającym ją spotkaniu z doktorem Rosselym. Sama sobie nie potrafiła wytłumaczyć, dlaczego była tym tak podekscytowana. To wszystko coś *znaczy*, powtarzała w myślach. Nie wiem tylko jeszcze, co.

Doktor Rossely przyjmował niedaleko jej domu. Wystarczyło pojechać na południe, minąć dwa bloki i już było się w dzielnicy, gdzie mieścił się jego gabinet. Okolica ta zabudowana była prawie w całości budynkami, które służyły za biura. Phoebe weszła do jednego z nich.

Wystrój wnętrza ją zaskoczył. Zamiast sterylnej, uporządkowanej recepcji oczom Phoebe ukazało się szerokie pomieszczenie w nowoczesnym stylu. Na ścianach wisiały plakaty przedstawiające przedmioty powstałe dzięki Fundacji Barnes. W poczekalni siedziało dwóch pacjentów. Żaden z nich nie zaszczycił jej spojrzeniem. Za to elegancka recepcjonistka w średnim wieku, ubrana w różową jedwabną bluzkę i z perłami w uszach, patrzyła na Phoebe w taki sposób, jakby znały się od lat. No tak, pomyślała Phoebe, wypełniając stosowne dokumenty. Jestem tu teraz gwiazdą. Raczej nie wcisnę nikomu, że spadłam z roweru.

Dziesięć minut później pielęgniarka zaprosiła Phoebe do gabinetu. Wkrótce potem przyszedł doktor. Był mniej więcej w wieku Phoebe i wyglądał bardziej światowo, niż się spodziewała. Miał stylowe okulary bez oprawek i niezbyt gęste, ale modnie postawione w czub włosy. Takie fryzury rzadko widywało się w Lyle.

– Doktor Rossely – przedstawił się, podając Phoebe rękę. Wypalił prosto z mostu: – Ciężki tydzień, co?

Albo też ją rozpoznał, albo usłyszał coś od recepcjonistki.

– Aż tak źle wyglądam? – uśmiechnęła się Phoebe.

– Nic takiego nie powiedziałem. Jest pani gwiazdą. Ale przeżyła pani swoje.

– Niestety, to prawda. Jestem trochę poobijana.

Rossely spojrział w jej kartę.

– Leczyła się pani w szpitalu Cranberry. Nie korzysta pani z ich usług?

– Generalnie tak – powiedziała Phoebe. – I jestem zadowolona. Bardzo mi pomogli.

Miałam operowany łokieć. Jednak chciałam się jeszcze poradzić w sprawie prawego barku.

Chyba coś naciągnęłam i boli jak diabli. Powiedzieli, że to tylko siniak i trzeba przeczekać. Że nic się nie da zrobić.

Czuła, jak bardzo brzmi to niewiarygodnie. Słowa z trudem przechodziły jej przez gardło – niczym słabej uczennicy grającej w przedstawieniu szkolnym. Phoebe była ciekawa, czy lekarz wie, że to wszystko jeden wielki wymysł.

– Niczego pani nie przepisali?

– Tylenol z kodeiną. Brałam przez kilka dni.

– Zobaczymy, co tu mamy – powiedział Rossely. – Moim zdaniem, zawsze można coś zrobić. Po co ludzie mają niepotrzebnie cierpieć.

Wyszedł zza biurka, podszedł do Phoebe i rozpiął tył jej sukienki. Zbadał ją, dotykając pewnie, ale delikatnie. Dwa razy Phoebe syknęła z bólu. Informacja o bólu w barku była akurat prawdziwa.

– Przepraszam – powiedział Rossely. – Wszystko wskazuje na to, że wytworzył się stan zapalny. Zrobimy prześwietlenie. Trzeba sprawdzić, czy nie ma urazu wewnętrznego.

Lekarz wyszedł, wróciła pielęgniarka. Zabrała Phoebe na prześwietlenie. Kiedy wracały do gabinetu doktora, Phoebe słyszała, jak oba piętra budynku tętnią życiem. Rossely kazał na siebie czekać. Wrócił jednak już z wynikiem prześwietlenia. Sprawnym ruchem umieścił kliszę na wiszącej na ścianie podświetlanej tablicy.

– Dobra wiadomość jest taka, że nie ma złamania – powiedział z uśmiechem. – Jednak jest stan zapalny. Poważny. Trzeba się tym zająć. Swoją drogą, dziwi mnie, że nikt w Cranberry nie zwrócił na to uwagi. Coś niedobrego się tam dzieje.

– Dziękuję – powiedziała Phoebe. Rossely uzupełnił jej historię choroby o stosowne uwagi. Phoebe przyglądała mu się kątem oka. Chociaż wydawał się sztuczny i nie robił na niej najlepszego wrażenia, nie wyglądał na czarny charakter. Czyżby miała urojenia i poszła niewłaściwym tropem?

Rossely popatrzył na Phoebe z uśmiechem.

– Dam też pani coś przeciwbólowego – powiedział. – Ból to ciekawe zjawisko. Ludzie często myślą, że mogą go przeczekać, ale w ten sposób zaczyna się błędne koło. Ból żywi się sam sobą. I wtedy trudno to przerwać. Lepiej skończyć z nim od razu.

– Oczywiście. Brałam tylenol z kodeiną – powiedziała Phoebe. – Ale mi nie pomógł.

– Dam pani coś lepszego – ciągnął Rossely. – OxyContin. Dwie tabletki na dobę.

Phoebe odruchowo otworzyła usta ze zdziwienia. Z tego, co wiedziała, OxyContin uzależniał. Hutch wspominał, że na czarnym rynku jedna tabletki kosztuje osiemdziesiąt dolarów.

– Coś nie tak? – Rossely zauważył jej reakcję.

– Nie. Zastanawiałam się tylko, czy to bezpieczne. Słyszałam, że to silny lek.

– Bezpieczny, jeśli stosuje się go prawidłowo – uśmiech doktora był wyraźnie wymuszony. – To dotyczy wszystkich silnych leków. Jak mówiłem, dwie tabletki na dobę.

– Rozumiem. – Phoebe zauważyła, że nieco nadużywa cierpliwości lekarza. – I bardzo dziękuję. Cieszę się, że potraktował mnie pan poważnie.

Rossely nieco się rozluźnił.

– W porządku – powiedział. – Od tego tu jesteśmy.

Pochylił głowę nad biurkiem i zaczął wypisywać receptę.

– Proszę do mnie zajrzeć za tydzień.
– Tak jest. – Phoebe była grzeczna jak uczennica podczas egzaminu. Rossely wręczył jej receptę. Zauważyła jego długie i szczupłe palce.
– Przy okazji. Czy mogę zapytać, kto mnie pani polecił? Nie wpisała pani do formularza odpowiedzi na to pytanie.
– Znajomy nauczyciel z college’u. Leczy pan też studentów, prawda? Na przykład Rachel Blunt?
Twarz lekarza stężała.
– Rachel tak – powiedział niechętnie. Phoebe postanowiła iść na całość.
– I Blair Usher – dodała. – Obie miały kontuzje.
– Pani wybaczy, ale nie wolno mi rozmawiać o pacjentach. – Russely zacisnął usta, które zrobiły się blade jak ściana. – To nie tylko niewłaściwe, ale również niezgodne z prawem. Zakładam, że pani to rozumie.
– Oczywiście – powiedziała Phoebe. – Przepraszam.
Widziała jak na dłoni, że uderzyła w czuły punkt. Bezbłędnie.

Phoebe zastanawiała się, co to mogło znaczyć. Być może Rossely zawsze przepisywał OxyContin studentkom uprawiającym sport, zwłaszcza tym, które należały do Szóstek. Być może niektóre z nich uzależniły się od leku – a to mogło wpływać na ich zachowanie.

Już z domu zadzwoniła do przychodni na terenie miasteczka. Osoba, która odebrała, przełączyła ją do dyżurnej pielęgniarki.

– Czy doktor Rossely jest na liście ortopedów rekomendowanych przez szkołę? – zapytała Phoebe po uprzednim przedstawieniu się. Chciała wiedzieć, czy to przychodnia szkolna odsyła uczniów do tego lekarza, czy też Szóstki korzystają z jego usług niezależnie.

– Hm, na liście go nie widzę – poinformowała ją pielęgniarka. – Ale może to jeszcze pani potwierdzić jutro u kierownika.

Była w tym jakaś zagadka. Jakim cudem studentki trafiały do lekarza, którego nie było na szkolnej liście?

Phoebe zadzwoniła do Glendy. Telefon przyjaciółki nie odpowiadał, nie dało się też zostawić wiadomości. Najwyraźniej Glenda znajdowała się w miejscu, w którym nie było zasięgu. Phoebe nie wiedziała, gdzie. Uświadomiła sobie, że Glenda najwyraźniej nie bardzo chciała zdradzić miejsce, do którego jedzie, ani podać jakichkolwiek szczegółów na temat osoby, z którą się miała spotkać.

Po kolacji Phoebe spróbowała jeszcze raz. Z tym samym skutkiem. Zadzwoniła więc do Glendy do domu, Włączyła się automatyczna sekretarka.

„Odezwij się, jak wrócisz – nagrała się Phoebe. – Idę wyprowadzić Ginger, będę pod komórką. Coś dziwnego łączy lekarza w mieście z dziewczynami z Szóstek. Zastanawiam się, co to może być. Znasz kogoś, z kim mogłabym na ten temat pogadać?”

Odłożyła słuchawkę, nałożyła Ginger smycz i wyszły. Było dosyć zimno, jednak nie tak lodowato jak podczas poprzednich kilku dni. Zazwyczaj szły z Ginger do granic kampusu, po czym wracały. Jednak tego wieczoru Ginger nie pozwoliła Phoebe zawrócić. Najwyraźniej rozochociło ją ciepłe powietrze.

– Dobrze, już dobrze – zgodziła się Phoebe na dłuższy tym razem spacer.

Były tuż obok zachodniej bramy, tej, która prowadziła do sportowej części kampusu. Przeszły przez bramę i znalazły się na terenie college’u. Phoebe postanowiła dać Ginger szansę pobiegania po trawie. Ruszyły zatem w kierunku południowym, zostawiając boiska po prawej stronie. Mieściła się tam ogromna sala gimnastyczna. Kiedy ją mijały, otworzyły się drzwi i z budynku wybiegli studenci.

Phoebe starała się o niczym nie myśleć. Nurtowało ją wiele pytań, ale wiedziała, że w tym momencie raczej nie znajdzie na nie odpowiedzi. Ginger wydawała się szczęśliwa. Wyraźnie podobało jej się w kampusie. Obwąchała każdy liść i papier, nie przepuściła żadnemu krzakowi. Po kilku minutach Phoebe zorientowała się, że zapędziły się za daleko – poza zasięg światła okien sali gimnastycznej. Przeszła obserwować psa i rozejrzała się. Wokół nie było żywego ducha. Ty kretynko, skarciła siebie. Jak mogłam pozwolić na to, by samej wylądować w ciemnościach?

– Wracamy, królowno – powiedziała, ciągnąc Ginger na smyczy w kierunku, z którego przyszły. Podążały w kierunku sali gimnastycznej, gdy po swojej prawej stronie Phoebe usłyszała szelest liści. Spojrzała tam. Nagle zza jednego z klonów wyłonił się mężczyzna. Był wysoki i miał na sobie czarny płaszcz. Długi, za kolana.

Phoebe zabiło serce. To ktoś stąd, próbowała się uspokoić. Idzie na skróty. Po kilku

sekundach okazało się, że miała rację. Przed nią stał Mark Johns. Ginger podskoczyła i zamachała przyjaźnie ogonem. Jasne, przecież się znali. Ginger kilka dni mieszkała u Glendy.

– Cześć, Mark – przywitała się Phoebe.

Jakaś część w niej poczuła ulgę, że to on. Ale część się spięła. Ostatnio rozmawiali, gdy wpadła na niego w korytarzu jego domu. Potem słyszała tę dziwną rozmowę telefoniczną. Podsluchiwała. Phoebe poczuła się bardzo nieswojo.

– Cześć, Phoebe – odpowiedział Mark zimnym, nieprzyjaznym głosem. Pewnie tak samo się cieszy na mój widok, jak ja na jego, pomyślała Phoebe.

– Jak się masz? – zapytała. Nie miała pojęcia, co innego mogłaby powiedzieć.

– Nieszczęśliwie – odpowiedział.

– Współczuję, to ciężkie chwile.

– Czyżby?

– Tak, Mark – odrzekła. Postanowiła, że nie dopuści do kłótni. – Wiem, że Glendzie nie jest łatwo. Jestem pewna, że tobie też.

– A wiesz, co *ja* wiem, Phoebe? – powiedział Mark tonem jeszcze ostrzejszym, niż wtedy, gdy rozmawiali u niego w domu. – Że nigdy nie odpuszczasz. Zawsze musisz wsadzić nos we *wszystko*.

Phoebe przestraszyła się, że Glenda, najwyraźniej, opowiedziała Markowi o podsłuchanej rozmowie.

– Nie chcę się wtrącać w wasze małżeństwo, Mark – rzekła spokojnie. – Chcę dla Glendy jak najlepiej. I dla ciebie też.

– Co ty o mnie wiesz? – zareagował Mark. – Nigdy nie miałas bladego pojęcia, kim jestem.

– To prawda. Nigdy nie byliśmy blisko. Ale naprawdę cię lubię.

– Rzeczywiście? – W głosie Marka brzmiała pogarda. – Chciałaś dla mnie dobrze także wtedy, gdy wlokłem się za Glendą w każde miejsce, w którym wylądowała? *A moja* kariera? Chciałaś dla mnie dobrze, gdy musiałem odgrywać żonę dyrektora, podpierając ściany na cholernych, niekończących się przyjęciach? Ciekawe, ale jakoś nie zauważyłem. Cienia zasranego zainteresowania.

Phoebe wiedziała, że Mark zazdrościł Glendzie sukcesów, ale nie miała pojęcia, że siedzi to w nim aż tak głęboko.

– Wybacz, jeśli odniosłeś takie wrażenie – powiedziała. – Czasami zdawało mi się, że nie lubisz, jak się kręcę blisko Glendy. Może spotkamy się na kawie jakoś w tym tygodniu, i pogadamy?

Potrząsnął głową i westchnął z wściekłością.

– Obawiam się, że na kawę jest już za późno.

– Twoim zdaniem na przyjaźń ze mną jest za późno. Ale jest jeszcze czas, żeby ratować twoje małżeństwo.

Mark zaśmiał się demonicznie. Phoebe ścierpła skóra.

– Nasza bystra, bezczelna mała Phoebe odgrywa psychologa. Ostro. Nie, Phoebe. Teraz pójdziesz ze mną.

– Z tobą? – Phoebe zamarła. – Dokąd?

Nie podobał jej się sposób, w jaki Mark wyglądał. Ani to, co mówił.

– Dowiesz się w swoim czasie. Dzisiaj ja rządę.

– Nigdzie nie idę – powiedziała stanowczo Phoebe. – Wracam do domu. I tobie radzę zrobić to samo.

– Nic z tego. Nikt nie idzie do domu.

Mark sięgnął do kieszeni płaszcza. Wyciągnął z niej coś, co w pierwszej chwili Phoebe wzięła za jakies bliżej nieokreślone narzędzie, jednak po chwili zmiękły jej nogi.

Mark trzymał w ręku pistolet.

– Mark – wyjąkała. – Co ty wyprawiasz?

– Już mówiłem. Pójdiesz ze mną. Za te drzewa. Mamy sprawy do omówienia.

– Mark, proszę – błagała Phoebe. Zastanawiała się, czy z sali gimnastycznej wychodzą jeszcze ludzie. Może gdy krzyknie, ktoś ją usłyszy. Jednak bała się odwrócić. – Nigdy nie chciałam cię zranić.

– Nie o to chodzi. Już powiedziałem – zawsze we wszystko musisz wtykać swój cholerny nos. Mówiłem Glendzie, żeby nie drażyła sprawy zniknięcia Lily, ale nie, ona musiała poprosić o pomoc ciebie. Phoebe wiernie na posterunku. Zawsze uważałem twoje książki za żalosne. Te twoje gówniane śledztwa. A jakby ci było nie dość, tym razem wygrzebałaś spod ziemi seryjnego mordercę. O mało co nie zginęłaś, do tego głupio, ale jakimś cudem się uratowałaś. Znowu.

– Dlaczego... dlaczego nie chciałeś, żebym zajęła się sprawą Lily? – Phoebe starała się mówić spokojnie.

– Ponieważ to nie była twoja sprawa. I już nie mogłaś się zatrzymać, co? Ciągle ci mało? Dzisiaj też musiałaś gdzieś poleżeć? I narobić kłopotów?

Dzisiaj? O czym on mówi? Przecież nigdzie nie wychodziła. Oprócz wizyty u Rossely'ego. I nie miała szansy, bo porozmawiać o tym z Glendą. Chociaż nie. *Miała.* Zostawiała wiadomość na sekretarce.

– Masz na myśli wizytę u doktora Rossely'ego? – zapytała. Była totalnie skołowana. Co to mogło obchodzić Marka?

– Bardzo dobrze – powiedział. – Jednak jesteś bardziej rozgarnięta, niż myślałem.

– Co ty możesz mieć z nim wspólnego? – Boże, może chodzi o OxyContin. – Chyba nie jesteś uzależniony od leków?

– *Takie* masz o mnie zdanie? – warknął Mark. – Że biorę dragi? Że jestem jakimś ćpunem? Po to tam poszłaś? Żeby mieć mnie w garści?

– To nie ma nic wspólnego z tobą – powiedziała Phoebe. Postanowiła nie podgrzewać sytuacji. – Odkryłam, że chodzą do niego członkinie Szóstek. Zastanawiam się, czy niektóre z nich nie są uzależnione od leków, które im przypisuje. – W głowie szumiały jej słowa Hutch'a „osiemdziesiąt dolarów za pigułkę”. – Albo – dodała, głośno myśląc – biorą recepty i *sprzedają* pigułki. Na lewo.

Czyżby to był szósty krąg? Dilerka? – przemknęło jej przez głowę.

– Może Rossely im pomaga... – dorzuciła.

– *Rossely?* – Mark skrzywił się z politowaniem. – Więc myślisz, że to *on*?

Ponownie westchnął.

– To dla ciebie typowe. I dla Glendy. Patrzycie na mnie, ale zawsze uznacie, że rządzi kto inny.

Phoebe już wiedziała.

– To ty. *Ty* jesteś związany z Szóstkami – rzekła bez tchu. Nie mogła wprost uwierzyć, ale wiedziała, że taka jest prawda. Zdała też sobie sprawę, że grozi jej znacznie większe niebezpieczeństwo, niż wcześniej mogła przypuszczać.

– W końcu łapiesz.

– *Dlaczego*, Mark? Co z tego masz?

– A jak myślisz? Nie bój się, może coś ci przyjdzie do głowy. Trochę wyobraźni, Phoebe – powiedział. – A może gadanina o głupich problemach gwiazdek wypłukała ci mózg?

Myśli przebiegały przez głowę Phoebe z szybkością błyskawicy. Zadanie numer pięć:

uwieść i wykorzystać. I wrażenie, jakie miały zarówno Jen, jak i Alexis – że Blair swoje decyzje z kimś konsultowała.

– Blair... – powiedziała Phoebe. – Miałeś z nią romans.

– Mam nadzieję, że mnie nie potępiasz, Phoebe. *Potrzebuję* kobiety, która będzie mnie szanowała.

– To Blair wymyśliła dilerkę?

– Myślisz, że to był jej pomysł? Ciągłe mnie nie doceniasz.

– Mark, proszę – odezwała się z naciskiem. Mark coraz bardziej tracił panowanie nad sobą, musiała go zmusić, by skupił się na rozmowie. W końcu ktoś tędy przejdzie, może nawet strażnicy. – Cokolwiek tobą powoduje, musisz z tym skończyć. Jeśli nie dla Glendy, to dla Brandona. Istnienie Szóstek wkrótce wyjdzie na jaw.

– Jasne, to przecież twoja mała misja. Przeszłość niczego cię nie nauczyła.

– Jak to *przeszłość*? – Phoebe zdrętwiała. Ogarnęło ją przerażenie.

– Zawsze byłaś mądrzejsza niż inne dziewczyny. Zawsze wiedziałaś lepiej i miałaś swoje sprawy. Miałabyś lepsze życie, gdybyś już dawno dała sobie spokój.

– Mówisz o Fortunie? – Phoebe była przerażona. – Glenda mówiła, że nic ci nie wspominała.

– Oczywiście, że wspominała – powiedział Mark z dumnie uniesioną głową. Ale Phoebe czuła, że kłamie.

– Powiedz, skąd wiesz – nalegała. – Jest tu ktoś, kto należał do Fortuny?

Mark milczał. Phoebe widziała, jak w ciemnościach mocniej ściska pistolet. Nagle olśniła ją pewna myśl.

– Boże drogi! – prawie wykrzyknęła. – Wtedy, w szkole, wiedziałeś. Wiedziałeś o Fortunie. I wiedziałeś, co mi zrobiły.

Mark zarechotał.

– Już jako szczeniara nie wiedziałaś, kiedy należy dać spokój. Od dziecka szukałaś kłopotów.

Phoebe zdawało się, że ziemia usuwa jej się spod nóg.

– Byleś jednym z nich, prawda? – wyszeptwała, a każde słowo przychodziło jej z ogromnym trudem. – Jednym z tych, którzy mnie porwali.

– Zamknij się! – warknął Mark. – Zamknij się, do kurwy nędzy!

Więc miała rację.

– Idziemy – powiedział Mark i skierował broń w jej stronę. – Więcej nie będę powtarzał. Z ich prawej strony dał się słyszeć szelest liści.

– Mark, rzuć broń! – ktoś krzyknął.

Głos należał do kobiety. Ktoś biegł w ich stronę. Oboje byli zaskoczeni, gdy ich oczom ukazała się Glenda.

– Wynoś się! – wrzasnął Mark. – Co tu robisz?

– Uspokój się, Mark. Jeśli zabijesz Phoebe, co będzie z Brandonem? Chcesz zrujnować też jego życie?

Mark zaczął kręcić pistoletem. Zachowywał się jak szalony. W pewnym momencie przystawił sobie broń do głowy.

– Mark, nie. Błagam! – zawołała Glenda.

Opuścił rękę i cofnął się dwa kroki.

– Dla twojej wiadomości – wycharczał w stronę Phoebe. – To ja wtedy wezwałem policję i powiedziałem im, gdzie jesteście.

Strzelił w powietrze, obrócił się na pięcie i zniknął w ciemnościach.

Była siódma wieczorem w piątek. Phoebe, stojąc na schodach, zamykała drzwi wejściowe. Usłyszała szum silnika samochodowego i odruchowo odwróciła głowę. To była Glenda. Phoebe pobiegła, żeby się z nią przywitać.

– Cześć – powiedziała, gdy Glenda wysiadła z samochodu. Miała na sobie dzinsy i prawie niewidoczny makijaż. Phoebe zdrowym ramieniem objęła przyjaciółkę. – Tak się cieszę, że cię widzę.

– Wychodzisz czy wracasz? – zapytała Glenda

– Wychodzę. Chciałam coś zjeść. „U Tony’ego”. Dołączysz do mnie?

– Nie wiedziałam, że lubisz takie miejsca. Ale dziękuję. Muszę się pakować. Wpadłam tylko na chwilę.

– Jak wyprawa do Bostonu? – zapytała Phoebe. Półtora tygodnia wcześniej Glenda złożyła wypowiedzenie i wyjechała z Brandonem, żeby pogadać z przyjaciółmi i zastanowić się, co dalej.

– W porządku – odparła Glenda. – Co prawda, kilkakrotnie rozważałam skok z jakiegoś ładnego wieżowca, ale bez przesady. To najwyraźniej nie w moim stylu. Poza tym wiele osób podtrzymywało mnie na duchu.

– Nie tylko ja myślę, że nie powinnaś odchodzić ze stanowiska.

– Doceniam twoje wsparcie, Phoebe, ale odejście było jedynym sensownym rozwiązaniem. Pamiętasz ten dzień, gdy wyjechałam i wróciłam dopiero wieczorem? Powiedziałam ci, że jadę spotkać się z jednym z dobrodziejów szkoły. Nie chciałam zawracać ci głowy swoimi kłopotami. Tak naprawdę pojechałam do Nowego Jorku na spotkanie z prawnikiem. Już wtedy mówił, że ciężko mi będzie utrzymać się na stanowisku. No, a kiedy na jaw wyszła historia z Markiem, to już zupełnie nie było o czym mówić. Lepiej odejść, niż narażać się na kolejny stres – wyrzucenie.

– Co planujesz? – spytała Phoebe.

– Jeszcze nie wiem. Dobra wiadomość jest taka, że podobno to wszystko, co się tu wydarzyło, nie zamyka mi drzwi kolejnych uczelni. Tyle że, być może, będę musiała rozejrzeć się za niższym stanowiskiem. To dobry moment, żeby się przekwalifikować. Może zmienię zawód, może napiszę książkę. Na przykład: „Jak przeżyć u boku notorycznego kłamcy”.

– A co u Marka?

– Nie wiem zbyt wiele. Wygląda na to, że w ostatnim semestrze był związany z Blair. Jestem pewna, że Mark uważa, iż oczarował dziewczynę. A ja się założyłam, że jej chodziło o zdobycie ofiary – by wypełnić zadanie piątego kręgu. Wszystko też wskazuje na to, że razem kręcili handlem lekami. Szóstkom pomogło to zbudować ich tajny fundusz, a Markowi spłacić długi hazardowe. Bo znowu zaczął grać. Na pewno.

– Jeszcze jedno pytanie. Jakim cudem znalazłaś Marka i mnie tamtego wieczoru?

– Wróciłam z Nowego Jorku i zobaczyłam, jak wskakuje do samochodu. Pewnie chwilę wcześniej odsłuchał nagraną przez siebie wiadomość. Wyglądał na kompletnie zdesperowanego, kogoś, kto ma coś ważnego do załatwienia. Postanowiłam się dowiedzieć, o co chodzi. Pojechałam za nim.

– Co teraz będzie z wami?

– Sama pomyśl – razem ze studentką mojej szkoły handlował narkotykami. Prawie zniszczył życie moje i Brandona. Groził ci bronią. To nie są rzeczy, które mu kiedykolwiek wybaczę. Ale nie chcę, żeby Brandon stracił z nim kontakt.

– Czy to znaczy, że nie wyjedziesz?

– Wyjadę. Ale niedaleko. W szkole dzieci nie dają Brandonowi spokoju, ja nie mogę patrzeć na college. Kilka tygodni posiedzę u brata, pozbieram się, a potem zacznę szukać pracy w Nowym Jorku. Na pewno coś znajdę. No i Brandon będzie miał blisko do ojca. Nie siedzi, wyszedł za kaucją.

– Mam pomysł – powiedziała Phoebe. – Dostałam zaliczkę na książkę, nie będę musiała wynajmować mojego mieszkania. Może zatrzymacie się w takim razie z Brandonem u mnie? Przynajmniej będę mogła was odwiedzać.

Glenda z uśmiechem stwierdziła, że to propozycja nie do odrzucenia.

– Pomóc ci w pakowaniu?

– Nie, szkoła wynajęła firmę. Miło ze strony zarządu. Pewnie chcą mieć pewność, że za cztery dni zniknę. Boże, jakie to wszystko upokarzające.

– Posłuchaj, Glendo. Być może twoje życie chwilowo nie układa się tak jak chciałaś, ale będzie dobrze. Szybciej, niż myślisz.

– Powiedz lepiej, co u *ciebie*.

– Prawie się pozbierałam. Wiesz coś o Szóstkach? Podobno policja ujawniła już kilka nazwisk.

– Tak. Kiedy Blair i Gwen były aresztowane po raz pierwszy, reszta dziewczyn siedziała cicho. Ale teraz boją się, że będą odpowiadać za handel narkotykami, więc po kolei się ujawniają.

– Super. Może pomału zaczną gasić światła na noc.

Glenda uśmiechnęła się, ale po chwili powiedziała w zamyśleniu:

– Niestety, nie znaczy to, że prześladowanie i wzajemne znęcanie się nad sobą studentów zniknie. To chyba znak naszych czasów.

– Ale zawsze znajdzie się jakiś dzieciak, który się przeciwstawi. Zastanawiałam się nad tym fenomenem. Cały czas chodzi o władzę, siłę. Szóstki chciały mieć władzę nad innymi. Podobnie jak Fortuna. Jedyne, co mogło je pokonać, to siła, którą można znaleźć wyłącznie w samym sobie. Byłam załamana, kiedy dowiedziałam się, do jakiego stopnia Lily była wciągnięta w działalność Szóstek. Potem jednak uświadomiłam sobie, że chciała zrekompensować sobie utratę kogoś bliskiego. I chociaż wiedziała, że Blair jej nie odpuści, w końcu zdecydowała się z nimi zerwać.

– Miałaś wyrzuty sumienia, że nie pomogłaś jej tego dnia, kiedy rozmawialiście. Być może jednak było odwrotnie. Powiedziałaś coś, co dodało jej sił.

Phoebe wzruszyła ramionami.

– Mam nadzieję – powiedziała. – Ale tego już się nie dowiemy.

Pożegnały się i każda pojechała w swoją stronę. Glenda do domu, a Phoebe do ulubionej knajpy. Zaparkowała naprzeciwko lokalu, na Bridge Street. Od rzeki niósł się zapach błota i trawy, w rześkim powietrzu było go wyraźnie czuć. Od chwili gdy Phoebe usłyszała o zniknięciu Lily, minął zaledwie miesiąc. A wydawało się, że upłynął rok.

Phoebe westchnęła i przekroczyła próg restauracji. Tego wieczoru przy barze siedziało dwóch mężczyzn. Jeden z nich, potężny gość w kapeluszu zsuniętym na tył głowy, pochłaniał piwo wpatrzony w ekran telewizora na końcu sali. Przy drzwiach siedział Duncan Shaw. Wiedziała, że go tutaj spotka. Podśluchała, jak Jan mówiła komuś, że chcieli z Milesem wyciągnąć gdzieś Duncana, ale on zaplanował samotny wieczór w „U Tony’ego”.

– Cześć, Phoebe – powiedział Duncan na jej widok. Wyglądał na zaskoczonego. Od kiedy wyszła ze szpitala, Phoebe widziała go tylko raz. Pewnego popołudnia, z daleka, po drugiej stronie dziedzińca na kampusie. Była pewna, że jej nie zauważył.

– Czy... mogę się przysiąc? Tylko na chwilę – zapytała. Przed Duncanem stała do połowy pusta filiżanka espresso, obok leżały rachunek za kolację i karta kredytowa. Złapała Duncana w ostatniej chwili.

– Jasne, zapraszam – powiedział głosem bez wyrazu. Minimalnie przesunął swój stół, tak by mogła swobodnie usiąść na sąsiednim. – Tony’ego dziś nie ma. Rodzinne wesele.

– Nie dla niego tu przyszedłam – wyjaśniła Phoebe. – Mam szpiega, który mi doniósł, że tu dzisiaj będziesz.

– Aha – widać było, że trawi tę wiadomość. – Jak się czujesz? Mam nadzieję, że Glenda przekazała, iż kilka razy pytałem o ciebie.

– Tak, wiem. Dziękuję.

– To wszystko musiało być potworne. – Duncan uważnie na nią spojrział. – Na pewno wróciły ci wspomnienia z internatu.

– To prawda – potwierdziła po chwili Phoebe cichym głosem. – W końcu jednak chyba to właśnie mi pomogło. Musiałam wszystko przeżyć od początku i w końcu zamknąć ten rozdział.

– I jak? Udało się?

– Myślę, że tak. Przede wszystkim uświadomiłam sobie, jak wielki wpływ miała na mnie i na moje życie historia z Fortuną. Nawet nie te dni spędzone w zamknięciu – ale miesiące życia w strachu, kiedy każdy dzień niósł ze sobą niepewność i poczucie zagrożenia. Latami wmawiałam sobie, że to przeszłość. Że z teraźniejszością nie ma nic wspólnego. Ale to było kłamstwo. Oczywiście, byłoby dobrze, gdybym z tego wyszła, nie raniąc przy tym tylu osób.

– Podobno zarząd przyjął dymisję Glendy. Jak ona się czuje?

– Przeżywa, ale myślę, że wyjdzie z tego obronną ręką.

– Chyba nigdy nie przepadałaś za Markiem. Przyszło ci kiedykolwiek do głowy, że stać go na coś takiego?

O Marku i handlu narkotykami wiedział już cały college i całe miasto. Tylko Glenda i Phoebe znały jego powiązania z Fortuną.

– Mark nie jest z gruntu zły – powiedziała cicho Phoebe. – Jednak zżerała go chorobliwa zazdrość o karierę Glendy. Większa, niż ktokolwiek mógł przypuszczać. Ze mną na czele.

Barman wziął kartę kredytową Duncana i zapytał Phoebe, czego sobie życzy. Poprosiła o kieliszek czerwonego wina.

– Glenda wyjeżdża. A ty? – spytał Duncan, gdy barman odszedł.

– Skończę ten semestr, oczywiście. Ale nie zostanę na przyszły rok. Czuję się jak zdrajczyni wobec Glendy.

– Planujesz wrócić do Nowego Jorku?

– Na razie, do wiosny, zostanę tutaj – odrzekła Phoebe. – Postanowiłam napisać książkę o wszystkim, co mi się przydarzyło. Częściowo będzie to całkowicie oparty na faktach kryminał, a po części – pamiętnik.

– Super – powiedział Duncan i zabrzmiało to szczerze. – Zatem koniec z gwiazdami?

– Chwilowo na pewno. Wszystkie Angeliny tego świata mogą spać spokojnie. Chyba miałam bardziej dość tego całego światka i pisanie o nim, niż zdawałam sobie sprawę. Pewnie dlatego nie doceniłam w dostateczny sposób tego, co robił mój pomocnik w zbieraniu materiałów do ostatniej książki. – Phoebe uśmiechnęła się. – Ale nie martw się. Część wspomnieniowa będzie dotyczyć wyłącznie wydarzeń, które miały miejsce w internacie. Ani słowa o życiu osobistym.

– Czyli nie będę sławny. A to pech! – Duncan popatrzył na Phoebe z uśmiechem. Jednak chwilę później, ku jej rozczarowaniu, szybko podpisał wydruk zapłaty i schował do portfela kartę kredytową.

– Wiem, że chcesz już iść, nie będę cię zatrzymywać – powiedziała szybko. – Przyszłam tu, żebyś mi wybaczył. Za podejrzenia. To było straszne i mam nadzieję, że przyjmiesz moje przeprosiny.

Duncan rozejrzał się. Wyraz jego ciemnobrązowych oczu w najmniejszym stopniu nie zdradzał, jaka będzie odpowiedź.

Wreszcie spojrzął na Phoebe i powiedział:

– Jasne. Czemu nie.

– Chyba nie jesteś do końca przekonany – zauważyła z wahaniem Phoebe.

Duncan westchnął lekko, nie ukrywając frustracji. Rozłożył dłonie.

– Nie chodzi o to, że mnie obraziłaś, Phoebe. Sugerowałaś, że mogłem zabić Lily Mack. Coś takiego trudno przełknąć.

Skrzywiła się, tak ją zabolaty te słowa.

– Wiem – powiedziała. – Jeszcze raz cię przepraszam. Ja... Wszystko waliło mi się na głowę. Przestałam się kontrolować. I myśleć rozsądnie.

Spięta postawa Duncana nieco się rozluźniła.

– No więc przeprosiny przyjęte. Okej?

– Dziękuję – odparła Phoebe.

Duncan zsunął się ze stołka. Zdjął z wieszaka płaszcz.

– Masz jak wrócić? – zapytał. Ton jego głosu był na tyle zdawkowy, że Phoebe przez myśl nie przeszło, by wziąć to za propozycję odwiezienia.

– Tak. Przyjechałam samochodem – odpowiedziała. – Zjem coś i wracam do domu.

– Zatem smacznego. I dobrej nocy.

– Jeszcze jedno – rzekła szybko Phoebe, gdy Duncan odwrócił się już do wyjścia. – Dasz mi minutę?

– Mów – odrzekł po chwili wahania. Ku jej uldze nie wyglądał na poirytowanego. Oparł się o bar i spojrzął na Phoebe wyczekująco.

– Wspomniałam już, że sporo ostatnio myślałam o swoim życiu – zaczęła Phoebe. – Odkryłam, do jakiego stopnia unikałam zaangażowania. Mam na myśli życie osobiste. Może dlatego pisałam o gwiazdach – drążyłam ich życie, ale jednocześnie stałam z boku. Ostatnio zadzwonił mój były chłopak. Powiedział, że nigdy nie chciałam pozwolić na to, by zawładnęły mną emocje. Bałam się kosztów.

Duncan patrzył na nią w milczeniu. Wiedziała, że zadaje sobie pytanie, o co jej chodzi. Phoebe wzięła kolejny oddech.

– Tamtego dnia koło zagajnika powiedziałaś mi, że byłeś pewny, iż łączy nas coś dobrego – ciągnęła. – Też tak myślałam. Ale jednocześnie robiłam wszystko, żeby móc się w każdej chwili wycofać, dlatego pozwoliłam sobie zwątpić w ciebie. To był strasznie głupi błąd, którego okropnie żałuję. Wiem, że możesz mnie uznać za wariatkę. Ale ufam, że zechcesz dać mi jeszcze jedną szansę.

Duncan otworzył szeroko oczy. Tego się nie spodziewał.

Nabrał głęboko powietrza i zadumał się. Zaczął się rozglądać po sali, jakby w poszukiwaniu odpowiedzi.

– Ja... nie wiem, co powiedzieć – wydusił w końcu z siebie. – Wyglądało na to, że między nami koniec.

– Tylko mi nie mów, że spotykasz się z Val – Phoebe usiłowała sprawiać wrażenie rozluźnionej, ale w środku aż się skuliła na samą myśl. Tymczasem Duncan zachichotał.

– Nie – powiedział. – Z nikim się nie spotykam. Uwierzysz albo nie, ale mnie też nie było łatwo.

– Przepraszam, że cię zraniłam – rzekła raz jeszcze Phoebe. Czuła wyrzuty sumienia, jednocześnie zaś nurtowało ją, czy Duncan naprawdę przeżywał ich rozstanie. – Nie musisz odpowiadać teraz. Obiecuj jednak, że o tym pomyślisz.

Popatrzył jej w oczy, wargi mu się lekko rozchyliły, ale odezwał się dopiero po chwili.

– W porządku. Pomyślę.

Pożegnał się i wyszedł. Kelner w końcu przyniósł jej wino. Phoebe pociągnęła łyk, odstawiła kieliszek i uśmiechnęła się. Duncan, co prawda, nie odpowiedział jej wprost, ale zrobił coś, co nappełniło ją nadzieją – podświadomie skinął potakująco głową. Phoebe знаła się na ludziach. Latami z nimi rozmawiała, wyciągając zwierzenia. Umiała odczytać taki gest. Duncan – nawet jeszcze tego nie wiedząc – wcześniej czy później powie „tak”...

PODZIĘKOWANIA

Książka ta wiele zawdzięcza cudownym osobom, które pomogły mi w zebraniu materiałów i których jestem dłużnikiem. Są wśród nich: członek Izby Deputowanych, prokurator Jonathan Birbeck (okręg Cumberland, Pensylwania), prorektor Cheryl Brown (Davis, Uniwersytet Kalifornijski), szefowa pielęgniarek (Szpital Miejski w Nowym Jorku), doktor Chet Lerner – ordynator Oddziału Chorób Zakaźnych (Szpital Downtown w Nowym Jorku), psychoterapeuta doktor Mark Howell, psychoterapeutka i autorka publikacji doktor Jill Murray, pisarka Sheila Weller, doktor Kenneth Wagner – specjalista do spraw zasobów wodnych.

Na moją wdzięczność zasłużyły także: Kathy Schneider za wsparcie i pomoc, moja agentka Sandra Dijkstra za wyteżoną pracę, Sally Kim za wspierającą redakcję. Mai Ziv dziękuję za jej fantastyczną całodobową gotowość do udzielania porad, zaś Rachel Elinsky za świetną pracę na rzecz *public relations*.

